

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**JANINA WIECZERSKA**

**zawsze  
jakiś jutro**

Tower Press 2000  
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

## Droga do szkoły

### 1. Jak pies w kręgielni

Nietrudno było dojechać do szkoły. Wystarczyło wsiąść w jakikolwiek tramwaj z tablicą „Tereny wystawowe” i na właściwym przystanku poddać się naporowi wysiadających wycieczek, iść chwilę z tłumem, a potem już tylko prosto, kasztanową aleją, która po hałaśliwych chodnikach przed Halą Ludową wydawała się cicha i opustoszała. Nie była przecież pusta – po dwoje, grupkami, pojedynczo szli uczniowie, a pośród dorosłych przechodniów łatwo było wyróżnić nauczycieli, przed którymi rozgadane gromadki rozstępowały się w chwilowym milczeniu. Więc znowu wystarczyło włączyć się w ten strumień, żeby dobić do wielopiętrowego, wielookiennego gmachu o surowym, rzeczowym wyglądzie. Nie był ponury, nic podobnego. Ale można by na nim umieścić napis: „Porzućcie wszelkie sentymenty, którzy tu wchodzić”.

Joasia od tygodnia wytrwale zwalczała właśnie wszelkie sentymenty, stąd oschłość szkoły przyjęła jako dar losu. Wydawało się jej, że jasne i proste korytarze, szerokie schody i pachnące jeszcze świeżą farbą klasy, bez śladu jakiegokolwiek przeszłości, nowe i obce, są najwłaściwszym polem startowym dla kogoś, kto też jest nowy i obcy i programowo nie chce mieć nic wspólnego z przeszłością.

A więc, spokojnie i rzeczowo. Oddać lis w kancelarii. Odszukać swoją klasę. Rozejrzeć się po ludziach, co są warci. Tyle na dziś. A w ogóle: 1. Dać sobie radę z nauką; 2. Znaleźć przyjaciół; 3. Nie pchać się na pierwszy plan i nie nadstawiać łba. Najważniejsza rzecz – to wiedzieć, czego się chce.

Kiedy spokojnie i rzeczowo wyjaśniła w kancelarii, że jest tą nową uczennicą, skierowaną tu przez panią profesor Cieszyńską, i wręczyła dyrektorowi list od ciotki. Dyrektor przeleciał oczyma po kartce, po czym powiedział:

– No cóż, szkoda, że twoja protektorka rozstała się z naszą szkołą. W zamian przysłała nam ciebie i poleca jako dobrą uczennicę. Nie jest to świetny interes dla szkoły, dobra uczennica za dobrą nauczycielkę. Postaraj się, żebyśmy nie musieli jeszcze bardziej żałować tej zamiany.

– Przecież ciocia... pani profesor – poprawiła – chciała mnie tu umieścić dlatego, że sama tu uczy. Dopiero w ostatniej chwili tak się złożyło.

– Wiem, wiem. Żartowałem. Koleżanko – dojrzał kogoś przez otwarte drzwi do sekretariatu – macie pierwszą lekcję w X humanistycznej? Zabierzcie z sobą nową uczennicę.

Joasia domyśliła się, że to polonistka i wychowawczyni zarazem. Szła obok niej w milczeniu, czekając na życzliwe słowo, ale już po kilku krokach przystąpił do nich jakiś szczupły, siwiejący pan z córką.

– O, jeszcze jedna spóźnialska – zauważyła wychowawczynie, przypominając, że rok szkolny zaczął się przed tygodniem.

Ta ma dobrze – pomyślała Joasia przyglądając się przyszłej koleżance. – Ojciec ją przyprowadza, ścieżki prostuje, a ja co? Jak ten palec.

Prostowanie ścieżek polegało na tym, że ojciec nowej prosił wychowawczynię o wzgląd na córkę – jest bardzo nieśmiała. Joasi przelatuje przez myśl, że to świetnie, bo właśnie nawet chętnie by siedziała z kimś trochę nieśmiałym – te kłębiące i ryczące postacie widoczne przez otwarte drzwi klasy mimo wszystko trochę ją niepokoją.

Nieśmiała nowa nie odstępuje od ojca i polonistki. Joasia czuje, że na nic jej nie jest potrzebna, więc mruknąwszy w przestrzeń: „Trzeba w końcu przeleźć przez ten Rubikon”, wchodzi do klasy. Okiem fachowca rzuca na ostatnie rzędy. Mowy nie ma, wszystko zajęte. Wolne są tylko dwa stoły, jak falochrony broniące dostępu do tyłu. Są teoretycy, którzy właśnie pierwsze rzędy uznają za najbezpieczniejsze, jako że najciemniej jest pod latarnią – pociesza się Joasia i kładzie teczkę na stole. Nieśmiała nowa nagle się zmobilizowała, opuściła ojca i podszedłszy szybko do Joasi oznajmiła, że rezerwuje sobie miejsce z brzegu.

Też dobrze, ostatecznie są większe zmartwienia – myśli Joasia, czując, że jest jej coraz bardziej wszystko jedno. Nawet nie zauważyła, że już po dzwonku, zresztą zdaje się, że nie ona jedna, bo klasa jeszcze ciągle kręci się i gada, nie przejmując się zanadto obecnością wychowawczynie. Ucisząją się dopiero jako tako podczas czytania listy.

– Borowska Sylwia!

– Jestem – głosik jest taki cichy i jakby przepaszający, że Joasia odwraca się bokiem, żeby się przyjrzeć, kto to taki. Borowska siedzi w rzędzie za nią; wygląda tak, jak Joasia zawsze chciałaby wyglądać: dość wysoka, szczupła, duże niebieskie oczy i grube czarne warkocze. Boże ty mój, jaka ona miła! Tylko czemu taka przestraszona, jak sierota wśród zbójców? Zafascynowana nie zwróciła uwagi na paru następnych wywołanych „zbójców” i nie dosłyszała, jak się nazywa dziewczynka z lokami, która właśnie w tej chwili przymilnie i dystyngowanie mówi:

– Obecna!

– Kociubińska Janina!(Ojej, co za nazwisko, jak z „Przekroju”!)

– Jest!

– Lipiński Bogdan!

– Jest! (Nawet wygląda dość miło.)

– Międzyrzecki Marek!

Nic. Może już na samym początku są nieobecni? Nie, bo wychowawczynie patrzy wyraźnie w kierunku trzeciego rzędu, gdzie jakiś chłopiec, strasznie nie uczesany, w spłowiałej bluzie, wychylony za plecami sąsiada mówi coś do czarnej, o cygańskiej urodzie koleżanki.

– Międzyrzecki!

– Co? Aha, jestem, oczywiście – podrywa się spieszenie, ale nie widać, żeby był skruszony.

– Müller Anna! Nowacka Izabela! (O moja „nowa nieśmiała”.) Opis Janina! – Joasia nie słucha dalej, przygląda się chwilę Opis Janinie, która znowu rozmawia z Międzyrzeckim. „Oni są ładni i nie wyglądają na głupich” – ocenia tę parę i znów zwraca oczy na klasę. Dwoje jest w harcerskich mundurkach: drobna, o czarnych oczach, podobna do wiewiórki dziewczyna, której nazwisko przegapiła, i wysoki, starannie ubrany i uczesany chłopiec. Właśnie wstaje, by na: „Skorupka Jan” odpowiedzieć swoje: „jest”.

Harcerstwo jakoś mi dziwnie przeszło ostatnio, ale tak na razie mogę ich sobie przygadać – planuje. – Zapytam najpierw o drużynę, a potem o klasę, wreszcie wszystko jedno o co, byle zacząć.

– Uruska Joanna!

– Jestem! (No, mam to za sobą.)

– Wilkołek Henryk! Wilkołek?

– On zdaje się chciał chodzić do klasy matematycznej! – tłumaczy ktoś poinformowany. Kilkoro parska śmiechem. Widocznie Wilkołek jest osobistością znaną, tyłu naraz zaczyna o nim mówić: że to jeszcze nic pewnego, pani profesor Cieszyńska (o, ciotka! Muszę się jej o wszystko wypytać) bardzo mu odradzała, czemu, Henryk się interesował wyższą matematyką, tak, ale z tabliczką mnożenia miał stale trudności, zresztą on pisał wiersze, tak, „Pogadanki ekonomiczne” Schaffa zaczął przerabiać na trzynastozgłoskowiec, żartujecie, nie, sam widziałem...

– Zagórski Jerzy! – woła wychowawczyni, by zahamować tę lawinę. Zagórski okazuje się kępny brunet w kraciastej marynarce, który dobitnie „jestem” wykrzykuje między jednym a drugim kęsem bułki.

Polonistka każe zapisać na tablicy temat lekcji. Zgłasza się do tego nieduża panna (koronkowy kołnierzyk na obcisłym swetrze, kolczyki, loki), ta co mówiła „obecna”. Przepycha się między stołami, usiłując robić to z wdziękiem.

Po co jej to – dziwi się Joasia – i tak będzie się musiała wspinać na palce, żeby pisać przynajmniej pośrodku tablicy.

Panienka pisze pod dyktando: „Lekcja 3. Przedmiot historii literatury: twórca” – i tu błyskawicznie zwraca się wprost do Joasi, bo najbliżej:

– Jakże u? – szept-arcydzieło, szatan by nie zauważył.

– Zamknięte – Joasia jest oszołomiona techniką pytania i niewzruszonym spokojem piszącej: ta mina! Lekko uśmiechnięta, uprzejma, wręcz łaskawa, a przecież sytuacja zgoła podbramkowa. „Obecna” (jak ją Joasia prowizorycznie nazywa) kończy: „twórca i dzieło”, otrępuje z gracją resztki kredy z palców i skinąwszy głową nauczycielce wraca lekkim, prawie tanecznym krokiem na miejsce.

Tę to sobie zapamiętam! Choć nie myślę, żeby miała być moją najlepszą koleżanką. No, poczekajmy do przerwy.

Polonistka prowadzi lekcję tak sobie. Karczewski polonista był chyba lepszy. Toleruje się tu wypowiedzi „nie na temat”; odpowiadającym łatwo skrócić na sprawy, o których mają ochotę mówić. O, choćby ta, jak jej tam, aha, Müller Anna, zamiast dać przykład dzieła, którego nie można zrozumieć bez znajomości życia pisarza, odpowiada o przedstawieniu „Pana Tadeusza” w Krakowie, w teatrze Rapsodycznym. Boże drogi, co to może być: Teatr Rapsodyczny? W życiu o czymś takim nie słyszała – w ogóle była trzy razy w prawdziwym teatrze. Moja Joanno, może byś nawet dobrze odpowiedziała na pytanie, które Müllerówna tak zrzęcznie omija, ale nie wiesz, co to Teatr Rapsodyczny, a jak się tego nawet dowiesz, to i tak prędzej czy później wyjdiesz na tumana z głębokiej prowincji. O, doło gorzka!

Spostrzegła, że zaczyna ulegać niedozwolonym nastrojom. „Tylko bez przesady” – karczi się. Pewnie, Miejskie Gimnazjum Koedukacyjne w Karczewie Wielkopolskim nie było Sorboną, ale tu też nie ma samych geniuszy. Jeśli jedna nie wie, jak się pisze twórca, a druga nie umie mówić na temat, to na tym tle można zaryzykować publiczny występ. Do startu gotowi... Karczewski kodeks honorowy zabraniał podnoszenia dwóch palców. Odpowiedź na pytanie, rzucona od niechcienia w przestrzeń, stawała się własnością całej klasy i każdy miał prawo ją powtórzyć, gdyby nauczyciel go wyrwał. Ale oczywiście nauczyciel z kolei był zobowiązany zauważyć, kto jest autorem, i dać mu szansę wypowiedzenia się do końca.

Więc Joasia przybiera wypracowaną w starej szkole postawę startową – opiera się o ścianę, zaczepia palce o kieszenie wiatrówki i mając w polu widzenia i nauczycielkę, i większość klasy, czeka, aż padnie następne pytanie.

– Oczywiście nie. W średniowieczu na przykład pisarz programowo krył swoją indywidualność, a w romantyzmie na odwrót – mówi Joasia przed siebie, półgłosem, według zasad gry.

I zdumiona słyszy:

– Proszę, Zagórski!

Zagórski opuszcza rękę i ze swadą zaczyna rozwadniać Joasiny schemat odpowiedzi. Bez wątpienia właśnie jej, bo nie może wyjść poza dwa wymienione przykłady. Joasia jest tak zaszokowana, że nawet się nie oburza.

Też, ale obyczaje! – myśli tylko. – Ciekawam, czy wszyscy są tacy. – Zrezygnowała z publicznego występu, wyłączyła się z lekcji i próbuje jakoś poszeregować kolegów. Oczywiście pół klasy siedzi sennie, byle tylko przeżyć – tych można pominąć. Najbliższa sąsiadka wytrwale wpatruje się w nauczycielkę i kiwa mądrze głową, gdy widać, że polonistce odpowiedź się podoba, wydyma zaś pogardliwie wargi, gdy ktoś palnie głupstwo. „Aha, to ona ma taką taktykę – wnioskuje Joasia – przede wszystkim zyskać łaski nauczycielki. Ja na przykład nie liczę się dla niej, choć przyszłyśmy razem i to przecież powinno jakoś...” Odwraca lekko głowę, żeby zobaczyć tylne rzędy. Tam się bawią: dwie blondynki – jedna niższa; z grubym warkoczem, o marzycielskich oczach, druga wysoka, krótko ostrzyżona, skora do śmiechu – czytają coś z arkusika papieru. Jaremianka („obecna”) czujnie śledzi przebieg lekcji i nie opuszcza sposobności, żeby choć dwa słowa wtrącić. Jej sąsiadka, ta harcerka, notuje. Müllerówna, zadowolona z niedawnego występu, przesyła korespondencję do blondynek.

Więc jest mniej więcej tak jak u nas: senni, wesołki, solidni. Takich graczy jak Zagórski chyba wytepiłiśmy. Zaraz, ale u nas byli jeszcze tacy, przynajmniej na polskim, których interesował przedmiot. Może ich szukać między solidnymi? Ech, z solidnymi nigdy nic nie wiadomo; może uważają na lekcji tylko dlatego, że nie mają o czym myśleć. Trudno tak od razu ludzi rozgryźć. No, a ci „ładni i niegłupi”? Opisowna nie odezwała się głośno ani razu, Międzyrzecki odwrotnie, był wyraźnie gadatliwy. Nie, nie podrywał się co chwila jak Jaremianka, wtrącał swoje uzupełnienia siedząc, nie podnosząc głosu, tak jakoś prywatnie, jakby lekcja była towarzyską rozmową przy kawie, a nie grą o punkty z nauczycielem. Polonistka albo go słyszała, albo nie, ale tych nie zauważonych zdań nikt, nawet Zagórski, nie próbował sobie przywłaszczyć. Aha, klasowy geniusz, prawa autorskie pod specjalną ochroną – domyśliła się Joasia. – Hej, w Karczewie i ja miałam prawa autorskie zastrzeżone, w każdym razie do pewnego stopnia. Ciekawam, kto teraz siedzi na moim miejscu? To było takie dobre miejsce: w ostatniej ławce środkowego szeregu, między oknami. We wrześniowe dni, blisko południa, słońce grzało w plecy, a przy bezwietrznej pogodzie można było podsunąwszy bibułę na kraj pulpitu obrysować ołówkiem kontury cieni padających od liści dzikiego wina. Z ulicy dochodził turkot wozów chłopskich i dźwięk dzwonekórowerowych – to robotnicy jadą z tartaku na obiad.

A ta klasa, prawdę mówiąc, jest okropna. Jedno okno, i to z północnej strony. W zimie przez cały dzień będzie trzeba siedzieć przy świetle. Że też musieli tych biednych humanistów zapakować do takiej komórki! Błądząc wzrokiem po ścianach „komórki” dostrzegła rozcapierzone palce Skorupki, który sygnalizował dalszym rzędom, że do dzwonka jeszcze dziesięć minut. Polonistka uciszyła ostatniego gadułę i zaczęła dyktować podsumowanie lekcji.

Pierwsza godzina szczęśliwie za mną. Z polskim dam sobie radę, o ile drodzy koledzy dopuszczą do głosu. Ale przerwy się trochę boję. Człowiek mimo wszystko nie przyzwyczajony „być za powietrze”. Co to ja miałam zrobić? Aha, z tymi harcerzami.

Tak, ale upatrzony rozmówca, ten Skorupka Jan w harcerskim mundurku, ulotnił się gdzieś, ledwie ucichł dzwonek. A harcerka? Całe szczęście, stoi koło gazетки ściennej, i to sama. No, raz, dwa, trzy!

– Nie, tu właściwie nie ma drużyny – słyszy Joasia w odpowiedzi – ja pracuję w pozaszkolnej... Czuwaj, bywaj! – to już nie do niej, to do kogoś z gromady zbiegającej po schodach. Przeprasza Joasię, nawet ujmująco, cóż, kiedy już jej nie ma.

A właściwie to dobrze. Też miałam pomysł! Przecież tak naprawdę, to ani mi się śni wkładać znowu mundurek z brązowym sznurem zastępowej. Usuwa się pod ścianę (niepotrzebnie,



bo miejsca dosyć), aby przepuścić polonistkę i „nieśmiałą” sąsiadkę, niosącą dziennik za nauczycielką. Nowacka udała, że nie widzi koleżanki.

Właściwie dlaczego? Przecież to nie hańba, że ze mną siedzi – zastanawia się Joasia. – Zdaje się, że najmądrzej będzie, jak poznanie kolegów odłożę do dużej przerwy. Te pierwsze są za krótkie, żeby z kimś pogadać. Więc zwiedzę sobie szkołę i w ogóle przemyślę.

Następne lekcje – matematyka i historia – przeszły bezboleśnie, nauczyciele przez pół godziny wpisywali nazwiska do notesów (dzięki temu Joasia nauczyła się, kto jak się nazywa), omawiali podręczniki itd. Joasia, upewniwszy się, że poziom nauczania nie przewyższa niebotycznie tego, do którego była przyzwyczajona, myślała już tylko o dużej przerwie.

Może zagadać do Müllerówny? Albo lepiej do jakiejś całej grupy? To też jednak dziwne, że na osiemnastu ludzi nikogo nie obeszło, że są w klasie dwie nowe. Widać zwyczajni nowości.

Zaterkotał dzwonek. Gdzie oni tak lecą? – zdziwiła się Joasia widząc, że klasa, zamiast się rozproszyć jak zwykle, pędzi zwartym tabunem po schodach.

Pobiegła za nimi, dopędziła harcerkę (Marysia Jamróz) i poprosiła o wyjaśnienie.

– Kakao w stołówce, w suterenie. Jeśli koleżanka nie ma bloczka, to trzeba wykupić w sekretariacie. – Można prosić o zajęcie kolejki?

Ale zanim załatwiła, co trzeba, Marysi już nie było w suterenie. Niosąc ostrożnie kubek, Joasia rozglądała się bardziej za spokojnym miejscem niż za kolegami. Przystanęła wreszcie we wnęce przy oknie, chwilę dmuchała na gorące kakao, potem sięgnęła do torby po chleb.

– Przepraszam, ale to jest już tradycyjne nasze miejsce – mówił ktoś obok niej. Nie zwróciła na to uwagi, zajęta planami strategicznymi. – To jest nasze miejsce! – powtórzył ten sam głos. – Do ciebie mówię!

Podniosła wzrok znad kubka. Naprzeciw stało dwóch chłopaków.

– Do mnie? – zdziwiła się.

– Do ciebie, do ciebie – zniecierpliwiał się wyższy. – Chyba rozumiesz po polsku?

Chwilami aż za dobrze – odpowiedziała i zabrawszy śniadanie ruszyła niezdecydowanie przed siebie.

– Skąd ta się tu wzięła? – doleciało ją jeszcze.

Boże drogi, rzeczywiście, skąd ja się tu wzięłam? I dlaczego? Nie lepiej by było w Karczowie żyć jak pokorne cielę? Źle ci się działo? – zaczęła dyskurs sama z sobą. – Pewnie, że źle się działo, nie udawaj. W każdym razie ostatnie pięć miesięcy to tylko bierz i się wieszaj. Wieszając to po prawdzie chciało się człowiekowi po każdej awanturze z macochą, ale zawsze była na pociechę szkoła. Zawsze, to znaczy do tej całej hecy z księdzem Mazurkiem.

„Heca z księdzem Mazurkiem” była wydarzeniem tak wszechstronnie głupim, że Joasia na gwałt chce myśleć o czym innym. Dopija obrzydłe jej ze szczętem kakao i wychodzi na dwór. Usiłuje wyłowić z tej kotłującej się kaszy, jaką jest w tej chwili boisko, choćby mniej więcej znaną twarz. O, tam na schodach: Müllerówna i te dwie blondynki z ostatniej ławki. Świetnie, to najlepszy zestaw rozmówców, nie tych sennych, ale też i żadne geniusze. „Mierz w średniaków, moja Uruska” – zachęca się i podchodzi od strony podcieni do siedzących. Tuż przy nich zatrzymuje się.

Posłucham, o czym mówią, to poręczniej będzie się włączyć. Pożałowała tej zbytnej dyplomacji natychmiast.

– Dzisiaj znowu dwie nowe! – mówiła ta wysoka blondynka. – Zasypią nas zupełnie. My, starzy, będziemy chyba odznaki musieli nosić, żeby się znaleźć.

Mam dziś szczęście do głupich pomysłów – podsumowała doświadczenia Joasia, siadając z dala od wszystkich, na ceglach przy płocie. – Stąd już mnie chyba nikt nie przepędzi. Choć jak się okazuje, ja jestem wymarzony obiekt do przepędzania. Jak się Mazurkowi udało...

Masz ci los, znowu ten Mazurek. A miała już o tym nie myśleć. Ale kwietniowa lekcja religii pcha się przed oczy, nie można przed nią ująć, jak przed uprzykrzonym ujadaniem psa

pod oknem. Była wtedy mowa o unikaniu pokus i wszyscy oczekiwali, kiedy prefekt dosiądzie swego, tak niefortunnie zresztą dobranego konika. Joasia miała tego już od dawna dość.

– Ela, wiesz, jak on teraz coś powie na harcerstwo, to wstanę i rąbnę, że jest głupi i żeby się zamknął! A Mazurek już swoje:

– Lekkomysłnie naraża się na pokusę ten, kto uczestniczy w zabawach o zmroku w lesie, jak to jest praktykowane w pewnej organizacji, którą wskutek pożałowania godnej omyłki uznano za pożyteczną społecznie. Harcerstwo, mimo deklaracji, pozostających zresztą na papierze...

Joasia jeszcze dziś czuje zimno, jakie ją ogarnęło, pamięta drzenie palców i załamujący się z podniecenia głos:

– Proszę księdza, harcerze nie popełniają niczego złego, a za organizację o wysokiej wartości społecznej uznali ją ludzie naprawdę mądrzy. I ksiądz nie powinien się czepiać.

Tyle. No, ależ cisza, no... Patrzcie państwo, czerwony jak burak. Co teraz będzie?

– Uruska, natychmiast wyjść z klasy!

Na razie tylko tyle przyszło mu do głowy.

Ale potem w pokoju wychowawcy, poczciwego „matemy”:

– Musisz go przeprosić publicznie!

– Nie przeproszę!

– Wyleją cię!

– Niech wylewają, gwizdzą na taką szkołę. Ja miałam rację!

– Wyraziłaś się nieładnie!

– Za stylistykę nie powinno się wylewać.

Więc „matema” z innej beczki: że dyrektor sobie życzy, że gotów nawet nie obniżyć stopnia ze sprawowania, byleby ksiądz czuł się usatysfakcjonowany.

– Aha, to tak, tylko ze strachu, nie dla zasady.

– Nie, nie można się publicznie kłócić z nauczycielem.

– Ale ja miałam słuszość.

„Matema” cicho:

– Miałaś, pewnie, właściwie niech to zostanie między nami, te jego dogryzania nie były na czasie. Ale po co masz sobie przez taki epizod marnować przyszłość? Proszę cię, zrób to dla mnie i przeproś tego chrześcijanina.

– Aha, właśnie, ładny chrześcijanin! – Patrzą sobie w oczy i nagle zaczynają się śmiać.

– Ale przeproszę go tylko za formę, nie za treść.

– Dobrze, nikt nie będzie się prawował.

Pewnie, że nikt się nie prawował, ale na przeprosinach się nie skończyło. Joasia do końca roku była pochyłym drzewem i okazało się, jak dużo kóz w szkole miało ochotę na nie skakać. Nauczyciele pytali ją surowiej, unikali tak częstych przedtem pogawędek, znalazło się w gronie parę dewotek, które uznały za stosowne umoralniać ją przy każdej okazji. Na kogo Pan Bóg, na tego wszyscy święci: co bojaźliwsi czy gorliwsi koledzy też woleli nie mieć z nią nic wspólnego. Ale dobiła ją, w każdym razie na terenie „działalności publicznej”, drużynowa. Wracały razem ze zbiórki, Joasia się o to postarała w nadziei, że drużynowa powie przynajmniej prywatnie to, co powinna była powiedzieć publicznie. A ona tymczasem zaczęła z zupełnie innej beczki:

– Słyszałam, że masz zamiar wstąpić do OMTUR, więc chyba przekażesz zastęp Stefie?

– Nigdzie nie wstępuję, ale zastęp oczywiście mogę przekazać, skoro was kompromituję.

– Ależ skąd, co za pomysł. Myślałam tylko, że taki wywrotowiec jak ty czułby się dobrze raczej tam niż u nas.

Joasia naprawdę chciała wstąpić do OMTUR, ale nie dlatego, żeby była wywrotowcem, tylko że nasiąknęła ostatnio Żeromskim jak kopka siana deszczem i wydawało jej się, że har-

cerstwo coś za powoli naprawia świat. Poderwała się do obrony harcerstwa właściwie dlatego, żeby „nie deptać starych przeszłości ołtarzy”.

I to jest właśnie najgłupsze – podsumowała wspomnienie. – Mazurek najeżdżał na ZHP, bo mu się wszystkie młodzieżowe organizacje pomyliły. A ja, żeby nie deptać jednego przeszłości ołtarza, nabiłam sobie guza o drugi. Istna komedia pomyłek. I co najśmieszniejsze, do tego OMTUR potem też nie mogłam się już zapisać, boby powiedzieli, że chcę włożyć czerwony krawat na złość Mazurkowi i przy okazji poprawić swoją niewyraźną pozycję. Ech, dajże ty już spokój starym ołtarzom, starym dziejom. Nie trzeba to czasem wracać do klasy? Pozostały do przeżycia jeszcze trzy lekcje i dwie przerwy.

Joasi jakoś nie chciało się gadać, rozgrzeszyła się z milczenia uwagą, że właściwie zadała sobie na dziś tylko rozeznanie się w poziomie szkoły i w charakterze kolegów.

Droga powrotna wydała jej się znacznie krótsza niż rano. To znak, że teren już oswojony – ucieszyła się. I na ludzi z wycieczek przed Wystawą Ziem Odzyskanych patrzyła trochę inaczej; nie byli to już towarzysze podróży, ale przyjezdni, którzy wprawdzie stwarzali w mieście, razem z flagami i planszami, świąteczny nastrój, ale poza tym tłoczyli się w tramwajach.

Co by też było, gdybym tak spotkała wycieczkę z Karczewa? Ano, robiłabym honory domu. A jakby mnie spytali, czy nie wolałabym wrócić? Tobym powiedziała: „Uee, gdzie tam! Tu taki ruch, życie, a w szkole jest po prostu świetnie”.

Mniej więcej to właśnie powiedziała ciotce przy zaimprovizowanym na łapu-capu obiedzie. Ciotka spieszyła się do popołudniówki na Pilczyce i bardzo tym pośpiechem zmartwiona pocieszała siebie i Joasię, że wieczorem to sobie naprawdę z serca pogadają.

– Opowie mi ciocia o moich kolegach, dobrze? Przecież uczyła ich ciocia przez dwa lata.

Ciotka obiecuje, jeszcze raz mówi, że jej tak niemiło skazywać Joasię od razu w pierwszy dzień na samotność, i wychodzi. Ale coś sobie przypominała, bo uchyla drzwi:

– Dziecko drogie, w kredensie jest czekolada, miałyśmy zjeść na deser i zapomniałam. Często się, jak tylko masz ochotę.

Patrzy chwilę, przez okno, jak ciotka obładowana książkami znika za zakrętem.

Gdyby ona była moją macochą, tobym tu nie wylądowała jak rozbitek bez wiośła i łodzi. Tak mnie po prostu przyjęła, jakby to naprawdę do czegoś zobowiązywało, że moja matka jej ufała.

Zagapiła się na topole koło wieży ciśnień; w popołudniowym słońcu blaszki liści migocą zupełnie nieprawdopodobnie, wierzchołki lekko przyginają się od wiatru, prześwieca przez nie niebo, takie sobie, nic szczególnego, ale Joasi przypominają się wszystkie naraz karczewskie topole – te rozsądnie, po gospodarsku sadzone topole, mające chronić zabudowania przed długotrwałymi, silnymi wiatrami zachodnimi, topole, o których się wie, że te sadił jeszcze dziadek, a ojciec był świadkiem sadzenia tamtych. Wyrosły tak mimochodem na ozdobę miasteczka, górują nad domkami, kryją odosobnione gospodarstwa. Nikt się nimi głośno nie zachwyca, ale Joasi kojarzą się z wierszem Słowackiego, ot tym, że „anioły stoją na rodzinnych polach”...

No, bez liryki. Lepiej wziąć się do rozpakowania walizy. Idzie do jadalni, która ma być jej pokojem, choć spać będzie w drugim, z ciotką. Kładzie walizę na stół, podnosi wielkie wieko i przez chwilę patrzy na porządnie ułożoną bieliznę, sukienki, zielony „battle-dress”. Walizę pakowała macocha – złego słowa nie można powiedzieć, jest tu wszystko co trzeba, nawet nowy fartuch kupiła, poszyła woreczki na przybory toaletowe, szczotki itp. Można powiedzieć, że widać tu entuzjazm, z jakim wyprawiała dziewczynkę z ojcowskiego domu. Joasia czuje do niej nawet coś w rodzaju wdzięczności, że w ostatnich dniach zachowywała się zupełnie przyzwoicie. Właściwie spodziewała się takiego zakończenia ich współżycia w jednym domu już wtedy, gdy dowiedziała się, że ojciec ożenił się w Niemczech. Wiadomo, lód ziębi, ogień parzy, a macochy wypędzają pasierbów. Ale nie wyobrażała sobie, że to będzie takie paskudne do przeżycia. Macocha wzięła się do pasierbów od razu ostro, pod pozorem, że

strasznie się przez wojnę, pod łagodną ręką babci, rozpuścili. Jeszcze brat, Maciek, miał jakieś prawa obywatelskie. Może dlatego, że go ojciec bardziej kochał, może, że jako chłopak mniej się kręcił po domu. Za to Joasia obrywała za wszystko: że pomaga w kuchni i że nie pomaga, że się ubiera niedbale i że się ubiera starannie, że się śmieje i że się nie śmieje, że przesiaduje w domu i że gdzieś przepada. Joasia początkowo próbowała się tłumaczyć i „brać na zdrowy rozum”, ale wkrótce spostrzegła, że to tylko pogarsza sprawę. Ojcu skarżyć się nie chciała, uważała, że sam powinien spostrzec, cóż, kiedy nie miał słuchu do babskich spraw.

Heca z Mazurkiem była dla macochy darem losu. Kiedy dyrektor plotkarskimi kanałami dał znać, żeby lepiej Joasię zabrać do innej szkoły, przystąpiła do ofensywy na dwa fronty. Ojcu tłumaczyła, jakie to będzie dobre dla Joasi zdawać maturę w wielkim mieście, a Joasi obrzydzała jeszcze bardziej życie, żeby się przypadkiem nie uparła i nie została.

Ojciec łamał się i łamał, aż wreszcie, już po rozpoczęciu roku, o zmierzchu podszedł do Joasi siedzącej na progu werandy i powiedział:

- Dałabyś sobie radę między ludźmi?
- Pewnie, że sobie dam. Mogę jechać choćby dziś!

Wydawało jej się, że była wtedy strasznie dzielna, ale teraz opadły ją wątpliwości.

Też mi dzielność, składać broń i wiać. Wystarczyła jedna piekielna awantura w szkole i około 267 (przyjmując przeciętnie 1,7 awantury na dzień) małych w domu, żeby się mnie pozbyć. Co się stało, to się nie odstanie, ale jeśli chcę wyjść z tego z honorem, muszę się tu nie dać. A tym w Karczewie pokazać takie świadectwo, że siądą. Tylko świadectwo może ich przekonać, że sobie dałam radę. Niczego innego nie mogą zmierzyć ani zważyć. Kończ to rozkładanie i bierz się do lekcji.

Pozostała do schowania tylko żywność. Wieszka na gwoździu w spiżarni wędzony boczek, kładzie do miseczki masło. Jeszcze jabłka – te się ułoży na szafie. Wyjmuje z torby jedno po drugim, takie mechaniczne zajęcie, ale nie wiedzieć czemu miłe. Może dlatego, że to tak przyjemnie rozpoznawać, że te rosły za domem, a te koło studni? Joasia podśpiewuje coś o czerwonym jabłuszku, po pierwszej zwrotce jednak zaczyna inną piosenkę:

Żal, żal za dziewczyną,  
za zieloną Ukrainą,  
Żal, żal serce boli,  
Szkoda mojej złotej doli.  
Hej, hej, hej, sokoły...

## 2. Widz zaczyna rozpoznawać aktorów

Dzień Joasi zaczynał się teraz o szóstej rano, bo do szkoły jechało się przy sprzyjających okolicznościach trzy kwadranse, a przed wyjściem trzeba było jeszcze sprzątnąć mieszkanie – ciotka wyznawała zdrową zasadę, że lepiej zerwać się pół godziny wcześniej, a za to wracać do czystych pokoi. Wstawała trochę później, od swojej podopiecznej i odbierając od niej szcztokę by odrobić swoją porcję porządków, mówiła:

– Doprawdy, aż mi niemiło, że wysłałam cię do najdalszej szkoły, potem tak się obróciło, że sama uczę blisko. Może cię ściągnąć do mojego liceum?

– Ależ nie! – protestowała Joasia, której aż zimne się robiło na myśl, że trzeba by przeżyć jeszcze raz „pierwszy dzień w nowej szkole”. – Ja rozumiem, że ciocia nie może przez tę popołudniówkę tracić czasu na niepotrzebne dojazdy, ale dla mnie to wreszcie tylko kwestia wstania o godzinę wcześniej. Drobiazg, bez znaczenia.

Ale tak naprawdę wcale nie było to bez znaczenia. Oddzielona od szkoły nieuchwytną, ale oporną tamą czasu i przestrzeni, Joasia traciła kontakt z kolegami zaraz po ostatnim dzwonku i nie było szans, żeby pod wieczór na przykład wyskoczyć do kogoś po zeszyt czy książkę, tym bardziej zaś wydawało się niemożliwe zaprosić kogoś do siebie pod lada jakim pretekstem.

Ja jestem trochę chłopski filozof – myślała czasem w samotne popołudnia – ale znowu nie taki, żeby pół dnia gadać tylko do siebie.

Więc żeby wyjaśnić jakoś z sensem puste godziny, pracowicie a solidnie wkuwała słówka, pisała wypracowania-traktaty, sprawdzała dla pewności po dwa razy zadania matematyczne, choć zdawała sobie sprawę, że nawet uwzględniając brak tak zwanej dobrej opinii, może liczyć na czwórkę z wszystkich prawie przedmiotów. Naprawdę bała się tylko łaciny. Karczewski łacinnik wyuczył ich wprawdzie zupełnie przyzwoicie podstaw, udawał jednak przeciwnie, że nie dostrzega powszechnego korzystania z bryków, i nie gnębił nikogo subtelnościami gramatycznymi. Wrocławski nauczyciel zaś, lwowiak wychowany na programach c.k. gimnazjum, miał ambicje zrobienia z każdego bęcwała niemal Parandowskiego i wpadał w złość, kiedy ponura rzeczywistość przekreślała jego nadzieje. Więc gdy wszystkie zadania były odrobione, Joasia zawsze jeszcze miała „na pociechę” gramatykę łacińską.

Zażyłość z tym dziełem przyniosła wkrótce niespodziewane rezultaty. Koledzy spostrzegli nie wiadomo jak i kiedy, że Joasia ma tłumaczenia pewne i w dodatku wie, dlaczego po jednym „cum” jest conjunctivus, a po innym nie. Na przerwach przed łaciną nie mogła się uskarżać na brak towarzystwa. Podsuwała potrzebującym kartkę z przekładem i przypatrywała się w milczeniu, jak Hanka Müllerówna, Irka Piwkówna (ta wysoka blondynka) czy kto inny

szybko przepisuje Cyceronowe zdania. Potem na szczere „dziękuję ci, fajnie to wyklarowałaś” odpowiadała zrezygnowanym machnięciem ręki, co miało oznaczać: „uee, głupstwo”, a naprawdę oznaczało: „co z tego, kiedy i tak jestem dla was powietrzem”. Wydawało jej się, że cała klasa odnosi się do niej tak jak Iza, która ściągała od Joasi, co się dało, uważała podpowiadanie za święty koleżeński obowiązek i nigdy nie zaszczyciła sąsiadki łaskawym słowem za tego rodzaju usługi, chociaż podpowiadanie w pierwszej ławce, oko w oko z nauczycielem; wymagało i swoistego artyzmu, i heroizmu.

Jak wy tak, to i ja tak – zacięła się Joasia. – No i po co ona się podlizuje? – myślała, kiedy Bożena albo Palikówna (mała blondynka) zagadywała ją przed lekcją. – Przecież wiem, że coś zaraz będzie chciała a ona też powinna wiedzieć, że dam jej i bez takiego łaszenia się. Za kogo mnie oni mają?

I tak, stosując z tępy uporem zasadę „siedź w kącie, znajdą cię”, Joasia z dnia na dzień coraz bardziej, oddalała się od drugiego z celów, który sobie wyznaczyła, idąc po raz pierwszy do szkoły: „zdobyć przyjaciół”. Trzeci punkt programu postępowania: „nie pchać się na pierwszy plan” wydawał się jej w tych warunkach w ogóle śmieszny. Moja Uruska, to był objaw manii wielkości przypuszczać, że będziesz musiała starać się zostać w cieniu. Zupełnie bez wysiłku kwitniesz sobie teraz jak ten fiołek w ukryciu!

Pozostawało więc tylko „dać sobie radę z nauką” i na tym skupiła całą siłę i uwagę. Nie, nie całą, bo tymczasem ukuła sobie nowe hasło: „nie dać poznać po sobie, że mi tu źle”. Przed kolegami z klasy oczywiście nie było co się zgrywać, bo ich to w ogóle nie obchodziło. Joasi wydawało się natomiast, że cały Karczew nic, tylko wyczekuje wieści, jak też sobie na szerokim świecie poczyna pewien rogaty syn marnotrawny. Ja im pokażę syna marnotrawnego – odgrażała się myśląc o księdzu i dyrektorze. – Jeszcze o mnie usłyszą i pożałują, że mnie wykopali!

Co mieliby mianowicie usłyszeć, na razie nie ustalała, za to w jej listach do starych przyjaciół Wrocław prezentował się omal jako śląski Paryż. Zresztą istotnie w okresie Wystawy ruch tu był duży, masa przedstawień i koncertów, a na Świdnickiej w biały dzień można było spotkać krajowe znakomitości spośród aktorów i pisarzy, i egzotycznych obcokrajowców. Zagórski zdobył nawet autograf Picassa – Zagórskiego można nie lubić, ale czemu o tym nie napisać?

Był wszakże świadek Joasinych złych i dobrych dni, nieobojętny i nie za trzema rzekami – ciotka. A ciotka była pedagogiem że hej, i to niezłym – nie z tych, którzy biorą za dobrą monetę różne takie „oczywiście jest mi świetnie”. Więcej była poza domem niż w domu, to prawda, ale też jak już miała spokojny wieczór, nie traktowała pytania „cóż tam w szkole?” jako retoryczne.

– Odpowiadałam dzisiaj z matematyki. Nie lubię trygonometrii, to takie nudne, regułki i reguleczki, nie ma nic do kombinowania.

– Ale jak ci poszło?

– Poszło, każdemu by poszło. Po mnie matematyczka wyrwała Opisównę... ciocia ją pamięta? taka czarna... też by bez trudu się wykaraskała, tylko utknęła trochę na początku. Zastanawia się, co dalej, i patrzy na klasę, tak sobie, mogłaby równie dobrze patrzeć w sufit. Ale matematyczka w krzyk: „Ty, Opisówna, nie szukaj pomocy u kolegów, tylko myśl samodzielnie. Mogłabyś mieć lepsze wyniki, gdyby”, i tak dalej. Może sobie ciocia wyobrazić, jaki się Jance z tego mętlik w głowie zrobił. Minę ma niewyraźną, wreszcie odwraca się do tablicy, coś pisze, coś maże, a kazanie trwa. To cud, że skończyła. Wynik dobry, wraca na miejsce, aż tu widzimy... łzy jej po policzkach lecą. Niemiło się wszystkim zrobiło, na przerwie Müllerówna ją pociesza, psy wiesz na matematyce, żeby Jance zrobić przyjemność, ale Janka się zupełnie rozkleiła. Mówię cioci, kompletna beznadzieja, co kto coś powie, to gorzej. Aż Międzyrzecki wpadł na pomysł, zupełnie dziki, wydawałoby się, podszedł do tablicy i zaczął przedrzeźniać Jankę. Ja sobie myślę: „A to drań, przyjaźni się z nią, a wyśmiewa”. Ale

on to robił tak fajnie. „Cosinus kwadrat alfa – łzy ociera i nosem pociąga – równa się, równa się...” „Opisówna, ja się znam na psychologii, ty mogłabyś...” „Nie mogłabym, proszę pani profesor” – znowu pociąga nosem. Takie to było zabawne, że Opisówna sama zaczęła się śmiać!

Ciotka wyraża uznanie dla pomysłowości Międzyrzeckiego, mówi parę słów o jego „czynnym stosunku do polskiego” i zabierają się do zmywania. Joasia myśli z zadowoleniem: „No, ewangelia na dzień dzisiejszy odwalona. Żeby tak jutro znowu coś się stało, z czego by można zrobić obrazek z życia szkolnego!”

Początek roku to na szczęście pora obfitująca w zdarzenia. Następnego dnia minęła w drzwiach nieznanego ucznia i od razu zadecydowała, że o nim będzie wieczorem opowiadać, choćby nawet był nieciekawy. Ale po okrzykach kolegów zorientowała się, że to wraca na łono humanizmu Wilkołek. Znakomicie, ciotka go zna i chwali, może nawet uda się ją wrobić w opowiadanie!

Wilkołek wszedł do klasy jak gdyby nigdy nic, nerwowo i całkiem niepotrzebnie odgarnął rękaw, by spojrzeć na zegarek, i powiedział:

– Hm, tak! O, Międzyrzecki; stary draniu, jesteś? Cześć! Gdzie mam siedzieć? Co, w pierwszym rzędzie? No, trudno, kto późno przychodzi...

Zaraz na pierwszej lekcji wdał się w uczoną dyskusję z historykiem na temat feudalizmu.

– Ha, panie profesorze, miasta w średniowieczu stanowią element nadchodzącego kapitalizmu, ha, ha i właśnie tego...

Mówił długo, nie dopuszczając historyka do głosu Joasia starała się go słuchać, chociaż szmer pogaduszek klasy nie sprzyjał skupieniu. Nagle ze zdziwieniem zauważyła, że szepty milkną i wszyscy spoglądają na trzecią ławkę. Międzyrzecki i Lipski urządzili sobie niemy koncert na cztery ręce: Międzyrzecki jest pianistą romantycznym, podrzuca głowę, wali palcami z wysoka, zawiesza natchnione spojrzenie na suficie Lipski udaje wirtuoza-rzemieślnika: patrzy w „klawiaturę”, wybija rytm całym ciałem, kiwa głowę, zagląda do „nut”. O, teraz skończyli „utwór”, kłaniają się publiczności, ściskają sobie ręce, porozumiewając się, co zagrać na bis, i zaczynają znowu. Słychać czyjeś stłumione parsknięcie. Wilkołek tokuje w najlepsze, ale historyk już zobaczył. Patrzy trochę osłupiały. Cisza taka, że nawet Wilkołek orientuje się, że coś się święci. A pianiści „grają” poloneza Chopina. Tak, bo Lipski w zapale pomrukuje: „Tam – ta tam, tarata tam ta tam...”

– Lipski! Międzyrzecki!

Koniec koncertu. Ależ śmiech! Zagórski ryczy i bije pięścią w stół, Müllerówna, Jarema piszczą z uciechy. Nowacka cedzi: „Phi, coś podobnego!” „Pianiści” stoją ze spuszczoneymi głowami. Historyk ucisza klasę, jak może. Joasia pochyla się nad zeszytem, żeby nie było widać, jak ją to bawi.

Wracała do domu uradowana, że trafił się taki dobry numer do „reportażu”. Ale ciotka przez parę kolejnych dni zaraz po kolacji zabierała się do poprawiania zeszytów i kiedy wreszcie znalazła chwilę dla Joasi, całe wydarzenie zbladło i wyszło w opowiadaniu zupełnie „nie tak”.

Ciotka tę niemrawość relacji wytłumaczyła sobie inaczej i spytała zaniepokojona:

– Jakoś brak ci dzisiaj werwy. Czyżby cię coś gnębiło?

– Nie, choć właściwie to tak. Bo jutro mamy pierwszą lekcję śpiewu, a ciocia wie, że ja nawet „Włazł kotek” fałszuję. A tam na pewno będzie przesłuchiwanie i będę musiała buceć przed całą klasą, wszyscy będą się śmieli, nauczyciel będzie mnie poprawiał i w ogóle... Boże, jak ja tego nie lubię!

– Ależ Joasiu, to przecież drobiazg, na pewno nie ty jedna nie masz nadzwyczajnego słuchu...

– To co? Oni się wszyscy znają – chciała dodać: „a ja jestem nowa, a oni dla nowych nie mają litości”, ale w porę się opamiętała i dokończyła: – więc nauczyciel czepi się tylko tych nieznanym.

Ciotka w dalszym ciągu utrzymywała, że ów występ wokalny nie powinien jej snu z oczu spędzać. Pamiętała jednak o niepokojach Joasi i następnego dnia nawet jeszcze nie zdjęła kapelusza, a już dowiadywała się o ten nieszczęsny śpiew.

– Ach, ciociu, ta panna Sianko jest niesłychanie sympatyczna!

Ciotka otworzyła szafę, przegradzając wąski korytarz, ale Joasia nie mogła odczekać, aż powiesi płaszcz, pokrzykiwała zza dykty drzwi:

– Pomyślałam sobie „raz kozie śmierć” i kiedy mi kazała śpiewać, powiedziałam, że nie umiem i już. Pewnie się zaczerwieniłam, bo panna Sianko mnie tylko pocieszyła, że to żaden wstyd. I zostawiła w spokoju. I ona jest bardzo inteligentna, i dowcipna. Żeby ciocia nie myślała...

Musiała przeczekać, aż ciotka umyje ręce, ale ledwie woda z kranu przestała hałasować, wróciła do swego:

– Żeby ciocia nie myślała, że ja tak subiektywnie, bo była dla mnie miła, to cioci opowiem...

– Dobrze, tylko za chwilę, jak się przebiorę w szlafrok... Nastaw wody na herbatę.

Więc dopiero przy kolacji mogła przytoczyć dowody dowcipu panny Sianko.

– Na przykład Piwkówna stara się śpiewać najgłośniej. Panna Sianko parę razy na nią wymownie popatrzyła, a jak to nie pomogło, powiedziała: „Irko, nie każdy, kto woła: »Panie, Panie«, wejdzie do królestwa niebieskiego”. Albo kiedy Międzyrzecki Marek...

– W języku polskim stawia się imię na pierwszym miejscu.

– Kiedy Międzyrzecki wyśpiewywał na cały głos: „Jedną tylko Sylwię znam” (bo on chce koniecznie Sylwię oswoić i rozruszać), to ona, panna Sianko, uśmiechnęła się i zwróciła mu uwagę, że nie należy wykorzystywać lekcji dla celów prywatnych.

Nie wiadomo, czy ciotka dała się przekonać, że Joasia ocenia nauczycielkę śpiewu absolutnie niesubiektywnie, ale przyznała, że istotnie pani Sianko ma poczucie humoru, i dodała:

– Widzę, że polubiłaś twoją klasę. A Międzyrzecki Marek...

Joasia chrząknęła znacząco.

– Marek Międzyrzecki – poprawiła ciotka – okazuje się pierwszoplanową postacią twoich opowiadań.

– Tak, oczywiście, polubiłam ich. A bez Marka klasa by dużo straciła, ma ciocia rację. On jest taki wesoły...

Najzabawniejsze, że ja wcale tym razem nie udaję. Prawdę mówiąc, to nie lubię najwyżej dwóch-trzech osób. A najbardziej mnie gasi Iza. Może bym jej nie zauważyła, gdyby nie siedziała ze mną, ale tak...

Podzieliła się tą refleksją z ciotką.

– Spróbuj się zamienić z kimś na miejsce.

– Uee, któż by tam chciał. I nie wypada tak demonstrować, że się kogoś nie lubi.

Ale uczepliła się tej rady i zaczęła snuć makiawelskie plany, jak by tu dyskretnie zgubić Izę. Nic by pewnie nie wskórała, gdyby Wilkołek nie miał dość samotnego sterczenia w pierwszym rzędzie.

– Panowie – oświadczył któregoś dnia – klasa jest umeblowana całkiem głupio, do tablicy ledwie się można docisnąć, a z katedry każdy belfer, jeśli nie jest ślepy, może mi zaglądać do zeszytu. Ja muszę zmienić położenie geopolityczne, a wam to też wyjdzie na dobre.

– Słusznie, po co ten prostokąt między rzędami poparł go Skorupka. – Wygląda jak parkiet w tancbudzie i tylko zachęca naszych drogich wychowawców do niepotrzebnych spacerów. Te dwa pierwsze stoły zmieszczą się pod tylną ścianą, jak się inne pozsuwa razem.

Iza Nowicka zaprotestowała przeciw przeprowadzce pod ścianę:



– Ja mam słaby wzrok i muszę siedzieć w pierwszym rzędzie.  
– To się przenieś na moje miejsce – zaproponowała szybko Müllerówna. – Tu będzie teraz pierwszy rząd!

Więc Iza siadła obok Sylwii, Hanka i Joasia trzymając teczki w rękach czekały, aż chłopcy przesuną stoły. Mimo optymizmu Jasia Skorupki nie bardzo chciały się zmieścić, pchano je w te i wewte. Joasia medytowała, jak by tu zręcznie wskoczyć na miejsce w samym kącie, i rozważała korzyści sąsiedowania z Hanką i blondynkami. Nie, z nimi się dogada. Na pewno im się kiedyś przyda, a one jednak ten honor mają i od czasu do czasu chyba się odezwą do brym słowem. Tylko się nie najeżać niepotrzebnie!

Stoły nareszcie przestały wirować. Hanka szybko rzuciła teczkę w kąt upatrzony przez Joasię, ale Josia postanowiła nie brać jej tego za złe. Nikt jeszcze nie siadał, bo w rozkładzie godzin było okienko. Wilkołek zadowolony gospodarował przy swoim stole. Zagórski siedząc okrakiem na krześle w środku klasy zachęcał kolegów, „żeby zostawili ten cały babiniec i poszli nad Odrę oddać się bardziej męskim zajęciom niż plotki”.

–Też mi supermęskie zajęcie krztusić się jakimiś wymiętoszonymi „lotnikami” – zemściła się za „babiniec” Irka Piwkówna.

– No, dalej, kto mężczyzna, ten za mną – zakomenderował niezrażony Zagórski. I nagle dosunął krzesło szybko do swego stołu, patrząc równocześnie w stronę drzwi. Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku. Zobaczyli szczupłą, raczej drobną postać w czarnym, krótkim ni to surducie, ni marynarce.

– O Boże, ksiądz! – przeraziła się Joasia. Nie wiadomo czemu, wyobrażała sobie, że już w życiu nie będzie miała do czynienia z konfratrami księdza Mazurka, a teraz poczuła się tak, jakby we drzwiach stał wysłannik świętej inkwizycji. Ale on nie jest podobny do tego naszego prowincjonalnego Torquemady – uspokajała się. – I chyba listów gończych Mazurek za mną nie wysłał!

Ksiądz odczekał spokojnie, aż w klasie zrobi się porządek, przedstawił się i zaczął powoli odczytywać listę, po każdym nazwisku podnosząc wzrok znad dziennika na zrywającego się ucznia. Przyszła kolej na Wilkołka.

– Jestem – powiedział. – Ale chciałem wyjaśnić, że będę chodził na religię tylko ze względów teoretycznych. Jestem z przekonania socjalistą.

– To bardzo dobrze – ucieszył się niespodziewanie ksiądz. – Bernard Shaw twierdził, że kto za młodu nie był socjalistą, na starość będzie łajdakiem.

– Ja to mówię, bo lubię jasne sytuacje.

– Rozumiem. Zagórski!

– Jest. Ja też chcę chodzić tylko dlatego, żeby poznać wroga.

– Przyjacielu, gdybym cię uważał za wroga, szkoda by mi było fatygi na poznawanie cię!

Jak on zaraz zauważył, że Wilkołek to co innego niż Zagórski – zdumiała się Joasia.

– Ale ksiądz profesor złośliwy! – zawołała z przypochlebnym wyrzutem Jaremianka.

– Widzisz, drogie dziecko, swego czasu rodzice pana Wołodyjowskiego powiedzieli sobie: „Nasz Michał jest mały i brzydki i jak go się ludzie nie będą bać, to mu będą dokuczać. Więc niech umie przynajmniej tak robić szablą, żeby go się bali”. A ja nawet szabli nie mam, więc muszę się bronić złośliwością.

Joasia pomyślała, że ta odpowiedź nie jest pozbawiona swoistej kokieterii, ale Mazurek na przykład nigdy by się na coś takiego nie zdobył. I chyba nie przyszłoby mu do głowy, że można ex cathedra twierdzić, że religii nie można nauczyć się z podręczników, wobec czego nie warto sobie zawracać głowy tytułami tychże. A to właśnie głosił w tej chwili ksiądz. Rany, jakby to słyszeli autorzy tych podręczników!

– W tym roku będę wam wykładał dogmatykę – mówił ksiądz. – Oczywiście, chciałbym was jej nauczyć, ale zdaję sobie sprawę, że nawet gdybyście wkuli na pamięć całego Tomasza

z Akwinu – urwał i po chwili ku zdumieniu klasy zapytał: – Znacie nowelę Londona „Bóg ojców jego”?

Nie wiedzieli, ku czemu zmierza, więc na wszelki wypadek odpowiedzieli jednogłośnie, że nie. Prefekt wyjął z teczki tomik w kolorowej okładce i trochę czytając, trochę streszczając, przedstawił obu bohaterów noweli: fanatycznego pastora i zabijaka-wykolejence. Nie ukrywał przy tym niechęci do misjonarza i sympatii do wykolejence.

– Chyba jest dla was jasne, kto z nich był bliższy chrześcijaństwu i doskonałości – zakończył.

– Moim zdaniem ani jeden, ani drugi – odezwał się Międzyrzecki. – Ten pastor to wiadomo, ale z wykolejence też był kawał pyszałka. W ogóle każdy, kto się chce wyróżnić, postępuje nieetycznie, bo chce, żeby inni byli gorsi.

– Toteż pokora... – przerwał ksiądz.

– Kto chce być pokorniejszy od drugich, wcale nie jest pokorny. Wręcz przeciwnie. Programowe doskonalenie się jest zarozumiałością. Człowiek powinien żyć bez żadnych ambicji, jeśli oczywiście chciałby być chrześcijaninem. Ale właściwie nie powinien chcieć, bo tym samym chciałby być lepszy.

– Takie rozumowanie prowadzi do chaosu, do nihilizmu. A ludzie pragną ładu i właśnie taki ład nosi wiara.

– Przynosi fałszywy spokój sumienia, nie ład.

Tu już ksiądz się oburzył:

– Widzę, że prawdziwie niebezpiecznym heretykiem jesteś ty, nie twoi zadzierzyści kole-dzy. Ale jesteś bardzo młodzieńczy. Największe umysły ludzkości, jak Platon, Kant, bardziej byli skłonni do umiarkowania.

Ksiądz zaczął cytować autorytety filozofii, wyraźnie chcąc nimi przytłoczyć dyskutanta. Marek słuchał tego z miną „a ja tam swoje wiem”, w końcu nie wytrzymał i wtrącił:

– Wielkim umysłem mogło bardziej chodzić o to, żeby ich systemy były logiczne, niż o prawdę. Z każdego wychodzi w końcu doktryner.

Z korytarza dochodził już tupot nóg i klasa miała dość dyskusji.

– Marek, nie wygłupiaj się! – strofowała poszukiwacza prawdy Müllerówna, a Zagórski dorzucił:

– Niech ci się w głowie nie przewraca, ty mędrco wszechczasów!

Ksiądz miał jednak więcej szacunku dla przeciwnika:

– Chętnie z tobą jeszcze porozmawiam, ale nie dziś, bo nudzimy kolegów. Przyniosę ci książki – rzucił na odchodnym.

Na przerwie Wilkołek z Zagórskim zastąpili go w dyskusji. Zastąpili nawet dość dokładnie, bo nie tylko jako partnerzy Międzyrzeckiego, ale i obrońcy ładu przeciw nihilizmowi. Oczywiście Marek nie omieszkał im tego wytknąć. Przekrzykując się nawzajem, wędrowali po korytarzu. Joasia miałaby ochotę ich posłuchać, ale nie śmiała podejść bliżej. Co tam po mnie! – osądziła. – Z Markowego wystąpienia zrozumiałam ledwie tyle, że nie lubi ludzi ambitnych. Czekaj, nie tylko tyle: okazało się jeszcze, że Międzyrzecki jest... nie wiem, czym jest, ale na pewno nie jest tylko wesołym, zdolnym chłopaczkiem.

– Pójdiesz do biblioteki? – zagadnęła ją nagle nowa sąsiadka, Irka Piwkówna.

Joasia spojrzała, nie rozumiejąc.

– A bo polonistka mówiła, że zamiast lekcji wychowawczej mamy oprawiać książki albo sprzątać boisko. Do wyboru.

W Karczewie Joasia ani chybi poleciałaby na boisko, ale teraz się waha.

– A kto gdzie idzie?

– Cała nasza ławka do biblioteki. I Marek

– Marek? No, jak cała nasza ławka, to ja też – decyduje.

Potem okazało się, że do biblioteki spłynęło większość dziewcząt. Międzyrzecki był jedynym reprezentantem rodu męskiego.

Irka z racji sąsiedztwa poczuwa się do opieki nad Joasią i oprowadza ją po bibliotece. Joasię olśniewają dwie rzeczy: że można wyjść stąd na ganek biegnący wzdłuż całego skrzydła gmachu i że do książek wyżej położonych można się dostać po schodkach i galeryjce, tworzących jakby drugie piętro, pełne zacisznych zakamarków. Wychodzi przez oszklone drzwi na balkon. Irka za nią.

– Chcesz, pobiegniemy do gabinetu fizycznego i zastukamy w okno! – proponuje.

Joasia nie chce. Wydaje jej się to trochę dziecinne, ale wolałaby nie zrażać koleżanki, która tak zupełnie niespodziewanie, tylko z racji sąsiedztwa, okazuje tyle dobrej woli. Wysuwa więc kontrpropozycję:

– A może mi pokażesz, co ciekawego macie na półkach?

– Wiele książek to tu jeszcze nie ma, większość półek zavalona niemieckimi. Pani Sianko dużo wyrzuciła, ale też i naściagała. Ona ma szczególne przyhapienie...

– Przy... co?

– No, konika, sympatię do tych autorów, których szwaby paliły. Trochę przesadziła i teraz rozdaje.

– A gdzie leżą te na rozdanie?

Irka zaprowadziła Joasię do kąta z książkami. Joasia przerzuca niezdecydowanie tomy – nazwiska i tytuły nic jej nie mówią. Otwiera jakiś tom poezji i nagle ze zdumieniem rozpoznaje w gotyckich literach tekst piosenki, którą czasem śpiewała matka. Patrzy na grzbiet książki: Heine.

– Ja sobie to wezmę! Czy trzeba gdzieś zgłosić? – pyta Irkę.

Irka tylko wzrusza ramionami, więc Joasia szybko chowa książkę do teczki. Czuje, że teraz już trzeba zabrać się do roboty.

Oprawianie książek odbywa się systemem taśmowym. Jarema i Marysia Jamróz przykrawają papier. Sylwia i Międzyrzecki owijają książki. Müllerówna, uprzednio pochwaliwszy się ładnym pismem, kaligrafuje tytuły. Joasia z Irką próbują pomagać Sylwii i Międzyrzeckiemu, ale gdy do biblioteki wpada jeszcze spóźniona Opisówna z Nowacką, odstupują od tej grupy: Irka, bo jak się zwierza szeptem, „nie lubi tej Izy, tak nosa zadziera i ma wszystko za złe”, a Joasia właściwie niby za Irkę, ale po prawdzie dlatego, że trochę bezceremonialnie odsunięta przez Jankę Opis czuje się obrażona.

Irka pomaga teraz Jaremie, więc Joasia bierze się do rozmieszczania książek na półkach. Nie ma z tym zbyt wiele kłopotu, bo „oprawcy” – tak ich nazwał Międzyrzecki, co Joasi wydało się niezwykle dowcipne – nie bardzo się spieszą. Obgadują księdza.

– Nawet sympatyczny, tylko tak jakoś wyklada. Zupełnie nie wiadomo, czy mówi na serio, czy żartuje. A notować już wcale nie wiadomo co – mówi Müllerówna.

Jaremę najbardziej zaintrygował strój prefekta.

– Jednak powinien chodzić w sutannie, nie w takim fraczku!

– Bo on w ogóle jest trochę dziwny. W kurii wcale nie ma najlepszej opinii – to Ania Paliówna demonstruje swą znajomość wyższych sfer kościelnych, ku niebotycznemu zdziwieniu Joasi.

– A tam, mówcie, co chcecie, ja myślę, że to niezwykle inteligentny, o szerokich horyzontach człowiek – włącza się Międzyrzecki.

– Patrzcie, co za rycerz z naszego Marka – Opisówna kwituje sąd kolegi z pobłażliwą ironią. Wszyscy nagle przypominają sobie zeszlerekcyjny spór.

– Nie broń go, nie broń, znęcał się nad tobą!

– Popisywał się greką, jakby to było Bóg wie co!

– Zarozumiały. Wcale nawet dobrze nie słuchał, co mówiłeś!

– No, a przecież ty miałeś rację!

Międzyrzecki odchyła się z krzesłem do tyłu i patrzy na dziewczynki z jakimś nieokreślonym wyrazem twarzy: właściwie się uśmiecha, ale można przypuszczać że jest mu smutno i gorzko. Albo nie: może tylko dlatego się uśmiecha, że nie uznaje całej przygody za wartą smutku i goryczy, chociaż coś z tych uczuć musi w nim tkwić.

– Proszę, proszę, ilu to mam obrońców. Tylko czemuście w klasie tego nie mówiły? „Marek, nie wygłupiaj się”, co?

Joasi robi się żal chłopca. Ona dobrze wie, co to jest takie naoczne przekonanie się, że ludzie są jak chorągiewki na dachu. Nieoczekiwanie dla siebie słyszy swój głos:

– Proszę kolegi, to już tak z ludźmi jest... – ale zdaje się, że ona sama jest jedynym swoim słuchaczem. Zawstydzona niewczesnym wyskokiem wycofuje się z książkami na galeryjkę i stamtąd przysłuchuje się, jak Nowacka tępi prefekta.

– Tobie wymyślał od heretyków, a sam jaki jest Co najmniej dziwak. I dlaczego napadał na tego pastora? Jak mu się duchowni nie podobają, to czemu chce z nas zrobić dobrych chrześcijan?

I znowu Joasia nie utrzymała języka za zębami.

– Bo on wierzy w Boga – zawołała z galeryjki. Wszyscy zadarli głowy do góry. Jaremińska zaśmiała się pogardliwie:

– Też wymyśliłaś! Wszyscy księża wierzą w Boga!

– Aleś naiwna – nieoczekiwanie wziął w obronę Joasię Marek. – Uruska wie, co mówi. Oni wierzą w Kościół, nie w Boga, to gruba różnica.

Otóż to! – ucieszyła się w duchu Joasia. – Jakby znał księdza Mazurka. To w ogóle cud, że ten sługa Kościoła nie zrobił ze mnie wojującego antyklerykała. Jeśli z czym będę kiedykolwiek wojować, to z fanatyzmem. A przy tym tutejszym księdzu pozostanę łagodnym, prywatnym heretykiem.

Pokrzepiona uznaniem Międzyrzeckiego i zadowolona, że dzisiejsze dyskusje jakoś jej pomogły określić samą siebie, patrzy po raz pierwszy bez wewnętrznego napięcia, bez tej mieszaniny uczuć urazy i obawy na koleżanki.

No tak, takie one są. Właściwie nie różnią się w masie od Karczewian: trochę życzliwości, trochę tchórzostwa, mało własnego zdania i dużo ostrożności. Ale jakie są „w środku”, pojedynczo? Oto Irka Piwkówna i Hanka Müller – obie dość wysokie, jasnowłose, w granatowych fartuchach – gadają jak najęte, śmieją się, poganiają lub hamują w robocie innych: czym się one wreszcie różnią, że Joasia z jedną „trzyma”, a od drugiej się odsuwa?

Przecież na dobrą sprawę mogłaby „trzymać” z każdą z nich: dlaczego nie z tą Anią Palikówną, w grubej koronie z warkoczy, o dużych marzących oczach, czytającą, umiejacą się ładnie wysłowić? Albo taka Opisówna: wygląda na zarozumiałą, zresztą ma taką opinię, umie się ironicznie śmiać, złośliwie odcinać, ale, mój Boże, ironia to jeszcze nie najgorsza rzecz – można na przykład być pewnym, że ktoś o zmyśle ironii nie będzie nigdy fanatykiem, inkwizytorem.

Joasia odwraca się, by włożyć książki na miejsce. Gdy po chwili znów opiera się o poręcz, widzi, że na dole zrobił się ruch. Już blisko dzwonka, więc wszyscy wykańczają robotę. Nowacka usiłuje zmyć pod kranem w kącie atrament z palców. Müllerówna męczy się z arkuszami papieru, które chce jakoś porządnie złożyć. Opisówna przeciąga się, aż jej bluzka zza spódnicy wyłazi. Irka? Irka wyciągnęła skądś szczotkę i zmiata skrawki papieru. Międzyrzecki przypatruje się jej, przechylony w bok, bo zapatrzona w niego Palikówna przesłania widok, i dogaduje udając zramolałego starego kawalera:

– Dokładniej, dokładniej, moja Piwkówna, bo inaczej od pierwszego zwolnię!

Joasi przypominają się słowa Puka z oglądanego przed paru dniami „Snu nocy letniej”.

Co, przedstawienie? Chętnie będę widzem,

A jeśli zechcę – może i aktorem!

Wie, że będzie musiała zejść z galeryjki i przyjąć jakąś rolę, że to wynika z natury rzeczy: nawet Sylwia, choć stoi na uboczu, blisko drzwi, wahająca się między chęcią ucieczki, a poczuciem obowiązku wytrwania aż do dzwonka, też jest przecież *dramatis persona*. Czy to wszystko ułoży się z sensem, czy będzie takie przypadkowe, jak ta komitywa z Irką? Czy człowiek w ogóle może coś ze sobą zrobić, czy tylko tak „żyje”, od przypadku do przypadku? Zobaczmy, moja Joanno, jeszcze niejedno przedpołudnie cię czeka.

### 3. Żeby się tak na co przydać

Czas między ostatnim dzwonkiem i otwarciem stołówki bankowej (gdzie wkręcili Joasię znajomi z Karczewa) był najbardziej nijakim czasem, jaki można sobie wyobrazić. W szkole nikt normalny po lekcjach już nie wysiedzi, a włóczyć się ulicami godzinę, półtorej to może być urocze z początku, ale tak stale... Joasia zresztą była skłonna traktować tę czasową bezdomność jako jeszcze jeden dopust, który trzeba po prostu znieść, natomiast ciotka uznała to za niedopuszczalne z czysto pedagogicznego punktu widzenia. Znalazłszy jakąś wolną chwilę, przedstawiła Joasię właścicielowi dużej wypożyczalni książek w Rynku i przykazała odpowiedzialnej przeczekiwać puste godziny w przyczepionej do biblioteki czytelnicy.

Bibliotekarz był postacią co się zowie oryginalną. Wyglądem przypominał trochę fauna, trochę jakiegoś podejrzanego bożka ze Wschodu, asyryjskiego na przykład, na co by wskazywała kręcona czupryna i broda, choć znowu wystające kości policzkowe i nieco skośne, choć niebieskie oczy kazały myśleć o Chinach. Jego zachowanie też nie było rodem z jednej parafii. Chwilami wydawało się, że to zwykły biznesmen, by nie rzec przekupień, chwilę później można by go mieć za bohaterskiego pioniera kultury polskiej na Dolnym Śląsku albo już zgoła za łaskawego mecenasa. Wobec Joasi był zresztą dość jednolity: był mecenasem, ale wyrachowanym. Choć objaśniony przez ciotkę, kim zacz jest dziewczynka, zapomniał o tym już następnego dnia i na prośbę o pozwolenie korzystania z czytelnicy mieszczącej się nad właścicielką wypożyczalnią odpowiedział:

– Cóż sobie młoda osoba myśli? Że młoda osoba może korzystać z usług społecznej placówki i nic za to społeczeństwu nie oddać? Proszę bardzo, czytelnicy jest bezpłatna, ale młoda osoba musi uporządkować czasopisma leżące tam na stole. Trzeba okazać uspołecznienie?

Więc Joasia „okazywała uspołecznienie” układając w wielkiej, dobrze zakurzonej sali czasopisma porzucone, jak Bóg da, na równie wielkim i równie zakurzonym stole. Układała je nawet i wtedy, kiedy już się zorientowała, że nikt nie sprawdza jej roboty ani nie dba o kompletność numerów. Sama zresztą nie tyle czytała gazety, ile przeglądała piętrzące się na pospiesznie zbitych półkach ponemieckie książki. Próbowwała je czytać, ale dzieła niemieckich pisarzy okazywały się zdecydowanie za trudne i mimo najszczerzych chęci odkładała jedno po drugim. Szczególnie uparcie walczyła z treścią pewnego grubego tomiska, bo przy przeczuciu pierwszego rozdziału zdołała zrozumieć tyle, że rzecz dzieje się w jakim starym mieście po południu i że rodzina czeka na powrót dzieci ze szkoły, a zegar na wieży wybija czwartą i na dworze się zmierzcha. A ponieważ z jej mrocznego kąta też było widać wieżę ratuszową i bicie zegara dochodziło bardzo wyraźnie, więc Joasia umyśliła sobie, że ta książka ma niejako coś wspólnego z jej losem i gdyby można było ją gładko czytać, to człowiek

czułby się bardziej swojsko w tej długiej i pustej sali. Doprawdy nie był to najprzyjemniejszy zakątek pod słońcem i czasami Joasia wolałaby już błądzić bez celu po mieście niż tu siedzieć. Ale jako człowiek lojalny uważała, że skoro ciotka jest dla niej dobra, to ona ze swej strony musi być posłuszna.

Kiedy jednak któregoś dnia Irka powiedziała:

– Przecież nigdzie się nie spieszysz, możesz mnie trochę podprowadzić – uznała, że odrzucenie tej propozycji to już zbyt duża skrupulatność.

– Chcę ci coś powiedzieć – wyjaśniła Irka, kiedy minęły szkolną bramę. – Ale nie zaraz, za dużo tu się kręci szczeniaków.

Joasia, zafrapowana tym wstępem, szła z koleżanką w milczeniu, ogromnie podniecona i zapowiedzianą rewelacją, i tym, że Irka uważa ją za kogoś dostatecznie bliskiego, żeby jej powiedzieć coś nie przeznaczonego do publicznej wiadomości. Na pustej ulicy, której poharatane wojną kasztany i zarośnięte piołunem wzgórza gruzów nadawały romantyczny i melancholijny zarazem wygląd, Irka, szurając z przejęciem nogami po pierwszych opadłych liściach, odezwała się wreszcie, podnosząc głowę:

– Czy ty się już w kim kochałaś?

Joasia nagle okazała straszne zainteresowanie leżącym na asfalcie kasztanem i musiała go kopnąć tak, by wleciał na chodnik. Potem mruknęła niewyraźnie:

– No tak, coś w tym rodzaju...

Irce to widać wystarczyło, bo nie dopytując się dalej, powiedziała:

– Bo ja, rozumiesz, mam narzeczonego.

– Oo?!

– Tak, wyobraź sobie, zaręczyłam się w czasie wakacji. On jest inżynierem leśnikiem, mówię ci, fenomenalnie przystojny. Zresztą ja tam wcale nie patrzę na urodę, ale on jest bardzo inteligentny, ma takie ciekawe poglądy na wszystko. A co za charakter! Czy ty wiesz, że on mnie z początku zupełnie ig-no-ro-wał? No, naprawdę! – Irka spojrzała na Joasię, oczekując czegoś. w rodzaju: „Ignorował? Ciebie? Niesłychane?”

Ale Joasia jakoś ni z tego, ni z owego zacięła się i tylko rzuciła bezbarwnie:

– Tak?

– No, bo na niego strasznie wszystkie leciały. A on nic, proszę ciebie, chociaż taki przystojny jak nasz Zaczek, tylko że blondyn.

Joasia starała się przez chwilę wyobrazić sobie znanego aktora jako blondyna, ale bez powodzenia.

– Tak, a jak się trzyma, mówię ci, po prostu ułan. (No, to już nie Zaczek – pomyślała Joasia.) Więc, jak to się mówi, zagięłam na niego parol. To puszczam oko, to się naumyślnie wygłupiam, bajeruję innych gości, żeby zwrócić na siebie uwagę, a on nic. To ci charakter, co?

– Rzeczywiście, niezwykle – w głosie Joasi jest trochę ironii. – No i jak to się stało, że się zaręczyłaś?

Irka spojrzała na Joasię spod czoła, niby zawstydzona.

– A, bo ty się pewnie zgorszysz, jak ci powiem. Bo ja tak, wiesz, na całego, jak już, to już, ja tam nie umiem udawać. Więc po prostu mu się oświadczyłam! To okropne, prawda?

– No nie, dlaczego, niby dlaczego mężczyzna może się oświadczyć, a kobieta nie? Przecież jest takim samym człowiekiem i w ogóle – Joasia poczuła się emancypantką. – W takiej Ameryce to jest na porządku dziennym!

– Tak uważasz? – ucieszyła się Irka. – No, to ci powiem, jak to było. Szliśmy sobie raz pod wieczór połą drogą koło lasu, wyobraź sobie...

Polną drogę koło lasu wieczorem umie sobie Joasia świetnie wyobrazić, tak świetnie, że nagle wzdycha. To wygląda tak: po jednej stronie opustoszałe pastwiska, o niskiej szarawej trawie, upstrzonej stokrotkami i kępkami wrzosu, po drugiej wyschnięty rów, którego wysoki

brzeg złoci się piaskiem, nad piachem jeżyny, gdzieniegdzie jakaś brzoźka, a za tym dopiero las, sosny o rudych pniach. Kładą się długie cienie, nad dalekim brzoźowym zagajnikiem podnosi się mgła. „O, dolo gorzka!”

– I co, co, bo nie zrozumiałam? – przerywa Irce.

– Więc mówię: powiedziałam mu: „A co pan by zrobił, jakby się panu oświadczyła dziewczyna?” A on, że żadna mu się dotąd nie oświadczyła, więc nie wie. Dowcipny, co? A ja na to, że wobec tego się dowie, ba ja mu się oświadczam. Mówię ci, zupełnie go zatkało!

– Mogę sobie wyobrazić...

– Nic sobie nie możesz wyobrazić – Irka wykrzykuje z podnieceniem, a Joasia pokornie przyznaje jej rację. – Ale zachował się jak dżentelmen, powiedział, że od pierwszej chwili był mną zainteresowany, tylko nie chciał mi zawracać głowy, bo jestem taka młoda. Patrz, jak się umie opanować, nic bym się nie domyśliła; sama musisz przyznać, że stalowy charakter.

– Tak, mnie się nawet jeszcze bardziej podoba, że tak nie chciał ci łamać życia...

– Ale dlaczego łamać, przecież się kochamy i będziemy szczęśliwi i nie rozumiem, skąd ci przyszło do głowy to łamanie!

– No, niby szkoła, studia..., jak ty to pogodzisz? A poza tym naprawdę ostatecznie masz dopiero szesnaście lat – Joasia myśli, że to musi brzmieć jak gderanie starej ciotki, ale brnie dalej: – A twoi rodzice, przecież się zmartwią...

– Po pierwsze nie szesnaście, ale zaraz siedemnaście, po drugie on się rodzicom podoba, po trzecie...

– Aha, to rodzice go znają.

– Właściwie to jeszcze nie, ale z opowiadań, tak ich przygotowuję. I tak właśnie – Irka wraca do opowieści – tak mi powiedział, a byliśmy już blisko domu. I poszłam z nim do jego pokoju i tam, rozumiesz, spuszcza oczy – przesłam swój chrzest bojowy...

Joasia chciałaby wiedzieć, co to właściwie było, ten chrzest bojowy, ale choć czuje, że Irka nie od tego, żeby ze szczegółami opowiedzieć, jakoś się wstydy zapytać. Pewnie się całowali. Mówi więc nieobowiazująco:

– Hm. I co dalej?

– Nic, teraz chodzi tylko o to, żeby się rodzice zgodzili na datę ślubu.

– O, najlepiej po maturze. Pomyśl, jakby to było fajnie, takie dwie uroczystości naraz. Wszyscy w takich świątecznych nastrojach.

– Po maturze? Coś ty, kto by tak długo czekał! Nie, w czasie przyszłych wielkich wakacji. A potem będę miała osiemnaście lat i będę mogła chodzić do szkoły dla dorosłych.

– Racja, nie przyszło mi do głowy – Joasia jest zła na siebie, że tak się źle prezentuje Irce. Gotowa pomyśleć, że jest zupełnie bez fantazji i zrozumienia dla tych spraw, że jest nudna i marudna.

– Tylko na razie, zanim go nie przedstawię rodzicom, trudno mi się z nim widywać. Czy mogłabyś, gdyby cię kto pytał, powiedzieć, że byłam u ciebie wczoraj? Zresztą na pewno nikt się nie będzie pytał. Ja tylko tak, na wszelki wypadek.

Ojej, czemu ona nie chce czego innego? – zmartwiła się Joasia, ale żeby przekonać Irkę, że nie jest „nudna i marudna”, zgodziła się.

Irka od razu skręciła w stronę najbliższego przystanku.

– Wiesz, nie gniewaj się, ale wolę nie denerwować staruszków późnymi powrotami ze szkoły, więc jednak pojedę tramwajem.

Już z pomostu tylnego wozu zawołała:

– Więc pamiętaj, wczoraj między szóstą i dziesiątą!

Ha, więc jednak posiedzę sobie prawie godzinę u „Chińczyka” – pomyślała Joasia i poczła nagłą niechęć do Irkowego narzeczeństwa. – Ty, nie bądź małoduszna – zmitygowała się. – Nareszcie ktoś cię potraktował jak dobrego przyjaciela, więc się ciesz.



I czego tu się czepiać, przecież to i bardzo romantyczne, i nawet szlachetne, że uważają miłość za coś więcej wartego od kariery, zwyczajnego życia. A Irka jest na pewno odważna i szczerą, a ja ją traktuję jak trzpiota. To jednak trzeba wiedzieć, czego się chce, i naprawdę kochać kogoś, żeby się tak oświadczyć. Ja bym się chyba na to nie zdobyła! Gdzie tam!

Joasia w głębi serca podejrzewa, że nie oświadczyłaby się nie tylko z braku odwagi cywilnej, ale po prostu nie śmiałyby się mieszać do czyjegoś życia. Przecież to okropne, brać na siebie odpowiedzialność za czyjąś przyszłość. Co innego, kiedy ten ktoś wyraźnie chce, ale tak? Ech, tych spraw nie można rozstrzygać hurtowo. Jeden człowiek jest taki, drugi inny, każdy się kocha po swojemu. A jeśli Irka ma do mnie zaufanie, to nie powinnam jej krytykować.

Zanim dotarła do biblioteki, wybiła sobie z głowy niechęć i podejrzliwość. Fakt, że w ogóle jej ktoś się zwierza, wydał się czymś tak radosnym, że opromieniał i treść zwierzeń. „Pomogę jej – postanowiła doradzę, może i tym rodzicom coś wytłumaczę. Boże, przecież umiem być przyjacielem!”

Jakoś nie chciało jej się siedzieć w bezludnej czytelnicy. Wyjęła wprawdzie słówka angielskie, ale zamiast się uczyć, spojrzała w stronę okna, a potem rozejrzała się po sali, jakby czekając na sygnał do odejścia.

Słońce ledwie przeświecało przez chmury, a zakurzone szyby pochłaniały połowę światła, przy Joasynym stole było już ciemno. Nie ma co psuć sobie oczu – zdecydowała. Zapięła płaszcz, ściągnęła go paskiem i ruszyła na dół. W bibliotece zapalono już lampy, ale chociaż nie osłonięte żarówki dawały ostre, kłujące światło, między regałami zalegał półmrok. Dlatego Joasia w pierwszej chwili nie poznała Zagórskiego i Opisówny, dość bezceremonialnie gospodarujących w książkach. Zagórski sięgał po coś na najwyższą półkę. By ułatwić sobie zadanie, oparł jedną nogę na którejś z niższych półek, drugą na przeciwległym regale i tak wywyższony, tarasując przejście, podawał Opisównie jeden po drugim małe tomiki jakiegoś wydania. Joasia zaraz domyśliła się, jakiego.

Pewnie szukają „Odprawy posłów greckich”, trzeba przeczytać na środe.

Nie była jeszcze zdecydowana, czy podejść do nich, czy przemknąć się między następnym szeregiem regałów, kiedy Opisówna ją spostrzegła.

– Cześć, Uruska, co ty tu robisz? – zawołała.

– A nic właściwie, czekam na obiad.

Ta odpowiedź wprawiła Zagórskiego w niesłychaną radość. Zaryczał potężnym śmiechem i oznajmił, że nie przypuszczał, że Uruska jest aż taką intelektualistką, żeby stołować się w bibliotece i żywić samymi książkami. Więc Joasia zaczęła mętnie i nudno tłumaczyć, jak to jest z jej stołówką, czego Zagórski wcale nie słuchał. Za to Opisówna okazała nagle zainteresowanie.

– To ty tu nie jesteś z rodzicami? – wywnioskowała.

– Nie, mieszkam na stacji u znajomych.

– Gdzieś koło Nowowiejskiej chyba, bo cię kiedyś widziałam na przystanku.

– Na Karłowicach, przy Nowowiejskiej się przesiadam.

Zagórski znalazł tom z „Odprawą”, zeskoczył ciężko z półki i zarządził:

– Chodźmy użerać się z tym Harpagonem.

Użeranie dotyczyło tego, że żadne z nich nie było stałym abonentem, bo wpisowe bardzo wysokie, i Zagórski próbował pożyczyć książkę za jednorazową, osobliwie wykalkulowaną opłatą.

– Nie mogę, młody człowieku – upierał się właściciel – regulamin nie pozwala na takie kombinacje, w; ten sposób skrzywdziłbym innych abonentów, którzy zostawiają tu pieniądze co miesiąc. Trzeba myśleć społecznie, młody człowieku, prawo, drogi panie, solidarność, suum cuique, po prostu bym się demoralizował, łamiąc regulamin.

Joasię nagle poniosła ambicja i szepnęła do Opisówny:

– Ojej, dam truciznie swoich „Łowców mikrobow” zamiast wpisowego, wtedy będę pełnoprawnym abonentem i weźmiemy sobie tego Kochanowskiego.

– A masz te „Mikroby” przy sobie? – odszepnęła Opisówna.

– Nie, ale mu obiecuję, że jutro przyniosę.

– To nie ma co zaczynać, bo będzie znowu kołomyja na pół godziny.

– Jurek, daj spokój – powiedziała głośno. – No trudno, proszę pana, przez pana nieuczynność pozostaniemy niedouczeni w zakresie początków tragedii polskiej – zwróciła się do bibliotekarza, a potem dodała jeszcze zjadliwiej i wynioślejsz w stronę kolegów:

– I tacy potem wyrzekają na dzisiejszą młodzież! Chodźmy stąd!

Joasia zerknęła z niepokojem na „zatkanego” bibliotekarza, z podziwem na Opisównę i skierowała się za kolegami do drzwi.

– No pięknie, dobrze mi powiedziałaś, ale my rzeczywiście możemy zostać niedouczeni w tej lekturze – powiedział Zagórski za progiem. – Janka, a może ktoś z naszej klasy tu pożyczą?

– A bo ja wiem! Przecież to wszystko nowa wiara, licho wie, gdzie kogo nosi!

– Naprawdę? Bo mnie się zdawało, że tylko ja z Nowacką i Sylwią jesteśmy nowe, a reszta taka zgrana...

– Akurat ci zgrana! No nie, widzisz, tu się ludzie trzymają tak grupkami, jak przyszli z innych klas, na przykład Palikówna i Jamrózka, i Lipski byli z a-klasy, trochę przyszło z innych szkół, bo teraz jest rejonizacja i trzeba chodzić tam, gdzie się mieszka, najwięcej jest z IX-b, czekaj, ile?

– Pięciu i ja – pomógł jej Zagórski.

– No właśnie. A moje wszystkie koleżanki poszły do przyrodniczej i tylko mnie samą tu przyznało. Więc ledwie wiem, jak się kto nazywa.

– Ale z Międzyrzeckim się dobrze znasz – nie wytrzymała Joasia.

– A, Marek to co innego, z nim można sobie pogadać, niegłupi chłopak, tylko straszny szczeniak. Ty, ale prawda, Marek przecież tu pożyczą, jeszcze go nie spotkałaś?

– Nie, ja właściwie tam w czytelnii nie bardzo wiem, kto tu przychodzi.

– Można by jego delegować po tę „Odprawę”?

– Późno już. Jutro trzeba to przeczytać.

Joasia od dłuższej chwili łamała się, czy zaryzykować obietnicę, której dotrzymania nie była pewna. Przecież ciotka ma „Odprawę” i właściwie można by od niej pożyczyć, ale czy aby da? Ciotka nie ma zbyt wielkiego przekonania do uczniowskiej solidarności. Pokusa „przydania się” była jednak zbyt wielka.

– Ja właściwie mogłabym pożyczyć „Odprawę” od znajomej polonistki, ale tylko na krótko. To może byśmy się zeszli i razem przeczytali?

– No, to by się dało zrobić. Tylko u kogo?

– Ja się jeszcze upewnię, czy dostanę, to się w szkole umówimy.

– Dobra jest.

– Więc cześć, bo ja idę na Świdnicką. – A my do zerówki. Cześć.

Aż dziwnie, jak gładko poszło – cieszy się Joasia. – Myślałby kto, że nic nie robiłam przez całe życie, ino rozmawiałam z Opisówną. Taka Uruska, a jednak się na coś przyda. O Boże, jak to miło się przydawać! Żeby tylko jakoś załatwić z ciotką tę „Odprawę”, To by było zupełnie fajne, gdzieś się zebrać i szybko przeczytać, a potem jeszcze gadać i w ogóle. Czekaj, Joanno, coś się jednak dzieje!

Joasia wpada w świetny humor, w zapale przeskakuje wielki złom muru zawałający pół chodnika, zapycha teczkę pod pachę, a ręce w kieszenie i nawet próbuje gwizdać, ale że jej to nie wychodzi, przerzuca się na mruczenie. „Od Meksyku do Newady, tam gdzie żyją koniokrady”... no patrzcie, i nawet mam jakiś udział w ciekawych wydarzeniach; jak opowiem w

Karczewie o tych Irki zaręczynach, to zgłupieją. Czy też coś wyjdzie z tego wspólnego czytania?

Okazało się, że gdyby pomyśl z „Odprawą” przyszedł jej do głowy dzień później, nic by z tego nie wyszło. Nawet nie z powodu niskiego mniemania ciotki o uczniowskiej solidności, tylko dlatego, że w jej szkole też właśnie mieli przerabiać Kochanowskiego i ciotka chciała mieć książkę ze sobą.

– Bardzo cię proszę, koniecznie zwróć mi ją wieczorem! – przypomniała jeszcze raz, kiedy Joasia była już u drzwi.

– Jasne, zresztą co bym z nią robiła! – odrzyknęła Joasia i poleciała.

Na ulicy przezornie zwolniła i następne pięćdziesiąt metrów szła „godnie”, starając się nie wymachiwać rękoma. Dopiero za zakrętem, kiedy już ciotka nie mogła jej widzieć, znowu się rozpędziła, niby po to, żeby przeskoczyć kałużę, ale właściwie z czystej radości życia.

No, więc coś przynajmniej poszło. „Odprawa” jest w teczce, będzie ją można czytać choćby zaraz po lekcjach. Nie, ciotka jest zupełnie do rzeczy, zwłaszcza kiedy mnie nie wychowuje. Od razu powiem Opisównie, że mam książkę. A może ogłosić klasie, kto nie przeczytał, temu służyć. Nie, bez przesady, nie rób się ważna. Jeżeli zaraz ruszę biegiem, to zdążę wskoczyć na przekładni! – ta ostatnia myśl odnosi się do tramwaju, który właśnie dzwoni na przystanku.

Joasia dobiega jednak o parę sekund za późno, tramwaj już mija przekładnię i nabiera szybkości. O, ja mu pokażę! – nie chce zrezygnować i pędzi z całych sił. Odbija się od ziemi i powiększa winogrono wiszące na stopniu. Na następnym przystanku fala pasażerów wbija ją do wozu i tak dojeżdża do skrzyżowania, gdzie ma przesiadkę. Tu już tłumek spory, i z każdą chwilą większy, wylewa się na jezdnię jak kipiące mleko z garnka. A zerówki nie widać: stąd szóstki jadą na Karłowice, samochody co chwila spychają „kipiący” tłumek z powrotem na chodnik, robi się coraz tłoczniej. Joasia odwraca się plecami do ulicy, patrzy na wystawę sklepu z zabawkami i dla ćwiczenia woli postanawia nie odwracać się, aż nie doliczy do stu. Mogłaby zresztą zadać sobie spokojnie liczenie bodaj do tysiąca, bo tramwaju jak nie ma, tak nie ma. Gdy wreszcie ukazuje się zza zakrętu, Joasia już z daleka widzi, że z dostaniem się będzie kiepsko. Więc od razu, gdy tylko tramwaj staje, pakuje się na bufor ostatniego wozu. Patrzy teraz z miną triumfatora na stalowoszarą ulicę, na ludzi biegnących z szóstki, która właśnie nadjechała. Wśród śmiertelników usiłujących dogonić uciekającą zerówkę spostrzega niebieski deszczowiec. O losy, ciotka, ani chybi! Więc mnie dogoniła. Nie tylko dogoniła, ale i zobaczyła, bo staje przerażona. Joasia nie może jej słyszeć, ale i tak domyśla się, jakim tonem woła: „Ależ, Joasiu!” Więc zupełnie beznadziejnie i bezsensownie udaje, że nie widzi ciotki, zresztą już za chwilę traci ją z oczu naprawdę.

Ten incydent popsuł jej przyjemny optymistyczny nastrój. Już nie myśli o Opisównie i lekturze, tylko trapi się, co jej ciotka nagada za jazdę na buforze. No nic, może zapomni.

W klasie jest jeszcze pustawo, więc Joasia zaczyna się martwić, że Opisówna nie przyjdzie i wobec tego trzeba będzie prosić Zagórskiego, żeby powiadomił o lekturze kolegów. Na szczęście Opisówna jest z tych, którzy przychodzą wcześniej.

– Proszę cię, to jest ta książka. Może...

– O, jak fajnie. Wiesz, zwolnię się z gimnastyki i szybko przeczytam.

– Zdasz? – Joasia ma nadzieję, że jednak nie.

– Będę trochę podczytywać na lekcjach.

– No, to masz.

No, to mam – pomyślała. – Nic z „pogadania i w ogóle”.

Janka od razu zaczęła czytać, więc Joasia wycofała się zgaszona na swoje miejsce. Wyjęła zeszyty i zrezygnowana patrzyła w tangensy i cotangensy, aż z tej kontemplacji wyrwało ją wołanie Zagórskiego:

– Czy ta Uruska już jest? Aha, siedzisz! Pewnie nie masz Kochanowskiego?

- Mam, Janka czyta.
- Przecież ja miałem dostać!
- Mieliśmy czytać głośno, żeby wszyscy...
- Nie kręcisz? Zresztą, może być. Hej, panowie – krzyknął do klasy – mam dla was „Odprawę”! Kto chce, niech zostanie po lekcjach.

Joasia miała już lekturę za sobą, ale przecież musiała odebrać książkę i poza tym chciała choć raz być z kolegami trochę prywatnie, więc została. Ku jej zdumieniu został i Międzyrzecki. Zagórskiego też to zdziwiło:

- Toś ty tego nie pożyczył od starego z Rynku?
- Pokażę się u niego dopiero po pierwszym, bo mam konto nie w porządku.

Czytała Nowacka, ale jakoś tak bezbarwnie, że wszystko przelatywało mimo uszu. Müllerówna, nie chcąc jej urazić, odczekała jakiś kwadrans i zaproponowała, żeby czytał Marek, „bo Iza pewnie się zmęczyła”.

Międzyrzecki bez targów wziął książkę, siadł za stołem i zapowiedział:

- Nie śpijcie, pacany, bo Kochanowski to nie byle co. Uwaga!

Wy, którzy pospolitą rzeczą władacie,  
A ludzką sprawiedliwość w rękę trzymacie...

Joasia słuchała tego jakby pierwszy raz. Nie, on zupełnie dobrze mówi. Jak aktor. A nawet lepiej, bo robi wrażenie, że go ta Rzeczpospolita naprawdę obchodzi.

Wątpliwe, czy wszyscy byli tego samego zdania, ale w każdym razie siedzieli spokojnie. Jeden Zagórski najpierw się wiercił, a potem wydarł kartkę z zeszytu i coś tam z nią wyczytniał. Kiedy Międzyrzecki kończył opowiadanie posła, na stole Zagórskiego leżał już piękny szybowiec. Konstruktor przyglądał mu się z zadowoleniem, a potem zrobiwszy oko do Jaremiarki, wystrzelił samolocik w stronę lektora.

O, nierządne królestwa i zginienia bliskie...

Szybowiec furknął Międzyrzeckiemu koło ucha.

– ...gdzie młodzież licealna ma infantylne pomysły – dokończył łapiąc kartkę, po czym powtórzył jeszcze raz początkowe zdanie kwestii Ulissesa.

Hanka Müllerówna oburzyła się zamiast niego:

– Jurek, ty możesz nie słuchać, bo zawsze się jakoś wyłgasz, ale ja nie chcę mieć dwóci. Więc nie przeszkadzaj.

Zagórski tedy nie przeszkadzał, może i dlatego, że przeczytanie paru ostatnich kartek zabrało zbyt mało czasu, by mógł wymyślić coś nowego.

Kiedy Międzyrzecki zamknął książkę, Joasia podeszła do niego. Chciała powiedzieć: „Podobało mi się, jak czytałeś”, ale uznała takie oświadczenie za głupie i tylko poprosiła o zwrot „Odprawy”. No, więc przydałam się – myślała, chowając książkę. – Też coś, chociaż nadzieje na pogadanie były czystym idealizmem. Muszę przynajmniej postarać się, żebym nie wracała sama. Rozejrzała się za Irką, ale koleżanka już wywiała. Za to Jaremiarka wyraźnie czekała na Joasię i nawet wołała:

– Chodź już, na pewno obiad stygnie!

Były w połowie schodów, kiedy dopędził je Zagórski.

– Uruska, daj ty mi tę „Odprawę” do jutra. Ja jestem typowy wzrokowiec i z tego słuchania nic mi nie zostało.

– Strasznie mi przykro, ale muszę dziś oddać. Tak się głupio złożyło.

– Ech tam, oddasz jutro. Głowy ci nie urwą.

– Może i nie urwą, choć nie jestem tego tak pewna. – Joasi przyszło na myśl, że jazda na buforze i niedotrzymanie słowa to byłoby dla ciotki za dużo. – Zresztą obiecałam i nie mogę tak od pierwszego razu nawalić.

– Taka jesteś niekoleżeńska. Doprawdy, wstydzę się za ciebie.

I Zagórski godnie a sztywno pomaszerował naprzód. Jaremianka wzruszyła ramionami i zrobiła minę mającą znaczyć: „też się bałwan czepia”.

– Dobrze, żeś mu nie dała; wypisałby sobie złote myśli i jutro się wymądrzał – powiedziała, kiedy Zagórski już znikł.

– Kiedy ja naprawdę nie mogłam.

– Ojej, szkoda. Bo myślałam, że może bym sobie jeszcze raz przekartkowała.

– Wiesz co, jeśli byś mogła mi pod wieczór przywieźć, to bierz.

– Gdzie mieszkasz?

– Na Karłowicach.

– Nie, to za daleko. Zresztą coś tam pamiętam.

Szkoda. Byłoby miło, gdyby wpadła. Pewnie, że wołałaby Marysię Jamróz, ale Jaremianka jest taka obrotna i tyle wie o klasie...

Były już na podwórzu i oto jak na zawołanie potwierdziło się, że Jaremianka rzeczywiście wie dużo o klasie.

– O, widzisz tego faceta z Irką? – szepnęła podniecona, wskazując na drugą stronę ulicy. – To ten jej narzeczony!

– Jaki narzeczony? – Joasia lojalnie udała, że nic nie wie.

– Ona ci jeszcze nie mówiła? Mnie się zwierzała chyba dwa tygodnie temu. A poza tym, pod sekretem, połowie klasy. Strasznie się chwali tą zdobyczą.

I Joasia po raz drugi usłyszała historię miłości Irki, tyle że w wydaniu krytycznym. Spojrzała na oddalającą się parę. Pewnie powie w domu, że wraca późno z powodu lektury. A że „Odprawa” za cienka, wymyśli, że czytaliśmy po lekcjach cały „Psałterz Dawidów” zaśmiała się w duchu. Ale tak naprawdę nie było jej do śmiechu. – Jak to nie trzeba się z góry na nic cieszyć! Myślałam, że się przydam, a usłyszałam, że jestem niekoleżeńska. Spodziewałam się, że zaprzyjaźnię się z Irką, a ona tak mnie wystrychnęła na dudka. O Boże, i jeszcze w domu ciotka mnie obciapcia za ten bufor. Może ją czymś zagadać? Na przykład, jak Międzyrzecki ładnie czytał. Ale jak to opisać?

Uprzymiotniła sobie, że znacznie łatwiej by jej przyszło opowiedzieć, jak wyglądał, jak mu włosy spadały na czoło, i jaki odcień mają jego oczy, kiedy znad książki spogląda na klasę. I nagle zadecydowała, że właściwie będzie lepiej, jeśli Marek na jakiś czas zniknie z wieczornych relacji. Ciotkę może nudzić wciąż ten sam bohater. Wymyślę co innego. A zresztą chce mi prawić kazanie, niech prawi. Tak to głupio dzisiaj wyszło, że już mi wszystko jedno.

## 4. Klasa jednak ma oczy

Październik zaczął się jako miesiąc klasówkowy: pierwszy zapowiedział klasówkę łacinnik, co wszystkich napęliło przerażeniem już samo przez się, a bardziej jeszcze jako zapowiedź złej passy. Müllerówna zdobyła się nawet na odwagę i próbowała namówić profesora, żeby przełożył to oczekiwane Waterloo na następny tydzień, kiedy już będą po klasówce z polskiego; ale staruszek nie dał się nabrać. Hanka była złamana.

– I przez niego na pewno nałapię trój albo i cwajerów. Bo jak człowiek raz źle zacznie, to zauroczy wszystko, choćby nie wiem co. A on na pewno wymyśli coś nieludzkiego. Stary piernik!

Joasi nie bardzo trafiał do przekonania taki fatalizm, z niejakim też powątpiewaniem odnosiła się do skuteczności zabiegu magicznego, zwanego trzymaniem fig, choć Hanka, Jarema i w ogóle pół klasy mobilizowały do tego rodzaju pomocy koleżanki z przyrodniczej. W Karczewie zwyczaj ten nie był znany i jakoś żadne złe moce nikomu nie szkodziły. A jednak, kiedy już zasiedli do pisania, Joasi zrobiło się smutno i nieswojo na myśl, że w tej chwili tyle dziewcząt z przyrodniczej trzyma ręce ściśnięte w kułak i myśli o Irce, Jaremie, Opisównie, a o niej nikt.

Zadanie wydało się Joasi niezbyt trudne: był to kawałek z Cezara, a przecież czytali teraz trudniejszych autorów. Ucieszyła się, kiedy przy porównywaniu tłumaczeń na przerwie okazało się, że nie porobiła żadnych kompromitujących byków. Czekala oceny bez strachu, nawet z cieniem nadziei na przyzwoitą notę.

Rozczarowała się zresztą, bo dostała dobrze minus. Tylko jedna Sylwia zasłużyła na czwórkę. Profesor do surowych stopni dodał jeszcze paternoster na temat ich nieuctwa. Sepleniac z irytacji, wymachiwał zeszytem zawierającym zadanie wołające, według niego, o pomstę do nieba. Z pół tuzina głów kręciło się w ślad za powiewającym zeszytem jak głowy widzów na meczu pingpongowym, a oczy wysilały się, by odczytać nazwisko negatywnego bohatera profesorskiego kazania. Łacinnik rzucił zeszyt na stół i sapnął:

– Też zresztą zobaczcie: Skorupka, czytaj te twoje banialuki!

Biedny Skorupka! Starając się zachować godność zabrał spostonowany zeszyt, wrócił na swoje miejsce i zaczął:

– O śmierci Sweborów...

„De moribus Sueborum – o obyczajach Swebów” sprawdziła Joasia w zeszycie. – Hm, rzeczywiście dość oryginalnie przełożył.

– Rodzina Sweborów jest bardzo wielka i długa, i najbardziej wojownicza ze wszystkich Germanów – ciągnął Jasio wśród przerażonego milczenia klasy. – Opowiadają, że ci posiadają sto tyłów...

Tu ktoś parsknął śmiechem. Międzyrzecki. Jak on może! Przecież nie wolno się śmiać z kolegi, to niehonorowo. Czemu on zawsze robi coś nie tak. Pewnie, że Skorupka jest fenomenalny, ale zawsze...

– ...sto tyłów, z których co roku wyprowadzają do walki pojedynczo tysiąc uzbrojonych za swoją przyczyną...

Teraz ryknął Zagórski:

– Może potrzeba!

– Ty się, Zagórski, nie pchaj pod kij – osadził go profesor – bo z tobą wcale nie jest najlepiej.

Skorupka łudząc się, że łacinnik dobierze się teraz do Zagórskiego, cichutko usiadł.

– O, Skorupka, co ty sobie myślisz! Taż czytaj do końca!

– Opuszczeni, którzy w domu pozostali – męczył się Czerwony Skorupka – siebie, a także innych wyżywiali, ci znów przy końcu roku są w naramiennikach, inni pozostali w domu. Lecz prywatny, a także odosobniony hodowca jest niczym i dłużej nie wolno pozostawić roku wobec wspierania przyczyny w jednym miejscu.

Międzyrzecki śmiał się w kułak zupełnie skandalicznie. Ale już cała klasa była po jego stronie:

– Patrzcie, jak się lituje nad inicjatywą prywatną! – skomentował ostatnie zdanie Wilkołek.

– Coś mi się zdaje, że ty będziesz „wspierał przyczynę w jednym miejscu” w przyszłym roku i powtórzysz klasę, jak się nie poprawisz – zakończył incydent łacinnik.

Jasio nie miał ochoty „wspierania przyczyny w jednym miejscu”, więc gdy morze gniewu starszka trochę się uspokoiło, wystąpił z propozycją dalszego przepisowywania na maszynie czytanek (bo brak było podręczników). Wbrew umowie, bo klasa wolała odpisywać z tablicy na lekcji. – Ale skoro wszyscy są tacy, że się ze mnie śmieją, to ja się będę przejmował? Jak wy tak, to i ja tak – odpierał już na przerwie zarzuty Zagórskiego.

Joasia była skłonna niemal cieszyć się z tego dobrego minus, ale ciotka przyjęła notę bez entuzjazmu, nawet z niejakim niedowierzaniem odnosząc się do wyjaśnień Joasi. Więc klasówkę z polskiego postanowiła potraktować poważnie. Właściwie nie bardzo jeszcze wiedziała, na czym ma to poważne traktowanie polegać – na wszelki wypadek kilkakrotnie przeleciała po zeszytach, na oko wytypowała sobie parę możliwych tematów, żeby się w nich specjalnie obkuć. Poprosiła starego z wypożyczalni o pozwolenia brania do czytelnicy książek z „polskich” półek. Zgodził się, każąc jednak Joasi obłożyć w zamian nowym papierem pewną ilość tomów. To już był drobiazg.

Do stołówki przychodziła teraz Joasia w ostatniej chwili, wykorzystując czas w czytelnicy na lekturę rozmaitych literatur i wstępów; kręciła się swobodnie między półkami, czasem nawet przyłapywała się na tym, że przebywa tam dłużej niż potrzeba, że z ciekawością zwraca głowę w stronę drzwi, gdy ktoś wchodzi. W gruncie rzeczy miała stale nadzieję, że spotka kogoś z klasy. Na górcę, przy swoim zdemolowanym stole wyobrażała sobie niekiedy czyjeś kroki po schodach i taką mniej więcej rozmowę: „Cześć, Uruska, podobno siedzisz przy Winda-kiewicz, daj na chwilę, tylko chcę zobaczyć, gdzie Kochanowski właściwie podróżował”.

„Proszę bardzo, mogę ci zresztą od razu powiedzieć, ale masz, jeśli wolisz, ja tu sobie poczytam Londona”. „Pokaż, co to takiego? Po niemiecku? To ty umiesz tak dobrze?”

„Uee, ja tak sobie, to jest bardzo łatwa książka”.

„No, ale zawsze!”.

Joasia upaja się w myślach tym, że tak swobodnie rozmawia z „kimś z klasy”, układa inne scenki, w których budzi podziw „kogoś z klasy”, wyświadcza przysługi, dyskutuje...

Wszystko to pięknie, moja Joanno, ale zbieraj się do stołówki, bo cię kucharka skrzyczy. Trzeba się zresztą chyba zapisać do tej wypożyczalni, bo już coraz wcześniej ciemno i niewiele człowiek się naczyta. Będę musiała jednak poświęcić tych „Łowców mikroobów” – planuje, schodząc na dół. Już jest prawie u końca schodów, przebiega oczyma półki, by sobie przypomnieć, gdzie ma położyć pożyczoną książkę, gdy nagle zatrzymuje się zupełnie spłoszona i bezradna. Między półkami jest „ktoś z klasy”. Prawie w tym samym miejscu, co parę tygodni temu Opisówna i Zagórski, stoi Międzyrzecki. Oczywiście, że Międzyrzecki mógł tu przyjść, przecież nikt inny z klasy tu nie pożycza – uspokaja się „na rozum” Joasia. Ale to jakieś uczucie spłoszenia nie ustępuje, zwłaszcza, kiedy uświadamia sobie, że to jego miała stale na myśli we wszystkich wyimaginowanych scenkach. Pięknie, ale co teraz zrobić? Nic, położę najpierw książkę. Albo nie, powiem mu cześć i pokażę tego Windakiewicza. Nie wygłupiaj się, on to na pewno dziesięć razy czytał. No więc dobrze, położę na półkę. Tak, ale wtedy stracę go z oczu i będę musiała specjalnie podejść, nie tak jakby przypadkiem. Ojej, przypadkiem, nie przypadkiem, czy to Zaczyk, że takie hece wyprawiam? Podejdę zwyczajnie jak do kolegi i zapytam, czego szuka.

Ale zamiast wprowadzić w czyn tę decyzję, Joasia skręca w boczne przejście. Stało się to jakoś mimo woli, więc wymyśla sobie: „Ach ty tchórze! Już, marsz tam! „

Podchodzi do półki, przy której stoi Międzyrzecki, i zatrzymuje się dla nabrania rozmachu. Patrzy na szczupłą sylwetkę chłopca, na pochyloną nad książką głowę, na jasne włosy, rozwichrzone, jakby ich nigdy nie zaczesywał.

W tej chwili kolega podniósł głowę i spojrzał w stronę Joasi. Joasia uśmiecha się niepewnie i chce podejść, ale chłopiec zamyka książkę i schyla się, by ją umieścić gdzieś u dołu. „Raz, dwa, trzy, jeśli mnie nie zauważy, zanim doliczę do pięciu, to znikam... cztery, pięć, sześć” – liczy Joasia i czuje się coraz beznadziejniej. Na „dziesięć” wycofuje się za regały. Szybko przebiega przejście, u końca jeszcze się zatrzymuje, ale już nie zwraca się w stronę „półki Międzyrzeckiego”.

– Obejdzie się chłopskie wesele bez marcepanów – mówi prawie głośno, zdecydowanym krokiem przemierza ten kawałek do drzwi i już jest na Rynku. Nawet lepiej, że z nim nie rozmawiała; wydałoby się, że mi zależy na klasówce, i dopiero bym wyglądała. Zwłaszcza, gdybym w dodatku napisała głupio.

Ale potem, aż do dnia, kiedy polonistka zwróciła prace, Joasia czuła się niepewnie, zupełnie jakby miała zdawać egzamin nie przed nauczycielką, ale przed Międzyrzeckim. Jakby wynik klasówki miał o czymś tam przekonać kolegę.

Wynik zresztą był olśniewający: nie tylko że dostała bardzo dobrze, ale polonistka wielce ją przed całą klasą chwaliła: i za ortografią bez zarzutu, za treść, za dobry plan i wykraczające poza program wiadomości. Wreszcie kazała odczytać głośno zadanie.

Więc Joasia czytała o „ideale obywatela u Reja, Kochanowskiego i Modrzewskiego”, zerkając znad zeszytu na klasę. Jarema coś szepce do Müllerówny (pewnie mówi, że musiałam to skądś odwalić), Sylwia wpatruje się w Joasię z nabożeństwem, Irka podsuwa z boku kartkę z nasmarowanym „gratuluję!” i bukietem nieokreślonych kwiatów, Skorupka dyskretnie, z wdziękiem ziewa, Wilkołek kręci się niecierpliwie, zaraz chyba zabierze głos, choć to nie dyskusja. Nadspodziewanie uważnie słucha Joasi Opisówna: wysuwając do przodu zamarmowane atramentem łokcie, z rękoma w czarnych włosach, kiwa od czasu do czasu głową i w ogóle robi wrażenie, jakby ją naprawdę obchodziło, co myśli Modrzewski o ideale obywatela. Joasia jest tym mile zaskoczona i aż tak podniesiona na duchu, że po przeczytaniu ostatniego zdania spogląda w stronę Międzyrzeckiego. Ten siedzi bokiem, trochę przechylony do tyłu, jedną ręką trzyma się krawędzi stołu, drugą założył na oparcie krzesła, zaznaczając jakby swoją niezależność od wszystkiego, co się dzieje w klasie. Uśmiecha się zyczliwie, ale Joasia nawet nie ma czasu się z tego ucieszyć, bo w tej chwili słyszy jego słowa:



– Proszę, jak to Uruska ładnie napisała. Tak pilnie i pocziwie! – ton tych słów w połączeniu z uśmiechem jest tak obrzydliwie protekcyjny, że w Joasi aż się zagotowało ze złości. Tak? Pocziwie? – wygraża w duchu. – Ja ci jeszcze pokażę pocziwość! Co on sobie w ogóle myśli! Taki „ponadto”, psiakrew. Bałwan! A zresztą, co tam! Wszystkim się podobało, a ja mam się przejmować minami takiego Międzyrzeckiego!

Więc chociaż jakaś tam zadra w sercu pozostała, Joasia smakuje z satysfakcją rozkosze sukcesu. Cieszy się z dobrego startu, z tego, że ją to wypracowanie „ustawia” wobec polonistki, że od strony tego przedmiotu jest już bezpieczna, że się ma czym pochwalić przed ciotką.

Okazuje się przy tym, że dobre wypracowanie przyniosło jako produkt uboczny coś, o co Joasia dobijała się tak bezskutecznie przez te wszystkie tygodnie: zainteresowanie kolegów. Na przerwie nie jest już zdana na łaskę i niełaskę Irki, która często zostawiała ją w środku podwórka, by popędzić do kogoś z klasy przyrodniczej. Wprawdzie elita intelektualna klasy: Międzyrzecki, Wilkołek, Zagórski, pozostała niewrażliwa na klasówkowy triumf Joasi, ale zaimponował on średniakom. Jarema kręci się koło niej zaraz po dzwonku, dowiaduje się o Joasine popołudnia, proponuje wspólne przygotowywanie się do matematyki. Jarema jest interesowna, wiadomo, ale jeśli Ania Palikówna zaczyna wypytywać Joasię o jej ulubionych pisarzy i czy się jej Kochanowski naprawdę podoba, to robi to sztuka dla sztuki, tylko dlatego, że Joasia wydaje się teraz kimś godnym rozmowy.

– Ach, bo ja uwielbiam Staffa – wyznaje Ania – po prostu ginę za nim! „Dzwony” są przecież wstrząsające! A jak czytam „Chłop się powiesił w opuszczonym młynie, dziewczyna dziecko utopiła w stawie”, to mi serce zamiera! A ty lubisz Staffa?

Joasia dostała na ostatnie imieniny od ciotki „Wybór wierszy”, ale tych, o których mówi Ania, nie zna. Wstyd przyznać, ale czytała tylko co krótsze.

– Tak, nawet bardzo – stara się jednak stanąć na wysokości zadania i próbuje olśnić Anię cytatem na przykład „Poezja starych studni, zepsutych zegarów”...

– Naprawdę ci się podoba? – cieszy się Ania. – Bo wiesz, ja też piszę wiersze i mam właśnie na warsztacie jeden o zegarach wrocławskich. Jak myślisz, czy to będzie dobre wprowadzenie:

Zegary nie wskazują godzin historii,  
Wśród zawieruchy bitew stanął czas...

– A, faktycznie stanął – mówi Joasia, zerkając na szkolny zegar o wskazówkach niezmiennie a melancholijnie wiszących na osiemnastej dwadzieścia, i dodaje szybko: – Wspaniałe i co dalej?

– Jak napiszę, to ci przeczytam, dobrze?

– Świetnie!

Można by sądzić, że lekcja matematyki była godziną szczególnie sprzyjającą muzom, bo na drugiej przerwie poemat o zegarach był gotów. Jak się okazało, Ania była poetką popularną w klasie i nie kryła swego talentu pod korcem. Ledwie matematyczka wyszła, zawołała głośno:

– Marysiu, Joanno, chcecie poznać mój nowy wiersz? Pytanie było skierowane niby tylko do tych dwóch koleżanek, ale właściwie odnosiło się do całej klasy. Obok stołu Palikówny zatrzymała się też zaraz spora grupka.

– To jest oczywiście nie dopracowane, sami rozumiecie, ostatecznie, co człowiek może stworzyć przez te trzy kwadransy – tłumaczyła się poetka.

– Ale co mówisz, przecież wiemy, że ty jesteś po prostu Safona-błyskawica, „Blitz-Sapho” – powiedział ktoś za plecami Joasi. Międzyrzecki. No jasne. Znowu sobie z kogoś robi po-

kpiwuszki. Joasia usuwa się, pomna obrazy, aż za sąsiedni stół, siada na nim i opiera się o ścianę. Ania, otoczona zwartym półkolem kolegów, czyta:

Zegary nie wskazują godzin historii,  
Wśród zawieruchy bitew stanął czas.  
Usnął wiekowy ratusza chronometr  
I nieruchome są wskazówki stu innych,  
Lecz oto bierze miasto w posiadanie  
Tysięczna Piastów spadkobierców rzesza,  
Mocarne dłonie dzierżą łom i młot,  
Którymi życie nowe wlewają w zegary.  
Tik-tak, bim-bom – rozbrzmiewa z wież  
I płyną szybko nowe godziny:  
Godziny Odbudowy!

– Och, musisz to koniecznie dać polonistce, żeby zamieściła w gazetce – woła Müllerówna przekrzykując huczne oklaski i okrzyki: „Brawo, bis!”

– Gdzie tam w gazetce, do „Słowa Polskiego” pošlij! – radzi Jarema.

– Hm, tak, no pięknie, ale co to za wiersz..., bez rymów, – to Wilkołek nie chce docenić Aninej muzy.

– Rymów! Patrzcie go! Starzyzna, kto dziś rymuje! – Gałczyński, Tuwim – wtrąca odpowiedź na to retoryczne pytanie Zagórski.

– No tak, ale zresztą to jest biały wiersz – Ania broni się z godnością. – Ty, Jurek, mówisz Tuwim, Gałczyński. A Szekspir? O!

– Ależ cóż prostszego, jak dorobić rymy – dogaduje Międzyrzecki. – Daj no mi to – i zabiera od Ani kartkę. – O proszę: historia – cykoria, czas – nas, las, wlaźł, głaż, chronometr, hum, to trochę gorzej, ale może być zamiast tego czasomierz, nawet lepiej, bo bardziej, że tak powiem, piastowskie, a wtedy już się ma Sandomierz, tysiąc wież, gruby zwierz, alkierz...

– Mareczku, przecież te rymy są bez sensu – mityguje go poetka.

– Sens, sens... Po co zaraz sens? Choć nie, oczywiście, jak można dla samego rymu psuć taki piękny obraz jak ten:

Mocarne dłonie dzierżą młot i łom,  
Którymi nowe życie wlewają w zegary

Co za precyzyjne narzędzia mają te mocarne dłonie! W sam raz do naprawiania zegarów. I ten łom, mówisz, wlewa nowe życie?

– Mareczku, jesteś nieznośny! – Ania chce go wytargać za uszy, otacza ręką jego szyję (nie wygląda to zupełnie na karę). Chłopiec się wykręca. Ani ręka zsuwa się dziwnie łagodnie po jego ramieniu...

Ejże, czyżby to tak? – przemyka Joasi przez głowę. – Przecież ona ma wyraźną słabość do tego chłopaka!

Takiego zdania jest zdaje się i Irka, bo przysuwa się do Joasi i szeptem:

– Popatrz, komu innemu by nie darowała takich docinków!

– Uee, co ty mówisz, przecież to tylko takie nieszkodliwe dogaduszki – odpowiada, choć jest przekonana, że sama by chyba takich dogaduszek nie przeżyła.

Tymczasem Palikównę niespodziewanie bierze w obronę Zagórski.

– Ty, Marek, nie błaznuj, jeszcze ty zobaczysz Ani nazwisko w historii literatury!

– Czy ja mówię, że nie zobaczę? Ja już je widzę: Anna Palikówna, najwybitniejsza poetka połowy XX stulecia, po nieszczęśliwym zamążpójściu za niejakiego Zagórskiego, osobnika brutalnego i...

– No, co to za zgromadzenie? Czemu nie siedzicie, jak Pan Bóg przykazał? – w progu klasy stoi ksiądz i robi srogie miny.

– Cóż to, już po dzwonku? – dziwią się i lecą do swych krzesel.

Jaka szkoda, że już po przerwie, tak fajnie było – myśli Joasia. – Wszystko opowiem w Karczewie, to się wiara uśmieje! Więc mam przynajmniej jeden dobry dzień. Zaraz, zaraz, niekoniecznie jeden: przecież wtedy, co Lipski i Międzyrzecki urządzili koncert, to było też strasznie fajnie. No czekaj, zrobmy bilans; rubryka „dobre dni”: 1 – dziś, 2 – koncert, 3 – czytanie „Odprawy”... nie, to właściwie nie wyszło, to raczej zły dzień, 4 – klasówka z łaciny... Niby była zabawa z tego Skorupki, ale w ogóle też raczej zły. Jeszcze lekcja śpiewu i pocziwa pani Sianko. Wiele tego nie jest: trzy dni na prawie dwa miesiące. A złe dni: pierwszy dzień w szkole, oczywiście. Spotkanie Międzyrzeckiego w bibliotece też mi humor popsuło. I klasówka z łaciny, bo ciocia się krzywiła na to minus cztery. A tak na dobrą sprawę to wszystkie dni, w których się nie wydarzyło nic miłego. Najgorsze te przerwy... że też nie umiem się koło nikogo zakreć i tak się daję spławić!

– Uruska, a ty się nad czym tak zastanawiasz? – przerywa jej rozmyślania głos prefekta.

– A, nic, obliczam dobrych i złych papieży, proszę księdza profesora.

## 5. Podróż na drugi brzeg

Trzy dni wolne to jest coś. Człowiek się wyśpi przynajmniej za wszystkie czasy. Trzy dni w Karczewie – mój Boże – zanim zdąży się wszędzie oblecieć, już trzeba będzie wracać. Trzy dni wolne. Trzy dni – myśli Joasia chaotycznie, w takt stukających kół pociągu. Szczęśliwie się złożyło, że zdobyła miejsce przy oknie, dość przy tym zaciszne. Stoi między ławkami, czoło oparte o szybę, czasem tylko zerka na półkę, czy nic nie przygniata wieńca z nieśmiertelników. W Karczewie takich nie robią – i chociaż oczywiście będzie wraz z innymi pleść świerkowy wieniec na groby, to ten wrocławski ma być tylko od niej.

Pociąg zatacza wielki łuk, całe miasto przesuwa się jak obrotowa scena, której punktem nieruchomym są wypalone wieże katedry. Dzień jest pogodny i w popołudniowym świetle grzyby na pierwszym planie i dalekie dachy kamienic, wieże kościołów i gałęzie bezlistnych drzew zasnute są złotawą mgiełką. Za jakimś ceglany wzgórzem miga szereg okien, w których odbija się czerwone słońce, potem gruzowisko przecina niebieskawa linia ulicy, z cienia rzuconego przez wiadukt wyjeżdża żółty tramwaj. Rumor, coś szybko miga przed oczami – to most żelazny i błyszcząca szeroko rzeka. Dworzec Nadodrże, szturm podróżnych, wieniec z nieśmiertelników w niebezpieczeństwie, znowu most, zielony hełm wieży ciśnień – i już po Wrocławiu. Zaczynają się pola i Joasia wie, że krajobraz będzie teraz wciąż taki sam, aż do Karczewa, i dalej, do Poznania, do Gniezna.

No tak. Więc jedzie do domu. Ale im wszystkim będzie opowiadać!

Joasia pogrąża się w rozważaniach, co komu opowie: babci te takie „życiowe” sprawy: o stołówce, o mieszkaniu, o piecach, że dobrze ciągną. Maćkowi o klasie, o nauczycielach, o jeździe na stopniach tramwajów. A starym kolegom o tym, że właściwie po szkole człowiek może robić, co chce, nie to, co w Karczewie, gdzie się jest stale na oku. Powie też o udanej klasówce z polskiego, nie żeby się chwalić, ale żeby to doszło do uszu dyrektora – niech wie, kogo stracił! Można też opowiedzieć historię Irki, zwłaszcza że zaszły nowe wydarzenia, które robią z niej cały dramat. Joasia nie odczuwa wyrzutów sumienia, że takie opowiadanie może być zdradzeniem cudzych sekretów – Karczew przedziela od Wrocławia takie morze kilometrów i spraw, że wszystko, co powie, będzie przyjęte jak powieść: ciekawe, ale nierzeczywiste. Jedyne jej własna dola jest tak najbardziej rzeczywista i trzeba uważać, żeby się nie zdradzić z przeżyтыми udreczeniami. Jakiś honor musi przecież człowiek mieć!

Lepiej już mówić o Irce. Romans z przeszkodami, brak zgody rodziców, to nawet punkt wyjścia do dyskusji: „No powiedzcie, czy mam ją kryć, czy wybijać jej z głowy?!” To by stwarzało pozory, że Joasia jest już kimś w klasie, że się zżyła i że się liczą z jej zdaniem.

Jednak w miarę jak pociąg mija stację za stacją, wrocławskie sprawy też jakoś oddalają się od Joasi. Zaczyna sobie układać szczegółowy plan zajęć na ten Karczew. Jest uszczęśliwiona, kiedy przy jaśniejszym świetle lampy na jakimś przejeździe poznaje znajomą z wycieczek rowerowych drogę i ligę nad rowem – jak to, to już tylko piętnaście minut do domu? Kto też będzie na dworcu? – zastanawia się. – Maciek, oczywiście, może i ojciec. Właściwie przecież nie jest tak późno, jeszcze nie ma dziewiątej, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby tak na przykład przyszła babcia. Ach, na pewno będzie masa znajomych, przecież na Wszystkich Świętych zjeżdżają się ludzie z całego świata, wcale nie powiedziane, że tu ze mną nie jedzie stu piętnastu Karczewian. I pociąg z Poznania przychodzi zaraz po tym, więc ludzie czekają na gości i z tego, i z tego.

Pociąg zwalnia nieco – wiadomo, to ten prowizoryczny most na Obrze. Teraz po prawej powinny być światła młyna, a dalej lampa nad wejściem do domu weterynarza. Są, a jakże, wszystko na swoim miejscu. Teraz szlaban – tak, teraz dwa jesiony – owszem, teraz powinien hamować – naturalnie. No, więc już!

Joasia wychodzi na peron. Jest ciemno i zimno, lampa nad zegarem oświetla tylko nazwę miasta i wejście do kasy. Przy furtce stoi mały tłumek, ale nikogo z bliskich Joasia nie może wypatrzeć.

Ha, „skazała Łesia, czto obidesia” – przypomina sobie porzekadło kolegów-lwowiaków. – Do domu i tak trafię.

Ale jest jej „trochę” przykro. Na szczęście niedługo – z ciemności wynurza się brat.

– Cześć, jesteś, to fajnie – ściskają sobie ręce.

Dworzec wydał się Joasi jakby mniejszy, za to brat większy, doroślejszy? To pewnie dlatego, że występuje w roli gospodarza, zabiera walizkę, wieniec, decyduje, którędy iść.

– Wprost przez tory nie możemy, bo stoi towarowy z cukrówką. Ale jeśli podejmiemy w stronę remizy, to go wyminimy. I tak będzie bliżej niż uczciwie koło szlabanu.

Tartak leży prawie na wprost dworca i od najdawniejszych czasów zawsze chodzili na stację „nieuczciwie”, przez tory. Pogadując o tym, owym, nieobowiązująco, a nawet – Joasia zauważyła ze zdumieniem – z pewnym skrępowaniem, minęli rampę towarową, budkę wagowego, potem uważnie przeskakiwali szyny...

– Cóż tu tak ciemno? – zdziwiła się Joasia, kiedy zrównała się z bratem, już za owym towarowym-zawalidrogą.

– Zwyczajnie, płatkarnia nieczynna – wyjaśnił brat.

– Prawda, zapomniałam – odparła Joasia i jakoś jej się serce ścisnęło. Bo jesienne wieczory w domu były przecież dawniej bardzo jasne, bardzo ruchliwe i bardzo przytulne, właśnie dzięki płatkarni, tej dużej, przysadzistej fabryce, gdzie w transporterach hurkotały ziemniaki, dudniły jak szary, wielki grad wpadając do parowników, a potem, kiedy spod walców wychodziły podobne do arkuszy żółtawego papieru, chwilę później zaś poszatowane wędrowały znowu transporterami na spichrze – sypały się już cicho na wielkie przyzmy, coś jakby zapowiedź zimy. Gwiazdki. Wszędzie pachniało wtedy nimi, nimi i parą, która małymi, śmieszonymi obłoczkami wydobywała się z wszelkich odwietrzników i lufcików, pogwizdując przy tym i posapując.

Teraz milczenie tego gmaszyska, ślepotą jego okien wydały się Joasi zapowiedzią klęski. Ale dlaczego? – zastanawiała się. Przecież to tylko zwykła, stara, prozaiczna płatkarnia. I w dodatku w zasadzie nawet jest czynna, tyle że na jedną zmianę. Maciek przecież pisał. Mimo to niepokój jej nie opuszczał, jakieś przytłaczające uczucie, że coś jest nie tak, coś ubyło, i to na wieki wieków amen. Ach, nie – próbowała przemówić sobie do rozsądku – to po prostu tak się zdaje, bo idziemy do domu od innej strony, tą drogą, którą jeździło się do lasu, zawsze w dzień. I dopiero kiedy minęli bramę, kiedy pod ich butami zadudniły deski przykrywające kanał, olśniło ją, skąd to nierozsądne poczucie zagrożenia: tak przecież wyglądały Zakłady w tamtą jesień, gdy wrócili z ucieczki i przez miesiąc jeszcze żyli w domowych progach, aż w

przeddzień Wszystkich Świętych (ile to lat minie za parę dni?) przyszli żandarmi i esesmani powiedziec im, że za dwie godziny już ich tu ma nie być. Tak, to tylko to skojarzenie – pomyślała, ale jakoś nie przestało jej być ciężko na sercu.

– A tak w ogóle, to jakie nastroje w domu? – spytała brata.

– Ue tam. Zresztą sama zobaczysz. Czekają na ciebie z kolacją.

Oboje używają liczby mnogiej, żeby nie mówić o macosze, ale oboje o niej myślą. Jak wypadnie powitanie? Uch, żeby już to mieć za sobą.

Furtka obraca się cicho na naoliwionych zawiasach, skądeś wybiega pies, w paru susach dopada do nich i zaczyna swój taniec powitalny.

– Bystry, ty głuptasie, czego się cieszysz, no, co skaczesz, ty kundlu śmieszny! – woła Joasia ucieszona entuzjazmem Bystrego. Zabawa z psem trochę się przeciąga, Joasia chce dać szansę „tym w domu”, żeby wyszli na próg i żeby powitanie wypadło jakoś naturalnie. Ale na werandzie wciąż jest ciemno.

– Już dobrze, piesku, leżeć, pocziwy jesteś, choć głupi – mówi Maciek i zwraca się do siostry: – Wiesz co, coś mi tam mówiono, że kuchnia dopiero co wyszorowana i że niektórzy nie lubią wycierać butów. Wejźmy my lepiej od sadu, wprost do naszego pokoju.

– Oczywiście, rozbiore się spokojnie...

– I spokojnie poszukamy „opieki domowej”.

Maciek chciał uczcić przyjazd siostry, bo na jej nocnym stoliku stoją drobne czerwone róże, na stole fajansowa miska (którą bardzo lubiła) z kunsztownie ułożonymi owocami. W ogóle jest wysprzątane, tylko widać w ostatniej chwili Maciek nie wytrzymał, bo z boku, na rozłożonych gazetach stoi do góry nogami rower, a na skraju stołu, gdzie serwetka jest odsunięta, leżą śrubokręty, kombinerki i oliwiarka.

Joasię bardzo ucieszył ten widok: kwiaty i owoce jako dowód braterskich dobrych chęci, rozbebeszony rower jako taki domowy, swojski szczegół. Namęczyli się dobrze oboje, zanim z tego starego grata, porzuconego gdzieś w rowie przez uciekających Niemców, zrobili coś podobnego do roweru. No, ale teraz można na nim jeździć jak złoto.

– To co, idziemy? – mówi Maciek.

– Trzeba by – zgadza się Joasia, ale zaraz dodaje: – A wiesz, może ja tu jeszcze ręce umyję...

– Proszę bardzo, przewidziałem i to! Woda w dzbanku powinna być jeszcze ciepła.

Kiedy Joasia z dziwną pedanterią mydli ręce, Maciek nagle wybucha:

– Żebym ja tak, do cholery, wiedział, czego ona właściwie od nas chce. No, przecież nie wchodzimy jej w drogę, ciebie tu praktycznie już nie ma, ja w czerwcu robię maturę i cześć, więc mogłaby się nie czepiać.

– O ojca zazdrosna czy co? – podejmuje Joasia. – Mnie się zdaje, że ona po prostu nie może darować, że mamy ojca i to wszystko dookoła dłużej niż ona. Że to my jesteśmy tu w domu. Patrz, jak ją złości, kiedy tylko zaczniemy z ojcem wspominać choćby tę gruszę przy studni, co w trzydziestym dziewiątym zmarła. Ale swoją drogą nie mogę pojąć, czemu jej tak na tym zależy, żeby świat się zaczynał od niej. Przecież i stawia na swoim, i nikt jej złego słowa nie powie.

– No właśnie. Władzę ma, pieniądze ma, a co najzabawniejsze, nawet byśmy ją mogli lubić, gdyby była możliwsza. Wiesz, ludzie są jednak dziwni.

– Nie? Też tak sobie myślę. A po co udaje, że nie wie, że już jestem? Już sobie wyobrażam tę atmosferę rodzinnego grobowca przy kolacji.

W gabinecie wpadli na ojca, szedł właśnie do ich pokoju. Powitanie było jakoś tak serdeczne, że Joasia nabrała otuchy – nie będzie tak źle, to przecież ojciec jest najważniejszy, przy nim i macocha musi zachowywać się przyzwoicie.

A jednak było źle. Macocha zawołała na progu jadalni:

– Nareszcie idziecie! Wszystko stygnie od pół godziny.

Zakręciła się jakoś tak, że Joasia się właściwie nie przywitała. Jej „dobry wieczór” pozostało nie zauważone. Oj, niedobrze! Ani chybi powie potem ojcu, że nawet się z nią nie przywitałam, i znowu będzie na mnie – przemknęło Joasi przez głowę.

Próbowała ratować sytuację, chwając sałatkę i parówki.

– Co to, nie jadłaś parówek w tym Wrocławiu? – odpowiedziała na to macocha.

– Właściwie to nie, bo...

– Może powiesz, że głodowałaś? Paczki chyba dochodzą?

– Tak, dziękuję. Zresztą przecież piszę zaraz, jak tylko przyjdzie jakaś. Listy chyba dochodzą? – sparodiowała pytanie macochy.

Ojciec widać uznał, że trzeba interweniować, bo poruszył temat neutralny:

– No, a jak tam życie kulturalne Wrocławia? Widziałaś coś ciekawego?

Joasia już chciała powiedzieć: „Przecież pisałam”, ale zrozumiała, że tu chodzi tylko o to, żeby coś mówić, więc zaczęła opowiadać, jak ją ciocia zabrała do opery na „Pajace”.

– Mój Boże, jak w takim Wrocławiu mogą wystawić jakąkolwiek operę – przerwała macocha. – Pamiętasz, Jerzy, przedstawienie w Brukseli z okazji Święta Zwycięstwa? Było na co patrzeć.

Maciek rzuca znad talerza porozumiewawcze spojrzenie siostrze. Dawniej słuchali takich opowieści o szerokim świecie z zainteresowaniem, ale z czasem pojęli, że macocha mówi to wszystko tylko po to, by się chwalić tym olśniewającym europejskim życiem, by dowieść dzieciom, że okres, który z ich ojcem spędziła na Zachodzie, przewyższa nieskończenie wszystko, co mogli przeżyć przed wojną tu w Karczewie. Joasię po raz setny chyba już ogarnia zdziwienie, skąd w tej młodej, ładnej i ostatecznie niegłupiej kobiecie tyle idiotycznej zawziętości. Coś niesamowitego!

Wykorzystując przerwę w relacji macochy, zapytała szybko brata:

– Maciek, a co właściwie robisz z rowerem?

– Poprawiam torpedę, ale tak ogólnie już jest wszystko w porządku, tylko tylne koło trzeba scentrować.

– Chyba zrobimy to jeszcze dzisiaj, nie? Tobym się jutro przejechała, jak ty będziesz w szkole.

– Tylko uważaj, żebyś nie obita ściany, jak go będziesz wynosić – macocha jednak ode-rwała się od zachodnich splendorów.

– Ojej, sto razy wynosiliśmy go i jakoś ściany całe – rozżłościł się Maciek.

Ojciec dopił herbatę, sięgnął po papierosa, ale się rozmyślił, wsunął paczkę z powrotem do kieszeni i wstając, powiedział:

– No, to się bawcie, ja jeszcze muszę trochę popracować.

Nie zanosilo się na uroczą zabawę. Minutę, dwie jeszcze „milcząc żwawo jedli” i tak się skończyła wieczoru rodzinnego część oficjalna.

– To co, to ja chyba pójde zrobić kąpiel – ofiarował się Maciek.

– Dobrze, wykąpiesz się pierwszy, a ja pościelę tam na górze. Tylko mi wannę wymyj!

Łazienka, czy raczej łaźnia, mieściła się w budynku kotłowni, za stołówką. Napuszczanie wody do murowanej wanny wymagało skomplikowanych manipulacji przy kotle i w ogóle zabierało dużo czasu. Znacznie więcej, niż potrzebowała Joasia na rozścielenie łóżek. Przygotowała sobie wszystko do kąpieli, płaszcz i chustkę, bo z tej łaźni do domu jest kawałek drogi. Nawet owo tylne koło roweru zdążyła „scentrować”, a Maćka wciąż nie było. Joasia wyszła do holu – może zajrzeć do ojca? Tej jego roboty nie trzeba brać tak poważnie. Na pewno będzie chciał się o wszystko dokładnie wypytać i w ogóle. No tak. Ale przez otwarte drzwi od gabinetu słychać głos macochy. Uskarżała się na opryskliwe zachowanie pasierbów.

Przecież nie pójde z nią się kłócić – myślała Joasia. – Zresztą ojciec wszystko słyszał, to powinien wiedzieć, kto tu był opryskliwy. Ale ona go zagada, z góry wiem, że przegada. Uch,

jaka ona niesprawiedliwa. No, przecież nie chcę od niej Bóg wie czego, ale niech będzie sprawiedliwa. Co ja teraz z sobą mam zrobić?

W ciemnym holu, z rękoma opartymi na tak dobrze zorany, metalowym blacie stolika, między dwoma prostokątami światła padającego z otwartych drzwi sypialni i gabinetu, Joasia poczuła się tak samo, jak na nieudanych przerwach we Wrocławiu. Ale żeby we własnym domu, po głupich dwóch miesiącach Wrocławia, człowiek sobie nie mógł znaleźć miejsca? Przecież to jest gorsze niż pierwszy dzień w tamtej szkole!

Po cichutku wycofała się do pokoiku. Właściwie jaka szkoda, że taki uporządkowany, że nie ma o co rąk zaczepić. Podeszła do roweru, który przed chwilą postawiła przy oknie, i wzięła machinalnie kierownicę do rąk. Mój Boże, taki fajny rower, taki swój. Taka kierownica na przykład, jak ona leży w ręce. I człowiek właściwie już może się z nim pożegnać.

I tak jakby pożegnanie z rowerem (i to wcale przecież, na zdrowy rozum biorąc, nie ostateczne) było najcięższym ciosem, jaki może „człowieka” spotkać, Joasia rozplakała się, na krótko, ale rozpaczliwie. Zaczęła sobie wyrzucać, że się tu w ogóle wybrała. Trzeba było przyjechać tylko na święto, iść na cmentarz, a z cmentarza na pociąg i już. Jak tu wytrzymać w tym wszystkim całe trzy dni?

Ale dzień okazał się lepszy od pierwszego wieczoru. Zaraz z rana pojechała z furmanem wielką „helą” po ospę do młyna, po drodze powoziła, przy młynie powiedziała „no to cześć” woźnicy i poszła pieszo z powrotem, na przelaj przez pola. I żeby już było wszystko dobrze, koło furki spotkała ojca. Wracali więc razem, gadali o tym i owym, ale o niczym „zasadniczym”, było bardzo miło i nawet macocha, zobaczywszy ich, zrezygnowała z trudu szukania zaczepki. Coś w rodzaju drugiego śniadania zjedli w kuchni na stojąco i potem nagle okazało się, że jeśli Joasia chce zdażyć do gimnazjum na wielką przerwę, to musi już, ale to zaraz, zabrać rower i popędzić.

Pędzenie zresztą zostało przewidziane w programie. Jeszcze we Wrocławiu Joasia przemyślała wjazd do starej szkoły: jak tylko znajdzie się w polu widzenia dyrektora, doda gazu, puści kierownicę i z rękoma w kieszeniach – koniecznie w kieszeniach, inaczej cały fason na nic, dlatego ubrała się w starą kurtkę przechylona trochę w tył podjedzie do samej bramy. Szło jak z płatka. Nawet najważniejszy moment: skręt ze ścieżki na lewo, w stronę szkolnego dziedzińca, wyszedł „jak gdyby nigdy nic”. No tak, pięknie, lepiej nie można, ale czy kto widział? Okna pokoju nauczycielskiego były w cieniu i trudno się domyśleć, co się za nimi dzieje. O, ale już swoi ją zobaczyli i lecą do bramy. Teraz trzeba jednocześnie i zastopować tylnym hamulcem, i jedną ręką ledwie dotknąć kierownicy, zeskoczyć i oprzeć rower o mur szkoły.

Ale gdzie tam – nie zostawili jej czasu na postawienie roweru. Przytrzymuje lewą ręką kierownicę, a prawa tak jakoś na krzyż ściska „przyjacielskie dłonie”: oto Adam, wspaniały ścinacz w siatkówce, Stefa, dla zdolności matematycznych nazywana Lilavati, Bogdan, co do którego Joasia żywiła niejakię podejrzenia, że się w niej podkochuje, Marian i Tadeusz, kuzynowie, którzy stale mierzyli swój niepokazny wzrost, by udowodnić, że jednak któryś jest wyższy. Mietek, miły, układny, tępiony za tę układność przezwiskiem „elegancik”...

Mój Boże, jak ja ich lubię, jak ja ich wszystkich strasznie lubię – myśli Joasia między jednym „cześć” a drugim. O, jest i Ela, długoletnia sąsiadka z ostatniej ławki. Rozpycha chłopców i woła:

– Cześć, Joanna, ci mówię, ale heca! Wiesz, Damulcia widziała, że jechałaś bez trzymania, aż ją podrzuciło. Zaraz powiedziała, tak jak to ona umie: „Ta Uruska nic nie zmadrzała w tym Wrocławiu!”

Damulcia, świetnie, to przecież nawet lepiej niż dyrektor! Joasię też „podrzuciło”, ale z radości. Strasznie lubiła robić na złość tej starej pannie, dewotce, plotkarce, która choć uczyła tak już naprawdę nieważnego przedmiotu jak robótki („wzorniczek” haftów i cerowanie, w



kółko przez cztery klasy), obrażała się, gdy się zapomniało do „pani” dodać „profesor”, mówiła stale „postanowiliśmy z panem dyrektorem” i w ogóle była śmieszna i okropna.

- Mogłaś jej poradzić, żeby poszła do dyrektora na skargę – śmieje się Joasia.
- Swoją drogą to masz fajnie, że ta trucizna już ci nie może nic zrobić, nie?
- Czekajcie, tylko ten rower postawię. Musimy się gdzieś umówić na popołudnie.
- Może u Zośki? Gdzie ona jest?

Znalazła się Zośka, umówili się na trzecią, jeszcze chwilę rozmawiali, Joasia przypomniała bratu, że będzie na obiedzie u babci, i już trzeba było wszystkich odprowadzić do drzwi szkoły, bo na progu stał woźny i machał dzwonkiem. Została trochę na uboczu, kiwając tłoczącym się przy wejściu kolegom. Drzwi były wąskie jak w tramwaju, na schodach przed nimi tworzyło się typowe „winogrono”, każdy chciał być jak najprędzej w budynku, kłębiło się to wszystko dobrą chwilę. Ale szkoła wciągała szybko i większe gromady, i ociągające się sznureczki uczniów.

Zupełnie jak krowa zjadająca siano – przemknęło Joasi przez głowę – siano ubywa, ubywa, choć się ciągnie i rozwleka, a potem krowa jeszcze ostatni raz zamiecie językiem, o tak jak ten woźny drzwiami, i już po sianie.

Porównanie to wydało jej się strasznie śmieszne. Zapragnęła koniecznie powiedzieć komuś: „Wiesz, tak wyglądacie, jakby was ta szkoła połykała”, i z tym zamiarem pobiegła na środek podwórza, na małe podwyższenie koło pompy, skąd mogłaby widzieć przyjaciół, jak będą biegli korytarzem do klasy. W oknach mignęły na moment znajome sylwetki. Ela nawet przytknęła twarz do szyby i coś mówiła, ale nie można było zrozumieć, co. Czmychnęła zresztą nagle – wiadomo dlaczego – korytarzem sunął z godnością polonista. Tupot nóg ucichł, milkły też, jedno po drugich, wrzeszczące klasy.

Ciekawam, czy matematyk ma gdzie lekcję. Właściwie bym go chętnie zobaczyła, ten był zawsze taki w porządku, zwłaszcza przy tej hecy z księdzem. No nie, Mazurka wolę nie spotykać, choćbym mu mogła jeszcze coś niecoś wygarnąć. Ale co ja tam będę komu wygarniać, czy to wreszcie nie wszystko jedno? Szkoda, że matematyka nie widziałam. No nic, trzeba się zbierać.

Nie poszła jednak od razu po rower, tylko obróciwszy się tyłem do budynku i wciąż oparta ramieniem o pompę zaczęła przyglądać się podwórku z ciekawością, która ją samą zastanowiła.

No co, no nie widziałaś tego podwórka? Ojej, sto razy, ale teraz jest takie jakieś...

Młode topole po zachodniej stronie dziedzińca oświetlone były wąskim pasmem słońca wdzierającym się między gmach szkoły, a sąsiedni budynek, wilgotne i połyskliwe. Siedzące na nich stadko wróbli wyglądało przy tym oświetleniu jak resztki liści, jak listki z tektury na dzieciennych wycinankach.

Jakie one ładne! Że też człowiek tego dotąd nie zauważył. Pewnie, niby kiedy? Na przerwie to się tylko lata...

Ale przecież wiatr szumiący w topolach, świergot wróbli, smętnie kiwająca się linka przy słupie od siatkówki, żwir dziedzińca, który po przerwie wyglądał niby sponiewierany obrus po zebraniu zastawy – wszystko to budziło w Joasi jakieś niemiłe wspomnienia. Tak, oczywiście, ten widok nie kojarzył się z rozhukanymi przerwami, to jasne. Ale tak właśnie, za progiem szkoły stała czasem Joasia, kiedy spóźniła się na lekcję. Ani wejść, ani wrócić do domu. Najchętniej by wtedy gdzieś w ogóle uciekła.

Proszę, a teraz mogę sobie iść, dokąd chcę – pomyślała, ale jakoś bez większej radości.

I co z tego? Czy na przykład coś by z tego przyszło jakiemuś duchowi, że mógłby chodzić tam, gdzie za życia mu nie było wolno? Chyba nie, bo nikt by go nie widział ani nic. Takiemu duchowi musi być pewnie smutno... No, ale nie jestem duchem.

Nasłuchiwała chwilę odgłosów dochodzących z budynku: rozpoznała głucho trzaśnięcie drzwi magazynu z pomocami szkolnymi (były ciężkie i opancerzone, pozostałość po dawnej kasie oszczędności). Potem słychać było tupot nóg, znowu trzaśnięcie tych samych drzwi.

Jak to się nic nie zmieniło! Wciąż powtarzają ten stary kawał z zapominaniem to mapy, to jakiegoś szkieletu, byle trochę urwać z lekcji.

Poszła na ukos przez podwórze, troszkę pokopując obcasem żwir. Sprawdziła jeszcze, czy dosyć powietrza w przednim kole – czynność właściwie jałowa, bo przecież przed wyjazdem do szkoły napompowała oba jak należy. I jeszcze odwróciła się, by popatrzeć na drzwi szkoły – może jednak coś się stanie, na przykład wyjdzie matematyk i „człowiek będzie miał z kim poważnie pogadać”. Ale drzwi były zamknięte, a w budynku już zupełnie cicho.

Potem wizyty – te z dobrej woli i te z obowiązku: ciocie, wujkowie, ciocie-babcie i pociotki, stale powtarzające się pytania: „Kiedy przyjechałaś?” (jakby to było ważne!) i „Jak ci tam jest w tym Wrocławiu?” (chyba się umówili, że będą używać tych samych słów). Odpowiedzi też się szybko ułożyły w schemat: „Dziękuję, jakoś leci, tak, rzeczywiście straszny tłok, nie, tylko Maciek był na dworcu, tatuś się oczywiście ucieszył, nie dziękuję, nic nie zjem, muszę jeszcze wpaść do cioci Michalinki (albo wuja Tadeusza, kto tam akurat był na rozkładzie), tak, naturalnie, chyba przyjdę w święto ze wszystkimi. Do widzenia, to się jeszcze zobaczymy jutro na cmentarzu” itd. itd.

Odwiedziny u babci zostawiła na koniec, na deser niejako. W jej trochę przyciemnych pokojach, wśród starych sprzętów czuła się najbardziej swojsko. Babcia tyle już ludzi wyprawiała w świat i witała znowu, że nie zadawała niemądrych pytań w rodzaju: „Kiedy przyjechałaś?”, bo wiadomo, że jak jest, to pewnie nie przyleciała na skrzydłach – i była zawsze jak gdyby nigdy nic.

– Ady, Jasiulek (tak przezywała Joasię od najdawniejszych czasów), leć no do piwnicy i przynieś kompotu z truskawek, stoi tam na półce przy oknie. Ino uważaj na schody, bo ciemno.

Więc Jasiulek leci do piwnicy, potem obie nakrywają stół, babcia wypytuje się, jak to było do przewidzenia, o różne życiowe sprawy. Joasia po raz pierwszy przestaje odczuwać swój przyjazd do Karczewa jako coś właściwie nadzwyczajnego albo – lepiej powiedziawszy – nie na miejscu. Babcia wie, że dzieci kiedy wreszcie wyjeżdżają z domu, a wobec tego jej przeświadczenia i Joasia powoli zaczyna uważać wydarzenia ostatnich miesięcy za naturalny bieg rzeczy. No, po prostu wyjechała do innej szkoły i już. Przecież i tak by kiedyś wyjechała. Każdy przecież wyjeżdża z domu. I przyjechała zwyczajnie na święta, i nie ma się czego spodziewać jakichś cudów ani się rozglądać za triumfalnymi bramami, ani szykować się do porachunków jak Odyseusz. Zaraz, zaraz, trzeba to wszystko przemyśleć...

Ale babcia woła na nią z kuchni, żeby „skoczyła” do piekarza po placek, a potem jedzą obiad i Joasia już nie wraca do tych myśli.

Ledwie skończyły zmywać, zrobiła się trzecia i trzeba było lecieć na spotkanie z kolegami, potem znowu lecieć z powrotem na tartak po świerk i wieniec na groby, na cmentarz też się oczywiście „leciało”, świerk rozkładali już o zmroku – i tak dzień minął. Nazajutrz, choć to święto, „latania” nie było wcale mniej. A ostatni dzień wiadomo: pakowanie, znowu wizyty u rodziny, dla odmiany pożegnalne, i jeszcze wybrali się z Maćkiem kupić miodu do gospodarstwa położonego aż pod lasem. Była to bardzo miła wyprawa, ale jak wrócili; okazało się, że ledwie zdążą ten miód wepchnąć do walizki, a o zjedzeniu czegoś przed drogą już w ogóle nie mogło być mowy.

– No patrz, wydawało się, że trzy dni to Bóg wie co, a nawet żeśmy się nie nagadali porządnie – mówi Maciek, podając siostrze walizkę przez plotek odgradzający peron. – Może mnie ojciec puści na którą niedzielę do ciebie, przecież nie możemy się widywać tak co trzy miesiące. Uu, do licha, ale to się zrobił tłoczek – zaniepokoił się spojrzawszy po peronie. – No trudno, cześć, idź już lepiej tam dalej, na końcu pociągu jest zawsze luzniej.

Joasia ściska rękę brata, powtarzając po kilka razy „cześć”, „no, trzymaj się”, „jakoś musi sobie człowiek radzić”, wreszcie trzeba już koniecznie odejść. Ale przy owym zachwalanym końcu pociągu jest taki sam tłok jak gdzie indziej. Wszędzie takie same nieustępliwe plecy i wojownicze łokcie. A może by tak na bufor? Ciotka daleko...

Pomysł okazał się genialny – bufory ostatniego wagonu łączyła szeroka, mocna deska, było na czym walizkę położyć i zupełnie wygodnie siedzieć. Żeby tylko nie to zimno... Joasia postawiła kołnierz od płaszcza, ręce wsunęła głęboko w kieszenie, by oszczędzać ciepła. Pociąg, zwolniwszy trochę na moście, nie przyspieszał biegu, bo teren się w tym miejscu podnosił. Miasteczko leżało jak na dłoni na przeciwnym brzegu Obry. Rodzinny dom zasłaniały lipy, ich korony czernieją na przezroczystym niebie, które na zachodzie czerwone, ale ciemniejące już nad cmentarzem, wysokie, wielkie i zimne otacza i przytłacza domy, wieże i drzewa miasteczka. Zapadający zmierzch i rosnąca odległość zacierają ten obraz coraz bardziej.

Przepada to moje miasto w tym niebie i w tej równinie, jak rozbity statek w morzu, a ja „z wichrami się mozolę, na oceanie życia, dokąd los mnie zagnał” – poetyzuje w myśli Joasia. – No nie, miasto sobie żyje, światła się zapalają w oknach i „w ogóle”, tylko że tak naprawdę, to nie mam tam co robić. Mój Boże, jacy oni są dziecinni – przypomina sobie kolegów – te wszystkie ich wojny z Damulką, z ciocią Dystynką, te obrażenia za wypisywanie nazwisk w sercu na tablicy! Międzyrzeckiemu na przykład by to do głowy nie przyszło! E, tak się wy-mądrzasz, a kto chciał „im wszystkim pokazać”, i to właśnie tak po dziecinnemu, po szczeciacku? Pewnie, z tą jazdą bez trzymania nie było najgenialniejsze. Nie, to nie o to chodzi – genialne, nie genialne, ale przede wszystkim: po co? Człowiek tu rzeczywiście będzie przyjeżdżał tylko w odwiedziny i na groby. Żeby mamusia żyła... No, żeby żyła, toby człowiek zawsze miał swój dom, a jak nie ma domu, to właściwie nic nie ma. Kumple, pewnie, to jest dobre, jak się z nimi co dzień żyje, ale teraz to im nawet nie da się prawdziwie opowiedzieć, jak to ze mną jest. A gdzie dopiero, żeby się poradzić albo co. Tak sobie myślałam, że to zupełnie normalne, że się wyjeżdża z domu, ale oni wyjadą dopiero za dwa lata, niemal całą klasą, i będą w Poznaniu wciąż się spotykać, co tydzień jeździć do Karczewa i to będzie zupełnie co innego. Więc co się dziwić, że u Zośki tak jakoś nie wyszło... ja po prostu jestem jakby o dwa lata doroślejsza od nich. Co oni wiedzą o obcym mieście! Swoją drogą, żeby już ten Maciek zdał maturę i przyjechał do Wrocławia.

Pociąg mijał teraz las świerkowy. Pociemniało tak, że widać było tylko iskry z lokomotywy. Szumiące drzewa i błyszczące ogniki przywiodły Joasi na pamięć wczorajszy wieczór na cmentarzu, kiedy w zmierzchu już nie bardzo można było rozpoznać ludzi, słowa pieśni żalobnej mieszały się z szumem świerków i jesionów, porywane przez wiatr, błakające się po wzgórzu między drzewami, tak jak zwiewne obłoki pary w tym lesie, Miasteczka już od dłuższej chwili nie było widać i Joasia tylko na pamięć wiedziała, że leży tam za lasem, za nad-rzeczną mgłą, w ciemnościach i ciszy. Wydawało jej się, że tak będzie zawsze, że Karczew będzie dla niej czymś takim jak owe legendarne zatopione miasta, do których już nie ma powrotu.

A jej prawdziwe życie i przyszłość to ten łomocący pociąg, spieszący wśród nocy do wielkiego, obojętnego zbiorowiska ludzi, w którym musi, jak dawniej młodszy synowie angielskich rycerzy, „w trudzie i walce zdobyć dach i siodło”.

## 6. „Pociecho moja ty, książeczko...”

Zmarznięta na kość, zmęczona i kompletnie nieszczęśliwa Joasia ledwie wlokła walizkę.

Dzięki Bogu, że to już ostatni zakręt. Donieść walizkę do tamtego drzewa i odpocząć, a potem jednym ciągiem do samego domu. Całe szczęście, że jest sucho. Gwiazdy świecą jak na mróz. Ale gdzie tam w listopadzie mróz? No, raz, dwa, trzy...

Obeszła walizkę dookoła, żeby zmienić rękę, i ruszyła prawie biegiem. Było bardzo ciemno, ostatnią latarnię zostawiła za zakrętem. Na cichym placyku był tylko jeden jasny punkt: oświetlone okno w bloku po przeciwnej stronie. Niemożliwe, żeby ciocia czekała, przecież już po jedenastej. Ale ponad wszelką wątpliwość było to okno cioci. Kiedy Joasia manipulowała kluczami przy zamku, usłyszała kroki w korytarzu i trzask kontaktu. Zrobiło się jej jasno i ciepło na duszy. Okazało się, że ciocia nie tylko czekała, ale trzymała też na gazie ciepłą kolację. Wobec tych dowodów serdeczności Joasia zapomniała, że jazda na buforze należy do faktów niecenzuralnych, i na zapytanie o podróż odpowiedziała bez namysłu:

– Coś okropnego! Ludzie jechali na stopniach, tłumy zostawały na peronach, pociąg się włókł jak nieszczęście, spóźniliśmy się o trzy kwadransy, dobrze jeszcze, że mi się udało usadowić na tym buforze, bo mniej wiało.

Ciotka najnieoczekiwanej zostawiła tę informację bez komentarza. Wyraziła tylko przypuszczenie, że wobec tego najlepiej będzie, jeśli Joasia szybko zje kolację i weźmie gorący prysznic, bo akurat jest mocny gaz w junkersie. I niech nie zapomni zażyć aspiryny, najlepiej od razu dwie. Więc Joasia wzięła „najlepiej od razu” – trzy. Mocna herbata, prysznic i te aspiryny wprawiły ją w zgoła dziwne ożywienie. Siedząc po turecku na tapczanie, podciągając co chwila za długie rękawy piżamy, zasypała biedną ciotkę lawiną słów, wywołaną nieopatrzonym pytaniem o wrażenia z domu.

– Czy mnie miło przyjęli? No, miło, jak miło, jut tam macocha umie być miła tylko dla obcych, a ja przecież jeszcze nie jestem obca. Chociaż trochę, no, jak by to powiedzieć, człowiek patrzy na to wszystko już z drugiego brzegu. Oczywiście z tym drugim brzegiem też nie należy przesadzać. Maciek nigdy dla mnie nie będzie na drugim brzegu, i ojciec też, ale w inny sposób. Wie ciocia, ja nawet świetnie rozumiem, że on się nie chce mieszać do tych pie-repalek...

– Do czego?

– No, do tych nieporozumień między mną a macochą, wszyscy ostatecznie chcą mieć święty spokój, ja też niczego innego nie chcę...

Ciotka wyraziła powątpiewanie, czy święty spokój jest właśnie tym, czego młoda osoba w wieku Joasi chce przede wszystkim.

– Ależ tak, pewnie, chcę robić to, co do mnie należy, i żeby się nikt do mnie nie wtrącał. Ja dla miłej zgody nawet mówię jej „mamo” (nie mamusiu, bo mamusia to Mamusia), choć na dobrą sprawę powinna mi zaproponować mówienie po imieniu, jest tylko o te głupie dziesięć lat starsza, o ile sobie nie ujmuję. Ale jak ktoś dla świętego spokoju pozwala tępić własne dzieci, to już jest nie w porządku, zupełnie nie w porządku. Się mówi: dwa lata wcześniej, dwa lata później z domu, co to jest? A jest, właśnie że jest, sama się wczoraj przekonałam, oni tam w Karczewie tylko grają w piłkę i się kochają, i ani im przez głowę nie przejdzie, że ktoś na przykład może się martwić tym, że nie wie, co to jest Teatr Rapsodyczny...

– Ty przecież wiesz?

– Wiem, już wiem, zresztą to nie o teatr chodzi, tylko o to, że człowiek musi sobie sam szukać miejsca między ludźmi, o wszystkim myśleć, na własną odpowiedzialność. Czy ciocia na przykład wie, co ja tu robię, sama przez całe popołudnie?

Ciotka aż się poderwała.

– Co, na litość boską?

– Nic, uczę się, bo mi się tak podoba, ale mogłabym na przykład palić papierosy, włóczyć się po mieście z chłopcami i mówić, że sobie nie daję rady w szkole, bo za wysoki poziom. Albo z pieniędzmi: oni tam w Karczewie najwyżej oszczędzają na jakieś wakacje albo na teatr w Poznaniu, a tu człowiek musi sobie wszystko wyliczyć, żeby starczyło do końca miesiąca, i nie zapomnieć ani o podzelowaniu butów, ani o smalcu i w ogóle. Zresztą, ja zawsze mówię: to, bracie, tee, proszę cioci – zreflektowała się – nie chodzi o szczegóły, tylko o to, że człowiek jest tak sam na sam z życiem – zakończyła patetycznie.

– A może by tak człowiek, myśląc o życiu, pomyślał i o tym, że jutro idzie do szkoły i poczucie odpowiedzialności za los kazałoby raczej spać? – ciotka widać nie brała tak zupełnie serio Joasynych refleksji.

Więc Joasia po raz któryś z rzędu podciągnęła opadające rękawy piżamy i wsuwając się pod kołdrę powiedziała jeszcze zarozumiale:

– To wcale nie jest takie głupie, co mówię. No, trudno, dobranoc.

Ale mimo że zasnęła od razu, rozkręcony umysł pracował dalej, nie kontrolowane obrazy snuły się chaotycznie pod zamkniętymi powiekami, aż ułożył się z nich sen męczący, choć znany, a może nawet właśnie dlatego męczący, że znany od 1939 roku. Śniło jej się, że było już „po wszystkim”, po jakiejś okropnej katastrofie, i że nawet się z tego cieszyła, że już nic gorszego nie może się przydarzyć. Jechała ni to autem, ni lokomotywą przez puste ulice miasta, przyglądając mu się i jakby zwiedzając równocześnie mieszkania i sklepy, gdzie stały nie zepsute telefony, stopy konserw, nie zakurzona porcelana, czyste obrusy. Na rzece płynęły bezszelestnie tratwy, nad jeziorami latały ptaki, mijane wioski tonęły w owocujących sadach i ogrodach. Joasię widoki te bardzo cieszyły – tylko znaleźć ludzi, to wszystko będzie dobrze. Ale ludzi nigdzie ani śladu. Na jakimś zakręcie odwróciła się i zobaczyła, że lokomotywa nie jedzie sama, ale ciągnie długi szereg wagonów. Ze swego okienka maszynisty widziała dobrze prześwietlone złotymi promieniami wnętrza sunących po ostrym łuku wagonów. Były puste, ale snuły się po nich jakieś dziwne cienie. Przeraziła się tak, że aż zdrętwiała. Boże, czy ja też jestem takim cieniem? Nie chcę! Do domu!

Te ostatnie słowa musiała chyba zawołać głośno, bo już na jawie usłyszała ciotkę:

– Joasiu, co z tobą?

– Nic, dziękuję – odpowiedziała półprzytomnie, ale już nie zasnęła. Leżała cichutko, rozpamiętując sen, i nie mogła się doczekać pory wstawania. Fosforyzujący budzik błyskał w ciemności i kiedy wreszcie zrobiło się za piętnaście szósta, uznała, że może się ubierać. Nic dziwnego, że przyszła do szkoły grubo za wcześnie, nawet Marysi Jamrózki nie było. Chyba z piętnaście minut upłynęło, nim zaczęli wpadać pierwsi uczniowie. Joasia czekała dość niecierpliwie na Irkę, by dowiedzieć się, co zaszło w ciągu jej nieobecności, co zadane, co będzie

musiała uzupełnić, a co się upiecze. Ale Irki jakoś wciąż nie było, choć należała do „średniaków”, do tych, którzy zjawiają się w klasie niespecjalnie wcześniej, ale o przyzwoitej porze.

A, nie ma jej, to nie, zapytam Marysię, ona nawet lepiej wszystko powie – zdecydowała. Podeszła do drugiej ławki, gdzie Marysia Jamrózka z Bożeną Jaremią porównywały wyniki zadania trygonometrycznego.

– Cześć!

– Cześć! Jak wam się udał wypad do twojego domu? – spytała Marysia.

– A, tak sobie, straszny tłok – zbyła Joasia, ucieszona jednak, że Jamrózka zauważyła puste miejsce koło Irki. – Nie wiecie, co z Irką? Bo chciałam od niej wziąć zeszyt z polskiego, specjalnie ją prosiłam, żeby dokładnie wszystko zapisała.

Obie koleżanki spojrzały na Joasię jakoś dziwnie, aż ją to zmieszało.

– Ja wiem, że właściwie to by mi się upiekło, ale rozumiecie, ja tak nie lubię, jak czegoś brak w zeszycie – tłumaczyła się – po prostu lubię kolejne numery, więc właśnie...

– Taż nie chodzi o to – przerwała Marysia, a Jarema wypaliła:

– To Irka nie pojechała z tobą?

– Nie, skądże? – zdziwiła się i dodała z niepokojem: – Czekać, jak to ze mną? Przecież... Zaraz, skąd ten pomysł? Co się stało?

– Chyba nic – uspokaja ją Marysia – po prostu nie ma jej w szkole od wtorku, tak jak ciebie, więc tak sobie pomyślałam.

Ale Jarema wzrusza niby dyskretnie ramionami i robi minę tak tajemniczą, że Joasia nie ma wątpliwości: Marysia tylko przez wrodzoną niechęć do plotek nie chce nic mówić.

– Może dzisiaj przyjdzie, to się rzecz wyklaruje – powiada niepewnie.

– Dziś? Przecież słyszysz, że już pierwszy dzwonek – zbija to przypuszczenie Bożena.

– Zawsze do drugiego są jeszcze te trzy minuty – upiera się Joasia, ale odchodzi na swoje miejsce w rozterce. Dyżurny przebiega ze zmoczoną gąbką, zamyka za sobą drzwi –no tak, tera już nikt nie przyjdzie. A jednak nie – jeszcze przed drugim dzwonkiem, tym „profesorskim” – drzwi otwierają się gwałtownie.

– Irka – podrywa się Joasia i zaraz znowu garbi się na krześle przygaszona. Nie Irka, lecz Międzyrzecki stoi na progu klasy. Z beretem w ręce, w burym szynelu ściągniętym wąskim paskiem, w przekrzywionym białym szaliku na szyi i jak zwykle z nastroszoną czupryną, patrzy na klasę z jakąś wesołą pewnością siebie i woła swoje własne, nieoklepane „Salvete, amici!”

No, jemu na pewno nie snią się niesamowite pociągi z duchami w środku! – myśli Joasia z zazdrością. – Co w nim siedzi, że jest taki zawsze... taki rozbawiony. Właśnie, jakby go wszystko tylko bawiło. Nie można powiedzieć, żeby był zarozumiały albo niekoleżeński. Tylko wydaje się, jakby był głęboko przekonany, że do szkoły chodzi tak trochę na niby, a naprawdę żyje w jakimś innym świecie. Skąd się to bierze? Pewnie, jest strasznie inteligentny, ale czy inteligencja to znowu tak wielki powód do radości? Nie, to chodzi o co innego: on jest po prostu rozpieszczony. Jego wszyscy lubią, dziewczynki za nim przepadają. Tylko dlaczego? Ba, żeby ja wiedziała! No, co udajesz, przecież sama go lubisz! Lubie, lubie, ale wolę z daleka.

Z daleka, nie z daleka, przypatrywała mu się jednak bez przerwy, jak wieształ szynel, witał się z Lipskim, wyciągał zeszyty. Czy poczuł na sobie jej wzrok, czy całkiem przypadkiem, dość że zwrócił się nagle w jej kierunku:

– O, proszę, Uruska wróciła na naszą prapiastowską ziemicę! Co tam „zaś ale” słyhać u pracowitych poznaniaków?

Joasia już chciała ze złością coś odburknąć, kiedy weszła matematyczka. No nic, jeszcze mu przygada. Pracowici poznaniacy! Pewnie, że pracowici, i tu nie ma się z czego wyśmiać.

Przy sprawdzaniu obecności znów była mowa o Irce.

– Co to, Piwkówna się jeszcze nie znalazła? – spytała matematyczka.

Zrobiła się jakaś nieprzyjemna cisza, parę koleżanek popatrzyło wyczekująco w stronę Joasi, która siedziała z głową spuszczoną, zaczerwieniona i zła na siebie, że się czerwieni.

Czego się na mnie gapią, przecież wiem jeszcze mniej od nich. Co ta Irka za kalarepy narobiła? O Jezuu, na pewno z tym swoim Andrzejem. No, chyba z nim nie uciekła, wreszcie po co. Wszystko jedno, ja w tej sprawie słowa nie powiem – postanawia. I zaraz musi złamać postanowienie, bo matematyczka pyta ją wprost:

– Uruska, tyś się podobno gdzieś wybierała razem z Piwkówną. Może wiesz, dlaczego jej od tyłu dni nie ma w szkole.

– Nie wiem. Byłam w domu.

– Ale Irki siostra mówiła... – wyrywa się Bożena.

– Jaremianka, czy pytałam cię o zdanie? – gasi ją matematyczka. – Więc Piwkówna ci się nie zwierzała ze swoich planów?

– Nie.

– Na pewno?

– Tak.

– Dziękuję, siadaj.

Oczywiście nikt nie uwierzy, że nic nie wiem. Dobrze, niech sobie nie wierzą. Ale na przerwie muszę przyłapać Jarekę, żeby mi powiedziała, co właściwie się stało. Zresztą widzę, że się aż pali do gadania. Ona jest straszna plotkara, ale co mi tam... Marysia jest ta dyskretna i honorowa, ale tym razem wolę Jarekę. Co po takiej dyskrecji, kiedy cała klasa się tą Irką zajmuje.

Rozwiązywała bez zapału zadanie trygonometryczne – trygonometria jest w ogóle nudna, a już zupełnie nie można się skupić na tych tangensach i cotangensach, jak się ma na głowie co innego. A do przerwy tak daleko.

Przy tablicy męczyła się Nowacka, okazując jeszcze większy brak osobistego zaangażowania w problem powierzchni trójkąta o danych takich a takich. Joasia dojrzała wcześniej do wyniku i ze spokojnym sumieniem gapiła się w okno, rozmyślając o ostatniej rewelacji. Jeśli Irka rzeczywiście coś głupiego zrobiła... Dlaczego głupiego? Jak się kogoś kocha, to wszystko jest mądre. No, nie przesadzajmy. Siedemnaście lat to obiektywnie nie jest wiek najgłębszej mądrości. Pierwsza miłość jest narwana, ale pewne „narwaństwa” byłyby bardziej usprawiedliwione przy ostatniej. Właściwie łatwiej zrozumieć Wokulskiego niż Wertera.

Coś zaszeleściło na jej zeszycie. Bibuła od Wilkołka. A ten czego? „Zostań po dzwonku w klasie. Mam ci coś ważnego do powiedzenia”. „Dobrze – odpisała – tylko musisz się streszczać, bo chcę jeszcze z Jareką pogadać”.

Wilkołek przeczytał, wzruszył ramionami i po chwili znowu podsunął Joasi bibułę.

„Pewnie o Piwkównie. Te wasze babskie bzdury. Po prostu, wyskoczyła gdzieś z chłopakiem, a tu zaraz mama szuka, siostra szuka, wszystkim oczy wyłażą z ciekawości. Kołtuneria i dulszczyzna. Powinnaś być ponad to”.

Wywnioskowała z tego, że Wilkołek może ją przetrzymać od dzwonka do dzwonka, więc dopisała: „Będę »ponad to« na dużej przerwie, zgoda? Będiesz miał więcej czasu na wyłożenie twoich spraw”. Popchnęła łokciem kartkę w stronę kolegi, ale w tej chwili do akcji włączyła się matematyczka:

– Uruska, Wilkołek! Może dokończycie wymiany zdań na przerwie!

Tak tedy zamiast z Jareką, została w klasie z Wilkołkiem.

– Widzisz, tego – zaczął zerknąwszy na zegarek. – Chciałbym cię zaagitować.

– Do czego?

– Do organizacji. Dziwię się, że pierwsza do nas nie przyszła.

– Wiesz, ja bym nawet i przyszła, ale...

– Ale co? Obciążenia klasowe? Czym twój ojciec był przed wojną?

– Dyrektorem zakładów rolniczo-przemysłowych, tak jak teraz. Nawet tych samych. Właściwie to należę do tych, którzy na zmianie ustroju ani nie stracili, ani nie zyskali, więc mogę obiektywnie... Chociaż nie, coś żeśmy zyskali, to jest mój ojciec, ale, że tak powiem, moralnie. Staruszek zawsze powtarza, że zakłady to warsztat pracy, tylko warsztat pracy, bez względu na tytuł własności. Więc co do obciążeń klasowych, toś trafił kulą w płot.

– A, to w takim razie może fideizm? To nie powinno być przeszkodą, możemy podyskutować... Powinnaś wiedzieć, że religia to opium dla ludu. Nie chcesz chyba, żeby światem rządili księża?

– Nie, zdecydowanie! – powiedziała szczerze. Tego była pewna. A co do religii... W wydaniu księdza Mazurka była właściwie nie do zniesienia, ale tutejszy ksiądz był inny. Tak, ale nietypowy, to się rzucało w oczy... Cóż, nie będzie przed Wilkołkiem składać wyznania wiary czy niewiary, ale faktem jest, że z matką naszą, Kościołem, łączy ją tylko sympatia do wrocławskiego prefekta.

– No więc? – Wilkołka zniecierpliwilo jej milczenie.

– Więc mogę cię zapewnić, że światopogląd mam jeśli nie całkiem materialistyczny, to w każdym razie laicki.

– Świetnie! – Wilkołek z radości znowu popatrzył na zegarek. – To tylko powiedz mi, dlaczego do tej pory... Jako członek zarządu koła szkolnego muszę jednak wiedzieć.

– Widzisz, to takie indywidualne historie. Po prostu miałam dość niemiłe hece w mojej dawnej szkole i jakoś mnie odrzuciło od organizacji, pracy społecznej itp.

– Jakie hece?

Opowiedziała mu pokrótce awanturę z księdzem Mazurkiem. Wilkołek był uszczęśliwiony:

– Ależ to znakomicie! Takich nam trzeba. Bezkompromisowych. Odważnych. Niepotrzebnie się załamalas. W jedności siła. Harcerstwo mogło cię wystawić do wiatru, ale my... nigdy! Masz, podpisuj deklarację.

Podpisała mówiąc sobie w duchu: No, tu już na pewno nikt nie powie; że zapisuję się komuś na złość. Intencje czyste. Trochę za mało już mi leży na sercu poprawianie świata, ale może akurat z nimi razem coś się jednak zrobi. Przecież mi zależy na przydawaniu się, a w ZMP na pewno się znajdzie jakaś okazja po temu.

Wilkołek uściskał jej rękę, sam wziął pióro i też podpisał.

– A ty po co? – zdziwiła się.

– Jako członek wprowadzający. Jeszcze trzeba drugiego. O, Międzyrzecki się nada.

– To on należy do ZMP?

– Dziwi cię to? Każdy inteligentny człowiek do nas należy.

– Wiesz, tak jakoś mi nie pasuje.

– Może, on ma trochę inteligenckich nawyków, ale wychowamy go, wychowamy.

Koledzy zaczęli już wracać z przerwy, zjawił się i Marek. Wilkołek przywołał go do ostatniej ławki, dał pióro.

– Masz, poręcz za wartość moralną i ideową tej koleżanki – wskazał na Joasię.

– Z prawdziwą przyjemnością.

Podpisał i chciał odejść.

– Co ty tak oschle? – zatrzymał go Wilkołek. – Ostatecznie, przełomowa chwila.

– Przełom to ona będzie przeżywać na pierwszym zebraniu. I ty ją będziesz rekomendował, bo ja uważam, że „w rzeczach zbytecznych wystarczy to, co niezbędne”.

– Co przez to rozumiesz? – zaperzył się Wilkołek.

– To, że koleżankę Uruską trzeba od razu postawić przed jakimś zadaniem. Czyny, a nie słowa, drogi kolego, oto czego nam trzeba dla nowego, lepszego jutra.



Joasi przyszło na myśl, że Wilkołek długo jeszcze będzie musiał oduczać Międzyrzeckiego od inteligenckich nawyków.

O Irce nie dowiedziała się nic poza tym, co usłyszała na pierwszej lekcji i co napisał Wilkołek. Jej przedłużająca się nieobecność robiła coraz mniejsze wrażenie, aż po tygodniu nowa sensacja: fizyk sprawdzając listę pominął jej nazwisko. Może się pomylił? Nie, bo wszyscy inni czytali też: Opisówna, Palikówna, Skorupka. Jarema sprawdziła w dzienniku: „Piwkówna Irena” było wykreślone.

– A to heca! Wyfrunęła ze szkoły i nawet „czuwaj-cześć” nie powiedziała kamratom – oburzyła się Bożka, a z nią trzy czwarte klasy.

– Może by iść do niej? – zaproponowała Joasia.

Wszzechwiedząca Bożka jednak oznajmiła, że nie ma sensu, że ona już próbowała, ale albo Irki nie ma we Wrocławiu, albo nie chce nikogo widzieć, bo matka wszystkich odprawia od progu.

A jednak Irka nie odeszła bez „czuwaj-cześć”. Krótko przed Bożym Narodzeniem na dużej przerwie zjawiała się niespodziewanie w klasie. Przywitali ją kordialnym wyciem – po czym nastąpiła krótka, kłopotliwa cisza.

– A tego, wiesz... – zaczęła Hanka – Ania napisała nowy wiersz. Aniu, może przeczytasz?

– Och, to was znudzi. Ale mogę poszukać.

Podeszła do swojego stołu, zaczęła przewracać w teczce. Skupili się koło niej czekając, aż znajdzie karteczkę, zadowoleni, że nie muszą mówić.

– Nie mam, widocznie został w domu – oznajmiła Ania przetrząsnąwszy zeszyt od polskiego.

– Jak tak możesz gubić bezcenne rękopisy! – złał ją Zagórski. Znowu milczenie. Stoją półkolem przed Irką, przypatrują jej się z maskowaną ciekawością – czesze się inaczej, trochę podmalowana... Ale żeby się tak bardzo zmieniła, nie można powiedzieć. Trzeba ją wreszcie spytać, dlaczego się wypisała ze szkoły. A jeśli ją wylali? Toby chyba nie przychodziła.

– Co tak będziemy stali! – mówi Marysia. – Siadaj na starym miejscu, niech ci się wydaje, że wciąż jeszcze jesteś z nami.

To nie było najlepiej powiedziane. Irka poczuła się dotknięta tą jakąś zaduszkową nutą w słowach Marysi. Odgarnęła lok z czoła i powiedziała trochę sztucznie, tak jakby wypowiadała zdania już dawno przygotowane:

– Coś ty, na pewno mi się nie będzie wydawać! Nie macie pojęcia, jak szybko się zapomina o szkole. Przyszłam tu właściwie tylko po to, żeby was zaprosić na mój ślub.

Przerwała, czekając na efekt. Oczywiście podniosły się okrzyki, gratulacje, w ogóle atmosfera się odprężyła. Skoro już stało się wiadome, co i jak, można było pytać Irkę o wszystko bez obawy popełnienia nietaktu. Bożka, dotąd trzymana na uwierzy powściągliwością klasy, teraz przeszła do natarcia:

– Więc kiedy ten ślub? Gdzie będziecie mieszkać? Co chcesz robić po ślubie? Jak się ubierzesz? Twoja mama pewnie bardzo się cieszy? Czemu nie zostałeś w szkole choć do półroczka? Albo do końca roku?

Irka demonstracyjnie złapała się za głowę:

– Bożeż ty mój! Oszaleć! Karabin maszynowy z ciebie.

Ale odpowiedziała przytomnie, nawet po kolei, na Bożki pytania: w Nowy Rok, a przyjęcie dla kolegów drugiego stycznia. Na razie u mamy. W białej sukni. Mama głowę traci. Po co zostawać? Do matury by nie wysiedziała, a te pół roku do wakacji to już różnicy nie robi.

Joasia stała za plecami Lipskiego, nie kwapiła się do rozmowy z koleżanką. Właściwie miała tylko jedno pytanie: „czemuś mnie wrobiła w twoją eskapadę?” Ale знаła odpowiedź: „Bo w razie czego byś mnie kryła, a nauczyciele by ci uwierzyli, nie masz na koncie żadnych wyskoków”. I to Joasię najbardziej rozzłościło – takie przewrotne posłużenie się jej dobrym imieniem. Więc trochę mściwie wtrąciła:

– Świetnie, że tak ci się wszystko dobrze składa. Tylko nie zrozumiałam, co masz zamiar zrobić po ślubie.

– Ach, jeszcze nie wiem. Musimy się najpierw sobą nacieszyć! – Irka popatrzyła na nią z góry, jak na pętaka. Może dlatego nie zauważyła porozumiewawczych spojrzeń Bożki i Hanki i wzruszenia ramion Opisówny.

– Chyba już na mnie czas – dodała – bo wy musicie, biedacy, wracać do wkuwania. Co macie teraz za lekcję?

Odpowiedź była niepotrzebna – okazało się, że już od chwili stoi na progu „angielka” i z rozweseloną miną przysłuchuje się rozhovorom.

– Witaj, Piwkówna! – odezwała się, kiedy ją wreszcie zauważyli. – Może zostaniesz na lekcji? Chcę dziś nauczyć was piosenki „My bonny is over the ocean”, a mam chrypkę. Ty tak świetnie śpiewasz, więc cię po raz ostatni wykorzystam.

Irka przystała z ochotą, klasa z entuzjazmem odniosła się do „My bonny”, choć przypuszczali, że to był pomysł ostatniej chwili. Angielka lubiła robić czasem lekcje czysto rozrywkowe, a i zainteresowanie do spraw sercowych uczniów zdradzała również.

Dla przyzwoitości pośpiewali trochę piosenkę o marynarzu, potem angielka zaczęła wypytywać Irkę o plany na najbliższą przyszłość, a że klasa znała już odpowiedzi, wszyscy wykrzykiwali, co wiedzieli. Dopuścili Irkę do głosu dopiero, kiedy nauczycielka zechciała dowiedzieć się czegoś o narzeczonym Piwkówny.

Irka wpadła w euforię. Nie ulegało wątpliwości, że jej Andrzej jest najwspanialszym mężczyzną świata, w dodatku najtrudniejszym do zdobycia.

– On, proszę pani, do czasu poznania mnie śpiewał tylko:

Dobrze, dobrze, panie bracie!  
Przewyborny ten wasz plan.  
Nie ma wieści w naszej chacie,  
Vivat semper wolny stan!

Zanuciła to z początku cicho, ale „vivat semper” zadźwięczało już tak, że co płochliwi popatrzyli na drzwi, czy lichy nie przyniesie dyrektora.

– No, a po zaręczynach zmienił repertuar? – Ach tak, teraz słyszę ciągle tylko:

Jedną znam pieśń,  
Którą tobie zanu–u–u–cę...

Urwała nagle – zapomniała reszty? Może, bo siadła, przetarła dłonią czoło, po czym nieoczekiwanie oznajmiła trochę przygaszonym głosem:

– To ja już pójdę.

Podniosła się wrzawa: też pomysł, po co, jeszcze na ciebie cerowanie mężowskich skarpetek nie czeka. Ale Irka zdecydowanie ruszyła do wyjścia, zapinając płaszcz i bąkając słowa pożegnania. U progu zgarbiła się nagle i przyłożyła chusteczkę do ust. W ciszy, jaka zapadła, usłyszeli trzaśnięcie drzwi i szybki stukot obcasów.

– Co jej się stało? – zdziwiła się Palikówna.

– Może ja za nią pójdę? – poderwała się Bożka.

– Siedź spokojnie – ucięła angielka. – Mieliście na dziś streścić pierwszą część „The Happy Prince”? Nowacka, czytaj.

Lekcja, zaczęta jako rozrywkowa, przyjęła najbardziej oficjalny charakter. Zmrozeni takim niemiłym obrotem czuli żal do Irki, że ni z tego, ni z owego związała. Komentowali jej ucieczkę na przerwie, ale potem łacinnik przyniósł klasówki, fizyk przy doświadczeniach zrobił potworne spięcie, aż wysiadły korki w całej szkole, i wizyta Irki zeszła na dalszy plan.

Nawet Joasia o niej zapomniała, i to tak gruntownie, że po lekcjach, kiedy schowana za plecami rozłożystej babiny przysłuchiwała się jednym uchem, o czym rozmawia Opisówna z przyrodniczkami, dopiero po chwili zorientowała się, że mówią o Irce.

– Eee, niemożliwe. Skąd wiesz? – dziwiła się jedna z nich.

– Moja droga – Joasia poznała głos Opisówny – jeśli ktoś rzuca szkołę ni w pięć, ni w dziewięć, jeśli nie ma zielonego pojęcia, co dalej robić, jeśli bierze ślub na łapu-capu, bez mieszkania, bez pieniędzy, na wariata, to chyba musi mieć poważniejsze przyczyny niż szaloną miłość. Zrobiłabyś tak? Nie. No widzisz.

– Mimo wszystko to jeszcze nie dowód.

– A jeśli dwa miesiące po romantycznej eskapadzie wybiega w pół zdania z klasy, żeby nie zwymiotować przed katedrą, to to też nie dowód?

– Co ty mówisz? Naprawdę?

Opisówna nic nie powiedziała. Joasia była gotowa przysiąc, że w tym momencie tylko wzgardliwie wzruszyła ramieniem.

– Ależ się wkopała! – westchnęła współczująco przyrodniczka.

– Trudno, widać była idiotką albo wierzyła w bociana. Co zresztą na jedno wychodzi. Nie mam nic przeciwko dzieciom, ale...

Tramwaj ruszył z przystanku, konduktor zaczął pokrzykiwać „proszę przesuwac się do przodu”, Opisówna z koleżankami weszły w głąb wozu. Joasia została na pomoście – nie miała ochoty dekonspirować się przed tamtymi ani przyłączyć się do rozmowy. Zresztą po co?

Ten tonik Opisówny był irytujący, niewątpliwie: skąd takie zarozumiałe przekonanie o znajomości życia? Czy jednak nie miała racji? Czy nie powiedziała głośno i bez owijania w bawełnę tego, co Joasia podskórnie dawno czuła: że Irka jest po prostu głupia? Przecież ona bezustannie gra jakąś komedijkę – te pienia dzisiaj w klasie były, łagodnie mówiąc, w złym guście. Joasia by się nie zdziwiła, gdyby okazało się, że ten Andrzej wcale nie zna pieśni ze „Straszego dworu”. Coś się wydaje, że Irka bardziej chce przeżywać wielką miłość, niż istotnie przeżywa. Takie to wszystko na chybicka, byle coś się działo, byle się pochwalić. Co to za typ może być naprawdę, ten narzeczony?

Joasi przypomniały się słowa Irki z początku tej historii: „i tam przeszłam swój chrzest bojowy”. Może ów chrzest nie był wcale tak niewinny, jak się Joasi wydawało? W takim razie narzeczony, nie byłby zbyt świetlaną postacią.

I Irka mu zawierzyła, i ma z nim mieć dziecko, i co ona będzie z tym dzieckiem robić? Irka, która sobie nie umie niczego odmówić. Ech, biedne to dziecko! Czy może być coś gorszego niż pewność, że się zawadza własnym rodzicom? Bo że to maleństwo będzie Irce zawadzać, to jasne. Już i tak dosyć gorzko, jak człowiek czuje, że rodzonemu ojcu stoi na drodze, a jeśli i matka ma człowieka po uszy, to nic tylko się wieszać.

Joasia ani spostrzegła, kiedy od medytacji nad losem nie narodzonego dziecka Irki przeszła do swoich bolących spraw. Bo żeby człowiek naprawdę coś zawinił. No, ale przepraszam, że żyję, schodzę z oczu, i jeszcze mnie tępią. Czemu ojciec jakoś nie dopilnuje macochy, żeby się mnie nie czepiała? Płaszcz się drze, smalec się skończył, drzewo na rozpałkę obiecali, nie przysłali. Jakby mnie ojciec kochał, toby tak nie robił. Bo żeby nie wiedziała, jak to jest, kiedy się kocha dziecko, tobym nic nie mówiła. Ale wiem, u licha, i jak było przed wojną, i w ogóle, kiedy mamusia żyła, i widzę u innych. Boże drogi, ani rodziny, ani przyjaciół. Ta przyjaźń z Irką to mi się udała... Prawie tak jak ojciec. Czy on nie mógłby choć raz przyjechać, zobaczyć, jak mieszkam? Albo dać Maćkowi te parę złotych na drogę? Pobylibyśmy choć pół dnia razem. Nie trzeba superprzenikliwości, żeby się domyśleć, że człowiek chciałby czasem mieć kogoś bliskiego przy sobie.

Jak to zwykle bywa, kiedy się jest w podłym nastroju, wszystkie minione lata wydały się Joasi jednym ciągiem katastrof i upokorzeń, logicznie zakończonym obecnym osamotnieniem

i porzuceniem. Taki Marek na przykład, ten to ma dobrze. Wszyscy go kochają, wszystko mu idzie jak po różach. A ja co? Chłodno, głodno i do domu daleko.

Powłócząc nogami, z podniesionym kołnierzem, szła Joasia do biblioteki z nadzieją, że tam przynajmniej będzie ciepło. Od listopada, kiedy „Chińczyk” zamknął czytelnię, bo mu było szkoda światła, przeniosła się do Ossolineum. Zamiana ze wszech miar korzystna: tu nikomu nie przyszłoby na myśl traktować ją jak intruza. Było jasno, czysto i cicho, a książek w samej podręcznej bibliotece tak oszalałymi dużo, że początkowo popadła w popłoch, nie wiedząc, od czego zacząć. Więc z systematycznością, wyniesioną ze stron rodzinnych, wzięła się za dzieła zbiorowe: cały Moliere, cały Szekspir, cały Balzak... Nie, całego Balzaka nie sposób przeczytać. Więc co wybierać? I tak trafiła do „Wielkiej literatury powszechnej”, przy której tkwiła już od tygodnia. Wypożyczała antologię uzupełniające tomy historyczno-literackie. Teraz oddawszy dyżurnemu zamówienie słuchała tykania zegara i wodziła wzrokiem po grzbiecie książek. Samej literatury – Boże, ileż tu jest! A przecież historia też człowieka ciągnie, a historia sztuki może nie? Przesiedziałyby się tu pół życia i zawsze by się znalazło coś ciekawego. Dyżurny położył przed nią zamówione tomy. Odnalazła swoją zakładkę, otworzyła książkę. „Robert Burns, poeta szkocki, urodzony...” Co też napisał? Więc sięgnęła po antologię, poszukała odpowiedniego miejsca. Ballady, piosenki biesiadne.. Nie podchodzi. Wyłącza Roberta Burnsa ze spisu lektur. Już chciała zamknąć książkę, kiedy uderzyło ją zdanie:

No, bo i cóż, żeś wczoraj marnie jadł.  
Masz stary płaszcz...

Coś jakby o mnie – pomyślała .i przeczytała wiersz od początku do końca. Ogarnęła ją nagła radość i jakieś pogodzenie z życiem. – Tak, to zupełnie dla mnie. Jakby specjalnie pisane. Przewidział czy co? Nie, życie nie jest całkiem złe, kiedy człowiek może się z kimś dogadać. To znaczy, trudno mówić o dogadaniu się z poetą szkockim z XVIII w., ale nie należy dosłownie... Czy to nie pocieszające, że nawet jeśli akurat nie ma kogoś bliskiego, ma się pewność, że byli, więc i są ludzie, których się rozumie i którzy by mogli być bliscy? Przeczytała jeszcze raz:

Że dziś tak źle, to cóż?  
Jutro przy druhu stanie druh.  
A cóż jest nad to? Cóż?

Może to sobie przepisać? Pensjonarski pomysł, ale wreszcie, co szkodzi? Więc ostatecznie przepisała. I nie chciało jej się już więcej czytać, ale wyjść z czytelni też nie. Znowu patrzyła na półki – każda książka wydawała się kryć jakąś przyjazną tajemnicę. Spokój i porozumienie ze światem.

Jakbym była poetą – pomyślała – tobym napisała wiersz, który by zaczynał się tak:

O książki, przyjaciele mojej nędznej młodości...

## 7. Człowiek musi pomagać tym zdolnym

W środy wszystkie klasy miały tylko cztery lekcje, ale rzadko kiedy szło się po tej czwartej godzinie do domu. Wczesna i dla wszystkich jednakowa pora kończenia nauki ustalona została ze względu na rozmaite zebrania, akademie, poranki autorskie, które tradycyjnie już odbywały się w te środy. Oczywiście nie trzeba było wielkiego sprytu, żeby wymknąć się tuż przed drzwiami auli i bryknąć na zieloną trawkę. Joasia jednak prawie zawsze wolała zostać. Zwłaszcza w te środy, kiedy w programie były tak zwane koncerty umuzykalniające.

No, mnie tam i tysiąc koncertów nie umuzykalni – mówiła do siebie za pierwszym razem – ale wreszcie co mi szkodzi posiedzieć?

Starła się dobrze zapamiętać, co to jest fagot czy waltornia, w jakiej epoce i co komponował Grieg, w ogóle odnosiła się do pouczeń muzykologów „pocziwie”, jakby pewnie powiedział Międzyrzecki.

Było w tych środowych porankach muzycznych jeszcze coś bardzo pociągającego. Wynikało z błahego na pozór faktu, że każdy zajmował miejsce, jakie mu się podobało. W auli działał powszechnie „magnetyzm serca” i nawet lepiej niż na przerwach ujawniały się sympatie i antypatie. Bożka Jarema porzuciła Jamrózkę i nieodmiennie plasowała się w pobliżu kolegów z matematycznej, Opisówna siedziała z paroma starszymi dziewczynkami z przyrodniczej, Lipski i Międzyrzecki, na koncertach nierozłączni, wybierali miejsca o dobrej akustyce. Joasia zajmowała początkowo któreś z tylnych krzeseł, podobnie jak Sylwia, po jakimś czasie jednak zaczęła dokładać starań, by znaleźć miejsce w rzędzie za Lipskim, trochę na ukos od obu przyjaciół. Podpatrywała ich reakcje na grane utwory, przysłuchiwała się rozmowom, wszystko po to, by choć trochę zmańdrzeć.

W pierwszą środę po zimowych wakacjach porządek ten został zakłócony. Jeszcze na dużej przerwie Bożka i Międzyrzecki opowiadali całej klasie o ślubie Irki Piwkówny, który odbył się w Nowy Rok. Irka zaprosiła kilkoro z klasy na „poprawiny” po właściwym weselu. Joasia była wtedy w Karczewie i nie mogła skorzystać z zaproszenia, ale ciekawa bliższych szczegółów podeszła po lekcjach do Bożki. Bożka wezwała do pomocy Międzyrzeckiego i w drodze do auli na przemian to jedno, to drugie uzupełniało poprzednią relację.

– A torty były dwa – mówi Bożka. – Jeden kawowy...

– Mniejsza o torty, powiedz mi lepiej... – ucina Joasia.

– Dlaczego mniejsza? Torty były rzeczywiście godne zaszczytnej wzmianki w miejscowej prasie – sprzeciwia się Międzyrzecki. – Sądzę nawet, że były bardziej interesujące od niektórych gości.

– No, dla ciebie na pewno! Czy ty wiesz, że Marek przez pierwsze dwie godziny prawie nic do nikogo nie gadał, tylko się obżerał?

– Co za paszkwil! Joasiu, nie wierz jej! A jeśli nie gadałem, to z innych powodów. Pozwolę sobie zauważyć, że Wyspiański nie przez dwie godziny, ale przez całą noc w analogicznej sytuacji nic nie mówił.

– No, ale potem napisał „Wesele” – Bożka zdobywa się na złośliwość.

– A ja przemyślałem. To prawie to samo.

– To może powiesz, coś przemyślał? – Joasia naprawdę chce się czegoś bliższego dowiedzieć o Irce. Właśnie o Irce, nie o weselu, bo wreszcie czy to takie ważne, jak kto był ubrany i ile kanapek zjadł Zagórski.

– Co przemyślałem? Hm... Że kobieta znajduje prawdziwe szczęście tylko u boku dziarskiego mężczyzny. Że bez męża by zginęła. Że trzeba jak najwcześniej wychodzić za mąż...

Joasię aż podrzuciło.

– Jak to? Przecież tyle kobiet nie... Zresztą i co do Irki, to można by – i nagle milknie, bo uświadamia sobie, że Międzyrzecki chyba jednak myśli co innego. Tylko dlaczego się wygłupia? Ma mnie za durnia?

Doszli już do auli. Tym razem Bożka nie szukała matematyków, tylko siadła koło Międzyrzeckiego. Po chwili wpadł Lipski.

– Marek, taż jaki ty jesteś, miałeś mi miejsce zatrzymać koło siebie!

– Ojej, nic takiego, przesuniemy się trochę. Bożka, może byś się przesiadła z drugiej strony Uruskiej, bo my z Bogdanem wolelibyśmy razem.

– Proszę bardzo, ja zresztą i tak nie chciałam tu siedzieć – Jarema wstaje urażona i z podniesionym czołem odchodzi w stronę matematyków. Joasia waha się, czy nie iść za nią, ale ostatecznie zostaje na miejscu. Przy tych wszystkich Romkach i Krzysiach czułaby się jeszcze bardziej nieswojo. A tu na szczęście nie siedzi bezpośrednio przy Marku i nie musi z nim rozmawiać, więc nie odczuwa niemiłego skrępowania, które zawsze towarzyszy każdej wymianie zdań z tym chłopcem. Bo człowiek nie chciałby wyjść na ostatniego tumana – próbuje określić przyczyny tego skrępowania – i chce powiedzieć coś mądrego albo dowcipnego, i oczywiście wszystkie złote myśli przychodzą do głowy dopiero piętnaście minut później. A poza tym z nim się naprawdę trudno rozmawia, bo jak tu rozmawiać, kiedy się nie wie, czy on mówi na serio, czy na hecę. I nie traktuje poważnie niczyjego zdania. Jeśli nawet słucha uważnie, to jakby tylko dlatego, że go interesuje, co kto myśli, a nie sama rzecz. Przecież Anię Palikównę to po prostu napuszcza na gadanie o poezji, chociaż jest jasne, że on tam swoje wie. Żeby tylko nie spróbował napuszczać człowieka na wynurzenia o muzyce!

Nie zanosì się na to. Chłopcy rozmawiają o szkole muzycznej, plotkują o profesorze, który ma dzisiaj grać, Bodek zachwala jego talenty pedagogiczne.

– Wyobraź sobie, że on nawet Geńka, znasz go, z I liceum, nauczył grać Chopina, chociaż facet ma ucho z drewna, a palce z drutu.

– A propos Chopina. Czy ty wiesz, że w antykwariacie są „Listy” Chopina? Żeby to jakoś wykombinować. Próbowałem namówić pannę Sianko, żeby kupiła dla biblioteki szkolnej. Nikt by się o to nie rozbijał, więc wziąłbym i trzymał, jak długo by mi się podobało. Ale ona wpadła na to samo i powiedziała, że książka za trudna i za droga, a w szkole najwyżej jednostki by zainteresowała. Ja jej na to, że pewnie, jednostki, ale wybitne: Więc ona, żebym nie był zbyt zarozumiały, i na tym się skończyło.

– To spróbuj uszkładać. Ja nawet mógłbym ci coś pożyczyć.

– Właśnie! Zaoszczędzić. Trzy kawałki! Zanim będę miał ćwierć tego, książki już dawno nie będzie.

Joasia nie słuchała dalej.

Trzy kawałki, to akurat tyle, ile mi zostaje po opłaceniu obiadów i mieszkania. Właściwie ja nie mam co z pieniędzmi robić: prezenty na Gwiazdkę wszyscy dostali, do Maćka imienin

kupa czasu. Mogę mu po prostu pożyczyć, wreszcie co mi szkodzi. No tak, ale może nie chce wziąć. Ostatecznie to niby niehonorowo brać od kobiety. Ludzie są głupi, że tak myślą, no ale myślą i trudno. Zresztą co, mam iść i powiedzieć: „Proszę kolegi, ja właśnie chciałam koledze zrobić przyjemność i pożyczyć trzy tysiące na książkę?” Co by sobie pomyślał? A kupić książkę i mu niby pożyczyć? To wychodzi na to samo, a nawet jeszcze gorzej. Cholerny świat!

A jednak świat nie okazał się tak strasznie cholerny, bo jeszcze w tym samym dniu, nim się rozeszli do domów po koncercie, Müllerówna wystąpiła z projektem urządzenia klasowej Gwiazdki czy Mikołaja, najlepiej od soboty za tydzień.

– Dziewczyno, co ci wpadło do głowy, też to prawie połowa stycznia, jakie Mikołaje o tej porze? – oburzył się Zagórski.

– Mikołaje, nie Mikołaje, urządzać zawsze coś można. Inne klasy też robią teraz. To nawet lepiej, bo jest karnawał i można tańczyć, a w grudniu nie.

Z kim ona chce tu tańczyć – krytykowała cicho Opisówna – z tymi naszymi pięcioma chłopaczkami?

Ale projekt Müllerówny jednak przeszedł. Ustalono, że będzie losowanie i każdy przygotowuje prezent dla kolegi, którego nazwisko wyciągnie.

No to świetnie, lepiej nie można. Powiedzmy tak – układa sobie Joasia – jeśli wyciągnę Międzyrzeckiego, to znaczy, że los chce, żebym kupiła mu tę książkę. A jak nie, to mam przestać zwracać sobie głowę Chopinem, listami i w ogóle.

Wylosowała Kociubińską.

Też dobrze. Przynajmniej wiem, co jej kupić. Zresztą na dobrą sprawę, to ja przecież tych trzech tysięcy jednak nie mam – rozważała rzecz po dzwonku – no policzmy – zaczęła notować:

Obiady 6000 –  
mieszk. 1800 –  
1000 –  
2800 –  
zostaje mi 3200 –

Pięknie. A karta tramwajowa? A kakao w szkole? Można by nie brać, pewnie, ale niechby się ciotka dowiedziała... lepiej nie myśleć. Chleb. Cukier. Powiedzmy, że na jedzenie tylko tyle, jeśli przyjdzie paczka. A jak opieka domowa się załamie i nie przyśle, to już zupełnie leżym, gorzko płaczem. Samo masło... ile to jest? Buty. Hej, buty, oczywiście, zaraz zaczną wołać jeść. No; to co, może wziąć zaliczkę na te zelówki? Uruska, bez wygłupów! Wylosowała Kociubińską i wiesz, czego masz się trzymać. A prawda, prezent dla Kociubińskiej to też pieniąż. Koniec z tym.

Po lekcjach tak wypadło, że przechodziła koło wiadomego antykwariatu. Gdyby wglądać w rzecz ściśle, może by się okazało, że niezupełnie przypadkiem tam zabłądziła, ale nikt by jej nie zarzucił, że pojechała specjalnie. „Listy” Chopina leżały na widocznym miejscu w witrynie, cena niestety też widoczna i wyraźnie wykaligrafowana; nie można było się łudzić, że antykwariusz pomylił się o jedno zero. Joasia wpatrywała się długo w książkę, wreszcie odeszła, myśląc:

To jednak niesprawiedliwe, żeby jeden sobie nie mógł kupić książki, na której mu zależy, a drugi tarzał się w złocie. No, ja się tak właściwie nie tarzam, ale na upartego... Wreszcie, dlaczego koniecznie muszę jeść masło? Muszę, nie muszę, choć jeżeli ojciec daje mi pieniądze, to nie po to, żebym jadła margarynę. To by też było nie w porządku.

W stołówce – niespodzianka. Zarządzająca, odcinając bloczek z abonamentu, powiedziała:

– Była pani na wakacjach? Pani należy się zwrot za siedem dni.

- Naprawdę? Ja myślałam, że nie wykorzystane obiady przepadają.
- U nas nie. Proszę, niech pani przeliczy.
- Świetnie, spadło jak z nieba. Ten styczeń taki długi...

Joasi przeleciało przez głowę, że gdyby tak jeszcze siedmiu obiadów nie jeść, toby na wszystko starczyło. Hm. To jest myśl. Powiedzmy sobie tak: jeśli pierwszy człowiek, jaki wejdzie teraz do stołówki, będzie mężczyzną, to kupię Międzyrzeckiemu książkę.

Założenie nie było uczciwe, bo w banku pracowali przeważnie mężczyźni, ale i tak pech chciał, że weszła – kobieta. Joasia rozzłościła się najpierw na los, potem na siebie.

Ojej, co się wygłupiasz. Masz rozum i wolną wolę i jak chcesz tego Chopina kupić, to kupuj bez żadnych tam losowań. Chcesz? Chcę. No więc. Pod koniec miesiąca wymówię parę obiadów, to będzie na bieżące wydatki, buty podzuję w lutym, jakoś wytrzymają, a książkę wkręcę między inne paczki na Mikołaja. Już o samo wręczenie nie ma co się martwić.

Na drugi dzień poszła do antykwariatu.

- Proszę „Listy” Chopina. Te z wystawy.

Antykwariusz popatrzył tylko, nie ruszając się z miejsca.

- To kosztuje trzy tysiące.

- Tak, proszę.

- Trzy tysiące!

- Wiem.

Antykwariusz spojrział na Joasię podejrzliwie, ale podszedł do okna i wyjął żadaną książkę. Joasia nawet jej nie przeglądała, tylko włożyła do teczki, odczekała, aż sprzedawca przeliczy pieniądze, i wyszła. Na złość nie powiedziała „do widzenia”.

W poniedziałek w domu zastała kartkę z zawiadomieniem, że ma odebrać paczkę na poczcie. No proszę, jak się znakomicie składa. Więc opieka domowa jednak sprawnie funkcjonuje. Jak pokombinuję z obiadami, to buty też mogę naprawić. Coś się boję, że nie wytrzymałyby do pierwszego. Lewy jest podejrzany!

Oczyszcza buty z „podeszew” mokrego, klejącego się śniegu i przy okazji stwierdza, że zelówki gonią ostatkiem sił. Byle tylko nie było zupełnej odwilży. Półbuty ujdą jeszcze w taką pogodę jak dzisiaj, ale na chłapie przemokną. A te też przemokną, ani chybi, jak tylko zaczniesz tajać.

Paczka była duża i obiecująca. Na wierzchu leżały ręczniki – nie zawadzą, choć Joasia przywiozła parę z wakacji. Potem zmiana bielizny pościelowej, sweter, którego od lat już nie nosiła... Ejże, coś ta paczka nie wygląda na zbyt pożywną. Jabłka – cała masa, chyba i ze trzy kilo – miłe to, ale gdzie coś konkretniejszego? Puszka z herbatnikami, potem coś w masie papieru. Masło? Gdzie tam, kurze udko. Jeszcze kawałek boczku, słoik dżemu, trzy pary skarpet i koniec. Wszystko razem starczy na cztery dobre kolacje, a następna paczka ma być dopiero za dwa tygodnie.

Wybrała kilka dorodnych jabłek, sporo co efektowniejszych herbatników – to będzie na część konsumpcyjną paczki dla Kociubińskiej. No cóż, tego „Przeminęło z wiatrem” już jej nie kupię, choćby się ucieszyła. Znajdę chyba coś z Rodziewiczówny i dołożę papier listowy, co dostałam na Gwiazdkę od macochy. Dobra jest, przynajmniej to załatwione – rozważa. A prowiantem nie ma co się przejmować, nie samym chlebem człowiek żyje. Po prostu będę kupować wątrobiankę i metkę, tanie a pożywne.

Gorzej było z butami. Niewyraźna w ciągu ostatnich dni pogoda zmieniła się w zdecydowaną odwilż. Nie odgarnięty śnieg topniał na chodnikach, jezdnie zalegała szara masa, przypominająca konsystencją przecier pomidorowy, z dachów się lało, a buty piły tę wszelaką mokrość jak bibuła i nie chciały potem wysychać, choć je Joasia obracała przy piecu na różne strony, jak kaczkę w brytfannie.

Wciągając rano nie wyschnięte, wilgotne w środku buty, Joasia czuła, że wyzywa los. Babcia tyle razy kładła jej do głowy, żeby broń Boże nie przemoczyła nóg! Przez cały dzień,



szurając po wstrętym topniejącym śniegu i czując, jak powiększa się w lewym bucie mokra plama na skarpecie, jak nasiąka wodą, jak ta woda zaczyna chlupać – powtarzała sobie: „Uee tam, gadanie. Nic mi nie będzie, tyle razy się upiekło!”

Ale wieczorem okazało się, że raczej się nie upiecze – bolały ją oczy, łamało w kościach i przede wszystkim przyplątał się kaszel.

No, Joanno, tylko bez paniki – powiedziała sobie. – Aspirynka, gorące mleko z miodem i szybko spać. Jeśli się nie rozkaszę przy ciotce, będę uratowana.

Bo chodziło przede wszystkim o to, żeby ciotka nie zauważyła. Potem zaraz wypytywania, lekarstwa, nie daj Boże bańki – na co to człowiekowi potrzebne. Odrobiła lekcje byle prędej, umyła się błyskawicznie, gorące mleko zabrała do łóżka – wiadomo, trzeba się szybko rozgrzać, to się kaszel człowieka nie przyczepi. Zasnęła też natychmiast, nie słyszała nawet, kiedy ciocia wróciła.

Zbudziła się w głębi nocy rozkaszana i przestraszona tym kaszlem – typowe „churchanie”, które pewnie było słyhać w całej kamienicy.

Może wstanę i zagrzeję sobie znowu mleka – zastanawiała się, ale myśl o zimnej kuchni odbierała wolę czynu. Nasłuchiwała oddechu ciotki.

Chyba śpi mocno, może jej nie zbudzę. Żeby tak człowiek mógł zasnąć!

Ale sen się jej nie miał, a kaszel nie opuszczał. Leżała z otwartymi oczami, wpatrzona w cztery kwadraty światła padającego od ulicznej lampy na ścianę. Lampa chwiała się na wietrze, kwadraty przesuwwały się raz na szafkę z książkami, raz na kawałek pieca. Usiłowała zabawić się rozpoznawaniem tytułów książek, ale ciągle nawroty kaszlu i na to nie pozwalały. Skupiła więc całą uwagę na kaszlu, jak by go podejść, zdusić, a przynajmniej ukryć.

Nie wolno mi churchać, aż doliczę do stu – postanawia twardo. Stara się oddychać tak jakos płytko, żeby nie drażnić zaczonego gdzieś w gardle kaszlu. Ale wróg nie daje się zwieść i przy „48” wybucha niepohamowanym ujadaniem.

Przecież to się musi skończyć, niedługo już będzie jasno – pociesza się. Taki kaszel czepia się człowieka zawsze nad ranem, a kończy się, jak się rozwidni. Żeby wytrzymać te parę kwadransów. Będzie mi, będzie, jak się ciotka obudzi: a co, a jak, a czemu, a mówiłam. Jak ja tego nie lubię! Boże święty, wielki, jedyny, spraw, żeby się ten kaszel skończył albo żeby przynajmniej ciotka nie słyszała!

Sfery niebieskie uznały widać sprawę za niegodną boskiej interwencji, bo niemal w tej samej chwili Joasia usłyszała podenerwowany głos ciotki:

– Ależ, Joasiu, gdzie ty się tak przeziębila! Jak można tak na siebie nie uważać! Przecież nie możesz w tym stanie iść do szkoły!

– Uee tam, przejdzie mi!

– Jak poleżysz parę dni, oczywiście.

– Ale ja nie mam gorączki, zresztą jest w sobotę ta niby Gwiazdka i muszę paczkę zanieść, i w ogóle.

– To ja paczkę pošlę przez kogoś. Weź najlepiej zaraz termometr i zmierz gorączkę, dobrze, że przypomniałaś. I kodeinę zażyj, jest w biurku po lewej.

– Kodeinę wezmę, ale leżeć nie będę!

Ciotka zapaliła lampkę

– Znalazłaś wszystko?

– Tak, ale ja nie mam gorączki!

– I boso stoisz na podłodze! Czyś oszalała?!

– Nie! – zaprzeczyła z przekonaniem, łyknęła kodeinę i dodała: – A termometru nie biorę, po co, zresztą kto po nocy by się w to bawił!

– Jest piąta... i tak nie uśniemy.

– Ja usnę zaraz, jak kodeina podziała!

– Może, i jak zmierzysz gorączkę.

Nie było sensu dalej się upierać. Przycisnęła termometr ramieniem i umilkła na znak protestu.

– Już, daj! – odezwała się ciotka po dziesięciu minutach. – Nie, po co wychodzisz, sięgniesz do mnie!

Joasia popatrzyła na termometr, nim podała go ciotce.

– 38,2°, proszę, a ja nic nie czuję! – powiedziała zuchowato, ale w duchu już się poddała wszystkim przyszłym zarządzeniom ciotki.

– Jak ty sobie tu, biedactwo, sama poradzisz? Mam zajęcia po południu na Pilczycach! – martwiła się ciotka. – Zadzwoń z miasta do szkoły, żeby cię kto przyszedł odwiedzić.

– Po co, dam sobie radę, musiałabym wstawać i otwierać.

– Bez wstawania pewnie i tak się nie obejdzie, choć ja ci wszystko przygotuję na obiad, tylko sobie odgrzejesz!

– Dobrze, jakoś będzie, zresztą nie będzie mi się chciało jeść. Będę wciąż spała! Za wszystkie czasy!

Ten zamiar wprowadziła w czyn niemal natychmiast i to tak gruntownie, że gdy otworzyła oczy, ciotki już od dawna nie było, na krześle przy tapczanie stała szklanka z wystygłym mlekiem, chleb z kielbasą i kartka z zaleceniami, co ma robić, a czego pod żadnym pozorem nie. Pod koniec podkreślone dwa razy: „Nie zapomnij dołożyć na ogień”. Joasia popatrzyła na budzik: no tak, pisane cztery godziny temu. Tylko dla zasady zajrzała do pieca, po czym poszła do kuchni po podpałkę. Przygrzała za jednym chodzeniem mleko, ale nim wygarnęła popiół, zapaliła, umyła ręce, mleko znowu było zimne.

O, drugi raz do tej lodowni nie polecę, trudno. Wypiję, jakie jest, dzięki Bogu, mam wszystkie pigułki pod ręką.

Krótkie przedpołudnie zeszło na pilnowaniu pieca, ścieleniu tapczanu i innych czynnościach porządkowych, tak że nawet wiele nie leżała. Ale kiedy skończyła obiad, trzeba było pomyśleć, co z sobą zrobić. Ani czytać – bo oczy bolą i głowa, uczyć się czy pisać – mowy nie ma. Spać się nie chce, dziwne, że człowiekowi nigdy nie chce się spać wtedy, kiedy może sobie na to pozwolić.

Zmierzyła gorączkę raz i drugi, ale ileż razy wreszcie można. Przełożyła więc poduszką na drugi koniec tapczanu i wpatrywała się w okno – niebo było szare, gałęzie drzew czarne i wilgotne – nawet po tym małym wycinku świata można było sobie wyobrazić, co za parszywa chlapa na dworze. Na ulicy panowała cisza, tylko co dwadzieścia minut z hałasem przejeżdżał rozklekotany autobus. U sąsiadów na dole radio grało koncert życzeń, po klatce schodowej biegły dzieci, u góry musiało chyba być pranie, bo często – gęsto słychać było, jak rurami pędzi masa wody. Potem szybko się ściemnia, po piecu i bibliotece znów przesuwiają się kwadraty światła ulicznej lampy, ciotka wraca, ciotka wychodzi, jest już czwartek, piątek, sobota – nic się nie dzieje, gorączka nie spada, kodeina, aspiryna, syrop. Kiedy się to nareszcie skończy? Te „Zielone lata” są zupełnie nie do czytania, żeby choć radio było! Nie chce się przygrzewać obiadu, najlepiej, żeby człowiek umarł, toby się nie męczył...

Dzwonek?! Niemożliwe! – Joasia spogląda na budzik, jakby fakt, że zbliża się piąta, miał jej pomóc odgadnąć, kto stoi za drzwiami. Dzwonek się powtarza, więc chwytą szlafrok i, niepomna zaleceń ciotki (spytaj zawsze „kto tam”, nim otworzysz), odsuwa rygiel. Na schodach stoi Jamrózka.

– Marysiu, cześć, wchodź, wchodź. Jak się cieszę, przynajmniej jedna sprawiedliwa dusza w tej Sodomie! – woła uradowana, ogarnia Marysię ramieniem i popycha do środka.

– Czekaj, nie jedna! – odpowiada Marysia. – Marek, przestań się kryć!

Za ściany wysuwa się Międzyrzeczki. Futrzana czapka, niebieskie oczy, wyciągnięta ręka. „Czy mi się śni?” – przelatuje Joasi przez głowę.

– Dzień dobry – mówi cicho. – Proszę, wejdźcie.

Zamyka drzwi za ich plecami.

– To może się rozbierzecie sami, o, tu są wieszaki, a ja ucieknę do łóżka, bo ciotka właściwie nie kazała mi wstawać.

– Tak, tak, leć szybko – popędza ją Marysia, więc Joasia znika, w biegu rzuca szlafrok na fotel, sekundę zastanawia się, po czym wyciąga „Listy” Chopina z szafki i kładzie na fortepian. Wsuwa się pod kołdrę i nasłuchuje głosów z przedpokoju.

– Mój Boże, Międzyrzecki – szepce nagle do siebie. – Międzyrzecki. Naprawdę.

Rozlega się coś w rodzaju stukania w otwarte drzwi i goście wchodzi. Są trochę czymś skrepowani, ceremonialni, co Joasię niepomnie dziwi.

– To pani profesor nie ma w domu? – pyta Marysia i nie czekając odpowiedzi ciągnie dalej: – Popatrz, nikt się nawet nie domyślał, że u niej mieszkasz!

– Ho–ha, Uruska to kobieta tajemnicza – wtrąca Międzyrzecki.

– Gdzie tam tajemnicza. Nikt mnie nie pytał, to co miałam opowiadać. Ale siadajcie i mówcie, co w szkole.

– No, więc był dzisiaj ten niby Mikołaj – zaczyna Jamrózka sadowiac się na fotelu obok łóżka (Międzyrzecki siadł na drugim fotelu, dalej, ale na wprost Joasi). – Wiesz, właściwie nie masz czego żałować, było tak jakoś sztywno, klasowo. Szkoda, żeśmy nie zrobili całej uroczystości u kogoś w domu.

– Tak, wiesz, Marysia po prostu schnie z tęsknoty za jakimiś bachanaliami na prywatce – śmieje się Międzyrzecki i Joasia musi mu wtórować. Marysia i „bachanalie” to doprawdy komiczne.

– Hanka Müllerówna rozdała paczki, każdy obejrzał swoją i już nie było co robić, zabraliśmy się i poszli do domu. Marek, może byś przyniósł paczkę Joasi, położyłam ją gdzieś w przedpokoju.

Międzyrzecki wychodzi, a Marysia ciągnie dalej:

– A Marka spotkałam po drodze i namówiłam, żeby też przyszedł, zawsze we dwoje weselej. Wykręcał się, że ma ważną wizytę na Karłowicach, ale mu wybiłam z głowy.

– Nic nie potrzebowałaś mi wybijać, przecież od razu się zgodziłem. Proszę – kładzie na kołdrze pakuneczek owinięty w szary papier i zielony sznurek. – Zobacz zaraz, co w środku, może coś dobrego do jedzenia.

Joasia w tej chwili uprzytamnia sobie, że gości trzeba czymś przyjąć.

– Marysiu, wiesz, jakbyś była tak dobra i jakby ci się chciało, to może byś zrobiła herbaty? W puszcze na szafie są ciastka.

Marysia znikła, a Joasia rozplątuje sznurek i z kartonu wyjmuje kolejną paczkę herbatników, torebkę cukierków, jabłka i trzy chusteczki do nosa.

– Bardzo się cieszę, takie ładne, w kratkę. Proszę poczęstuj się – wyciąga w stronę chłopca cukierki. – A ty co dostałeś?

– O, Marek ma szczęście, wiesz, dostał aż trzy paczki, od jakichś tajemniczych wielbicielek – mówi od progu Marysia. Trzyma tacę i rozgląda się, gdzie ją postawić. Joasia doradza, jak poprzesuwać paki zeszytów ze stołu, i myśli chaotycznie: Trzy paczki. No, to świetnie. Mało brakowało, a dostałby czwartą. Patrzcie, jak to nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Jakbym nie zachorowała, toby mnie jeszcze też zaliczyli do tajemniczych wielbicielek. Uprzejmie dziękuję, wolę nie. Żeby mu się do reszty w głowie przewróciło. Też miałam pomysły! Boże święty, jedyny, żeby tylko nie zauważył tego Chopina.

Marysia znowu wychodzi, a Międzyrzecki kręci się po pokoju, przegląda książki, bierze do ręki porcelanowe figurynki...

Zimno, zimno, ciepłej, dzięki Bogu zimniej – mówi w duchu Joasia. Rozmowa się nie klei, z winy Joasi zresztą, bo szukając jakiegoś pretekstu, by Międzyrzeckiego na moment wyprawić z pokoju, odpowiada monosylabami.

– Może byś pomógł Marysi? – proponuje nieśmiało.

– W czym? Hej, Marysiu, czy mam ci pomóc?

– Nie, nie, ja tylko czekam, aż się woda zagotuje, a wszystko już mam. Ale może byś tymczasem coś nam zagrał?

O, Jezu, ale trafiła – Joasia popada w panikę. – No i co ja teraz zrobię? Jak mu wytłumaczyć, skąd te „Listy”? Ach, ty tępoto, trzeba było wcześniej się zastanowić – wymyśla sobie, ale mówi uprzejmie:

– Jeśli masz ochotę, to byłoby nam bardzo miło. Ale jeśli nie chcesz, to nie – dodaje w nadziei, że zapobiegnie katastrofie. Tymczasem Międzyrzecki widać zrozumiał ten dodatek jako czysto grzecznościowy.

– Nie, mogę zagrać. A co lubisz?

– Wszystko – odpowiada szybko i myśli: „Byle nie zaczął przewracać nut”. Ale Marek właśnie sięga po nuty leżące na pianinie. Joasia odwraca głowę do ściany. No, trudno, niech się dzieje, co chce. Słyszy szelest odwracanych kart, stuknięcie odkładanych albumów i nagle podniecony okrzyk:

– Skąd to masz?

– Co? – pyta, choć wie dobrze, o co chodzi.

– Te „Listy” Chopina. Były takie w antykwariacie. – Międzyrzecki najwyraźniej nie pamięta, że mówił o tym przy Joasi. – Cholernie drogie, ale póki były, zawsze miło było popatrzyć. A przed paroma dniami jakieś bydlę musiało kupić, bo już nie ma na wystawie.

– Dlaczego zaraz bydlę? Może jakiś muzykolog. Zresztą, jeśli ci tak zależy, to mogę ci się pożyczyć.

– To twoje?

– Tak. To jest nie, ale ten ktoś nie będzie się upominał. Możesz trzymać, jak długo ci się podoba.

– A to nie jest książka pani profesor? Bo możesz mieć jakieś nieprzyjemności.

– Nie!

– Na pewno?

– Jak mówię, że nie, to nie. Ciotki książkami bym się nie rządziła. To jest takiego jednego z Karczewa. Organisty – dodaje ucieszona, że takie prawdopodobne kłamstwu przyszło jej do głowy, i rozwija historyjkę dalej: – Jemu to ktoś przyniósł, wiesz, w czasie wojny tyle bibliotek się rozleciało, musiał ktoś znaleźć i myślał, że organiście się przyda. A jemu na co, więc dał mi za jakieś nuty. To włóż od razu do teczki, żebyś nie zapomniał zabrać.

Międzyrzecki jednak nie chowa książki, tylko ogląda ze wszystkich stron.

No, dzięki Bogu. Mam to poza sobą – myśli uradowana Joasia. – Kamień z serca. I czego było się denerwować. Poszło lepiej, niż gdybym dała paczkę. Ktoś by o tym musiał wiedzieć i ładnie bym wyglądała. No, moja Joanno, i tak nadzwyczajnie nie wyglądasz – martwi się nagle – wreszcie fakt faktem, że dostał dziś czwarty podarunek oprócz tamtych trzech paczek, i wychodzi na to... Na nic nie wychodzi, on ma nieprzeciętny umysł i niby dlaczego nie pomagać mu, żeby się rozwijał – gasi swój niepokój. – Czy człowiekowi już nie wolno nikomu pomagać?

Kiedy zabierają się wreszcie do tej herbaty, Joasia jest w znakomitym humorze. Zwraca się przede wszystkim do Marysi, ale obecność kolegi już jej nie peszy, wydaje jej się nawet, że nie zwraca na niego uwagi. Marek zresztą zagląda co chwila do darowanej książki, żeby choć rzucić okiem na treść. Najchętniej pewnie poszedłby zaraz do domu – przelatuje Joasi przez myśl, gdy widzi, jak pochyla głowę nad książką z jakimś szczególnym zainteresowaniem. W tym momencie chłopiec przenosi wzrok na koleżankę:

– I mówisz, że masz książkę od waszego organisty? – pyta.

Joasia potakuje i wraca spokojnie do rozmowy z Marysią. Nie zauważa zupełnie, że Marek jeszcze przez chwilę przypatruje jej się podejrzliwie. Bo w książce była zakładka z napisem jak wół: J. Worejło. Antykwariat Naukowy, Wrocław, Szewska 62.

## 8. Jeden głupi krok

Nikt tam specjalnie oczu za mną nie wypatruje – myślała Joasia, idąc pierwszy raz po chorobie do szkoły – ani ja tak znowu za nikim nie tęsknię, ale zawsze miło być już nareszcie między ludźmi. Całe szczęście, że nie mam żadnych zaległości, ta Marysia jest strasznie poczciwa, że mi przedwczoraj przyniosła prawie wszystkie zeszyty. Ciekawa jestem, czy kto zauważy, że już jestem.

Zauważyli, a jakże. Jamrózka, Palikówna – to jasne. Ale najniespodziewaniej hałaśliwą radość objawił Wilkołek:

– Co, wyleniuchowałaś się, ha! – spojrzał na zegarek. – A ja już myślałem, że cię w życiu nie zobaczę. Dobrze, że jesteś, ha! Nie lubię pustego miejsca obok siebie. No, daj przynajmniej łapę na przywitanie, ha-ha!

Joasia tłumaczyła sobie tę serdeczność jednoznacznie – chodzi mu o Cyncerona. Zapytała oględnie:

– Jak sobie dawałeś radę z łaciną? Pytał cię? Ja mam tłumaczenie tego, co na dziś, więc może sobie odpiszesz?

– Nie, nie, łacinnik jest chory, już wczoraj nie miał lekcji, mówili mi ci z przyrodniczej, Pójdziemy na pewno dwie godziny wcześniej do domu – znowu odgarnął rękaw, żeby zobaczyć godzinę. – Może ci zanieść teczkę do tramwaju, bo pewnie jesteś słaba – i tu roześmiał się bardzo głośno, żeby nikt nie miał wątpliwości, że żartuje.

Przewidywania Wilkołka co do zastępstwa czy raczej braku zastępstwa na łacinie nie spełniły się: wychowawczyni poleciła im po trzeciej lekcji iść do prawego skrzydła gmachu i zajmując się porządkowaniem zaplecza sceny w auli, klatki schodowej i przyległych pomieszczeń.

– Wszystkiego zapewne i tak nie zrobicie, ale starajcie się, bo prawe skrzydło musi być sprzątnięte przed zabawą. Pan dyrektor życzy sobie, żeby klasy były zamknięte w tym czasie, a bufet, szatnia itp. mają się mieścić wyłącznie w okolicy auli. Woźny wam pokaże, gdzie macie wyrzucać śmiecie. Potem przyjdą matematycy wam pomóc.

Aula od tyłu przedstawiała się zgoła niepokojąco. Wyglądało na to, że wszystkie graty, papiery, gruz, sprzątnięte swego czasu z sali, upchano za kulisami i na schodach. Nie wiadomo było, od czego zacząć. W dodatku woźny wcale nie przychodził, narzędzi żadnych nie mieli i zanosilo się na to, że nic nie zrobią. po jakimś kwadransie bezmyślnego obijania się Jasio Skorupka zaproponował:

– Najlepiej będzie, jak pójde po woźnego, prawda?

Czekali na niego dość długo, wreszcie stracili nadzieję.

– Zupełnie jak w „Rękawicze”: „To rzekł i poszedł, i więcej nie wrócił” – skomentował incydent Międzyrzecki.

– Nie ma rady, trzeba coś zrobić – powiedziała Opisówna. – Wywalmy przynajmniej te rupiecie zza kulis na schody.

Lipski i Zagórski zaczęli się mocować z drzwiami. po paru energicznych kopnięciach udało się otworzyć oba skrzydła.

– No, wolna droga! – Zagórski z ukłonem wskazał zakurzoną klatkę schodową. – Spróbujmy jeszcze otworzyć tamte na dole.

Polecieli i przepadli.

– Przyjdą, kiedy wypalą w jakim kącie papierosa – zauważyła Bożka, jak zwykle świadoma zwyczajów kolegów. – Lepiej na nich nie czekać.

Więc każdy wziął się do roboty, jak umiał. Wilkołek i Międzyrzecki wynaleźli gdzieś szczątki dużego kartonu i tryumfalnie przywlekli na środek sceny.

– Niech kobiety zamiatają śmiecie, a my będziemy wynosić tym pudłem – oznajmił Wilkołek, po czym obaj chłopcy siedli na rampie i pograżyli się w dyskusji, filozoficznej, rzecz jasna.

Joasia, pakując papiery do worka po cemente czy czymś takim, spogląda od czasu do czasu w ich stronę. Kiedy ani się ruszą? Wilkołek jak Wilkołek, nie ma do niego pretensji, ale wolałaby, żeby Międzyrzecki nie był obibokiem. W ogóle wolałaby, żeby był mniej cudownym dzieckiem. I prawdę mówiąc, mógłby człowiekowi przynajmniej powiedzieć dzień dobry, jak człowiek po tygodniu przychodzi do szkoły. A, co tam. Pociągnęła worek do drzwi i po schodach na dół. Tymczasem na scenie ster rządów objęła Müllerówna:

– Taż poszukajcie sobie jakiejś tektury i zamiatajmy śmiecie. A te połamane krzesła najlepiej zrzucić od razu na dół. I niech idzie ktoś po szczotki.

Na scenie się zakotłowało. Chłopcy popychali pudło od jednej koleżanki do drugiej, śmiecie przegarniano z miejsca na miejsce, nim wreszcie lądowały na parterze, wszyscy pokrzykiwali na siebie.

– Coś nas tu za dużo – pomyślała Joasia. – Może lepiej uprawiać inicjatywę prywatną?

Wyszła na klatkę schodową. Na półpiętrze były uchylone duże drzwi. Skierowała się w tamtą stronę. – Chcesz się zająć tą łaźnią? – krzyknęła za nią Opisówna.

– To tam jest łaźnia?

– Była. Ale sprzątnąć można. Chodź, weźmy się do tego, bo tam z nimi można kręcka dostać.

Dogoniła Joasię i we dwie weszły do małej salki wykładanej białymi kaflami.

– Cholerny świat, żeby to tak uruchomić, nie? – Joasi zaimponowały rzędy natrysków przy ścianach.

– Na wszystko przyjdzie czas, nic się nie martw. Sprzątnijmy najpierw te skorupy.

Oprócz papierów, których tu wszędzie było pełno, w łaźni wały się jakieś potłuczone miski, rury, kawałki instalacji elektrycznej. Janka Opisówna nic nie mówiąc wzięła się do skorup. Układała je zrecznie jedne na drugich, jak gdyby zbierała talerze ze stołu, i wynosiła wielkimi stertami. Joasia, nie chcąc jej wchodzić w drogę, zajęła się rurami. Od czasu do czasu, gdy chodziło o jakiś cięższy złom cegieł albo o szczególnie zaplątane druty, pomagały sobie nawzajem. Właściwie pracowały w milczeniu. Joasię z początku to krępowało, nie miała wielkiej chęci do gadania, ale wydawało jej się, że wypada. Spostrzegła jednak, że Opisówna nie pali się do rozmowy, więc dała spokój.

– No, toby prawie było – odezwała się wreszcie Janka. – Tylko trzeba jeszcze pokropić wodą i zamieść.

– To ja pójde do nich po szczotkę i wiadro.

– Chodźmy razem.

Ale na scenie już nikogo nie było.

– A to dranie, co? Urwali się i uciekli – Janka uśmiechnęła się do Joasi. – Swoją drogą aż się dziwię, że tu jednak coś zrobili. Przy takim bałaganie. Wiesz, ja tam specjalnie się do roboty nie palę, mam dosyć sprzątanania w domu, ale mnie szlag trafia, jak widzę takie obijanie i bezhołowie jak dziś. Ostatecznie to jest nasza szkoła.

– Pewnie – przytaknęła Joasia i dodała: – To co, pójdziemy umyć ręce i też się zabierzemy.

Rozstały się zaraz za bramą. Joasia jeszcze na trzy dni miała „wymówione” obiady, więc nie jechała do miasta, tylko wprost do domu. Zresztą nie chciała wracać z Opisówną. Co mi do niej – myślała – ma te swoje koleżanki z przyrodniczej, wreszcie o czym byśmy gadały: o zabawie nie chciała, o kolegach... cóż można tu ostatecznie powiedzieć.

Jeszcze przez kilka dni pracowali w prawym skrzydle budynku, bo przecież na wyrzuceniu śmieci sprawa się nie skończyła: trzeba było jeszcze szorować podłogi, myć drzwi i okna, a wreszcie jakoś ozdobić salę. Zainteresowane klasy uznały, że to właśnie humaniści powinni coś zaprojektować – że niby są ducha artystycznego, że sztuka im jest najbliższa i takie inne ple-ple. Więc humaniści zaprojektowali jakieś kwiatki i zlecili wykonania przyrodnikom – no, bo oni znają się na badylach. Przy tych wszystkich sporach, co najdziwniejsze, robota jakoś posuwała się naprzód, tak że na piątek zostały tylko prace wykończeniowe: instalowanie nastrojowego oświetlenia i rozwieszenie papierowych kwiatów.

Joasia uczestniczyła w tych wszystkich przygotowaniach jeśli nie z entuzjazmem, to w każdym razie z przyjemnością. Niemiała była w tym zasługa Opisówny. Ich przypadkowa współpraca z pierwszego dnia jakoś się utrwaliła, weszła w zwyczaj. Razem wyszukiwały sobie coś do roboty i bez długotrwałych narad ustalały podział pracy. Joasia początkowo ze zdumieniem, potem z radością dochodziła do przekonania, że Opisówna da się lubić, i to bardzo. Któregoś dnia wieczorem ciotka musiała wysłuchać dłuższej charakterystyki koleżanki:

– Bo widzi ciocia, Jankę uważają za zarozumiałą, a ona naprawdę, w środku, jest bardzo skromna. Tylko ona ma zasady. W ogóle niewiele ludzi ma zasady, a już takie, jak ona, to mało kto. Janka, jeżeli się na kogo obrazi na przykład, to nie przez ambicję czy zarozumiałość. W ogóle nawet trudno powiedzieć, że się obrazi, ona tylko lubi tak zdrowo przygadać. Ale nie z powodów osobistych. Ja się nad tym zastanawiałam i widzę, że Janka wojuje tylko z tymi, którzy są w jakiś sposób nieuczciwi. Raz na fizyce Olszewski wymyślał nam od nieuków i Janka mu wprost powiedziała, że umiemy akurat tyle, ile on nas nauczył.

– Ależ tak nie można! Zresztą wasza klasa może być rzeczywiście mniej uzdolniona w naukach ścisłych – ciotka jak zwykle okazała się przede wszystkim pedagogiem.

– Gdzie tam! Dlaczego biologię wszyscy umieją? Fizyk sam się płacze w wykładzie, a stroi miny, jakby był kolegą Einsteina. Doświadczenia robi tylko te najprostsze i jeszcze mu nie wychodzą. Uee, szkoda gadać. Opisówna miała świętą rację, że się rozzłościła. Ale ja dam cioci inny przykład: Müllerówna dostała piątkę, bo jej Opisówna genialnie podpowiadała...

– Podpowiadaniem nie należy się zachwycać!

– Ojej, ciocia też! Gdyby podpowiadała Nowacka, toby trąbiła przez całą przerwę, że tylko dzięki niej. A Janka zupełnie szczerze się cieszyła, że się udało. Ale jak Jarema się chwaliła piątką z łaciny, to Jankę zeźliło: bo Jarema naprawdę jedzie tylko na cudzych tłumaczeniach, więc niech nie mydli przynajmniej nam oczu. Nikt jej tej piątki nie zazdrości, niech się cieszy, dobrze. Ale chwalić się jak osobistą zasługą tym, co zawdzięcza komu innemu, to już kant do kwadratu. I Jance właśnie o to chodziło, a nie, że akurat na jej tłumaczeniu Jarema zarobiła piątkę. Po prostu szło o zasadę.

– Więc ty cenisz w niej to, że nie cierpi obłudy, tak?

– No nie, nie tylko, że Janka nie cierpi obłudy, dlatego że jest w ogóle sprawiedliwa. Jak z nią sprzątałam aulę, to bardzo pilnowała, żebyśmy dzieliły się robotą po równi i prędzej sama by przydzwigała wiadro więcej, niżby na mnie coś zwała. Ona wszystko robi bardzo solidnie i jeśli się gniewa na innych, że się obijają, to nie dlatego, że sama ma przez to więcej roboty, tylko że w ogóle nie należy się obijać. Na przykład Müllerówna też dużo zrobiła, ale ona lubi

się rządzić, poganiać ludzi, organizować itp. Janka nie. Już tam na rządzeniu kolegami wcale jej nie zależy. Tylko uważa, że porządek musi być. Tak że bardzo się cieszą z tego zamieszania z powodu zabawy, bo bez tego bym chyba długo nie poznała się na Opisównie.

– Proszę, co za filozoficzny stosunek do zabawy. A na samą zabawę się nie cieszysz?

– Nie, dlaczego? Cieszę się, oczywiście. Ja w ogóle lubię takie okazje, kiedy ludzie pokazują się inni niż na co dzień.

– Znowu filozofujesz! – roześmiała się ciotka.

Ale Joasia mówiąc, że lubi widzieć kolegów w niecodziennych okolicznościach, nie miała na myśli wielkich uogólnień. Po prostu zastanawiała się, jaki w tych niecodziennych okolicznościach będzie na przykład Marek Międzyrzecki. Choćby: jak będzie ubrany? Powinien świetnie wyglądać w ciemnym garniturze. Z kim będzie tańczył? Czy „białe walce” zdemaskują owe wielbicielki, co posłały mu paczki na Mikołaja? Z Joasią oczywiście też zatańczy, to jasne, ale co, ale ile razy?

W piątek po lekcjach starsze klasy zebrały się dla ostatecznego podziału pracy. Szefem batalii był fizyk. Grzmiącym basem rozdzielał role: chłopcy do szatni, dziewczęta do bufetu, dyżury od – do, porządku pilnują ci a ci...

– A teraz wszyscy idźcie na obiad i wróćcie za godzinę dokończyć dekoracji sali. Tylko niech nikt nie próbuje się wykręcać! Bez pracy nie ma zabawy, moi państwo!

Morały fizyka nie były potrzebne – wyjątkowo solidnie zabrali się do roboty. Dzień był pochmurny, więc szybko zrobiło się ciemno, ale nie zapalano górnych lamp, bo matematycy wciąż coś kombinowali z reflektorami i co chwila strumień czerwonego lub zielonego światła wydobywał z szarości inną grupę: to chłopców noszących stoły, to Wilkołka i Międzyrzeckiego bohatersko zmagających się na drabinie z młotkiem i gwoździami, pannę Sianko, Müllerównę i Jaremiankę, ćwiczące przy fortepianie duet na jutrzejszy występ. Na skraju sceny siedziała spora grupa uczennic dorabiających pośpiesznie gałązki z różowymi kwiatami jałbłoni (tak w każdym razie przyrodnicy określili zasadniczy element dekoracji), bo okazało się, że jeszcze zabrakło na ubranie drzwi.

Duet skończył próbę, ale panna Sianko nie wstawiała od fortepianu, grała najbardziej znane pieśni Moniuszki, a dziewczęta z rampy wtórowały. Któryś z matematyków czym prędzej skierował światło na tę sielankową scenkę, krzątający się po sali na chwilę przystanęli, by popatrzeć, co się dzieje, z różnych stron niesforne głosy podejmowały piosenkę.

Joasia z Janką okrywały białym papierem stoły. Janka przybijiała pineski, a Joasia przytrzymywała papier odpowiednio pozakładany.

– Pineski –zażądała Janka wyciągając rękę. Czekala chwilę, a potem zdziwiona wysunęła głowę spod stołu: jej pomocnica z rzewnym wyrazem twarzy gapiała się w drugi kąt sali. Janka popatrzyła w ślad za jej wzrokiem. Wilkołek rozcierał sobie stłuczony palec, a Międzyrzecki zbierał rozsypane gwoździe. Nie było w tym obrazku naprawdę nic lirycznego. Janka zerknęła jeszcze raz na Joasię i uśmiechnęła się.

Repertuar panny Sianko widać nie bardzo odpowiadał uczniom, ale sam pomysł chwycił, bo po jej odejściu wszyscy śpiewali. Zrobił się szybko straszny harmider, nawet wieża Babel, bo „francuzi” nucili jakieś „ron-ron, ron-ron, petit patapon”, „anglicy”, że to oni nie gorsi, zaczęli ryczeć jedyną melodię, jaką dobrze znali: „God save the King”. W odpowiedzi na tę monarchistyczną manifestację Międzyrzecki zaintonował: „Habsburskiemu cześć domowi”, co paru galicjaków con amore podjęło.

– Ale się wiara wygłupia, nie? – zwróciła się do Janki Joasia.

– No! To nawet dziwne, ale lepiej robota idzie przy takim wrzasku.

Robota miała się ku końcowi, natomiast wzmagął się nastrój zabawowy. Jarema i Müllerówna zeskoczyły ze sceny i do wtóru tego „petit patapon” zaczęły tańczyć walczyka i po chwili już kilka par kręciło się na środku auli.

– Gdzie jest Lipski, niech zagra do tańca! – wołano.



– Mówię wam, zabawa przed zabawą jest najlepsza!  
Przed Joasią znalazł się Wilkołek.

– Chodź, tego, potańczymy, dziś generalna próba!  
Joasia obejrzała się na Jankę, ale Janka już szła na środek z jakimś przyrodnikiem.

– No, dobrze, jak chcesz.

– Bo ja, haha, nie umiem dobrze tańczyć, więc się na mnie czasem nie gniewaj, ale muszę się przecież nauczyć.

Nic nie wyszło z tej nauki. Fizyk, którego przez cały czas nie była, teraz musiał się zjawić:

– Nie, moi państwo, tak nie można. Mówiłem: najpierw praca!

– Ale już wszystko, wszystko skończone, panie profesorze!

– Jak skończone, to jazda do domu, Lekcje kto za was odrobi?

Mówi się trudno. Z ociąganiem zaczęli zbierać się do wyjścia. Jeszcze mieli nadzieję, że fizyk spłynie. Ale nie, czekał, nieugięty jak Kato, aż ostatni uczeń opuści aulę.

Na ulicy było zimno, mgliście, wietrznie – zgoła listopadowo. W świetle rzadkich latarni połyskiwały kałuże, wiatr marszczył ich powierzchnię, pod nogami uczniów trzaskały suche gałązki. Choć wysypali się całą gromadą, rozgadana i podśpiewująca, gwar prędko ucichł, rozpadli się na małe grupki, omijając ostrożnie wyrwy w chodnikach, pełne błota i wody. Joasia, Janka, Wilkołek i Międzyrzecki szli na końcu.

– Szkoda, że już nie ma Piwkówny – mówiła Janka. – Ona strasznie lubiła takie hece, jak dziś. I rzeczywiście umiała bractwo rozspiewać, tak że szkoła się trzęsła...

Wilkołek jej przerwał:

– Tak, tak, ale patrzcie, nasz tramwaj! Walmy, to go złapiemy przy moście!

Ruszyli pędem, Janka i Wilkołek wysforowali się naprzód, choć właściwie nie było szans na dogonienie dwunastki.

– Co tam, chodźmy do placu pieszo! – krzyknął w ich stronę Marek i zwrócił się do Joasi:

– Tobie chyba bardzo żal Piwkówny? Tak cię opuściła dla tego ułana?

– Mój Boże, serce nie sługa – odpowiedziała Joasia, ucieszona, że Marek chce się czegoś dowiedzieć o niej samej. – Wreszcie ma rozum i wolną wolę, nie jest dzieckiem...

– Kto jest starszy, ty czy ona? – Ja, oczywiście. O miesiąc. – No, a kto poważniejszy?

– Ja, oczywiście. – O ile?

– Och, o dużo.

– No, ale ona ma męża, jest panią domu.

– Uee, tam... O chol... – zaklęła nagle przerażona. Międzyrzecki pośliznął się w ciemności na rozmazanym błocie. Joasia odruchowo chwyciła go za rękę.

– No, ale bym się kropnął – odetchnął Marek trzymając jeszcze dłoń Joasi. – To było bardzo ładnie z twojej strony – dodał po paru sekundach.

– Co? – zdziwiła się.

– Z tymi „Listami” Chopina.

Joasi zabrakło nagle tchu. Podniosła głowę i spojrzała na chłopca. Nie widziała dobrze jego twarzy, tylko same oczy, błyszczące w świetle dalekiej latarni, przynajmniej na ten raz nie przymrużone złośliwie.

– Też coś – mruknęła wysuwając rękę z dłoni kolegi. – Przypomniało ci się. Dogońmy lepiej Jankę, bo czeka tam na rogu.

Jako jej odeszła chęć do rozmowy. Słuchała jednym uchem tokowania Wilkołka i rozmyślała:

Jaka to bujda z tymi oczami: mówi się, że zwierciadło duszy, wymowne spojrzenie, że można wszystko wyczytać... i takie ple-ple. Patrzyłam Markowi w oczy chyba pół minuty, i co? I nic. Wiem tyle, co przedtem: że ma niebieskie. Też odkrycie! Ale dlaczego powiedział o „Listach”? Bo tak, bo mu się przypomniało. Akurat teraz, jakby nie miał tysiąca okazji przedtem? Mój Boże, przecież to coś chyba wszystko razem znaczy? Co wszystko razem?

No, uścisk dłoni, spojrzenie prosto w oczy, to odezwanie się... Nic nie znaczy, rozumiesz? Zapamiętaj sobie: t o n i c n i e z n a c z y.

Ale nie była, nie chciała być tego tak zupełnie pewna. Choć w ogóle lubiła zabawy, jutrzejszej już wprost nie mogła się doczekać. Wyobrażała sobie, że ten wieczorny przypadek jest jak gdyby pierwszym słowem zdania, którego dalszy ciąg zostanie napisany na zabawie; tak jak słowo „pogoda” nie zapowiada samo przez się ani nic miłego, ani nieprzyjemnego – dopiero uzupełnienie „jest ładna” czy „jest okropna” robi z tego rzeczownika piękny dzień albo słotę.

Dyżur przy bufecie wypadł jej na samym początku zabawy, z czego się bardzo ucieszyła. Przez pierwsze dwie godziny będzie mogła spokojnie się wszystkiemu przyjrzeć, a kiedy po dyżurze przyjdzie do auli, zabawa już się rozkręci i człowiek będzie wiedział, gdzie się obrócić.

Towarzyszyła jej przy bufecie koleżanka z przyrodniczej c. Joasia знаła ją trochę z zebrań zetempowskich, zresztą Wandzia była w ogóle rozmowna i towarzyska, a poza tym świetnie oblatana w szkolnym „who is who”.

– O, widzisz tę ferajnę? To z jedenastej. Ten wysoki facet chyba zaraz po maturze ożeni się z tą małą, okrągłą panną... zawsze ich się widzi razem. Popatrz, popatrz, jak się Hanka wystroiła, chyba była u trwałej – komentowała tak każdą wchodzącą grupę.

Robiło się coraz ludniej i dziewczęta musiały dobrze uważać, by nie przegapić niczyjego wejścia. Na szczęście przy bufecie był spokój – ruch zacznie się dopiero na drugiej zmianie. Orkiestra grała ucziwie, bez oszczędzania się „na potem”. Wszystko wskazywało, że zabawa będzie udana.

Przed bufetem pojawił się fizyk:

– Niech któraś z was przyniesie cztery herbaty i zakąski na mój stolik – zakomenderował. – Tylko szybko, na jednej nodze!

Wandzia rozmawiała z jakimś kolegą, więc Joasia załadowała, co trzeba, na tacę i poszła szukać stołu fizyka. Wracając, natknęła się na koleżanki ze swojej klasy.

– Cześć, jak to się stało, że was nie widziałam, jak wchodziłyście!

– Właśnie przyszłyśmy, w tej sekundzie – objaśniła ją Bożka Jarema. – Widać, że już bractwo bawi się na całego. A ty jak długo masz siedzieć nad tymi kanapkami?

– No, jeszcze godzinę, ale to zleci. Potem was znajdę.

Nie chciała pytać, kto jeszcze z klasy przyszedł. I tak zaraz zobaczy przy szatni albo w hallu.

– Joanna, czy bardzo się pogniewasz, jak cię na chwilę zostawię samą? – przywitała ją Wandzia. – Tak fajnie grają, a tu przecież nie ma co robić...

– Dobrze, dobrze – zgodziła się od razu.

Wandzia przepadła z wysokim piegowatym matematykiem. Przy szatni kłębił się tabun chłopaków. Joasia zauważyła Zagórskiego i Wilkołka. Obaj, poprawiając marynarki, spieszyli do auli, nie tracąc czasu na rozglądanie się. Tuż przed aulą Wilkołek zatrzymał się – popatrzył na zegarek, zamachał rękami do Zagórskiego i obróciwszy się na pięcie, pomaszerował w stronę Joasi.

– Dobry wieczór – przywitał się trochę ceremonialnie. – Zapomniałem, że masz tu tkwić do ósmej. I tak sama urzędujesz?

– Nie, tylko Wandzia poszła tańczyć.

– O, świetnie, jak wróci, zatańczysz ze mną. Wczoraj nam się nie udało, to sobie teraz odbijemy.

Joasia zawahała się, spojrzała w stronę wejściowych drzwi, ale Wanda już wracała, więc nie było powodu, by odmówić Wilkołkowi. I potem już do końca dyżuru na zmianę tańczyły z przyrodnikami, z Wilkołkiem, z matematykami. Wreszcie zdały bufet innym dyżurnym, Wandzia poszła do swoich, a Joasia stanęła przy drzwiach i patrzyła na rozbawioną salę. Zza

pleców Zagórskiego pokiwała do niej ręką Janka, fizyk, nadęty jak zawsze, tańczył z uczennicą z XI klasy...

A Międzyrzeckiego jednak nie ma – pomyślała. Boże, jakie to wszystko nudne. Te kwiatki na ścianach są okropne.

Taniec się skończył, do Joasi podeszła Janka z Zagórskim.

– Chodź do nas, jest prawie cała klasa – Janka pociągnęła ją za rękę. – Hanka, Bodek, Henio Wilkołek...

– Dziękuję uprzejmie za Henia Wilkołka. Nie dość, że tańczy jak sklerotyczny niedźwiedź, to jeszcze oblał się jakąś miksturą, aż w nosie kręci.

– Ojej, co go tępisz! Wilkołek jak fiołek. Chodź, chodź!

No, więc poszła, co było robić. Ale od tej chwili myślała już tylko o tym, jak by cicho zwiać. Kiedy zaczęły się przygotowania do części artystycznej, powiedziała Bodkowi Lipskiemu, z którym właśnie tańczyła:

– Ja tylko skoczę się napić i zaraz do was wrócę. W szatni odebrała płaszcz od Jasia Skorupki, który był tak zaabsorbowany ukrywaniem papierosa w rękawie, że nawet dobrze nie zauważył, komu wydaje garderobę. Po pustych korytarzach tłukło się echo Joasiowych spiesznych kroków i śpiew duetu z auli:

Cichy domku modrzewiowy, otulony cieniem lip...

Mogłam choć wysłuchać śpiewów – pomyślała. Boże, jaka ja jestem głupia.

Ciotka była niepomiernie zdziwiona, że Joasia już przed dziesiątą wróciła. Długa seria pytań, chociaż płynących z dobrego serca, była dość męcząca. Jak mnie w poniedziałek w szkole też tak zaczął wypytywać, to dam w łeb. Czy człowiekowi już nie wolno wyjść z zabawy, kiedy chce? – buntowała się w duchu. Na wszelki wypadek postanowiła przyjść do szkoły na ostatnią minutę. Wiadomo, najwięcej plotkuje się przed lekcjami. Jeśli więc ominie tę pierwszą falę pozabawowych komentarzy, to jest nadzieja, że na przerwie będą już zajęci czym innym.

Łatwo powiedzieć „przyjdę tuż przed dzwonkiem”, ale w praktyce utrafić w ten moment nie było rzeczą najłatwiejszą. Joasia przychodziła zwykle bardzo wcześnie, wydawało jej się więc, że będzie w sam raz, kiedy wyruszy z domu dziesięć minut później niż co dzień. Tymczasem rezultat jej kalkulacji okazał się fatalny. Wpakowała się właśnie w najliczniejszą grupę koleżanek. Chciała jakoś wylawirować, ale Opisówna i – o, doło gorzka! – Bożena Jarema zauważyły ją na przystanku i czekały, aż je dogoni. Bożka zaczęła, jak było do przewidzenia, od zabawy:

– Czemuś tak wcześnie uciekła, Wilkołek był niepokieszony!

– No to co! – odburknęła zła.

– Jak to: no to co? Nie trzeba pomiatać kolegą. A wiesz, zaraz po twoim wyjściu przyszedł Marek.

Joasia poczuła w tym momencie, że życie jest absolutnie nie do zniesienia.

– On jest strasznie miły w towarzystwie, nawet sobie nie wyobrażasz. I nawet jakoś tańczy. Niesamowicie flirtował z Izą Nowacką. – Bożka przy tych rewelacjach co chwila popatrywała z ukosa na Joasię. – Iza tam nie od tego.

– No, czego pleciesz – ucięła nagle Opisówna. Marek jest oczywiście miły, ale moim zdaniem z Izy się raczej nabijał, co mu wcale zaszczytu nie przynosi.

– Już ja tam swoje wiem. A kto ją odprowadzał do domu?

– Bo mu było po drodze. Tyś też wracała z tym z XI tylko dlatego, że mieszka trzy domy dalej.

Cios był dobry, bo Bożka miała wyraźnie zamiar wpisania atrakcyjnego kolegi na listę wielbicieli, a Janka sprowadzała wiekopomny fakt wspólnego powrotu do skromnych wymiarów przypadku.

– Co ty tam wiesz – Jarema próbowała bronić swej pozycji, robiąc tajemniczą minę, ale Janka upierała się przy swoim.

Więc Bożka, by ją dobić, powiedziała:

– No, idźcie do klasy, ja mam tu jeszcze coś do obgadania – i skreśliła w korytarz prowadzący do klas maturalnych.

– Obejdzie dookoła i przyjdzie z miną pani Pompadour wracającej od swego Ludwika, zobaczysz – Janka wiedziała, co myśleć o tej demonstracji.

– Aleś ty złośliwa, no!

– Nie, tylko nie lubię takich wygłupów. Ale wiesz co, może byśmy się wybrały razem do kina? Jest w „Śląsku” taki dobry film: „Obywatel Kane”. Marek mówił, że chciałby go obejrzeć, to moglibyśmy iść razem.

Joasia spojrzała Jance w twarz. Czarne oczy koleżanki patrzyły życzliwie, otwarcie, uśmiechnęła się zachęcająco.

– No, może kiedy indziej – odpowiedziała i po paru sekundach dodała: – Ty, Janka, jesteś jednak strasznie poczciwa.

## 9. Byle kto nie ma wrogów

Przechodzimy do trzeciego punktu porządku dziennego – mówił Wilkołek. – Czyn pierwszomajowy. Poszczególne klasy zgłoszą swoje propozycje, a potem naradzimy się, jaki czyn ma wykonać całe koło szkolne.

Czyny klasowe, obmyślane już wcześniej, zyskiwały uznanie koła bez dyskusji: matematycy zgłosili gotowość naprawienia wszystkich nieczynnych punktów świetlnych w szkole, humaniści – ostateczne uporządkowanie biblioteki, klasy dziewiąte miały zbierać stare żarówki i zarobić w ten sposób na zakup nowych, itd. Zebrani oklaskiwali życzliwie każdy pomysł; można było mieć nadzieję, że i wspólny czyn uzgodnią bez dłuższych deliberacji. Kiedy Wanda z przyrodniczej zaproponowała, żeby naprawić płot i uporządkować teren przed szkołą, większość zaczęła znowu klaskać. Nieoczekiwanie jednak któryś z matematyków zgłosił kontrpropozycję – udział w odgruzowaniu miasta, argumentując przy tym, że dla szkoły zrobią i tak dużo, a trzeba zmanifestować bardziej publicznie wkład w odbudowę.

Joasi wydawało się, że powinny tu rozstrzygnąć względy praktyczne, tymczasem obrońcy każdego z projektów wysuwali argumenty coraz bardziej „zasadnicze”, wreszcie przyrodnicy zaczęli zarzucać matematykom spekulowanie na efektach, a matematycy przyrodnikom – prywatę i drobnomieszczczość.

W Wilkołku walczył namiętny dyalektyk z rozsądnym przewodniczącym. Dyskusja stawała się najwyraźniej pryncypialna i ideologiczna, ale z drugiej strony, co z czynem? Powściągnął więc chęć wmieszania się do polemiki i zarządził głosowanie. Zwyciężyli matematycy.

Jeszcze śpiewali „Nie zna granic ni kordonów pieśni zew”, kiedy Wilkołek opuścił swoje miejsce za katedrą i przysunął się w stronę Janki i Joasi.

– Łapcie po zebraniu Jurka i Marka, mamy ważną sprawę do omówienia.

Poszli tedy w piątkę do opustoszałej od godziny klasy. Wilkołek wyciągnął z teczki plik kartek.

– Dostałem przed zebraniem siedem podań o przyjęcie do ZMP. Musimy je wstępnie rozpatrzyć.

– Kto się zgłasza? – spytała Janka.

– Lipski, Jarema, Nowacka... W ogóle, jak ich przyjmujemy, trzy czwarte klasy będzie nasze.

– Przyjmujemy tylko Lipskiego – oświadczył twardo Zagórski.

– Skądże? – zdziwił się bardziej, niż oburzył Wilkołek. – Moim zdaniem wszystkich. Organizacja ma się rozwijać.

– A ty wiesz, czemu oni się zapisują? Bo w XI klasie już się nie będzie przyjmować, więc chcą się wkręcić na ostatnie dzwonicie, żeby im potem było łatwiej na studia się dostać.

– Może ich motywacje są jednak bardziej złożone? – zauważył Marek.

– Na pewno nie. Nie możemy zaśmiecać organizacji karierowiczami. Wtedy my, aktywi, utoniemy w masie. Nie będzie różnicy między prawdziwym ideowcem a byle krzykaczem. I z legitymacją ZMP przedostaną się na studia niepewne elementy.

Joasia prawie była skłonna przyznać Zagórskiemu rację: rzeczywiście nie należy zaśmiecać organizacji ludźmi, którzy zapisują się tylko ze względu na spodziewane korzyści. Ale olśniło ją ostatnie jego zdanie: czy on przypadkiem nie chce się pozbyć konkurencji?

– Ideowcy, jeśli są ideowcami, nie utoną w masie – odezwała się. – A ludziom trzeba dać szansę.

– Właśnie! – ucieszył się Wilkołek. – Przecież jesteśmy organizacją także wychowawczą. Aktyw będzie oddziaływał...

– Zobaczysz, Jarema zaraz będzie sama aktywem, a myśleć i tak nie przestanie po drobniomieszczaniu.

– Chodziłoby o to, żeby jednak przestała – włączyła się Janka. – Ja się zgadzam z Jurkiem, że kiedy przyjmimy tych siedmiu, organizacja już nie będzie taka sama, ale...

– W ogóle nie wyobrażam sobie, jaka będzie – przerwał jej Zagórski. – Takie Jaremiaki będą się trzymać nas tak długo, jak im będziemy potrzebni, a pewnego dnia uznają, że dadzą sobie radę bez legitymacji, i wszystko się z hukiem rozwali.

– Aleś ty przewidujący! – zaśmiała się Janka. Ja bym tego tak ponuro nie ujmowała. Jedni się wykruszą, przyjdą inni...

– I jakoś to będzie, co? – dokończył zjadliwie Zagórski. – Tak zgnęły liberalizm jak twój jest jeszcze gorszy niż interesowność. Jeszcze niebezpieczniejszy. Trzeba patrzeć w przyszłość.

– A spróbuj popatrzeć w taką przyszłość – podjęła znowu Joasia – dobrze, nie przyjmimy ich. Dajmy im wyraźnie do poznania, że ich nie chcemy. Oni się obrażają i poniekąd słusznie, bo w innych klasach na pewno takich ceregieli nie robią.

– Oczywiście – uzupełnił Wilkołek – w mat.-fizie...

– Mat.-fiz. nie ma nic do rzeczy. Stać nas na własne zdanie – odparł Zagórski.

– Mnie wymyślasz od liberałów, a ty za to jesteś indywidualista – półzartem pomściła się Janka.

– Dajcie mówić Uruskiej! – wtrącił Międzyrzecki, który siedząc z boku, z nieprzenikniętym wyrazem twarzy przyglądał się zacietrzewionemu Jurkowi.

– Więc wyobraź sobie dalej: są rozżaleni – ciągnęła Joasia – i w tym rozżaleniu topią się resztki ich postępowości. Oczywiście nie wierzą w czystość naszych intencji i uważają, żeśmy ich nie przyjęli dlatego, że jesteśmy zazdrośni o jakieś przywileje.

– Już ja wiem, ku czemu zmierzasz... – wykrzyknął Zagórski.

– Zmierzam ku temu, że nie można robić z sojuszników wrogów.

– Wylazi z ciebie...

– Zgnęły solidaryzm, chciałeś pewnie powiedzieć – przerwał mu Międzyrzecki. – Drodzy koledzy, skończmy tę dyskusję, bo jak tak dalej pójdzie, Jurek nas wszystkich powyrzuca z organizacji, za odchylenia. Zdaje się zresztą, że jesteśmy wszyscy, poza Jurkiem, zdania, że organizacja zniesie tę dawkę „niepewnych elementów”. Musisz ulec większości – zwrócił się wprost do Zagórskiego.

– Jak chcecie. Ale wam nie wierzę, że ich wychowacie. Jak będziemy wybierać przewodniczącego koła klasowego, to pamiętajcie głosować na mnie. Ja im dam radę!

– Przewodniczącym będzie ten, do którego wszyscy będą mieli zaufanie – sprzeciwiła się Joasia.

– To ja wiem, że ty nie masz. Ale zobaczysz, następnym razem ja postawię na swoim.

– Strzeż się, Joasiu, Jurek wypowiedział ci wojnę! Wracaj lepiej w gromadzie do domu! – zaśmiała się Janka.

– Coś ty, za kogo mnie masz? – oburzył się Jurek i żeby dowieść swych pokojowych intencji, usiłował w drodze ze szkoły zachować przyjazny ton w rozmowie. Koledzy nie chcieli mu przypominać porażki i nie wracając już do spraw ZMP, obgadywali profesorów. Wspomnienie polonistki wtrąciło Zagórskiego na nowo w rozdrażnienie.

– Nie, ona chyba oszalała – narzekał. – Cztery wypracowania na tydzień i takie kobylaste, a właściwie wszystkie o tym samym. Przecież to jest nie do zniesienia. I żeby było o czym pisać. Ale Oświecenie. Co tam jest? Same miernoty. Starzyzna. Politykierzy. Bez polotu. W kółko o chłopach i liberum veto.

– Nie rań serca Uruskiej – wtrąciła się Opisówna. – Przecież osiemnasty wiek to jej miłość!

– Może. Może miłość Uruskiej, ale moja na pewno nie. Pewnie, Uruskiej to się podoba, cała ta literatura jest taka w jej stylu: schemaciki, punkty, podpunkty, akurat dla dobrej uczennicy. Bo ty, Joasiu, w ogóle nic nie jesteś, tylko dobra uczennica. Co ty w ogóle robisz, jak się nie uczysz?

– Czytam – odpowiedziała prostodusznie.

– Proszę! Ona czyta. I co, jeśli można wiedzieć?

– Odczep się, dobrze? Co to ciebie obchodzi? – Joasia była całkiem bezbronna wobec niespodziewanego ataku.

– Racja. Co mnie to może obchodzić? Też! – Zagórski wzruszył ramionami z tak głęboką pogardą dla Joasi i jej lektur, że wszystkim zrobiło się niemiło. Międzyrzecki próbował ratować sytuację:

– Bo ty, Jurek, masz niewłaściwą „teorię Uruskiej”. Jakbyś nie był wściekły, że jej wypracowanie o bajkach Krasickiego było znakomite, a na twoje lepiej spuścić zasłonę miłosierdzia, to...

– Ja bym się miał wściekać, że ktoś napisał lepiej ode mnie? Ja? O wypracowanie? A niech się cieszy, wielka rzecz. I tak jej nic nie pomoże.

– Zależy do czego. Do matury na pewno – odcięła się za Joasię Janka.

– Może. Ale ona i tak nawet jednego wiersza nie potrafi napisać.

– Jezus Maria, Jurek, czyżbyś ty miał zamiar uszczęśliwiać świat wierszami swego wyrobu? – zawołał z przerażeniem Międzyrzecki.

Zagórski spostrzegł się, że palnął głupstwo.

– Bez wycieczek osobistych, dobrze? – bronił się. – Miałem na myśli, że Uruska nic nie potrafi wymyślić.

Tego już Joasi było za dużo:

– Co ty o mnie w ogóle możesz wiedzieć, że się tak wymądrzasz?

– Ach, bo z wami wszystkimi można zwariować – Zagórski demonstracyjnie zatrzymał się i oparł o słup przystanku tramwajowego. – Idźcie dalej sami.

– Z prawdziwą przyjemnością – zapewniła go na pożegnanie Opisówna.

– Co go dzisiaj ugryzło? – spytała Joasia, gdy oddalili się na przyzwoitą odległość od naburmuszonego kolegi. – Przecież ja mu nic nie zrobiłam.

– Święta naiwności! – Międzyrzecki wzniósł oczy ku górze. – Skakałaś mu do oczu przez cały czas, pomieszałaś szyki i plany i jeszcze się pytasz.

– Przecież wyście się też z nim nie zgadzali.

– Widzisz, z nami to on już jest jakoś zżyty. A ty wyskoczyłaś nagle i okazało się, że jest jeszcze ktoś nowy, kto ma swoje zdanie i z kim się trzeba liczyć – wyjaśniła Janka.

– O Boże, czy ja do końca życia będę tu nowa?

– Coś ty! Nowa? Jesteś już wręcz omszała! – zawołał Marek, a Janka dorzuciła:

– Ty się Jurka wyskokami nie przejmuj. Każdy ma wrogów i przyjaciół. Tobie się zresztą i tak poszczęściło, że wroga masz jednego, a przyjaciół co najmniej dwóch.

– Trzech – sprostował Wilkołek. – Mnie nie liczysz? Ja się pierwszy na Joasi poznałem.

Pewnie jednak tylko dwóch, bo jaki tam z Marka mój przyjaciel – pomyślała Joasia. Głośno zaś powiedziała:

– Strasznieście mili. Tak bym z wami teraz szła i szła...

– Ja też bym szedł i szedł – Marek zatrzymał się, wyciągając rękę – ale mama czeka z obiadem.

– Ojej, a mnie stołówkę zamkną – przypomniała sobie – cześć, chyba złapię tę dwunastkę.

Wskakując do tramwaju żałowała, że nie może z nimi jeszcze dłużej zostać, pocieszała się jednak, że koledzy i tak za chwilę się rozejdą. Spróbuje ich kiedyś zaprosić. Na przykład jak przyjdzie z Karczewa jakaś interesująca paczka.

Tramwaj sunął szybko po lekkim wzniesieniu w stronę mostu Grunwaldzkiego. Na wielkiej, płowej przestrzeni placu bury szynel Międzyrzeckiego i ciemnoczerwony płaszcz Opisówny były tylko nikłymi plamkami, które wkrótce przepadły w tłumie ludzi wysiadających z zerówki. Nad dalekimi dębami u krańca placu wiatr przeganiał szare chmury, w marcowym zamglonym słońcu połyskiwał mokry po niedawnym deszczu asfalt, ale chodniki były już suche, choć pokratowane ciemnymi, wilgotnymi smugami w miejscach spojeń. Na moście ostrzejszy podmuch szarpnął Joasinym szalikiem i połami rozpiętego płaszcza.

To już chyba koniec zimy. Boże drogi, może się coś zdarzy dobrego?

Było jej lekko na sercu, jakby to coś dobrego już się zdarzyło. Płowy, zamglony plac i szare obłoki stały się niemal tak bliskie i swojskie, jak domowe topole i sosny. Wieże kościołów Ostrowia Tumskiego, kopułę białego gmachu Ossolineum ocieniała granatowa chmura, na ciemnym, niespokojnym nurcie Odry białą tu i ówdzie pienne grzbiety fal wzniesionych przez przeciwny prądowi zachodni wiatr.

Joasia zgarnęła z głowy beret i chowając go do kieszeni pomyślała, jak to ładnie Heine napisał:

Bądź pozdrowione, miasto,  
Wielkie i pełne tajemnic...

Zawstydzila się tego lirycznego wyskoku. Oszalałaś, kobieto? – zganiała się – co to za „angelologia i dal”? Może jeszcze wiersz napiszesz, o Odrze, „że ci tu dobrze”? Zagórskiemu na uciechę, nie? Wracaj do prozy, moje dziecko. Zastanów się lepiej, jak tego cymbała rozbroić.

Pół roku temu byłaby zupełnie złamana Jurkowymi złośliwościami. Teraz jednak czuła się całym zajściem dziwnie mało dotknięta, ba – dostrzegała nawet w tym wszystkim coś, co absolutnie nie było jej niemiłe. Bo o Zagórskim od dawna wiedziała, co myśleć, nie bardzo zależało jej na jego zdaniu. Była jednak pewna, że jeśli Zagórski nazwał ją dobrą uczennicą, to wyrażał nie swój własny pogląd, ale opinię klasy.

Niby to niewiele, mieć dobrą markę, ale dobre i to. Swoją drogą nie potrafiłabym powiedzieć, jak do tego doszło. Pewnie, na początku bardzo mi zależało na dobrych stopniach, ale potem mi przeszło. Jak człowiek przestaje się o coś starać, to samo wpada w ręce. Zabawne, nie?

I zupełnie przypadkiem mam przyjaciół, o jakich bym nawet nie śniła. Naprawdę przypadkiem? Otóż wbrew pozorom – nie. Raczej bez specjalnych zabiegów i nadziei. Co przypadkowe, to się wykrusza, tak jak komitywa z Irką. A jak się kogoś naprawdę ceni, to w końcu nawet taka gapa jak ja znajdzie do niego drogę...



## 10. Maj, który trwał dwa miesiące

W maju maturzyści już nie mieli lekcji. Zostały po nich puste klasy i dzięki temu pewnego dnia X humanistyczna pożegnała bez żalu ciemną klitkę na pierwszym piętrze i pomaszerowała na trzecie do jasnej, choć nie bardzo dużej klasy. A że było to przecież już pod koniec roku i nauczyciele mieli na głowie inne zmartwienia niż pilnowanie porządku, przy zajmowaniu miejsc zapanowała zupełna anarchia, jeśli nie wręcz rozpasanie. Nie było już teraz strony chłopców i dziewcząt. Najatrakcyjniejszy rząd przy oknach zajmowało się na wyścigi i w rezultacie powstał prawdziwy przekładaniec. Joasia niezbyt szlachetnie wykorzystała fakt, że Kociubińskiej nie było w dniu przeprowadzki w szkole, i ściągnęła do przedostatniej ławki Jankę. Przed sobą miały Marka i Bodka Lipskiego, w ostatniej ławce siedzieli Wilkołek i Zagórski. Nic dziwnego, że w takiej konfiguracji słuchali lekcji jednym uchem, zajęci przesyłaniem korespondencji czy już całkiem bezczelnie – pogaduszkami. Nie wisiała nad nimi groźba nagłego wyrwania do tablicy – jeszcze nie zaczął się okres odpytywań, nauczyciele uzupełniali na gwałt luki w materiale, całogodzinne wykłady trochę nużyły i wprawiały w stan beztróskiego rozleniwienia. Wśród nadrzecznych dębów od pierwszej lekcji śpiewały szpaki, ich głosy mieszały się z nawoływaniem studentów udających na kajakach, że się przygotowują do egzaminów. Głowy uczniów jakoś automatycznie odwracały się od tablicy, oczy śledziły stada gołębi nad dachami, białe nieruchome chmury na horyzoncie, mieniące się w słońcu gałęzie, które szarpane wiatrem sprawiały wrażenie, jakby miały za chwilę pożeglować w wielką, czystą, nieograniczoną przestrzeń nieba. Okna były teraz stale otwarte i podczas ostatnich lekcji słychać było chór ćwiczący pieśń na zakończenie roku:

Przyjdź znowu, miły maju,  
Niech się zieleni las,  
Niech wdzięczny szum ruczaju  
Jak dawniej cieszy nas...

Pełna uroku melodia Mozarta dokończyła dzieło spustoszenia, jakie w uczniowskich sercach szerzyła urzekająca pogoda. Lipski w pewne chwili stracił głowę tak gruntownie, że natchnionym, choć cichutkim gwizdaniem zawtórował pieśni. Historyk miał dobry słuch i chciał go wyrzucić za drzwi. Wtedy Międzyrzecki z głupia frant powiedział:

– Panie profesorze, a może byśmy tak wszyscy poszli sobie stąd?  
Historyk zdębiał, ale cała klasa już wołała rozdzierająco:

– Właśnie! Chodźmy nad Odrę! Na nauce o Polsce i na religii zawsze tam siedzimy. My będziemy zupełnie porządnie notować. Przecież szkoda słońca. Po tych wiecznych chlapach chyba nam się należy.

Historyk też człowiek. Zgodził się i po chwili cała klasa leżała w wysokiej trawie nad brzegiem rzeki. Obietnica „zupełnie porządnego notowania” okazała się tylko chwytem propagandowym; jak tu zresztą porządnie notować, kiedy ma się przed oczyma kwitnące kasztany, smukły łuk mostu i zasnute niebieską mgiełką dalekie nadbrzeża, z brzoźami, trzcina – wcieloną przepowiednię wakacji.

Joasia usiłowała uczciwie wykrzesać z siebie bodaj iskierkę zainteresowania dla sytuacji europejskiej po pokoju westfalskim, ale uwagę jej stale rozpraszał widok Zagórskiego, który w skupieniu, ze ściągniętymi brwiami, precyzyjnie zdmuchiwał puchate mleczce na kunsztowne loki Bożki. Odwróciła głowę w stronę Janki, by jej to pokazać. Ale Janka oparłszy brodę na pięściach z życzliwym zainteresowaniem patrzyła na studentów opalających się na wraku barki. Biedny historyk, tak głądzi sobie a muzom – pożałowała obłudnie profesora. Po chwili spojrzała ostrożnie w stronę Marka. Widziała go z profilu, opartego o jakiś pamiątkowy kamień, kontemplującego grę świateł w gałęziach dębu. Od jakiegoś czasu wystrzegła się pilnie, by nikt nie zauważył jej nieszkodliwej manii wpatrywania się w Międzyrzeckiego. Od jakiegoś czasu – to jest ściśle od momentu, kiedy spostrzegła, że Wilkołek potrafi przez pół lekcji nie spuszczać z niej wzroku i że większość klasy nie szczędzi mu, w oczy i poza oczami, kpin i dogadywań z tego powodu. Przerażona, że ktoś mógłby dopatrywać się jakichś niesmacznych analogii między zachowaniem się jej i Wilkołka, najpierw „zadawała sobie” całe dni niepatrzenia na Marka, potem jednak załamała się i wymyślała różne kompromisy. Czy człowiekowi już nie wolno na tego Międzyrzeckiego oczu podnieść? Patrząc na niego, bo mi przypomina brata.

Chwytała się więc różnych chytrych sposobów. Ktoś mógłby się najwyżej dziwić, dlaczego ta Uruska tak zawzięcie patrzy w otwarte skrzydło okna, i nigdy by się nie domyślił, że w szybie odbija się całkiem wyraźnie twarz Marka. Albo na lekcjach fizyki, kiedy Joasia osiągała szczyt konspiracji: na oko wzorowa uczennica, skupiona, ze spuszczonego wzrokiem. Tak – ale świeżo lakierowany, czarny blat wielkiego stołu, przy którym mieściła się cała klasa, stanowił wręcz fascynujący portret Marka: rysy kolegi były nieco zamglone, wyraźniej jaśniało tylko wysokie czoło i ruchliwe, smukłe ręce, których uroda urzekła Joasię nawet więcej niż oczy.

– Joaska! – szepta Janki sprowadził dziewczynkę na ziemię. Odwróciła głowę:

– No?

– Tak patrzę na tych wałkonu na Odrze i myślę... może byśmy poszły po budzie na kajak?

– Obie?

– No!

– Dobra jest.

– Uruska! – zawołał w tej chwili profesor.

Joasia poderwała się do jakiejś przyzwoitej postawy.

– Słucham, panie profesorze! – odpowiedziała, siadając możliwie prosto i myśląc: Popędzi mi kota za gadanie!

– Masz u mnie noty dosyć niejasne. Mógłbym ci dać dobre, ale wydaje mi się, że stać cię na lepszy stopień. Czy chcesz, żebym cię przepytął na piątkę?

Zawahała się chwilę. Wstyd jej było przed klasą, przed Markiem okazać, że przykłada wagę do not. Ale Karczew?

– Tak, panie profesorze. Czy mam odpowiadać zaraz?

– Nie, skądże, będziesz chyba chciała się przygotować. Za tydzień cię spytam.

– Dziękuję, panie profesorze.

Joasia nie bez pewnego niepokoju oczekiwała końca lekcji. Jak klasa skomentuje jej decyzję? E, tam, wcale nie skomentuje. Po pierwsze, wszyscy myśleli wtedy o niebieskich migdałach, po drugie, akurat by sobie kto zawracał głowę jej decyzjami.

Dzwonka oczywiście nie słyszeli, ale bez trudu poznali, że już koniec lekcji. Szkoła nagle, z minuty na minutę, zahuczała wrzaskiem i tupotem, tak mniej więcej jak radio, które włączone milczy chwilę, a potem ryknie niczym trąby sądu ostatecznego. Historyk oddalił się szybko, uczniowie zaś grupkami powlekli się do budynku po teczkę – teraz, skoro już mieli iść do domu, okazało się, że właściwie nikomu się nie spieszy. Lipski nawet nie wsiadł na rower, tylko prowadził go brzegiem ulicy, balansując na krawężniku.

– Ten historyk to też łajza – powiedział do Joasi. – Jakby ci nie mógł dać tego piątką bez zdawania.

– Co mi szkodzi, mogę odpowiadać. Obkuwać się nie będę, szkoda pogody, ale wreszcie, niech się starzy cieszą z mojego świadectwa – i żeby zmienić temat, powiedziała: – Daj się trochę przejechać, od jesieni nie miałam kierownicy w ręce.

– Tylko uważaj, bo nie ma hamulców. Ja hamuję butem o przednie koło.

Joasia popędziła do mostu i z powrotem. I zaraz okazało się, że wszyscy mają ochotę „przejechać się”. Ania Palikówna chciała sprawdzić, czy nie zapomniała jeździć. Zagórski musiał wszystkim pokazać, że umie zakręcić bez trzymania, Skorupka – że potrafi to jeszcze lepiej. Jedynie Janka Opisowna śmiejąc się odmówiła, kiedy Bodek rycersko podsunął jej kierownicę.

– Nie, to nie na moje stare kości!

– Właśnie. Bodek, jak ty możesz zmuszać biedne osiemnastoletnie staruszki do wyczynów sportowych – zawołał Marek. – Dawaj mi tego Bucefała, niech pomknę w siną dal!

– Masz, ty pacanie, spróbuj!

Pacan spróbował. Mój Boże, widać było od razu, że jeśli w ogóle siedział kiedyś na rowerze, to chyba na takim o trzech kółkach. Zatoczył się niebezpiecznie, zrobił pół ósemki, podparł się nogą o bruk i zrezygnował.

– Wiesz – powiedział, oddając rower – kiedy indziej wam pokażę klasę. Po prostu obecność Ani odbiera mi równowagę ducha i ciała. Przy tej kobiecie nie panuję nad sobą, co dopiero nad rowerem!

Ania zarumieniła się z radości.

– Bardzo mi przykro, Marku.

– Oto macie kobiety! Zadręczają człowieka, a potem mówią, że im przykro.

Joasia słuchała wygłupiań Międzyrzeckiego z mieszanymi uczuciami. Przywykła już właściwie do jego żartów w tym stylu, śmiała się z nich i nie bez złośliwej satysfakcji obserwowała, jak koleżanki – ot, choćby Ania w tej chwili – nabierały się na nie. „No, ja bym tam wiedziała, co o tym myśleć, gdyby tak się do mnie odezwał” – mówiła do siebie w duchu. Ale jeszcze bardziej w duchu, tak za siódmą skórą, czuła jednak niemile, niepokojące ukłucie zazdrości – z nią Marek nigdy tak nie żartował...

Przy moście Janka przypomniała o kajaku:

– Chodź, Joanna, nasza droga w lewo.

– Dokąd to lewicujecie? – zapytał Marek.

– Na kajak.

– To może, tego, ja pójdę z wami? – powiedział szybko Wilkołek, spoglądając swoim zwyczajem na zegarek.

Janka zerknęła na Joasię. Joasia prawie niedostrzegalnie pokręciła głową.

– Nie, Henryczku, kajaki są dwuosobowe.

– Ee, jakoś bym się zmieścił.

– Może innym razem.

– Obejdzie się – obraził się kolega.

Już nad rzeką Janka zagadnęła koleżankę:

– A właściwie dlaczego nie chciałaś, żeby Henryk poszedł?

– A, bo po co ma się z nami włączyć. Taki nudziarz.

– A jakby Marek chciał iść?

– Marek to twój rewir.

– Taki mój, jak twój.

– Właśnie! – miała to brzmieć ironicznie, ale wypadło żałośnie.

Janka wzruszyła ramionami.

– Ty, Joanna, toś tak na oko zupełnie rozsądna dziewczyna, a jak chodzi o Marka, robisz się dzika.

– Ja dzika? Też! Tylko nie chcę się narzucać.

– Wy, koleżanko Uruska, lepiej przeanalizujcie wasz światopogląd na tym odcinku – powiedziała Janka stylem zebraniowym.

– Dziękuję wam, koleżanko Opis, za radę, ale wolę nie.

– A to dlaczego?

– E, tam. Mówmy o czym innym. – Jak chcesz.

Szły chwilę w milczeniu. Joasia z zakłopotaniem popatrywała to na żwir pod nogami, to na wysokie dęby, to na żaglówki, myśląc usilnie, jak nawiązać rozmowę.

– Ładnie wygląda Odra w słońcu, nie? – zagadnęła wreszcie.

– Uhm.

Znowu paręnaście kroków w milczeniu.

– Daleko jeszcze do tej przystani?

– Nie.

I co teraz zrobić? Przeprosić ją, czy jak? Ale wreszcie za co?

– A tego, wiesz – spróbowała po raz trzeci – ja trzydziestego mam imieniny. To wypada w przysłał sobotę. Może byś wpadła do mnie?

– Jak chcesz.

O Jezu, idzie jak z kamienia.

– Przyjdź, dobrze? Na pewno mi przysłał z Karczewa tort. Zawsze był bardzo fajny...

– To zaprosz Marka, on jest pies na słodycze.

Masz, babo, placek – znowu o Marku – pomyślała Joasia. Jance widać to samo przyszło do głowy – spojrzały na siebie i roześmiały się. Więc Joasia powiedziała jak gdyby nigdy nic:

– Oczywiście, że zaproszę. W ogóle mogę zaprosić pół klasy. Ciotka okazała się całkiem na poziomie: wyobraź sobie, sama mnie namawiała, żebym wyprawiła imieniny. Ja bym tam jej nie napomknęła, wiesz, jaki to zaraz bajzel w domu, nawet jej tak powiedziałam. Ale ciotka tylko mi zwróciła uwagę, że nie mówi się bajzel, i zaczęła omawiać szczegóły, takie gospodarskie.

Już na Odrze obie „zaczęły omawiać szczegóły”, „takie towarzyskie”. W pewnej chwili Joasia powiedziała zgoła nie na temat:

– Ale wiesz, tu naprawdę jest ładnie. Już nie myślałam, że się kiedyś w to włączę.

– W co?

– Bo jak tu przyjechałam, to najpierw krótko mi się wydawało, że na tych wspaniałych terenach, no wiesz, rzeka, parki, boiska, tylko żyć nie umierać. Ale zaraz okazało się, że człowiek nietutejszy, że ani kolegów nie ma, ani nic. Koniec końców najlepiej się czułam w Ossolineum, w bibliotece. Spokój, bracie, książki. Gdzie mi tam do wiosła, do zabaw, myślałam.

– No, i masz wiosła, a zabawę, zobaczysz, jaką urządzimy trzydziestego.

Joasia trochę się niepokoiła, jak to wszystko wypadnie. W każdym razie wzięła się do organizowania strony gospodarczej. Napisała do domu, że ma zamiar zaprosić kilkoro z klasy, i

„czy wobec tego może liczyć na słoik konfitur, bo chce upiec kruche ciastka” (powinni domyślić się i raczej przysłać). Odpowiedź jakoś nie nadchodziła – to nic, przysła od razu paczkę.

Czwartek – paczki nie ma. Pewnie, tort by się zepsuł. Piątek – paczki nie ma. Oni tak zawsze, na ostatnią minutę.

Sobota:

– Ciociu, było coś z poczty dla mnie?

– Kartki z życzeniami.

– A paczka?

Ciotka bezradnie rozłożyła ręce.

– I co ja teraz zrobię? – Joasia była bliska płaczu.

– No czekaj, czekaj, nie martw się. Jest dopiero pierwsza, jeszcze zdążymy coś zmagistrować do piątej.

– W cztery godziny? Ciastka jeszcze upiekę. Ale tort! Co za imieniny bez tortu. Ja specjalnie mówiłam, że będzie dobry.

– Rób sałatkę, a ja zajrzę do sąsiadów z lewej, ta pani jest świetną gospodynią, na pewno będzie miała jakiś prosty przepis.

Komu prosty, komu nie prosty! Popatrzyły na tajemnicze „do smaku”, „aż zaczniesz pęcherzykować” i zgodnie doszły do wniosku, że tortem najlepiej się i zająć, jak wszystko inne będzie gotowe. Było gotowe przed trzecią.

– To ja może zajmę się masą – ofiarowała się chytrze Joasia (masę umiała robić).

– Masa to mniej ważne – ciotka nie dała się podejść. – Róbmy lepiej razem ciasto.

Więc solidarnie tłukły jaja, trzepały, ucierały, sypały mąkę.

– Coś za rzadkie, nie uważa ciocia?

– Dałaś przecież dwanaście łyżek mąki?

Tak, ale może tu chodzi o większe łyżki, jakieś przedwojenne?

– Nie żartuj. Może dać jeszcze jedną?

– A może poprosić sąsiadkę, żeby zobaczyła?

– Ach nie, śmieszne. Dosyp jeszcze!

Joasia dosypała trzynastą łyżkę i nie omieszkała zwrócić uwagi na feralną cyfrę. Ciasto zresztą nadal wyglądało „tak jakoś”.

– Ee, dajmy jeszcze jedną. Zawsze co czternaście, to nie trzynaście.

Popatrzyły na siebie, na ciasto, na przepis. – Cóż, było, nie było. Syp.

Jeszcze jedna kopiasta łycha zginęła w żółtej mazi Ciotka, przypatrując się donicy, powiedziała:

– Nie wiesz, jaki to święty jest patronem piekarzy?

Joasia pomyślała chwilę:

– Tu się chyba nada święty Tadeusz. Patron spraw beznadziejnych.

– Och, pleciesz. Jeszcze zauroczysz.

– „Dalej, bracia, do bułata, wszak nam dzisiaj tylko żyć, pokażemy, że Sarmata umie jeszcze dzielny być!” – zanuciła Joasia dla pokrzepienia serc. – Wlewajmy!

W tej chwili rozległ się dzwonek.

– Goście? Za wcześnie. Listonosz, paczka, listonosz, paczka – podśpiewywała Joasia, biegnąc do drzwi.

Wróciła z nosem na kwintę.

– Jakiś żołnierz do cioci. Z popołudniówki.

Ciotka w popłochu odwiązała fartuch i wycierała ręce.

– Już, już. Słucham pana.

Joasia dosłyszała z korytarza: „Pan major bardzo przeprasza... Wizyta z ministerstwa... Obecność pani wicedyrektor” I wreszcie: „Auto czeka na dole”. – O Jezu. I ja mam ten tort teraz sama piec – jęknęła w duchu nieszczęsna solenizantka.

Mówi się trudno. Odprowadziła ciocię do drzwi wśród wzajemnych reweransów („jaka szkoda, że ciocia nie będzie na kawie”, „co za pech, że muszę cię zostawić z całą robotą”) – i tak na przemian, aż została sam na sam z rozbebeszoną kuchnią i tajemniczym tortem w prodżu.

No nic. Koleżanko Uruska, organizacja postawiła was przed ciężkim zadaniem, ale organizacja wie, że podolacie. Pracy cześć! – powiedziała sobie i wzięła się za pięć robót naraz. Ciastka na blachę, nakryć stół. Ciastka wyjąć, włożyć nowe, pozmywać naczynia. Ciastka wyjąć...

Hm, co za oryginalne węgielki... Cała blacha wędruje do kubła. Joasia dyskretnie przysypuje spalone ciastka obierzynami. Nowa blacha. Naczynia powycierać. Ciastka wyjąć. Pięknie. Co z tym piekielnym tortem?

Joasia dźga ciasto patykiem. Jeszcze nie. Zamiata kuchnię, wyciąga talerze. Jak tort? Próba z patykiem przynosi wynik dodatni. Tylko coś jakby za niski? Odstawia prodż i ogarnięta złymi przecuciami odwraca się do okna. Patrzy na ulicę, zieloną od kasztanów, mieniającą się cieniami, na ślady kół rowerowych przecinające placyk pod wieżą i stara się myśleć o czym innym. Po kwadransie mówi:

– Trudno. Trzeba prawdzie spojrzeć prosto w oczy.

Otwiera prodż.

– Cholera jasna! Ty bydlę parszywe! Ty pokurczu przeklęty! – wymyśla w bezsilnej złości. Ostatni epitet szczególnie dobrze pasuje do obiektu przekleństw: smętnego, pomarszczonego, pozapadanego jak bagnista równina kawałka ciasta. Joasia siada zrezygnowana na stole.

– I co ja teraz zrobię? – pyta sama siebie po raz drugi w tym dniu. – Kara boża za pychę – przemyka jej przez myśl. Był przecież taki moment, kiedy wyobraziła sobie kolegów chwalebnych tort i siebie, jak wyjaśnia: „Nie, nie z domu. Sama upiekłam”. Upiekłam. Faktycznie. Tylko na ucztę Popiela dać i stryjowie gotowi. No nic, posmaruję masą tortową te kruche ciastka.

Ale kiedy rozstawiła na imieninowym stole talerze z ciastkami, okazało się niedwuznacznie, że to zupełnie nie to samo. Popatrzyła na budzik: wpół do piątej. Choćby chciała, nie zdąży już do cukierni po gotowy tort. Żeby ciocia była, to można by ją zostawić na posterunku i pojechać, ale tak...

Joasia poczuła teraz, że jest ogromnie zmęczona.

Szlag by trafił imieniny. Potrzebne to było...

Umyła się, przebrała w białą bluzkę i siadła bezradnie na oknie. Starła się myśleć o czymś przyjemnym, ale jak na złość przypominały jej się same ponurości. Usłyszawszy dzwonek, poszła otworzyć z uczuciem, że idzie na egzekucję. Żeby to była Janka albo Marysia, a nie na przykład Bożka!

– No nie, żartujesz! – zawołała ni w pięć, ni w dziewięć.

Przed nią stał brat. Zauważyła od razu, że trzyma wielką pakę.

– Chodź, ojej, nie masz pojęcia, jak się cieszę. Miałaś świetny pomysł.

– Właśnie, tak mi przyszło do głowy, że teraz, po maturze...

– Po maturze? Jezus, to już? Czemuś nic nie napisał?

– A, chciałem ci zrobić niespodziankę.

– Czekaj, to opowiedz. I zjedz coś, zaraz ci dam.

– Wiesz, rozpakujmy lepiej tę spyżę.

No, „spyża” była w ogóle imponująca, a tort – jak na wesele.

– Tort od babci. Macocha „nie miała czasu jeszcze tym sobie głowy zawracać” – wyjaśnił Maciek. – A tu jest śmietana, to raz-dwa ubijemy.

Maciek miał gospodarską rękę i nadspodziewanie szybko poukładali wszystkie szynki, schaby i marynaty, gdzie trzeba.

– A z tym co zrobić? – Maciek wskazał na nieszczęsny wypiek domowy.

- Uee, lepiej nie mówić! – ale opowiedziała bratu historię tortu. Maciek ukrajał kawałek.
- Ty wiesz, że to nawet mogło być dobre. Ale lepiej wywal, co ma zawadzać.
- Nie, nie, niech ciocia zobaczy. Jako dowód rzeczowy, że nie należy bać się trzynastki.

Przeszli z półmiskiem do Joasinego pokoju, który miał pełnić funkcję jadalni. Maciek rozsiadł się w jedynym fotelu, siostra stanęła przy oknie, by popatrywać, czy nie idą goście. Ale zdążyli jeszcze omówić wszystko najważniejsze, co się wydarzyło ostatnio, przede wszystkim Maćkowe przeżycia maturalne, plany na przyszłość, nim zobaczyła grupę kolegów wyłaniającą się zza rogu.

- O, już idą. Wszyscy naraz, to świetnie.

Maciek stanął obok siostry.

– Zobacz, ta czarna to Janka Opisówna. Ją najbardziej lubię. I Marysię Jamrózkę, tę szczupłą w niebieskiej sukience. Dobrze, że przyjechałeś, to będzie do pary, bo chłopców jest mniej. Ta z lokami to Bożka, najmilsza to ona może nie jest, ale umie się bawić. Ten, co teraz kopnął kamień, to Zagórski, zaprosiłam go tylko ze względu na jego przyjaciół.

- A ten przystojniaczek w niebieskim ubraniu? – Maciek spostrzegł Marka.
- Uee, taki tam. Bardzo dobrze się uczy.

Na schodach rozległ się tupot. Joasia by przysięgła, że rozróżnia stukot buciorów Zagórskiego. Otworzyła drzwi nie czekając, aż zadzwonią. W małym przedpokoju zrobił się od razu ścisk, wszyscy krzyczeli swoje: „Więc jeszcze raz ci życzę”, „Najserdeczniejsze”, Joasia nie wiedziała, co robić z kwiatami i pakuneczkami.

– Maciek – zawołała do brata, który stanął z boku, w progu kuchni – pomóż mi! O, zaczekajcie, to jest mój brat. Właśnie zdał maturę – dodała chełpliwie.

Więc część zaczęła się witać z Maćkiem i koło Joasi zrobiło się luźniej. Teraz wieszowała jej Bożka.

– ...i zdrowia, i świadectwa dobrego – mówiła i dodała niewiele ciszej – i żebyś się mogła wpatrywać do woli, w kogo chcesz.

– Serdecznie dziękuję! – powiedziała solenizantka i pomyślała: O ty żmijo! Ja ci się popatruję.

Pomieszały się jej bukiety i prezenty, ale pamiętała, że pęk margerytek jest od Marka. Jakoś od razu odżyła w niej miłość do polnych kwiatów, włożyła margerytki do glinianego dzbanka i ustawiła bardzo chytrze w drugim pokoju obok szafki z książkami – miejsce mało widoczne teraz, ale na wprost Joasinego tapczanu. Wieczorem nie będzie potrzebowała nawet głowy odwracać, by na nie popatrzeć.

- No, to chodźcie, siadajcie od razu, i tak żeście się spóźnili, kawa stygnie.

Tort został należycie oceniony, za ciastka też dostało się Joasi parę ciepłych słów. Ale nie siedzieli długo przy stole. Koleżanki pomogły zaaferowanej gospodyni sprzątnąć zastawę, dania kolacyjne ustawiono na kredensie, stół zapchano do kąta. Henio Wilkołek nakręcił telefon i zawołał:

- No, od czego zaczynamy?

Pierwszym partnerem Joasi był – oczywiście – Henryk. Ale doczekała się i Marka, który zresztą tańczył nadspodziewanie słabo, o całe niebo gorzej od Maćka. Tylko że Joasi było zupełnie wszystko jedno, jak on tańczy.

W przerwach między płytami poniekąd pary zaglądały do drugiego, ciotczynego pokoju, który był w ogóle przyjemniejszy od przydzielonego Joasi.

Po jakiejś opętanej polce wszyscy przenieśli się tutaj – fotele i tapczany kusiły do wypoczynku.

– Co to za marka? – zainteresował się Lipski pianinem, a sprawdzwszy, zwrócił się do Joasi: – Ty grasz?

- Nie daj Boże. Ale może ty byś...

Bodek tylko czekał na zaproszenie. Po paru próbnych akordach zaczął grać sercu bliską melodię, za którą w zeszłym tygodniu omal nie wyleciał z klasy:

Przyjdź znowu, miły maju,  
Niech się zieleni las.

Joasia stała w kącie między piecem a biblioteczką. Tuż przy policzku prawie miała dzbanek z margerytkami, przed oczyma otwarte okno, wychodzące na kawałek ulicy i ogrody. Zachodnia zorza oświetlała jeszcze najwyższe drzewa – rząd topoli i samotny, zbląkany świerk. Zielone kłębowisko gałęzi jabłoni i czereśni poniżej zalegał już cień. Młody księżyc, ostry i lekki, stawał się z każdą chwilą wyraźniejszy i bardziej złoty.

Teraz w polu widzenia Joasi znalazł się Międzyrzecki. Przysiadł na parapecie okna, popatrząc na wieczorne ogrody.

Joasia poczuła na sobie czyjś wzrok i odwracając oczy od Marka napotkała badawcze, jakby zatroskane spojrzenie brata. Zaczęła klaskać z innymi, jako że występ Bodka się skończył. Chciał jeszcze grać, ale Zagórski zawołał:

– No, może dosyć tej wielkiej sztuki. Robi się za bardzo sentymentalnie.

– Dobrze, dobrze – zgodziła się za wszystkich gospodyni. – I lepiej przejdźmy znowu tam, coś musicie zjeść.

Zostawiła na chwilę gości i poszła nalewać herbatę. Zaraz za nią przyszedł do kuchni Marek, by jej pomóc. Ustawiał szklanki na tacy i nagle, nie odwracając się do siostry, powiedział:

– Oczywiście, jak chcesz, ale ja bym ci tego Marka nie życzył.

– Ja też sobie nie życzę – odparła szybko Joasia, ale dodała: – A czemu?

– Bo ja wiem. Bawidamek. I w dodatku taki jakiś księżycowy. Nie z naszych stron.

– Ostatecznie nie tylko w Poznańskim są ludzie.

– No, pewnie. Zresztą, ja tylko tak.

Goście tymczasem zabrali się do sałatki i zakąsek, tak że w mieszkaniu zapanowała krótka cisza, zakłócana tylko brzękiem widelców i łyżeczek. Nie było już wcale tak wcześnie, lada chwila mogła wrócić ciotka, o czym wszyscy wiedzieli. Więc Bożka, uporawszy się gracko z płatem szynki, zaproponowała:

– Wiecie co, a jeszcześmy się w nic nie bawili. Zagrajmy w fanty, a jak skończymy jeść, to będzie wykupywanie.

Fantów nazbierało się sporo, najwięcej zresztą Marka, który często się zagapiał. Toteż co chwila potem znajdował się na cenzurowanym, wymyślał zadania dla czterech kątów, wreszcie przyszło mu być listonoszem. Bożka, wpuszczając go do pokoju, szepnęła:

– Czwórka!

I chłopiec wiernie powtórzył:

– Mam list do numeru czwartego, z siedmioma czerwonymi pieczęciami.

Czwartym numerem była oczywiście Joasia i Bożka w przejściu zdołała jeszcze cichutko powiedzieć:

– No, widzisz, jaką masz dobrą koleżankę.

– Wcale cię nie prosiłam – odburknęła niegrzecznie Joasia. Nie należała do świętoszek i była zdania, że jak zabawa, to zabawa i w tych przytulankach w przedpokoju nie ma nic droższego. Ale kiedy Międzyrzecki pochylił twarz nad jej twarzą, szarpnęła się do tyłu i powiedziała:

– Nie. Wiesz, nie. Daj spokój.

Marek od razu się odsunął.

– Dobrze, oczywiście. Jak chcesz. Tylko musimy chwilę odczekać, bo to przecież, było nie było, siedem pieczęci.



Stanął w drzwiach do drugiego pokoju i przyglądał się koleżance z uśmiechem.

– A właściwie, dlaczego nie?

– Bo nie.

Pokręcił głową:

– Jaka ty jesteś śmieszna.

– Komu śmieszna, komu nie śmieszna. Chodźmy już.

Koledzy powitali ich porozumiewawczym śmiechem. Joasia dotarła do brata i gdy wszyscy byli zajęci następną parą, szepnęła:

– Maciek, stań no teraz ty przy drzwiach, bo Bożka szachruje. I pilnuj, żebyś się nie natoczyła na Marka.

Maciek nad podziw zręcznie wymanewrował Bożkę z kluczowej pozycji. W ogóle był bardzo przytomny – pierwszy usłyszał zgrzyt klucza w zamku i momentalnie zapalił światło.

– Hej, przyjaciele, ciało pedagogiczne ante portas!

Wilkołek w pośpiechu nakręcał patefon, założywszy i pierwszą z brzegu płytę. Rozległy się dźwięki hymnu narodowego.

– Ty durniu, coś ty założył? – warknął na niego Zagórski.

– Nie patrzałem. Zaraz przewrócę.

Błyskawicznie nałożył płytę odwrotną stroną. Usłyszeli majestatyczne tony Bogurodzicy.

– Ale wdępa! – śmiał się w kułak Lipski. – Skądżeś to wytrzasnął?

– Nie wybierałem, wziąłem, jak leżały – tłumaczył się Henryk, kiedy wreszcie wynalazł jakiegoś walca i dla lepszego efektu ustawił igłę w środku płyty. Zresztą i tak nie tańczyli, tylko zbici w gromadkę czekali na profesorkę. Maciek witał się w korytarzu – przyjechał przecież po wyjściu ciotki. Słysząc było, jak ciotka gratuluje mu matury, wreszcie oboje weszli do pokoju. Uczniowie witali się grzecznie, ciotka życzliwie wypytywała o nastrój, ale ten i ów popatrywał już na zegarek i tylko dla przyzwoitości, by się nie nazywało, że ich ciotka wystraszyła, pokręcili się jeszcze jakieś pół godziny.

Po odejściu gości brat i siostra wzięli się do zmywania, ciotka im trochę pomagała, trochę poplotkowali, trochę wspominali inne imieniny. Wreszcie ostatni talerz wylądował w kredensie.

– No, to by było. Już po imieninach – rzekł Maciek.

– Ty pamiętasz, jak w twoje ostatnie imieniny przed wojną rozplakałeś się po odejściu gości: „że teraz cały rok muszę czekać na następane”?

– No! Człowiek liczył kartki w kalendarzu chyba trzy miesiące naprzód, a w ostatnią noc nie mógł spać. Teraz to już mi zupełnie przeszło.

– Tak, wszystko przechodzi – zauważyła sentencjonalnie Joasia i pomyślała: Ten Marek też mi w końcu przejdzie.

Jak na razie nie bardzo się na to zanosilo. Joasi imieniny były właściwie zakończeniem błęgiego okresu zawieszenia broni między nauczycielami i uczniami i nadszedł teraz gorący czas klasówek i odpytywań. Godziny lekcyjne miały w napiętym oczekiwaniu: „wyrwie mnie, czy da spokój na ten raz”, popołudnia – na powtórkach, lekturach, słowem – na obkuczaniu. A jednak, mimo że doprawdy miała czas i głowę zajęte szkołą, zdarzały się jej długie chwile cielejących zagapień, całkiem głupie sny na jawie w typie „co by było, gdyby”... gdyby Marek potrzebował na przykład jakiejś książki albo była powódź i Joasia bohaterko na kajaku uratowałaby mu życie, albo gdyby był biedny (Joasia notabene nic nie wiedziała o jego sytuacji materialnej) i ona by się z nim wszystkim dzieliła, i tym podobne sytuacje, w których mogłaby mu się przydać. Zresztą mniej górnolotnie, całkiem życiowo przydawała mu się jednak i teraz. Spotykali się w trójkę z Janką dla powtórzenia materiału i mimo całej intelektualnej przewagi Marka, „pocziwa” pilność i świetna pamięć Joasi znacznie im pomagały w przygotowaniu zadania. Po takich zebraniach Joasi sny na jawie przybierały inny charakter: rozważając każde odezwanie kolegi, łamiąc ręce nad swoimi nieudolnymi odpowiedziami,

wymyślała długie rozmowy, w których ona szeroko i mądrze opowiada Markowi o swoich problemach, o ulubionych pisarzach, na przykład o Heinem, a Marek słucha życzliwie, z zainteresowaniem, i w ogóle jest dla niej dobry.

Te wyskoki wyobraźni przerażały ją i zawstydzaly. Zaczęła oczekiwać wakacji jak zbawienia.

Co z oczu, to z serca, nic się nie martw – pocieszała się. – Pojedziesz do Karczewa, do swoich, zobaczysz, jeszcze nic straconego. Jeszcze można zrobić unik. Wreszcie nigdzie nie jest napisane, że się muszę w nim zakochać.

Tymczasem i nadzieja na spokojne wakacje poza zasięgiem niebieskich oczu kolegi została zachwiana. Wychowawczynie któregoś dnia zapytała uczniów, kto z klasy, ich zdaniem, najlepiej się uczy.

– Uruska! Międzyrzecki! – padło jednocześnie z różnych stron.

– Wyróżniający się uczniowie mają szansę – tłumaczyła nauczycielka – pojechać w nagrodę na dwumiesięczne kolonie dla dzieci z zagranicy. Oczywiście decydujący głos ma rada pedagogiczna, ale wasza opinia będzie wzięta pod uwagę.

A to by była heca – pomyślała Joasia. – Dwa miesiące z Markiem, i to na wakacjach. Nie do zniesienia!

Ostatnie dni roku są zawsze jakieś dziwne – wszystko zostało już zdecydowane, kto miał dostać promocję, dostał, kto przepadł, ten przepadł. Właściwie chodziło się na lekcje nie wiadomo po co – wszyscy uważali, że po konferencji klasyfikacyjnej trzeba by szkołę zamknąć. Tematem rozmów były teraz stale plany wakacyjne i zgadywanki, jakie kto będzie miał stopnie. Niepokój zagrożonych dwójkami i niecierpliwość prymusów (i nie-prymusów też), wyrwywających się na swobodę, stwarzały napiętą, niedobłą atmosferę, w której często dochodziło do nieoczekiwanych starć albo i zblizeń. Zagórski stał się nie do zniesienia – kłócił się ze wszystkimi dookoła, dokuczał Międzyrzeckiemu, nawymyślał Bogu ducha winnej Sylwii, i za co? Że ją łacinnik pochwalił!

Zagórski pieniał się na „tych lizusów, kujonów, ludzi bez horyzontów, którzy świata za piątką nie widzą”. Sylwia, zaiste w żaden sposób nie podpadająca pod którąkolwiek z wymienionych kategorii, omal nie płakała, koleżanki, z Müllerówną na czele, w obronie Sylwii mieszały z błotem Zagórskiego. Joasia miała ochotę dołożyć swoje trzy grosze, ale machnęła ręką i wyszła z klasy. Zaraz za nią wyszedł Marek. Przerwa miała się właściwie ku końcowi, wielu uczniów wracało już do góry, stanęli więc oboje z boku przy schodach. Metalowa poręcz wyświecona tysiącami rąk, błyszczącymi zakosami prowadziła aż do samych piwnic, kamienne okładziny ścian połyskiwały w słońcu padającymi ukośnie promieniami przez wielkie, podłużne okna, przecinające mury od parteru do strychów. Na półpiętrze stała na wysokiej drabinie sprzątaczką i myła szyby – patrząc pod światło wydawała się czarnym, wielkim, biednym pajakiem, uwięzionym w szklanej gablocie.

– Człowiek taki zmęczony, a ci mają siły wrzeszczeć – mruknął Marek z niechęcią.

– No, tobie przynajmniej nie zależy na stopniach, to masz spokojną głowę – odrzekła Joasia.

– Kto ci powiedział, że mi nie zależy?

– Myślałam...

– Zależy mi, że względu na stypendium. Mama się zawsze cieszy.

– I ojciec – dodała Joasia, myśląc o swoim.

– Mój ojciec zginął na wojnie...

Joasia spojrziała na chłopca, ale nic nie powiedziała. Co tu było do mówienia?

– Żeby te cztery dni już przeszły. Nie mogę się doczekać wakacji.

– I ja też. Ostatnio jakoś ledwo łązę.

– Wypocznesz sobie na tych koloniach. Kogo jak kogo, ale ciebie na pewno wyślą.

– No i ciebie przecież też. Będziemy razem, czy to nie zabawne? – uśmiechnął się. – Swoją drogą, dla ciebie koniec tego roku to chyba wielka radość. Pamiętam, jak przyszłaś... w tym twoim zielonym dresie, z zielonymi wielkimi oczami, popatrywałaś po wszystkich przestraszona. Myślałem wtedy: Boże, co za ciele!

– Uprzejmie dziękuję!

– No, takie sympatyczne ciele. Zresztą ja już wtedy wiedziałem, że nie jesteś głupia, ale rozpaczliwie niezaradna.

– Ja przecież jestem zaradna.

Zadudnił obok nich tabun ośmioklasistów, z tłumu wyłoniła się drobna postać księdza.

– Chodźmy, bo już idzie. Dobrze, że ostatnia lekcja to religia, może będzie znowu Londa na czytał, to szybko przeleci – zauważyła Joasia.

I religia „przeleciała”, i te cztery dni też się wreszcie skończyły. Uroczyste zakończenie roku miało się odbyć dopiero o dziesiątej. Joasia uznała, że zyskane w ten sposób godziny najlepiej zużyć na pakowanie. Nie była zdecydowana, którym pociągiem pojedzie, miało to zależeć od tego, co będą robić koledzy po rozdaniu świadectw. W każdym razie lepiej mieć wszystko gotowe, żeby najwyżej tylko wpaść po walizkę i lecieć na dworzec. W ciągu kilku poprzednich dni wyprała i wyprasowała wszystko, co trzeba, tak że po pół godziny można było zamknąć walizkę. Popatrzała na ogołoconą szafę, na półkę z książkami:

No, to by z grubsza było. Ale człowiek jednak poobrasał w graty przez ten rok – przecież ile jeszcze zostawiłam, a kufer już pełny. Książek to mi naprawdę przybyło.

Przesunęła ręką po grzbietach tomów i coś ją skusiło, żeby wyciągnąć pierwszy swój wrocławski nabytek – Heinego.

– Powrócę sobie: Pierwsza zwrotka u góry z lewej ma dotyczyć mojej przyszłości.

Otworzyła książkę na chybił trafił:

Schöne, helle, goldne Sterne  
Grüsst die Liebste in der Ferne  
Sagt dass ich noch immer sei  
Herzkrank, und bleich und treu.

Piękne, jasne złote gwiazdy, /  
pozdrowicie ukochaną, daleką /  
/ powiedzcie, żem ciągle jeszcze /  
z cierpiącym sercem, blady – i wierny.  
tłum. Profanus

Ee, ni w pięć, ni w dziewięć. Weźcie wy się lepiej, koleżanko, do tej walizy i ustawcie ją po ludzku.

Chwyciła ją energicznie, aż za energicznie, bo uchwyt pozostał jej w rękach. Wymyślając walizce od parszywej łajzy zabrała się do naprawiania. Kiedy wreszcie dzięki sznurkom i drutom walizka dała się nieść, zostało zaledwie tyle czasu, by ubrać się i polecieć.

Wpadła do auli już za gronem nauczycielskim, uroczyście sunącym ku pierwszemu rzędom. Zdyszana oparła się o filar i szukała oczyma swoich. Nielatwo było ich znaleźć – aula napchana po brzegi, teraz dopiero widać, co to jest pełna jedenastolatka – od wiercących się ciągle maluchów do wytwornych i godnych maturzystów. Słuchała jednym uchem przemówień dyrektora i wychowawców, błędząc wzrokiem po mrowiu granatowych mundurków i białych kołnierzyków. Gdzie oni się zadekowali? – myślała niecierpliwie. Przyszło jej do głowy, że jeszcze pół roku temu wcale by się nie męczyła odszukaniem kolegów. Wydało jej się dziwnym i radosnym zarazem stwierdzenie, że teraz ma się o co sercem zaczepić. Dostrzegła koleżanki w chórze ustawiającym się na scenie – z trudem powstrzymała się, by nie

pokiwać ręką Bożce i Marysi. W ciszy, jaka zapadła, słychać było, jak panna Sianko dyskretnym „aaa”... podaje ton poszczególnym głosom, po czym chór zaśpiewał – po raz ostatni w tym roku – pieśń o miłym maju. Oklaskiwali ją gorąco – przez tyle tygodni towarzyszyła ich wiosennym radościom i smutkom, dźwięczała tęsknotą za zielonymi lasami i wspomnieniem nadrzecznych spacerów, aż się dziwnie zrobiło na sercu. Taki udany maj w tym roku – myślała bez składu Joasia. – Już chyba w życiu takiego nie będzie. Boże, jak ja lubię ludzi...

Potem jakiś romantyczny maturzysta deklamował z przejęciem „Pieśń o flagach” Gałczyńskiego, Bodek Lipski grał „Etiudę Rewolucyjną”, Bożka śpiewała pieśń Karłowicza. Dla zmiany nastroju balet dziecienny odtańczył pocziwie wiązanek tańców śląskich, jakiś młody z pierwszej klasy recytował wiersz o drzewie, które wyrosło w lesie potężne. Taka typowa mieszanka akademijna: w miarę podniosła, w miarę komiczna, ale ciesząca jakąś swojskością, budząca życzliwość do wykonawców i całego świata.

Po występach wszyscy poderwali się, by lecieć do klas po świadectwa, ale zatrzymał ich głos dyrektora:

– Moi drodzy! Zanim wychowawcy dadzą wam do rąk świadectwa, chcielibyśmy już tu, wobec całej szkoły, wręczyć te dokumenty uczniom, którzy całoroczną wytrwałością i pracą zasłużyli na wyróżnienie. W nagrodę za to będą mieli zapewniony wypoczynek wśród dzieci Polonii zagranicznej, którym przekażą zapewne swą wiedzę o naszej pięknej ojczyźnie. Proszę teraz uczniów, których nazwiska wyczytam, aby podeszli na scenę.

Sięgnął po teczkę ze świadectwami.

– Joanna Uruska!

Joasia poderwała się ze swego kąta. To oczywiście przypadek, że mnie wyczytał pierwszą – myślała, idąc szybko ku scenie i z zażenowaniem unikając spojrzeń uczniów. – Oczywiście. Ale swoją drogą, Boże, pięć lat życia za to, żeby tu teraz była największa plotkarka z Karczewa. Albo dyrektor. Albo ksiądz Mazurek. Widzicie, że Uruskiej nie tak łatwo dać radę!

Sala biła brawo, Joasia, nie wiedząc jak i kiedy, znalazła się przy swojej klasie – to nieoceniony Wilkołek chwycił ją za rękę, kiedy oszołomiona wracała ze sceny. Ścisł ją mocno, walono po plecach, nawet Zagórski zdobył się na dobre słowo. Świadectwo wędrowało od jednego do drugiego, aż wreszcie Joasia trochę zniecierpliwiona zawołała:

– Dajcie, niech i ja obejrzę, to poniekąd mnie też obchodzi.

Przeleciała szybko kolumnę ocen i powiedziała tylko:

– O cholera!

Świadectwo było zaskoczeniem dla niej samej. Tylko dwa dobre; ze śpiewu (no, jasne!) i z chemii (no, trudno).

– A Marek jakie ma? – rozejrzała się dookoła, oprzytomniawszy trochę.

– Marka nie ma. Wyczytali go przed chwilą, ale się nie zgłosił – wyjaśniła Janka.

Joasia zdecydowała momentalnie, że pojedzie najbliższym pociągiem do Karczewa. Obstawiała twardo przy tej decyzji, mimo że Ania Palicówna zapraszała wszystkich na kawę po południu. Dopiero gdy ulokowała się w zatłoczonym pociągu, odchodzącym w samo południe, w najgorszy upał, zaczęła sobie wyrzucać, że wyjeżdża przedwcześnie.

Nawet się z ciotką porządnie nie pożegnałam. I chciałam jej kwiaty kupić, a nie kupiłam. A teraz Ledwo zipię w tej gorączce. Właściwie dlaczego nie chciałam iść do tej Ani? Oj, Uruska, zawszeście byli kopnięci!

Na dnie tych wyrzutów tkwiła przekonanie, że zupełnie niepotrzebnie straciła szansę dowiedzenia się, co właściwie była z Markiem. A może by akurat znalazł się po południu? Bodek by chętnie po niego poszedł.

Na pociechę wyjęła z wewnętrznej kieszeni wiatrówki złożone we czworo świadectwo. No tak, to jest coś. Po roku w obcej szkole. W wielkim mieście. To jest coś. Chociaż namęczył się człowiek przy tym wszystkim, że nie wiem. Nawet nie było warto. Co, nie było warto? Czy naprawdę wolałaby teraz wychodzić z Miejskiego Gimnazjum Koedukacyjnego w Kar-

czewie z Elą, Adamem, Marianem? Nigdy nie poznać... Janki na przykład? Dobrze jest, jak jest. Swoją drogą ciekawe, czym się też będę martwić przez następny rok?

Pociąg nabierał rozpędu, wieże Wrocławia znikają po kolei za okienną ramą.

Co to będzie za rok? Zdam maturę, pewnie, ale między wrześniem a majem? Boże, przecież to taki kawał czasu i właściwie zupełnie nic nie wiadomo.

## CZEŚĆ DRUGA

### Wakacje w górach

#### 1. Obeszło się bez beczki soli

Lokomotywa pykała leniwie, w ostrym słońcu południa obłoczki pary znikwały prawie natychmiast, peron małej stacyjki był zupełnie pusty i Joasia stwierdziwszy, że pykający parowozik nie ma najmniejszego zamiaru zainteresować się stojącymi na boczniczy przedpotopowymi wagonami, zaczęła sobie wyrzucać, że tak pędziła z Dworca Głównego na ten szumnie nazywany Zachodnim, i nie obejrzała nawet słynnego jeleniogórskiego rynku.

Dobrze, ale przecież powinno z Wrocławia nadjechać jeszcze paręnaście dziewczynek – uprzytomniła sobie. – Na Głównym mogłam je przegapić, ale tu chyba się znajdują.

Popatrzyła jeszcze raz po peronie, tylko dla zasady, po czym znowu chwyciła walizkę i wyszła przed stację. Tam też nie było nikogo.

Ja to mam, widać, tempo – pomyślała. – No nic, siądźmy sobie i czekajmy.

Wybrała na punkt obserwacyjny zacienione miejsce pod murem. Przed sobą miała stromo opadającą ku miastu dróżkę, oddzieloną od pól przez kilka chuderlawych akacji i krzywy płotek. Dalekie góry ledwie były widoczne poprzez rozedrgane od upału powietrze.

A Marka jednak nie zobaczę. Niepotrzebnie się bałam. Kuratorium nie takie głupie, żeby robić kolonie koedukacyjne. Ale szkoda, że nie ma nikogo z klasy. Jankę mogli naprawdę spokojnie wysłać. Pewnie jej zaszkodziła ta nieszczęsna matematyka.

Podeszła do rozkładu jazdy – co, dopiero za półtorej godziny? Musiała coś pokręcić, jak w Karczewie wypisywała pociągi. Może wrócić do miasta?

Popatrzyła na walizkę, na wyludniony dworzec i wzruszyła ramionami na niewczesny pomysł. Po chwili jałowych rozmyślań podeszła do akacji, ułamała gałązkę i machinalnie zaczęła odrywać listki. Bez żadnego „kocham, lubi, szanuje”, tylko tak, z nudów. Ale rzuciła liście szybko za siebie, kiedy dojrzała, sporą grupę dziewcząt skracających w stronę dworca. Poznała jedną z nich – Wandę Majerównę, z przyrodniczej, i ucieszyła się, że choć ktoś jeden mniej więcej znajomy. Potem rozróżniła kilka twarzy zapamiętanych z przerw i już nie miała wątpliwości, że nadchodzą jej towarzyszkami na najbliższe osiem tygodni. Na krótko ogarnął ją znany i znienawidzony nastrój popłochu, jaki przeżywała w szkole na początku roku, ale zbyt dobrze jej się ostatnio wiodło, by się mu poddać. Chcąc jakby dowieść sobie, że jest już kimś zupełnie innym, zawołała do koleżanek:

– Cześć! Widzę, że nie tylko mnie spieszyło się do nudów na tej stacyjce.

– Cześć, Uruska! – odpowiedziała Wanda. – Pociąg miejscowy, więc lepiej być wcześniej. Czy tu można dostać coś do zjedzenia?

– Gdzie tam! To zgoła Chandra Unyńska.

– ...gdzieś w mordobijskim powieście – dokończyła cytatu nie znana Joasi dziewczynka. Pewnie z przyrodniczej, te klasy najmniej znam – pomyślała. Przyjrzała się jej z zaciekawieniem.

– Ale jak jesteś głodna – zwróciła się do Wandy to siądźmy gdzieś w rowie i zniszczmy to, co mi domowi w swej szczodrobliwości napchali do torby.

– Czy domowi napchali koleżance też coś do picia? Bo moi zapomnieli! – odezwała się ta czarna.

– Wystarczyłoby, mam nadzieję, nawet dla całej karawany.

Więc siadły pod tą chuderławą akacją. – Wanda wyjęła szklankę („to niby do zębów, ale deszcze nie używana” – wyjaśniła), Joasia butelkę wody z sokiem, kanapki i ciastka. Nalała wody do szklanki i podała czarnej.

– Proszę, koleżance należy się przede wszystkim.

– Na imię mi Krystyna. Z przyrodniczej. Poza tym po przodkach Biezanowska.

– Uruska. Z dobrej rodziny, choć humanistka. A z woli babci: Joanna.

– Powiedzcie no – odezwała się Wanda – kto tam jeszcze ma przyjechać?

– Ba, żebym to wiedziała. – Joasia zerknęła w stronę siedzących na ławce przed dworcem.

– Chyba na tej dziesiątce się nie skończy. Może będą z innych szkół. Jeszcze ma być Basia Szperkówna z mat.-fiz.

– Tak, została w śródmieściu – wyjaśniła Wanda.

Krystyna zniżyła głos.

– Wiecie, to zakręmy się jakoś, żeby nie brać do pokoju szczeniaków z VIII i IX.

– Jasne – zgodziła się Wanda.

Więc kiedy wreszcie lokomotywa podciągnęła wagony na właściwy peron, zajęły już we trójkę przedział. Wanda wyszła jeszcze przed dworzec, by złapać zagubioną XI-klasistkę, Krystyna i Joasia wyglądały przez okno.

– O, już ją ma! – zauważyła Krystyna. – Ty znasz bliżej tę Wandę?

– Tak sobie. Miałam z nią kiedyś dyżur na zabawie przy bufecie. Taka do życia.

– Zupełnie was wtedy nie widziałam. To zabawne, chodzić rok do tej samej budy i poznać się dopiero w pociągu.

– Co ty chcesz, taka szkoła. Tysiąc ludzi, jak w pysk dał. Baškę znam lepiej, z gimnastyki. Bo mat.-fiz. ma z nami. Baśka znakomicie skacze i fajnie ścina.

Krystyna nie zdążyła odpowiedzieć, bo już Wanda z koleżanką ładowały się do wagonu. „Cześć, cześć, świetnie, żeście się znalazły, to się teraz trzymajmy, trzeba podłapać jakiś przyzwoity pokój” – na takich okrzykach zeszło ostatnie piętnaście minut przed odjazdem.

Pracowite buch-buch lokomotywy i stukot kół działały jakoś rozleniwiająco. Koleżanki powyciągały się, jak mogły najwygodniej, nikomu nie chciało się gadać. W sąsiednim przedziale „szczeniaki” zabrały się gorliwie da wyśpiewania całego zbioru „25 pieśni radzieckich”, od „Sziraka strana maja radnaja” aż do „Przyfrontowego lasku”.

...milczący siedział każdy z nas,  
swych wspomnień słuchać chciał...

Zrobiło się lirycznie i sennie, i byłoby coraz sennie, gdyby nie pierwszy tunel. Przez chwilę widać było jeszcze kłęby pary, potem zapanowały egipskie ciemności. I wtedy odezwała się Basia Szperkówna:

– Po drodze do Stroma, tam gdzie są teraz nasi chłopcy, jest taki tunel. Jechałam raz z moim marynarzem...

– Uhm... – chrząknęła znacząco Krystyna.

– Nie ma co chrząkać. Tamten tunel jest bardzo długi i...

– Właśnie – mruknęła Joasia. – W sam raz na szal zmysłów z marynarzem.

– Zaraz tam szal – broniła się Basia, ale już było za późno. Do końca drogi nie dawały jej spokoju z tunelem i marynarzem. Basia robiła skromne miny, udawała oburzoną, ale sama dorzucała różne szczegóły z historii poznania marynarza i widać było, że paplanie o nim sprawia jej rajska radość.

Jaka ona w gruncie rzeczy podobna do Irki – przeleciało Joasi przez głowę. Śmieszne, że tak od razu spotyka się te same typy. Ale Krystyna jest do nikogo niepodobna.

„Niepodobna do nikogo” Krystyna ujawniła po przybyciu na miejsce wiele bystrości. Z całkowitą beztroską ominęła ceremonię powitania i przedstawiania się kierownicze kolonii i smygnęła w głąb domu. Ze schodów spojrzała jeszcze na hall – przed pokojem kierowniczkim tłoczyły się teraz koleżanki, wymachując legitymacjami. Ale Krystyna była pewna, że na zameldowanie się zawsze znajdzie czas. Na piętrze było jeszcze cicho i pusto. Uchyliła po kolei białe drzwi. Nim na schodach zadudniły ciężko kroki dziewcząt dźwigających bagaże, zdążyła wybrać lokum najlepsze z możliwych: pokój nieduży, z oknami od wschodu i od południa, z balkonem.

– I ma podwójne drzwi, tego nie należy lekceważyć – zachwalała zalety pokoju przed Joasią i Wandą. – Pewnie, trudno by tu urządzić bał na sto osób, ale przynajmniej wiadomo, że nam nikogo nie dokwaterują. Ja sobie wybieram to łóżko w kącie.

– Górę czy dół? – zapytała Joasia (łóżko było piętrowe).

– Dół.

– No, ta ja górę. Takie prawdziwe bocianie gniazdo!

– Bocianie gniazdo bardziej by podchodziło Basi. Zawsze coś wspólnego z okrętem – Wanda wróciła do docinków z pociągu.

– Dajcie mi spokój – śmiała się Basia.

Basia i Wanda ulokowały się, chcąc nie chcąc na łóżkach pod oknami.

– No, a teraz po pościel – zakomenderowała Basia. – Kto pójdzie ze mną?

Poszła Joasia. Potem przez pół godziny w pokoju kotłowało się od prześcieradeł, koców i wyciąganych z waliz fatalaszków. Szafa nie chciała się domknąć więc Joasia postanowiła coś z nią zrobić.

– Przyniosę młotek, zobaczycie, jak ją urządzę.

– Tylko żeby potem nadawała się do użytku – ostrzegła Krystyna, a Wanda dodała:

– A to przyniesie jeszcze szczotkę, bo się zrobił bałagan. Joasia powędrowała do kuchni, przestronnej, wykładanej kaflami, z kamienną posadzką i wielkim, miło huczącym piecem. Kucharka dała jej żądane przedmioty, wymieniły parę uprzejmych zdań i dzięki temu pierwszemu kontaktowi Joasia zaczęła potem uchodzić za generalnego specja od spraw gospodarczo-bytowych. Parę pinesek, kawałek paska odciętego beztrosko od walizki – i szafa była w porządku.

– Co by tu jeszcze zrobić! Młotek jest, szkoda go tak zaraz odnosić.

Basia zauważyła, że właściwie stół się kiwa.

– Świetnie, zaraz go podreguluję. Weźcie ino stąd te manele.

Chwilę dopasowywała tekturową podkładkę i znowu waliła młotkiem jak w kowadło. Wanda, zajęta zamiataniem, pokrzykiwała na nią niecierpliwie. Basia stała nad łóżkiem medytując, co zrobić z fotografią marynarza. Powiesić przy poduszce – głupio. Ustawić – nie ma na czym. Schować – szkoda.

– Daj mi parę pinesek, spróbuję umocować na krześle – zwróciła się do Joasi.



– Mhm – zamruczała Joasia przez zęby, w których trzymała rząd gwoździków, i wyciągnęła za siebie rękę z pineskami. W stukocie młotka, szuraniu krzesel dał się słyszeć głos Krystyny:

– A jednak takie płótniki są najlepsze. Mogą miesiącami obywać się bez czyszczenia.

Koleżanki zdumione spojrzały w jej stronę. Krystyna leżała spokojnie na kocu, ręce pod głową, nogi zwisające z krawędzi łóżka, jedna była bosa, na czubku drugiej kiwał się zachwalany płócienny pantofel.

– Tobie się nawet butów nie chce zdjąć! – zawołała wstrząśnięta tą beztroską Basia.

– To my tu się krzątamy jak mrówki, a ty dosłownie kiwasz palcem w bucie. To jest aspołeczne! – dorzuciła Wanda.

– Co ty nie powiesz? Ale zauważ, że ja jednak kiwam palcem w bucie, a dopiero niekiwaniem jest symbolem lenistwa – odparowała łagodnie Krystyna.

– Ale przecież musisz rzeczy ułożyć i w ogóle! – nie ustępowała Wanda. – I mogłabyś pomóc Joasi przy tym stole.

– A jak mi się nie chce, to co? Zresztą popatrz na Joannę, ona się świetnie przy tym bawi.

Joasia istotnie za każdym walnięciem młotka pośpiewywała, ale dla Wandy to nie był argument.

– Każdy powinien się przyczynić do wspólnego dobra!

– Uhm. Basia na przykład stara się w tej chwili zapewnić nam szczęście oglądania oblicza marynarza przez najbliższe osiem tygodni!

– Zawsze coś robi.

– Ja też robię. Ja odpoczywam. Przecież społeczeństwo wysłało nas tu właśnie, żebyśmy wypoczywały. I jadły – dodała, bo w tej chwili rozległ się gong. – Chodźcie, szlachetne osoby, na kolację. A szczotkę lepiej schowajcie, bo się przyda na rano. Po co tyle razy łązić na dół.

Więc Wanda schowała szczotkę za szafę, Joasia jeszcze raz wypróbowała, czy stół się nie kiwa, a Basia czułym spojrzeniem obrzuciła fotografię przybitą do poręczy krzesła. Z innych pokoi też wysypały się dziewczęta. Parę „szczeniaków” z VIII klasy pędziło na dół, wyśpiewując pieśń ze swojego repertuaru:

Tam jeść ci każą dać

I na siano pójdziesz spać.

Słońce ci zaświeci w samą twarz!

Krystyna oparła rękę na ramieniu Joasi:

– Zobaczysz, będzie zupełnie fajnie. Tylko się nie przepracowuj!

## 2. Zabawa w szczerść

Słońce ci zaświeci w samą twarz – przypomniała sobie od razu Joasia, otwierając oczy. Musiało być bardzo wcześnie, bo promienie oświetlały tylko sufit i połowę ściany. Obróciła się na bok, ostrożnie, żeby zredukować do minimum skrzywienie sprężyn, i popatrzała na koleżanki. Basia spała twardo, z rękoma jakoś po niemowlęcemu założonymi nad głową. Wandy prawie nie było widać spod koca. Joasia wychyliła się za krawędź, by spojrzeć na zegarek Krystyny, leżący na krześle.

– Już nie śpisz? – odezwał się szept z dolnego łóżka.

Wychyliła się jeszcze bardziej i uśmiechnęła się do Krystyny.

– Cholera, to dopiero piąta. Co robić przez te dwie godziny do pobudki?

– A spać już ci się nie chce?

– Ani trochę.

– To może byśmy tak poszły w plener?

– Cała chałupa śpi, jak wyleziemy?

– Znajdzie się jakieś wyjście.

– No dobra. Możesz mi rzucić spodnie i koszulę z tamtego krzesła?

– Mogę. Łap!

Joasia zobaczyła teraz nogę w zielonej piżamie, i śniadą stopę wyciągniętą w kierunku krzesła. Krystyna zręcznym kopnięciem podrzuciła szorty do góry.

– Co za precyzja – wyraziła uznanie Joasia. – Ale bluzy nie sięgniesz.

– Sięgnę. Proszę – i bluza tą samą drogą wylądowała na górnym łóżku.

Po chwili Joasia usłyszała z dołu:

– Ja już. Możesz złazić z tej ambony.

Na bosaka, z butami w rękach wymknęły się z pokoju. Na klatce schodowej było szaro, w hallu na dole panował półmrok, drzwi wejściowe były zamknięte. Ale z kuchni dochodziły odgłosy jakiejś krzątaniny

– Walmy przez kuchnię, nie da rady – zdecydowała Joasia.

W kuchni sprzątaczką rozpałała ogień. Powiedziały jej „dzień dobry”, wyjaśniły, że jakoś się człowiekowi wcale nie chce spać, i wyleciały na dwór. Czyste, błękitne niebo, czarne świerki, rosa na trawie. Będzie piękny dzień.

Przesadziły murek i z rozpędu biegły dobrą chwilę lasem, wśród świerków i paproci, aż dotarły do szerokiej przesieki, prowadzące jak się wydawało, prosto na szczyt jakiejś góry. Długie cienie drzew znaczyły się smugami na białawej od porannych mgieł ścieżce.

– Wygląda jak drabina da nieba – zauważyła Joasia.

- Może by podlecieć aż do tych skał na górze?
- Bo ja ci wiem. Tak się zdaje, ale to chyba musi być zdrowy kawałek.
- To po śniadaniu.
- Ile do tego śniadania? – Niecała godzina.
- A, to powłóczmy się jeszcze.

Rzucały szyszkami, skakały przez kamienie, na jakiejś nasłonecznionej, więc suchej już polance Krystyna usiłowała udowodnić Joasi, że umie stanąć na głowie, ale coś nie bardzo jej się udawało. Więc uznała, że czas wracać na śniadanie.

- No, to biegiem.

Jadalnia wyglądała zgoła nieciekawie: wielka, ale ciemna, zastawiona niewygodnymi, ogrodowymi meblami na żelaznych nogach. Mogła pomieścić ze sześćdziesiąt osób, więc kilkanaście dziewcząt po trochu gubiło się wśród pustych krzesel i stołów. Nic dziwnego, że jadły szybko, żeby jak najprędzej stąd wylecieć. Zatrzymała je jednak kierowniczka:

- Proszę się nie rozchodzić, mam wam parę słów do powiedzenia.

Wyjaśniła, że dzieci z zagranicy przyjadą dopiero za dwa tygodnie, że wobec tego regulamin ma charakter tymczasowy. Ona uważa, że dziewczynki, jako najlepsze uczennice, nie potrzebują stałego nadzoru, prosi tylko, żeby na posiłki przychodzić punktualnie i nie hałasować po godzinie dwudziestej pierwszej. Na wycieczki i dalsze spacery należy wychodzić raczej w towarzystwie wychowawczyń, które najpewniej przyjadą w ciągu dnia. Życzy wszystkim miłego wypoczynku. Sprzęt sportowy jest do dyspozycji w kancelarii.

– Zupełnie rozsądna kobieta – skomentowała spicz kierowniczki Krystyna. – Jeżeli ona mówi, że na wycieczki „raczej” pod opieką, to znaczy, że można, chociaż nie trzeba. Więc możemy zaraz iść na tę Szrenicę.

Poszły znaną już drogą do przecinki. Ścieżka była zresztą bardziej stroma, niż się na oko wydawało, ale cóż to wreszcie dla nich. Miały dosyć siły, żeby jeszcze śpiewać. Miny im zrzedły dopiero, gdy przecinka się skończyła i okazało się, że do szczytu jeszcze dobry kawał drogi przez zagmatwany, kłujący gąszcz kosodrzewiny.

- Cholera jasna, jak przeleźć przez to parszystwo? – zakłęła Joasia.
- Po co zaraz przeklinasz? – skarciła ją Wanda.
- A tak, z radości życia...
- Czy to nie jest zbyt prymitywny sposób wyrażania radości życia?
- Może masz rację. Ale wreszcie, dlaczego się krępować.

Joasi przyszła w sukurs Krystyna:

- Czego się, psiakrew, gapicie? Jazda prosto na górę!
- O, i druga się wyraża! – Wanda obstawała przy swoim.
- Oj, nie bądź starą ciotką – wzruszyła ramionami Krystyna.

Zaczęło się przedzieranie przez kosodrzewinę. Coś niesamowitego! Krzewy nie rosły na równym gruncie, tylko wymyślnie oplatały skały, kryjąc zdradzieckie dziury i rozpadliny. Człowiek nie wiedział, czy za następnym krokiem znajdzie się na skale, pod skałą i czy się w ogóle znajdzie. Wanda po jakimś radosnym „hop” przepadła tak gruntownie, że dopiero zduszone: „Dajcie mi rękę, szlag by was trafił!” – naprowadziło koleżanki na jej ślad. Leżała na mokrym mchu, zaplątana jedną nogą w gałęzie, u podnóża stromego głązu. Krystyna i Joasia zabrały się do akcji ratowniczej, ale przedtem Krystyna nie odmówiła sobie przyjemności okazania niesmaku, że koleżanka też się „wyraża”.

- Nie gadaj tyle, tylko wyciągnij mnie z tej cholernej dziury!
- „Cholernej”? Fe, jak tak można?!
- Nie możesz tej nogi jakoś odczepić? Te chaszczki tak ją przyskrzypiły, że jak się ruszę, to mi skórę zdzierają.

Noga tkwiła jak w sidłach między sporymi gałęziami. Joasia spuściła się na dół i spróbowała je rozchylić. Nie bardzo się dało.

- Ty łajzo sakramencka – przemawiała czule do gałęzi. – Ja ci pokażę.
- Au, kurczę blade, uważaj! – wrzasnęła Wanda, ale już była wolna.

Krystyna podała im z góry rękę i można było kontynuować wyprawę. Skoro okazało się, że Wanda też się załamała i ujawniła biegłość w używaniu nieparlamentarnego słownictwa, przy każdej okazji wręcz licytowały się w co wymyślniejszych wyrażonkach. Prym tu wiodła Joasia. Kiedy jednak określiła jakiś szczególnie niewygodny kamień jako „chrzanione bydłę”, nawet Krystyna uznała, że to jednak coś nie tak.

– Zdaje się, że będziemy wzbogacać język tych zagraniczniczek w zupełnie niepożądanym kierunku – zauważyła.

- Pierona, masz rację. Trzeba się hamować – zgodziła się Joasia.
- Hamujesz się, a klniesz.
- Będę uważać.

Znowu kilkanaście metrów kosodrzewiny i okazało się, że dobre chęci nie wystarczą na opanowanie języka.

– Wiecie, musimy chyba wymyśleć jakieś kary za przeklinanie, bo nam to za bardzo wejdzie w krew – wysunęła projekt Wanda.

- Po dziesięć złotych za każdą cholere – uzupełniła propozycję Basia.

– Zbankrutujemy – protestowała Krystyna. – I zresztą, co zrobić potem z forszą? Na chleb św. Antoniego dać?

– Wiecie, wyczytałam w jakiejś powieści taki sposób wykupywania fantów: za każdy fant jedna szczerza odpowiedź na pytanie. Może więc właśnie taka kara – wymyśliła topór na własną głowę Joasia.

– Dobra, to może być nawet interesujące skwapliwie podchwyciła Krystyna. – Wieczorem, po zgaszeniu świateł, spowiedź powszechna.

– Tylko od razu zaznaczam, że liczą się tylko popularne przekleństwa. Na przykład „łajza parszywa” uchodzi – zastrzegła się Joasia.

- Nie, nie uchodzi – ucięła Wanda. – Jak wersal, to wersal.

Z tym wersalem było jednak dość ciężko. Basia, z nich wszystkich najbardziej powściągliwa, tylko liczyła:

– Krystyna, to już pięć! Wanda, cztery. Prowadzenie w dalszym ciągu ma Joanna. Coś mi się zdaje, że nie starczy nam konceptu na wymyślanie pytań.

– Nie bój się, ciebie w każdym razie przewrócimy na drugą stronę – odpowiedziała zjadliwie Krystyna.

Po kolacji jeszcze posiedziały trochę na progu, śpiewając z młodszymi koleżankami smętne piosenki, guzdrały się nad miarę długo przy myciu, ale wreszcie nadszedł moment, kiedy Basia przekreśliła kontakt i w pokoju zapanowała ciemność. Joasia zwinięta w kłębek, z pięścią pod głową czekała z cichą nadzieją, że może na mocy jakiegoś niemego porozumienia nikt nie wróci do przedpołudniowego pomysłu kar za przekleństwa. Była zła na siebie za ten projekt. Już mniejsza z tym, że na niej się w rezultacie najwięcej skrupi, ale uświadomiła sobie teraz, że łatwiej w gruncie rzeczy odpowiadać na niedyskretne pytania, niż je zadawać.

- No, to dobranoc! – powiedziała z głupia frant.

Koleżanki głośno zaprotestowały:

– O, co za cwaniak! Dobranoc, proszę bardzo! I to kto? Joanna, która jest nam dziesięć pytań dłużna.

- Nie, ja się wcale nie uchylam, tylko myślałam, żeście zapomnieli.

– No, no, kogo ty tu będziesz po oczach drapać! – oburzyła się Wanda.

– Proszę, pytaj – Joasia siadła na łóżku, jak gdyby wystawiając się bohaterko na wszystkie zatrute strzały.

– Dobrze, niech Wanda pyta – odezwała się Krystyna – ale nie ciebie. Zacznijmy od Basi, bo ma najmniej na sumieniu.

Zapadła chwila milczenia, po czym Wanda powiedziała nienaturalnie obojętnym głosem:

- Powiedz wobec tego, co to było z marynarzem w tym tunelu.
- Nie mogłabyś spytać o coś innego?
- Nie – odpowiedziała Wanda z tak głębokim przekonaniem, że Basia już nie próbowała się wykręcać.
- Więc właśnie, tego – zaczęła. – Więc jak pociąg był już dobrze w tunelu, Staszek przysunął się do mnie i... pocałował.

Ostatnie słowa były nieco stłumione – dla wszystkich było jasne, że Basia wymawiając je, schowała splonioną twarz w poduszkę.

- Ile razy? – ciągnęła dalej Wanda, ale Krystyna jej przerwała:
- Mało ważne, możesz sobie wyliczyć na podstawie długości tunelu. Lepiej się spytaj, który raz to było.
- No? – zwróciła się Wanda do Basi.
- Czekaj, niech pomyślę.

Myślała dobrą chwilę, aż koleżanki zaczęły trochę z niej pokpiwać.

- Czternasty, a jak policzyć raz w policzek, to piętnasty.
- W policzek się nie liczy – powiedziała niby poważnie Joasia, ale zaraz parsknęła.
- Czego ryczysz? – oburzyła się Basia.
- Bo jednak masz świetną pamięć. A może zapisujesz?
- Nie, to jest właściwie tak. Bo ja piszę pamiętnik.
- Ee, wiara, to my jej darujemy te dwa pytania, co zostały, a niech nam da ten pamiętnik – zawołała Joasia.
- Jeszcze czego – zaprotestowała Basia. – Za dwa pytania pamiętnik! Taz on jest wart co najmniej dziesięć.
- To daj go na kredyt.
- Mowy nie ma.
- Nie chce, to nie, poczekajmy, jakoś uciula się te parę choler i będzie – ucięła dyskusję Krystyna. – Wanda, wal dalej.
- No, to powiedz, dajmy na to – zastanawiała się Wanda – no powiedz, czy go bardzo kochasz.
- Ojej, Wanda, co za pytanie – Krystyna aż podskoczyła na łóżku. – Jak tak możesz marnować punkty. Jasne, że Basia teraz schowa głowę pod poduszkę i wyszmerze dziewiczym głosikiem, że tak, że bardzo. Więcej finezji, moja droga.

Krystyna objęła kolana rękoma, oparła głowę na splecionych dłoniach i spod zmrużonych powiek wpatrywała się w jaśniejszy prostokąt okna, na którym majaczyła sylwetka Basi.

- Już wymyśliłam. Powiedz mi, złoto moje kochane – cedziła złośliwie – jak ty widzisz przyszłość przy boku ukochanego? Czego się po nim spodziewasz? Ale odpowiedz tak dokładnie, z detalami.
- Czego się spodziewam? Że się ze mną ożeni, oczywiście. Inaczej bym mu przecież nie pozwoliła, żeby się ze mną całował. Zresztą mamusia i tatuś też tak myślą. On już niedługo zostanie III oficerem. Będziemy mieszkać w Gdyni, kupimy sobie domek, zobaczysz, jak wszystko świetnie urządzi. Staszek już teraz masę zarabia, przywozi mi różne piękne rzeczy. Zaraz jak się pobierzemy, sprezentuje mi auto z Ameryki...
- I z kim ty będziesz tym autem jeździć, jak on wciąż na morzu?
- Wcale nie wciąż, po każdym rejsie będzie co najmniej tydzień w domu. Zresztą, czy ja nie mogę sama auta prowadzić? Będzie nam się wspaniałe wiodło!
- Wam czy tobie? – nie wytrzymała Joasia.
- Jak to?
- No, bo z tego wynika, że męża chcesz spławić za granicę, a sama królować w willi i aucie.

– Och, taka ty jesteś. Przecież mówię, że będzie wpadał do domu. I będziemy mieli dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Będą zawsze pięknie ubrane, w same zagraniczne rzeczy.

– A co ty będziesz robić? – sondowała nieubłaganie Joasia.

– Ja? Właśnie mówię: będę dobrą żoną i matką – odpowiedziała namaszczonego tonem. – Zresztą nie macie prawa mnie już więcej męczyć, bo jakby policzyć te wszystkie „a co, a jak”, toby było ze sześć pytań. Koniec, nie powiem ani słowa.

Wanda chciała się prawować o jeszcze jedno pytanie, ale koleżanki uznały, że byłoby to rzeczywiście niesprawiedliwe. Więc Basia, uradowana, że się może odegrać, zawołała:

– Następna, proszę! To zdaje się ty, Wandeczko?

No, odpłaci jej pięknym za nadobne – pomyślała Joasia.

– Proszę, słucham – powiedziała Wanda nieustraszenie.

– Masz na sumieniu pięć pytań, prawda? – upewniła się Basia. – Więc primo: w kim się kochasz, po drugie: co on o tobie myśli, po trzecie: kiedy się z nim pierwszy raz całowałaś, po czwarte, czego się po nim spodziewasz. Piąte pytanie zostawiam sobie jako rezerwę.

Wszystkie spodziewały się takich mniej więcej pytań; Wanda też chyba nie przypuszczała, że Baśka będzie chciała poznać jej pogląd na kwestię kryzysu kultury zachodniej. Zresztą sama zaczęła w tym stylu. Ale teraz, zupełnie niespodziewanie, oznajmiła twardo:

– Ja ci na ten temat słowa nie powiem. Wy wszystkie znacie moją sympatię ze szkoły i to by było zupełnie co innego niż gadanie o marynarzu, którego nikt na oczy nie widział. Zresztą to nie są tylko moje sekrety, ale i jego, i miałby mi za złe, gdyby się rozeszły jakieś plotki.

Basię aż zatkało z oburzenia.

– To tak! – wykrzyknęła. – To najpierw mnie naciągasz, a potem moją szczerość nazywasz „gadaniem o marynarzu”? Takie kanty...

– Wiecie, myśmy się właściwie nie umawiały co do tego – odezwała się Joasia ze swych wysokości ale to chyba rozumie się samo przez się, że nic z tego, co się tu teraz mówi, nie wyjdzie poza nas. Więc już plotek się nie bój. I rzeczywiście to nie fair, że się tak zacinasz. Wreszcie nie chodzi o to, żeby sobie dogryzać, ale taka zabawa w szczerość powinna nas w pewnym sensie zbliżyć do siebie i w ogóle.

– Ja swojego zdania nie zmienię – upierała się Wanda.

Zaległo przykre milczenie.

– A tam; nie, to nie! – powiedziała w końcu Krystyna. – Zresztą tu nie święta inkwizycja. Zgadzasz się, żeby zamienić te pięć pytań na jeden rozkaz? Raz będziesz musiała bezwarunkowo wykonać, co ci każemy.

– Dobrze, wolę to.

– Ale nie będziesz się wykręcać? Daj słowo.

– Słowo honoru!

– Ten twój honor... – wzduszyła ramionami, wciąż jeszcze oburzona Basia. – No, Krystyna, odpowiedz ty na te same pytania. Dwa mam w rezerwie.

– Student politechniki. Ma na imię Krzysztof. Poznałam go przez kuzyna. – Krystyna przerwała na moment, po czym ciągnęła dalej. – A to było w parku Szczytnickim, zeszłej jesieni. Szliśmy tak na przełaj, strasznie dużo liści leżało wszędzie, szeleściły pod nogami. Nawet nie było późno, ale dzień był pochmurny i robiło się ciemno. Trochę nawet zmarzłam, więc było mi bardzo dobrze, kiedy wziął mnie pod rękę. I potem zaczął padać deszcz, stanęliśmy pod wielkim dębem, Krzysztof zdjął kurtkę, miał taką amerykańską.

– Daj spokój kurcie, do rzeczy! – napomniwała Krystynę Basia, ale Joanna zaprotestowała:

– Nie wtrącaj się, to też należy do rzeczy.

– I narzucił mi tę kurtkę na plecy, a sam został w swetrze. Czekaliśmy, kiedy przestanie lać, oparłam się o pień i o Krzysztofa. Nic nie mówiłam, tylko mi serce biło. Wreszcie deszcz się skończył i powiedziałam: „No, to bierz ten habit”. I wtedy Krzysztof chwycił brzegi kurtki i przyciągnął mnie do siebie.

Krystyna przerwała. Joasia słuchała jej opowiadania nie wiadomo czemu ze ściśniętym gardłem. Wanda też milczała; po ostatnim wyskoku nie wypadało jej się wtrącać. Tylko Basia twardo nie poddawała się nastrojom.

– Ominęłaś drugie pytanie: co on o tobie myśli.

– Nie wiem.

– Jak możesz nie wiedzieć? Nie pytałaś go?

– Po co? Zresztą w tych sprawach należy jak najmniej gadać. Tylko się wszystko wtedy płacze.

– E, coś pleciesz. Więc z pytań rezerwowych: jak ci się oświadczył?

– Co znaczy „oświadczył”? Powiedział mi, że mnie kocha i że mu jest dobrze ze mną. O to ci chodziło?

– To co, nie prosił cię o rękę?

– Baśka, jak jeszcze raz coś powiesz o małżeństwie, to cię zakatrupię! – warknęła Joasia.

– Czego się złościysz? – dziwiła się Baśka. – Przecież to normalne zakończenie takich rzeczy.

– Komu normalne, komu nienormalne. Znacie Irkę Piwkównę? Wcale nie uważam za normalne, że zamiast robić maturę, pierze teraz pieluszki.

– To ty jesteś zwolenniczką wolnej miłości?

– Jezus, nauczcie ją jakoś po ludzku gadać. „Prosił o rękę”, „wolna miłość”! Tyś się tego chyba od prababci nauczyła – zdenerwowała się znowu Joasia. – I mnie nie wypytuj, to nie moja kolej.

– Czekaj, dobiorę się i do ciebie. Krystyna, ostatnie pytanie. To samo, coś mi zadała. I odpowiedz finezyjnie, skoro tak lubisz.

– Boję się, że ci sprawię zawód. Ja nie myślę o przyszłości.

– No, przecież coś musisz myśleć. Jak się to skończy.

– Chciałabym, żeby się nigdy nie skończyło. Żeby wciąż było tak, jak jest. Słuchać jego kroków na schodach, rozpoznawać go po sposobie dzwonięcia, włączyć się po łąkach nad Odrą. Patrzyć na jego ręce, jak sznurkuje piłkę od siatkówki, na jego plecy, jak wieczorem odchodzi pod kasztanami. I, mój Boże, wy zaraz powiecie, że ja jestem straszna idiotka, ale ja jestem zupełnie szczęśliwa, jak mnie całuje albo jak mogę przytulić twarz do jego szarego swetra.

Joasi przemknęło przez myśl wspomnienie pewnej spłowiałej bluzy i westchnęła. Nie uszło to uwagi Basi.

– Oho, Joanna ma też na rozkładzie jakiś szary sweter – zawołała z triumfem. – Zaraz się dowiemy. Nie macie chyba nic przeciwko temu, żeby odpowiadała na te same pytania, co Krystyna. I musimy jeszcze pięć wymyślić, żeby się rachunek zgadzał. Więc słuchamy. Jaki to „on”?

Joasia odwróciła się na bok, podparła głowę ramieniem i przez chwilę, patrząc na gwiazdy za oknem, starała się robić coś w rodzaju rachunku sumienia.

– No! – ponagliła ją Basia.

– Wiecie, bardzo mi przykro, że was muszę zawieść. Kiedy ze mną jest zgoła jak u Asnyka: między nami nic nie było. Naprawdę nie myślcie, że robię unik, ale ja się w nikim nie kocham – powiedziała. przekonana, że mówi szczerze.

– A czemu wzdychałaś, kiedy Krystyna mówiła o swetrze? – zauważyła Wanda.

– Czy to ma się liczyć jako pytanie, czy mówisz tak sobie?

– Jako pytanie. No?

– A bo tak. Bo sobie pomyślałam, że to jest coś. Właściwie to zazdroścę Krystynie. Słucham, co jeszcze chcecie wiedzieć.

Nikt się nie odzywał, więc Joasia poczuła się pewniej i zaczęła dogadywać koleżankom:

– Czekam, czekam i słyszę tylko przyspieszony szum kółeczek w waszych mózgach. O, u Basi coś się wciąż zacina. Czyżbyście nie mogły nic wymyśleć poza tymi czterema sakramentalnymi „problemami”?

– Się zanadto nie wymądrzaj, dobrze? – odpowiedziała Krystyna. – Te sakramentalne pytania wcale nie były najgorsze, jeśli chodzi o to, by się o człowieku czegoś dowiedzieć. A ty nam też to i owo ujawnisz, nie ciesz się, zaraz wymyślimy.

– Ja chyba nic nie wymyślę – skapitulowała Basia

– A ja już mam! – obwieściła po chwili Krystyna. – Załatwimy ją hurtowe: jedno wielkie pytanie i reszta pomocniczych.

– Tylko jedno? – Wanda była rozczarowana.

– Ale jakie! Albo nie, dwa: niech nam powie, po pierwsze, co sądzi o nas wszystkich na podstawie tego, co usłyszała, a po drugie, jaki jest jej pogląd na miłość. Kolejność odpowiedzi obojętna.

– Krystyna, moje uznanie. Wrabiasz mnie w pięknym stylu. Tylko dajcie mi chwilę czasu do namysłu.

Krystyna spojrzała na fosforyzujące wskazówki zegarka:

– Pięć minut najwyżej, bo już pół do jedenastej.

– Mam nadzieję, że uśniecie w ciągu tych pięciu minut.

– Tym się nie martw.

Joasia odczekała chwilę i zaczęła:

– Hm. Więc tak... Co sądzę o miłości? Bożeż ty mój, co ja mogę sądzić? No, że to jest poważna sprawa. Mój ojciec na przykład zawsze mówi, że w tych rzeczach nie należy rozmieniać się na drobne...

– Joanna, ty tu nie cytuj twojego niewątpliwie czcigodnego staruszka, tylko mów, co myślisz – przerwała Wanda.

– Mój ojciec nie jest wcale staruszkim. I jest mądry. Ja mu w zasadniczych kwestiach bardzo wierzę. – Świetnie, niesłuchanie nas to cieszy – ucięła Krystyna. – Więc wiemy w tej chwili tyle, że uważasz miłość za „kwestię zasadniczą”. I co dalej?

– Jakie „Dalej”? To już chyba wszystko.

– Nie, nie. Wcale nie wszystko, tylko ci się nie chce myśleć. Moja droga, tu nie szkoła, żeby się wykręcać sianem.

– Krystyna jest dobra. Rezerwuje sobie funkcję pomocnika kata; a jest gorsza od samego „mistrza” – skomentowała Joasia wystąpienie koleżanki. – No, mówię ci, że nie mam ustalonego poglądu.

– Ależ masz, oczywiście! – nie dawał za wygraną „pomocnik kata”, – Dlaczego się ciągle wtrącałaś, jak Basia mówiła? To ci się nie podoba, tamto nie tak. Wybrałam to pytanie, żebyś miała okazję przedstawić swój pozytywny program.

– Dobrze, więc ja chcę być w porządku wobec was. Może zacznę tak z flanki. Dlaczego wtrącałam się do Basi? Bo Basia właściwie myśli o swoim najmiłszym tylko jako o dobrej partii.

– Wcale tak nie myślę.

– W każdym razie na to wygląda. A ja uważam, że co jak co, ale dobra partia to już najmniej ważne. – Joasia jest romantykiem, trallalala – zaśpiewała Wanda.

– Guzik tam romantyk. Ja najbardziej lubię Oświecenie. A jeśli ci już okadzi o definicję mojej cennej osoby, to uważam się za humanistę w ogóle, jako takiego. I dlatego myślę, że w tych sprawach...

– Zauważcie, jak nasz humanista wstydlawie unika słówka miłość – mruknęła Krystyna.

– Wyłącz się, bo cię rąbnę. Więc myślę, że w tych sprawach jednak najważniejszy jest drugi człowiek. Żeby go nie wkopać w jakąś hecę. Gdybym się w kim kochała, toby mi



przede wszystkim chodziło o to, żeby nikt o tym nie wiedział. Pewnie, kaszlu, głupoty i miłości nie da się ukryć, ale zawsze trzeba się starać.

– Wiesz, nie widzę powodu – sprzeciwiła się Krystyna. – Ostatecznie, każdemu wolno kochać, jak głosi sanacyjny szlagier.

– To czemu pod owym dębem w parku Szczytnickim nic nie mówiłaś, tylko ci serce biło?

– Długo by tłumaczyć. Zresztą może ty i masz trochę racji.

– Pewnie, że mam. Bo patrz: żyje sobie człowiek jak ten niefrasobliwy ptaszek i nagle zakochuje się. I co? Od razu go przestaje wszystko cieszyć. Każda zabawa bez tego najmilszego czy najmilszej jest do kitu. Chodzisz po świecie jak to nie uwiązane ciele i tylko myślisz, gdzie by go spotkać. Całe miasto przestaje ci się podobać, a liczy się tylko ta ulica, po której on chodzi do szkoły. Masz podwójną porcję zmartwień, bo oczywiście gryziesz się wszystkimi jego czy jej kłopotami. I w taki błogi stan, w taką kalarepę chcesz wrobić tego człowieka, któremu życzysz najlepiej ze wszystkich ludzi? Gdzie tu logika?

– Nie uważacie, że Joanna wcale nieźle zna te rzeczy, jak na teoretyka? – w głosie Krystyny można było bez trudu wyczuć ironię i coś jeszcze: jakiś gruby znak zapytania przy słowie „teoretyk”.

– Aż podejrzenie dobrze – podchwyciła Wanda. – I dlaczego wobec tego mówiłaś, że zazdrościsz Krystynie?

– A, to już moja osobista sprawa. To znaczy, w tym sensie, że indywidualny wypadek. Jakby ciebie wykopali z domu, jakbyś się przez rok plątała jak pies w kręgielni między obcymi, tobyś zrozumiała, że można zazdrościć Krystynie kogoś bliskiego.

– Kto cię wykopał z domu? – zainteresowała się Basia.

– Zupełnie jak w bajce. Macocha.

– Uprzejmie dziękuję za takie bajki. Ale trzymajmy się tematu. Co w ogóle myślisz o historii Krystyny? – indagowała dalej Wanda.

– Przecież już mówiłam.

– Przemawiasz do nasz wysokości jak z kazalnicy, ale to nie znaczy, że musimy pamiętać każde twoje słowo jak Ewangelię. Więc mów wyraźnie i dokładnie – powiedziała Krystyna.

– Dobrze, jak ty sama chcesz... Więc tak...

– Żebyś ty raz zaczęła nie od „więc”! – westchnęła Krystyna.

– Najpierw chcesz, żebym mówiła, a potem przerywasz. Więc... Tego, nie więc, tylko po prostu mnie się ta historia podoba. Może najbardziej dlatego, że nie uwzględniasz w perspektywie domu jednorodzinne i dwojga dzieci ubranych w same zagraniczne rzeczy – Joasia przerwała, czekając na protesty Basi, ale z łóżka pod oknem dochodził tylko rytmiczny odgłos oddechu. – Zmorzyło biedaczkę – powiedziała pod adresem koleżanki i ciągnęła dalej: – Podoba mi się, że się, tak godzisz na miłość. Jest nawet taki wiersz Heinego: „Mein Herz”...

– Tłumacz od razu – upomniała ją Krystyna.

– Taki wiersz: „Moje serce, płomienne jak słońce, pogrąża się w morzu miłości, wielkie i piękne”.

– I ty się oburzasz, jak cię nazwać romantykiem! – wróciła do swego Wanda.

– Ojej, no nie czepiaj się. A co do Krystyny, podoba mi się to wszystko, tylko myślę, że mi się coś takiego nigdy nie przydarzy.

– No, nie założyłabym się o to – powiedziała Wanda i ziewnęła.

Joasia chwyciła się tego jak deski ratunku.

– Wiecie, Basia już śpi, Wanda ziewa, może byśmy tak wszystkie pogrążyły się w sny tajemnicze? Ja przecież tak w zasadzie skończyłam.

– Dobrze, niech ci będzie! – zgodziła się skwapliwie Wanda. – Dobranoc.

– Dobranoc.

Joasia nie usnęła od razu. Patrzyła szeroko otwartymi oczyma w ciemność, po głowie snuły jej się fragmenty tej wieczornej rozmowy, zastanawiała się, co by o tych sprawach

miała do powiedzenia Janka. Z niezwykle wyrazistością przypomniał jej się nagle most Zwierzyniecki, łokcie Janki, Marka i jej własne oparte na poręczu, chyboczące zarysy ich sylwetek na ciemnej wodzie. Obraz ten wydał jej się wielce znaczący i sercu bliski. O czym myśmy wtedy rozmawiali? – próbowała sobie przypomnieć, ale nadaremnie. Na dole poruszyła się Krystyna – sięgała po zegarek. Joasia przechyliła się w jej stronę.

– No proszę, jak to wieszczowie mają rację: „Kto nie zna miłości, ten żyje szczęśliwy. I noc ma spokojną, i dzień nietęskliwy”.

– A to czemu ty nie śpisz, ty „nieznająca”? – Tak sobie myślę o wszystkim.

– Pewnie o tym, czego nam nie powiedziałaś. Trzeba cię było przycisnąć do muru, tobyś niejedno wyjaśniła.

– Krystyna, jak ja mam wyjaśniać, co dla mnie samej niejasne? Nie jestem nieszczerą, ale nie lubię mówić o rzeczach niewyklarowanych. Nie gniewasz się na mnie?

– Skądże. Może zresztą jeszcze kiedyś pogadamy.

– Może. Ale śpijmy.

### 3. Umowa społeczna i honor Polaków

Minęło kilka dni od przyjazdu, kiedy jakiegoś popołudnia kierowniczka kolonii zwołała wszystkich na zebranie, na którym mieli wybrać samorząd, grupowe i w ogóle ująć w jakieś organizacyjne ramy beztrąsko pałętające się „masy”. Krystyna zapowiedziała od razu, że ona się nie da zrobić w żadną funkcję, i przepadła bez śladu natychmiast po obiedzie. Miała dobrego nosa, bo poza nią nikt z pokoju nie ostał się bez przydziału. Basia została specem od wufu, Wanda bez większych oporów pozwoliła się wybrać na przewodniczącą samorządu, a Joasia, chroniąc się przed większym nieszczęściem, przyjęła na siebie obowiązki kronikarza. W kancelarii obdarowano ją wielkim blokiem i dwoma ołówkami i po kolacji, kiedy koleżanki urządziły w łazience wielkie pranie, wzięła się do pisania.

Wzięła, nie wzięła – raczej chciała się zabrać, ale przez długi czas poprzestała tylko na smętnym obgryzaniu ołówka. Oczywiście można było napisać: „Dnia 7 VII cała kolonia udała się na Zakręt Śmierci. Dnia 8 VII zbierałyśmy jagody. Dnia 9 VII najważniejszym wydarzeniem była pogoń za świnią, która uciekła z chlewiku w las”. czuła przecież, że to zupełnie nie to, że te wydarzenia wcale nie są najważniejsze, ba, właściwie nic nie mają do rzeczy. Ubiegły tydzień zlewał się we wspomnieniach w jeden wielki słoneczny dzień i tylko z dużym wysiłkiem mogła ustalić, czy ta świnią uciekła w czwartek, czy w piątek. W pamięci pozostawały przede wszystkim rzeczy nieważkie: piłka tocząca się do strumienia, rosa mocząca bosc nogi przy porannej gimnastyce, prześwietlone słońcem liście dzikiego wina na oknie jadalni. Jak tu o tym pisać w kronice?

No nic, załatwię to jakoś sumarycznie – zdecydowała. – Jak przyjadą te dziewczynki z Belgii, to się coś zacznie dziać, będę uwieczniać „wypadki historyczne”. Zawsze to łatwiejsze niż opisywanie czasu pokoju, kiedy człowiekowi jest po prostu dobrze i nawet nie potrafi powiedzieć, dlaczego.

Koniec końców dała sobie jakoś radę z „czasem pokoju”. Potem nastąpił okres powszechnej mobilizacji i pisanie szło łatwiej. Pod datami 11 VII – 16 VII można było między innymi przeczytać: „Zdaje się, że nastroje tego całego tygodnia najlepiej oddaje stara ludowa piosenka: *Oj, nasi jadą, jeszcze ich nie widać*. Przyjazd koleżanek z Belgii, które dotąd pozostawały raczej w sferze mitu, stał się teraz nie tylko realną, ale i palącą rzeczywistością. Nasze łśniące od czystości wspólne sale (jadalnia, świetlica, czytelnia) pełne były teraz papierków, szczotek, ścierek. Robiłyśmy, co się dało i co było trzeba: od szorowania podłóg w nowym domu do klejenia naprawdę ładnych wycinanek ludowych według kartonów Z. Stryjeńskiej. W sumie było jedno wielkie urwanie głowy. A najgorzej, że nikt nie wiedział dokładnie, kiedy właściwie przyjadą oczekiwani goście. Krążyły też po kolonii wieści zgoła cudowne w swojej

sprzeczności. Raz się słyszało, że już są w Jeleniej Górze, raz, że jeszcze w Niemczech. Nie ubliżając tak zwanym czynnikom miarodajnym, klęłyśmy jednak tę niepewność, najgorsze wyrazy powtarzając po kilka razy. Okazywało się zresztą, że każde odroczenie terminu jakoś się przydawało, bo zawsze było jeszcze coś do zrobienia. W każdym razie w sobotę wieczór wszystko było zagięte na ostatni guzik”.

Ale opis ten, krótki i w zasadzie zgodny z prawdą, był tylko bladym odbiciem tego, co się w istocie działo przez nieszczęsny tydzień przygotowań. Joasia tylko mimochodem wspomniała w swojej relacji o „nowym domu”, z którym była przecież związana cała historia walki o ośmiogodzinny dzień pracy; jak to nazwała potem Krystyna. Dom, należący też do kolonii, położony był po drugiej stronie ulicy, w ogrodzie o wiele piękniejszym od tego przy pierwszym budynku. Ale dopiero niedawno przeżył remont zabezpieczający i, choć z całym dachem i wprawionymi szybami, w bardzo małym stopniu nadawał się do użytku. Dziewczynki miały go uporządkować, żadna jednak nie kwapiła się specjalnie do wynoszenia gruzu, wiórkowania parkietów i mycia zachlapanych szyb. Zresztą i sprzętu i było za mało, a znowu w jadalni, przy ozdabianiu ścian, dość dużo roboty, by każda mogła choć dla pozorów ręce o coś zaczepić. Joasia nawet trochę się gryzła tym drugim domem, że go się na czas nie skończy, ale Krystyna ją uspokoiła:

– Słuchaj, co musi być zrobione, to będzie. Wreszcie kierowniczką jest odpowiedzialna za całość i w sytuacji podbramkowej na pewno coś wymyśli. Niech cię głowa nie boli.

Pracami „artystycznymi” kierowała jedna z wychowawczyń, obdarowana przezwiskiem Kunegunda, raczej nie lubiana za autorytatywne tony i szczególnie dotkliwy w tej sytuacji brak talentu organizacyjnego, który nadrabiała umoralniającymi mówkami.

– Dlaczego ten transparent jeszcze nie zawieszony przed wejściem?

– Bo pani mówiła, że umocujemy go w ostatniej chwili.

– Na pewno coś przekręciłaś. Niczego nie należy robić na ostatnią chwilę!

Więc dziewczynki zawieszały transparent, żeby za moment, kiedy na niebie ukazała się niewinna chmurka, chować go na rozkaz wychowawczynie do kancelarii.

– Idźcie teraz na łąkę po kwiaty!

– Czy nie za wcześnie na dekorowanie sali kwiatami? – zaoponowała któraś.

– Miejsce pracy też musi wyglądać estetycznie. Wskutek nadmiaru estetyki woda z przewróconego wazonu zalała część wycinanek.

– Takie duże panny, a tak nieuważne. Powinnyście pracować odpowiedzialnie, jak na dzielne Polki przystało.

„Dzielne Polki” – to już było za dużo dla Joasi. – Wiesz co, Krystyna, ja już wolę służyć ojczyźnie gdzieś na dzikich polach. Chodźmy lepiej wywalać gruz, przecież to jej ple-ple jest nie do wytrzymania.

Krystyna, która od dobrej chwili tylko kręciła nożyczki na palcu, tęsknie spoglądając na dwór, zgodziła się chętnie.

– Dobrze, odstawimy kawał roboty i cześć, po południu brykamy.

– To my, proszę pani, pójdziemy sprzątać tamten dom – wyjaśniła Joasia od drzwi.

– Jak to, a tu jeszcze tyle roboty!

– Ale też zostaje jeszcze piętnastu ludzi – wyjaśniła rzeczowo Joasia.

– Właściwie trochę mniej, bo idziemy z nimi – zadeklarowały się trzy poczciwe dusze spośród młodszych koleżanek.

W nowym domu trzeba było uporządkować cztery duże pokoje.

– Wiecie co, mamy trzy dni czasu – układała Joasia plan batalii. – Dziś machniemy te dwa mniejsze pokoje, potem te większe. Wyrzucimy najpierw śmiecie.

To poszło nadspodziewanie szybko.

– No, a teraz co kto woli: kto do okien, kto do drzwi, kto do podłogi.

Znalazły się specjalistki, dwie od każdej roboty. Sprzęt zdobyła Joasia dzięki chodom w kuchni. Podłogę „wiórkowały” z Krystyną odłamkami szkła, zaczynając od ścian odległych od drzwi i okien, żeby nie przeszkadzać myjącym. Jakoś to szło.

Tuż przed obiadem zajrzała do nich wychowawczynie. – Ach; bardzo, bardzo dzielnie! – pochwaliła łaskawie.

– Chcemy to dziś skończyć, a jutro i pojutrze zrobimy tamte sale – zaraportowała Joasia i zaraz pożałowała.

„Kunegunda” bowiem oceniła, że zadanie na dzisiaj wykonają jeszcze przed obiadem, i powiedziała radośnie:

– Znakomicie, skończcie szybko to pomieszczenie i dziś już więcej tu nie róbcie, a za to po południu weźcie się do mycia łóżek w sypialniach dla naszych drogich przyjaciółek z zagranicy.

Dziewczętom zrzedły miny – miały całkiem inne plany na popołudnie.

– Aleś nas wkopała! – wyrzucała Joannie Basia. Przecież mogłybyśmy po południu udać, że tu wracamy, a tak ten babsztyl znowu będzie nam sterczał nad głową.

Krystyna nic nie mówiła, tylko obrzuciła Joasię spojrzeniem pełnym wysokogatunkowej pogardy.

No cóż, myły te łóżka po południu, bez entuzjazmu, z żalem patrząc przez okno, jak cienie drzew robią się coraz dłuższe i dłuższe, łowiąc uchem śpiew maszerujących dzieciaków z innej kolonii.

– Ech, Joanno, ty ciężka ofiara losu, gdyby mi cię nie było żal, tobym już dawno była nad potokiem – westchnęła Krystyna.

– Dobrze, to ja pójdę do niej i załatwię, żebyśmy przeszły na akord. Niech będzie wszystko jasne – uniosła się honorem Joasia i poszła szukać Kunegundy. Wróciła złamana.

– Dajcie mi amnestię na parę przekleństw – powiedziała od progu.

– Nic nie załatwiłaś? – domyśliła się Krystyna. – Było do przewidzenia. No, ulżyj sobie.

Więc Joasia powiedziała najpierw trzy razy „cholera jasna”, po czym spokojnie zdała relację z rokowań: – Powiedziałam truciźnie łagodnie i prosto jak dziecku; o co nam chodzi. Ale ona zrozumiała z tego tylko tyle, że popołudnia chcemy mieć dla siebie, i zaraz zaczęła o ojczyźnie, powołując się na Kościuszkę i księcia Józefa. Więc mnie trochę poniosło i rąbnęłam, że nas tradycja w tej mierze nic nie obchodzi, tylko chcemy, żeby była rozsądna proporcja między pracą a odpoczynkiem, ba jak nie, to będziemy się objać. Na to ona, że nie myślała, że jestem taka zdemoralizowana. Szlag by ją trafił.

– Nie życz drugiemu, co tobie niemiło – perswadowała Krystyna. – I rzeczywiście, będziemy się jutro objać. Mnie to nawet ideologicznie bardziej odpowiada.

– Ostatecznie, nie najmowałyśmy się za sprzątaczkę – dodała Basia. – Ja już dziś palcem nie kiwnę. Fajrant.

– Fajrant! – zgodziły się wszystkie, tylko Joasia zaoponowała:

– Trzeba by jeszcze podłogę wytrzeć, bo się nachlapało.

– To sama wycieraj – mruknęła Basia i pierwsza ruszyła ku drzwiom.

Joasia, zła, wytarła podłogę i miała ochotę nie gadać z nikim do końca dnia. Po kolacji demonstracyjnie została w jadalni i pomagała sprzątać porozrzucane wszędzie papiery, do pokoju przyszła dopiero wtedy, gdy mogła mieć nadzieję, że koleżanki już będą w łóżkach.

Wpadła w sam środek zażartej dyskusji. Basia i Krystyna odbijały sobie na Wandzie całą gorycz zmarnowanego popołudnia. Wanda odgryzała się zawzięcie:

– Musiałam jechać z kierowniczką do Jeleniej Góry – tłumaczyła się z całodzienną nieobecności. – Jako przewodnicząca samorządu należę właściwie do personelu wychowawczego i moim obowiązkiem...

– Twoim obowiązkiem jest pilnować naszych interesów! – przerwała jej Krystyna.

– Właśnie pilnowałam. Przecież pojechaliśmy kupić wyposażenie świetlicy, gry i inne rzeczy.

– Jakby kierowniczką nie mogła sama przywieźć tych warcabów czy tam czegoś. Co ty będziesz opowiadać! A tu na kolonii jeden bałagan, Kunegunda tylko zamieszanie robi, nie ma komu pracy rozdzielić, ani nic. Joanna próbowała to jakoś rozsądnie ułożyć, to co? Harowałyśmy do wieczora jak osły, a ten babsztyl się jeszcze na nas obraził.

Joasia ucieszyła się, że Krystyna ostatecznie uznała jej inicjatywę za rozsądną. Że też Kunegunda tego nie mogła pojąć.

Basia powtarzała swoje, nie przyjechała tu na posadę sprzątaczką. Wanda zaczęła ją umoralniać:

– Nie widzę w tym nic strasznego, że własnymi rękoma doprowadzimy kolonię do porządku. Praca wychowuje i uszlachetnia.

– Trele morele – obruszyła się znowu Krystyna. – Zresztą jaka tam praca – tłamszenie się całym tabunem przy głupich wycinankach. Nie mam zamiaru marnować pięknych dni dlatego, że ktoś ma antytalent organizacyjny. Prędzej zobaczycie te łożka fruujące nad Śnieżką niż mnie przy robocie.

Teraz włączyła się Joasia:

– No, dobrze, ale zastanówmy się tak na zimno: jest kupa roboty, którą absolutnie trzeba wykonać. Jest prawie dwadzieścia dziewcząt, które mogą to zrobić śpiewając. Więc pozostaje tylko kwestia, że tak powiem, umowy społecznej, żeby wilk był syty i koza cała. I od tego jest samorząd.

– Ten cały samorząd to lipa. Sama widzisz, że Wandę guzik wszystko obchodzi – Basia nie dawała się przekonać.

– No, skoro wam się nie podobam, to mogę złożyć funkcję – powiedziała dotknięta do żywego Wanda.

– Jasne, złożyć funkcję. Albo może popełnić samobójstwo. Albo wstąpić do klasztoru – rozłościła się Joasia. – A tak po prostu wziąć i zadziałać to nie łaska? Zapisać na kartce, co jest do zrobienia, podzielić ludzi na grupy, niech robią, kiedy chcą, byle rzecz była gotowa na sobotę. Też filozofia!

– Bardzo cię przepraszam, ale filozofia. Bo przecież właściwie dokładnie nie wiadomo, ile tych Belgijek przyjedzie i kiedy, a kierownictwo też wciąż zmienia plany – broniła się Wanda.

– No i masz swoją umowę społeczną – zwróciła się do Joasi Krystyna. – Trzeba najpierw mieć się z kim umawiać. Jak wyglądały twoje dzisiejsze pertraktacje z Kunegundą?

– Nie każda władza jest taka głupia jak ona – odparła Joasia. – Wanda, spróbuj porozmawiać z kierowniczką. Ona wygląda na kogoś rozsądnego.

– Dobrze, skoro tak chcecie – zgodziła się Wanda bez entuzjazmu. Udały, że tego nie widzą, i żeby kuć żelazo, póki gorące, opracowały jeszcze szczegółowy harmonogram. Joasia z zapalem wysuwała co chwila nowe projekty, wymachując przy tym rękoma, siadając, to znowu wychylając się przez poręcz. Przy jakimś gwałtowniejszym ruchu walnęła głową o sufit.

– Widzisz, nie podskakuj! – zawołała z satysfakcją Wanda. – I w ogóle dziwię się, że skoro cię tak to wszystko bawi, nie zakreśliłaś się, żeby być też w samorządzie.

– A, co się pchać. Zresztą, ja miałam w swojej starej szkole dosyć niemiłe hece za podskakiwanie i postanowiłam sobie do końca życia siedzieć cicho w kącie.

– Już widzę, jak wytrzymasz. Ty masz wielki talent na trybuna ludu.

– Ci mówię, że już raz byłam i uprzejmie dziękuję.

Ale później, po zgaszeniu światła, strasznie miło jej się myślało o urządzeniu świata: rozsądnego, sprawiedliwego, opartego na znakomitej umowie społecznej, w którym dla niej zarezerwowany byłby ładny dział, na przykład szkoły albo opieka nad młodzieżą jakoś tam pozabawioną domu.

Dopilnowały, by Wanda zaraz po śniadaniu porozmawiała z kierowniczką. Dało się wreszcie ułożyć znośny rozkład zajęć, choć do idealnego porządku dużo brakowało. W sobotę, kiedy według zapisu w kronice „wszystko było zapięte na ostatni guzik”, miały właściwie po dziurki w nosie przygotowań, oczekiwania i „tych całych Belgijek”.

– A jutro, choć to niedziela, będzie na pewno jeszcze gorszy cyrk niż dotąd – westchnęła Krystyna, kiedy wieczorem zeszły się na balkonie, by trochę odsapnąć. – Jeżeli one rzeczywiście przyjadą.

– Przyjadą, przyjadą, nic się nie bój – odpowiedziała Joasia. – Byłoby zbyt pięknie, gdybyśmy miały mieć jeden dzień spokojny. Na deszcz się nie zanosi, więc należy się spodziewać, że los nam w inny sposób zrobi kawał.

– Po co zaraz los? – odezwała się Basia. – Zapomniałaś, że od jutra masz dyżur w kuchni? Popatrz sobie dobrze na niebo, bo jutro poza talerzami nic nie zobaczysz.

Bardzo dobrze im się siedziało na tym balkonie – ciepły lipcowy wieczór, poblask zachodu na górach, cykanie świerszczy.

– Trzeba by zobaczyć, czy łazienka wolna – zauważyła w końcu Wanda.

– To idź, zobacz! – odpowiedziała Basia. – Oj, tak mi się nie chce.

– Właściwie powinnaś, przecież masz spełnić jeden nasz rozkaz.

Wanda już się poderwała, ucieszona, że się wykręci tanim kosztem, ale ubiegła ją Joasia:

– Nie, nie, siedź, szkoda marnować „rozkaz” na takie głupstwo.

Wróciła po chwili.

– Pierona, nic z tego, cały dziesiąty pokój siedzi w łaźni. Odkrzyknęła mi któraś przez drzwi, że już, już, bo myje przedostatnią nogę. Dowcipna!

– Joanna, zarobiłaś jedno pytanie – zwróciła jej uwagę Wanda.

– Chce ci się pytać?

– Chce.

– Słucham.

– Kim chciałabyś być?

– Powiedziałabym ci przecież bez przymusu. Prawnikiem. Według zasady: „dzisiaj trzeba nam prawicy, a jutro trzeba praw”.

– Wiesz, Joanna, czasem cię podejrzewam, że masz zamiar poprawiać świat – wzruszyła ramionami Krystyna.

– A co, myślisz, że jest tak znakomicie urządzone, że nie trzeba?

– Wręcz przeciwnie, jest tak schrzaniany, że nic mu nie pomoże.

– „Schrzaniony” to wyraz niecenzuralny. Więc powiedz, kiedy byś była zadowolona ze świata.

– Jakby tu był Krzysztof.

– Hm. Patrzysz na wszystko dosyć subiektywnie.

– A jak mam patrzeć? Sub specie aeternitatis? Niech ktoś popędzi te z łazienki, bo jeszcze się wdamy w wielką dyskusję, a szkoda czasu.

– Komu szkoda, komu nie szkoda. Zawsze lepiej sobie pewne rzeczy uporządkować.

– Po tym całym tygodniu mam dosyć porządków na dłuższy czas – powiedziała Wanda, wstając z determinacją. – Idę je wykopać.

Misja Wandy zakończyła się sukcesem. – Chodźcie, już można.

– No, powitamy przynajmniej naszych najdroższych gości domytymi rękoma. Też pociecha – zauważyła Krystyna zeskakując z balustrady. – Ciekawam, jak nam się z nimi ułoży. Co to mogą być za typy?

A jednak niedziela zaczęła się normalnie, nie sprawdziły się nawet ponure przewidywania Basi, że przez cały dzień nawet skrawka nieba zza talerzy nie zobaczą. Gospodarowały swym czasem oszczędnie, upraszczając jak się dało, zawily proceder podawania do stołu, więc i

przedpołudnie miały właściwie wolne, a ze zmywaniem po obiedzie uwinęły się tak zręcznie, że gdy kolonia siedziała jeszcze przy kompocie, głębokie talerze już były w szafie.

– Ja wam mówię – przechwalała się Joasia, która samorzutnie objęła funkcję brygadzysty – grunt to organizacja z głową. Teraz z czystym sumieniem możemy iść pograć w siatkę. Chodźmy się przebrać.

Wychodząc z kuchni zauważyły podejrzany ruch w hallu i na korytarzach.

– Czego tak latacie, zamiast spokojnie trawić? – okrzyknęła Joasia grupkę koleżanek w popłochu pędzących po schodach.

– To nic nie wiecie? Już przyjechały. Zaraz idziemy je witać na dworzec.

– Czy my też? – zapytała Wanda Kunegundę, która w tej chwili wychynęła z kancelarii. – Bo my jesteśmy dyżurne i pewnie trzeba nakryć do stołu.

– Wszyscy, wszyscy bez wyjątku! – zawołała nieprzytomnie Kunegunda i znowu gdzieś przepadła. Przed budynkiem zbierały się dziewczęta, wystrojone w żorżety i sztuczne jedwabie.

– Trzeba by się też jakoś przyodziać – zauważyła Wanda.

– I tak zaraz wracamy do kuchni – Joasi wyraźnie nie chciało się wkładać reprezentacyjnego stroju, ale ją przegłosowały.

Pościech okazał się znowu zbyt czysty, bo uformowana w czwórki kolonia jeszcze cały kwadrans czekała na wychowawczynię. Kiedy się wreszcie pokazała, długim sztubackim „ooo” powitano jej taftową suknię i koronkowy szal.

– Ta przynajmniej docenia historyczność momentu – mruknęła Krystyna ironicznie.

Ale na dworcu i ona poddała się nastrojowi. Od razu poznały, w którym wagonie jadą goście – dziewczęce i dziecinne głowy zapychały szczelnie okna, pociąg jeszcze nie stanął na dobre, a już z hukiem otwierały się drzwi. Chwila – i oczom tubylców ukazał się kolorowy, hałaśliwy i wielojęzyczny tłum przybyszów. Mieszały się słowa niemieckie, francuskie, czeskie, ale górowała polszczyzna, choć chropowata i jakaś niedzisiejsza. Czwórki załamały się, dziewczęta podbiegły do wagonu, ściskano dłonie, chwymano bagaże, by zanieść je na furmanki.

– Wiecie, to my nie czekajmy, aż się te serdeczności skończą – zaproponowała Krystyna, kiedy zaczęły się oficjalne przemówienia – tylko jedźmy z bagażami, bo pewnie będziemy potrzebne w kuchni.

Po drodze przegoniła je Kunegunda, pędząca na czele chóru do domu. Chodziło o to, żeby śpiewem powitać gości. Wyglądała dość zabawnie, cwałując na wysokich obcasach, z szalem powiewającym jak bojowy sztandar.

– Hej, tchu wam zabraknie do śpiewania – krzyknęła z furmanki Basia, ale chórzystki zbyły zaczepkę pogardliwym milczeniem.

Kunegunda nie poprzestała na powitalnych pieniach, ale zaaplikowała zmęczonym i głodnym gościom jeszcze jedną mówkę. Dyżurne, już znowu w fartuchach, przysłuchiwały się jej z okna na półpiętrze.

– Stanełyście tedy, pierwszy raz od lat, może nawet w ogóle po raz pierwszy, na ojczystej ziemi. Ziemia ta wita was radośnie szumem tych drzew prastarych, pamiętających jeszcze młodych Piastowiczów pędzących w las na łów, szumem strumyków i potoków, a przede wszystkim gorącymi sercami rodaków którym wzruszenie dech zatyka...

– Ach, żeby tak ją zatkało – mruknęła Krystyna Basia parsknęła, zasłaniając usta ręką.

– Ojczyzna wita was otwartymi ramionami waszych rówieśniczek i ofiarowuje wam, co ma najlepszego towarzyszek zabaw wybrane z wybranych...

– Ale nam pochlebia, nie? – zauważyła Joasia.

– Pobyt w najpiękniejszych okolicach kraju, wycieczki, odpoczynek. Ojczyzna oczekuje, że ocenicie należycie, ile trudu włożyła w ugoszczenie was. Wszystko. co na was tu czeka, jest zdobyte trudem polskiego robotnika i chłopca, prawdziwych waszych braci. Ojczyzna..



– Chodźmy lepiej nalewać zupę – zaproponowała Krystyna – bo się drodzy goście mogą zdenerwować czekaniem i wszystko będzie na ojczyznę.

– Czego ona się tak mizdzy przed tymi zagranicznymi? – dziwiła się Joasia. – Właściwie przecież kierowniczka powinna je witać, jeśli w ogóle witanie jest potrzebne. Moim zdaniem, lepiej byłoby dać im czas na umycie się.

– Cholera ją wie – wzruszyła ramionami Krystyna.

– Pozwól, aniołku, że cię za to słówko o coś wieczorem zapytam, dobrze?

– Trudno, świetnie.

Rosół dymił ze wszystkich talerzy, kiedy Belgijki weszły do jadalni. Dyżurne miały teraz chwilę czasu by przyjrzeć się gościom. Było ich, na oko, ze czterdzieści.

– Jeden do dwóch na ich korzyść – wyliczyła Wanda, a Basia dodała:

– A ubranie jeden do siedmiu na naszą niekorzyść Popatrzcie tylko, co za swetry!

Rzeczywiście, jeśli wśród „tubylców” ton wciąż jeszcze nadawała UNRR-a i demobil, Belgijki oszałamiały barwnymi dzianinami, nylonem i nieprawdopodobną masą luksusowych drobiazgów: apaszek, torebek, torebeczek, biżuterii, błyszczących pasków. Przeważał wśród nich typ szczupłej blondynki, były ogromnie ruchliwe i rozgadane, nie znać na nich było śladu onieśmienia nowym otoczeniem.

– Zdaje się, że są dosyć morowe. Już się bałam; że przyjadą jakieś dziumdzie, co ani be, ani me – ucieszyła się Wanda.

Pożyjemy, zobaczymy – mruknęła sceptycznie Krystyna.

– Ech ty, czego się czepiasz? – zdziwiła się Joanna. – Nic ci złego nie zrobiły. Zobacysz, z nimi będzie bardzo ciekawe życie.

– W każdym razie wikt będzie lepszy – zgodziła się Krystyna. – Zobacz, już dla nich jest ryż, a myśmy miały na obiad makaron.

Ryż, uchodzący jeszcze w tym czasie za rarytas, nie zrobił na gościach należytego wrażenia. Jadły z umiarkowanym apetytem, kompotu wiele z nich nie tknęło. za to pojawiły się na stole wydobyte z plastikowych torebek pomarańcze i czekolada.

– To ci zgnęły Zachód, no! – zauważyła Joasia zbierając talerze z nie dojezdzonym drugim daniem. – Im się byle czym nie zaimponuje,

– A nam łatwo zaimponować – odpowiedziała Krystyna. – Popatrz na Basię, jej mało oczy nie wyskoczą do ich fatałachów.

Basia rzeczywiście utknęła między kilkoma Belgijkami i trochę po polsku, trochę pomagając sobie szkolną francuszczyzną, fachowo, jak przystało na narzeczoną marynarza, wdąła się w dyskusję na temat cen nylonów i pomarańcz.

– A tam, niech się cieszy – machnęła ręką Joasia i powędrowała ze stosem naczyń do kuchni.

Kiedy wreszcie ostatni talerz był czysty, zdecydowały jednogłośnie, że teraz trzeba się umyć i trochę poleżeć. Dom był wyludniony i cichy, wchodząc na piętro nie spotkały żywej duszy, ale widać było ślady niedawnego rozgardiaszu – porysowana podłoga, skopany chodnik wskazywały, że ilość mieszkańców wybitnie wzrosła.

– Pewnie są wszyscy w tamtym domu – domyśliła się Basia.

Wanda i Joasia przyniosły jeszcze z kuchni garnek ciepłej wody dla domycia tłustych rąk. Po chwili wszystkie z ulgą wyciągnęły się na kocach. Nikomu się nie chciało mówić. Krystyna czytała „Przekrój”, Joasia patrzyła w sufit, Wanda była bliska zaśnięcia. Tylko Basia kręciła się niespokojnie i wreszcie nie wytrzymała.

– Wiecie, ja pójde zobaczyć, co się tam dzieje. Nie można tak gnić w tych łózkach.

– Poczekaj, pójde z tobą! – zawołała Wanda. To nawet nie wypada, żebym jako przewodnicząca samorządu nie brała udziału w spotkaniu zapoznawczym.

Stuknęły drzwi, już ich nie było.

– Ty, to może rzeczywiście trzeba by iść? – zaniepokoiła się Joasia.

- Dobrze, ale później. Powiedzmy, za godzinę.
- To daj mi kawałek z „Zieloną Gęsią”.

Nie naczytały się długo. Wanda i Basia po chwili wpadły do pokoju. Widać nie były pewne powodzenia, bo zabrały w odwodzie jedną Belgijkę i we trzy zaczęły szybko „mobilizować” opieszale koleżanki do pójścia na spotkanie. Rzeczywiście, przed gościem nie można było się wykręcać, więc poszły.

– Bo wiecie – wyjaśniła Basia po drodze – one przywiozły dla nas różne prezenty i teraz ma być wręczanie. To fajnie, nie? Można coś ładnego podłapać, przecież ich dwie przypada na każdą z nas.

– Kto to wymyślił to wręczanie? – zainteresowała się Joasia. – Bo właściwie lepiej by poczekać, aż się lepiej poznamy. I my nie jesteśmy przygotowane do rewanzu.

– Po co czekać, aż wszystko przehandlują? Moim zdaniem, Kunegunda przynajmniej raz miała dobry pomysł.

– No i jak się ta ceremonia odbyła? – dopytywała się Joasia.

– Zaraz się odbędzie. Wszystkie prezenty leżą na stole i mamy sobie wybrać.

– To może głupio wypaść – zmartwiła się Joasia. – Bo albo się wiara rzuci jak kruki i wyjdziemy na dzikusów, albo prezenty zostaną i znowu one będą się czuły niewyraźnie. Może lepiej wymyślić loterię albo jakąś grę?

Wandzie ten pomysł przypadł do gustu i obiecała „z ramienia” samorządu zadziałać. Tylko trzeba od razu zaproponować coś konkretnego. Może połączyć to z występami artystycznymi.

– Świetnie – ucieszyła się Basia, która ładnie śpiewała: – Na przykład nagrody za najładniejszą piosenkę.

– O, to ja odpadam w przebiegach – zastrzegła się Joasia. – Trzeba wymyślić inne konkurencje też. Może dobry dowcip, deklamację, taniec.

– To omówimy to z wszystkimi – zdecydowała przewodnicząca samorządu.

W „salach recepcyjnych” atmosfera była dość sztywna. Belgijki na nielicznych krzesłach, tubylcy na ziemi pod ścianą; kierowniczką i przedstawiciele Polonii też osobno, a pomiędzy wszystkimi grupami Kunegunda, usiłująca na swój sentymentalno-ojczyźniany sposób robić nastrój. Wobec tej sytuacji projekt Wandy spowodował upragnione odprężenie i ożywienie. Wrocławianki podawały pomysły zawodów, Belgijki szybko i z wielką znajomością wartości prezentów posegregowały je na I, II i III nagrody. Zaczął się konkurs. Joasia postanowiła „walczyć” w deklamacjach.

Rzuciła okiem na nagrody: I – nylony i pomarańcze, II – torebka i czekolada, III – czarna chustka w czerwony geometryczny deseń i cukierki.

Torebka i nylony mnie nie obchodzą – pomyślała. – Wobec tego muszę przegrać. Chociaż mogłabym powiedzieć „Pawła i Gawła” i mieć I miejsce. „Pawel i Gawel” by im się podobał... To nic, odstąpię pomysł tej Zosi z X klasy, a sama powiem, co mi się będzie podobała. I naszym. Ostatecznie nie chcę znowu wyjść na niedołęgę.

Zosia przyjęła radę Joasi z wdzięcznością. Druga koleżanka zdecydowała się na „Lokomotywę”. Wiersze wzbudziły taki entuzjazm, że Joasia mogła być pewna, że czarna chustka będzie zdobić jej szarą bluzę. Ale mimo wszystko włożyła dużo serca w swój występ. Zanim zaczęła mówić, przeleciała wzrokiem po zebranych i zdecydowała, że idealnym słuchaczem, któremu się trzeba podobać, ma być Krystyna. Mniej więcej wdzięcznie skłoniła się słuchaczem i zaczęła wiersz Mickiewicza:

Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę.  
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę.  
Jednakże gdy cię długo nie oglądam,  
Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam.

I tęskniąc sobie zadaję pytanie:  
Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Recytowała raczej cicho, tonem zwierzeń, sama przejęta rozterką poety. I ucieszyła się, kiedy okazało się, że wiersz się jednak podobał. Raczej miejscowym, ale co starsze Belgijki też z zapalem i klaskaly. Spojrzała na Krystynę. Ten jej uśmiech! Porozumiewawczy, trochę złośliwy, trochę pobłażliwy. Oj, muszę uważać z dobozem repertuaru – pomyślała Joasia. – I z przekleństwami. Bo następnym razem może ode mnie wyciągnąć coś, w co sama nie wierzę.

#### 4. „Tam, gdzie zachodzi nów...”

Deszcz padał już piąty dzień. Gór nie było zupełnie widać, niskie chmury wisiały tuż nad świerkami, drogą między dwoma domami bez przerwy płynęły strużki woły. W pokojach było zimno, ciemno i smutno. Dziewczęta snuły się osowiałe po wspólnych salach, przy ciekawszych grach czy książkach tworzyły się kolejki. Jeszcze przedpołudnia jakoś schodziły, bo Belgijki miały wtedy lekcje polskiego a wrocławianki przygotowywały program na 22 Lipca, ale godziny od obiadu do kolacji ciężko było przeżyć. Wędrowały z jednego domu do drugiego, moknąc po drodze, chlapiąc zabłoconymi butami posadzki, w daremnej nadziei, że może zdarzy się coś ciekawego. We wszystkich obudziło się teraz sumienie i pisano na potęgę listy do rodziny, by mieć powód przelecieć się bodaj na pocztę. Joasia wysmażyła wielkie epistoły do brata i ciotki, zapisała masę pocztówek i od chwili już czekała, aż Basia skończy swój list, by go zabrać też na pocztę. Siedząc na poręczu łóżka, kiwała nogami i dogadywała koleżance:

– No, już napisz: „twoja do grabowej deski, czego i tobie życzę” i zaklejaj!

– Zaraz, zaraz, pali się?

– Wręcz odwrotnie, tonie. Nie zapomnij przesłać ucałowań rączek dla przyszłej teściowej! Basia, nie przestając pisać, namacała zakrętkę od kałamarza i rzuciła w Joasię.

– Ty, szanuj dobra, które ci ojczyzna daje – skarciła ją w stylu Kunegundy Krystyna. – I kończ, bo trochę mniej leje, więc chcemy to wykorzystać.

Basia z westchnieniem zakleiła kopertę.

– No, to lećcie. Czekaćcie, Wanda pisała całe popołudnie, tu gdzieś leżą jej listy, to też wrzucicie.

Znalazła parę gotowych do wysyłki kopert i podała Joasi, która wsunęła je, nie patrząc do kieszeni dresu. Na progu Krystyna narzuciła jej na ramiona pół swojej peleryny i poszły.

Krystyna miała wysłać telegram z życzeniami imiennymi do matki, więc Joasia samotnie stanęła przy skrzynce, naklejając znaczki na koperty. Wyjęła listy Wandy, by sprawdzić, czy na którym nie brak znaczka, i nagle gwizdnęła z cicha. Pomiędzy kopertami z adresami rodziny i koleżanek było jedna z napisem jak wół: Henryk Wilkołek.

To tak! Jasne, że ona nie chciała się wtedy wywnętrzać na temat swojej sympatii. Wilkołek, no, no... Co ona w nim widzi? Ciekawe, od kiedy się to ciągnie. Przecież wtedy w zimie na zabawie zupełnie na niego nie zwracała uwagi. To ci kalarepa! I co teraz zrobić?

Miała ochotę zawołać Krystynę i podzielić się z nią odkryciem, ale dała spokój.

Niech lepiej dalej nikt nie wie. Biedna Wanda. Jeśli jej ktoś coś głupiego naopowiadał, to może na mnie krzywo patrzeć. Et tam, nikt nie naopowiadał, nie bądź zarozumiała.

Wrzuciła szybko listy, bo Krystyna już wracała od okienka.

– Coś jakby się przecierało – powiedziała do Joasi, spoglądając na niebo. – Może wreszcie przestaniemy kisać w domu!

– Tak by sobie człowiek polazł gdzieś wysoko a daleko – westchnęła Joasia.

– Na razie leziesz do kałuży! – ostrzegła ją Krystyna.

Szły więc uważnie, wyszukując suchsze miejsca. Ze stromej ścieżki, już blisko domu, toczył się z piekielnym hałasem wózek, konwojowany przez trzech chłopaków. Usunęły się pod płot, żeby zrobić miejsce, i kiedy wózek, rozpryskując wodę i błoto, przelatował koło nich, spostrzegły na nim ni mniej, ni więcej tylko Basię, uśmiechniętą i pokrzykującą wesolutko na konwojentów.

– Gdzie ty, Baśka? – zawołała Krystyna, ledwie ochłonawszy ze zdumienia.

– Na pocztę, przyszła do nas duża paka!

Joasia z Krystyną popatrzyły na siebie trochę ogłupiałe.

– Skąd ona wytrzasnęła tych chłopaków?

– Mnie się pytasz? Może Wanda będzie wiedzieć. Ale Wanda nie wiedziała, „za to” napała na Joasię, że wzięła bez pytania listy.

– Tam nie wszędzie były znaczki – wyrzucała jej.

Joasia już chciała ją uspokoić w tym względzie, ale coś ją olśniło:

– Ojej, strasznie mi przykro! A ja je tak hurtem wrzuciłam, ani nie popatrzyłam, ile jest i czy wszystko w porządku.

Wanda nagle złagodniała:

– Ach nic, nie martw się, ostatecznie nic się nie stanie, jak adresat zapłaci te parę groszy.

– To cieszę się, że się na mnie nie gniewasz. Chciałam cię po prostu wyrećczyć – tłumaczyła się Joasia, myśląc w duchu: Co ona tu będzie o znaczkach gadać. Kamień spadł jej z serca, jak się dowiedziała, że nie wiem o Wilkołku. Ale co z tą Baśką?

Baśka zjawiła się po pół godziny. Już z jej miny było widać, że ma w zanadrzu superrevelację.

– Ty, wzorowa żono i matko, co ty masz za tajemnicze konszachty z tymi chłopakami? – zagadnęła ją Krystyna.

– Nie, ja tylko tak, spotkałam ich wczoraj na schodach w tamtym domu.

– No, no, lepiej ty zakryj oczy tej biednej fotografii, bo ona tu jeszcze może straszne rzeczy zobaczy – dogadywała Wanda.

– Wy to zaraz. Przecież tu nudy na pudy przez ten deszcz, więc człowiek chętnie porozmawia z kimś innym.

– Z kimś innym. Uhm. Z kimś innej płci, chciałaś powiedzieć.

– Dobrze, dobrze, teraz mi dogryzacie, ale jeszcze mnie będziecie błogosławić, jak was z nimi poznam! – Zdaje się, żadne z nich Gérardy Philipys – mruknęła Joasia.

– Wy lepiej posłuchajcie, zamiast krytykować. Bardzo się nam przydadzą. Oni wszyscy są już po maturze, a czarny Leszek, syn kucharki, nawet po pierwszym roku politechniki. A kierowniczką bardzo szanuje Jacka, swego syna, i we wszystkim go się radzi. On poza tym świetnie zna te gary, całe Sudety przeszedł parę razy i zna złoty GOT. Biały Leszek, kuzyn czarnego, gra na gitarze i w ogóle jest bardzo wesoły.

– Uroczę to wszystko, ale gdzie tu powody do błogosławieństw?

– Otóż właśnie. W tej paczce, po którą...

– ...ciebie wieźli – wtrąciła Krystyna.

– Bo było błoto. Więc ta paczka przyszła tu przez pomyłkę, zamiast na kolonię chłopców w Stroniu. Jacek zaraz przez telefon załatwił ciężarówkę i jutro możemy się z nimi wszystkimi zabrać, i potem iść na trzy dni w góry. Chyba, że wolicie tu czekać na jakiegoś Gérarda Philippe'a – zakończyła mściwie.

– Basiu, zbawco ojczyzny! – ucieszyła się Joasia. – Masz nasze rozgrzeszenie za wszystkie grzechy przeciw marynarzowi!

– To może ich przyprowadzić? Omówimy sobie wszystko...

– Leć. Już, w te pędy.

Baśka poleciała. Wróciła z synem kierowniczką. Wyglądał na prymusa: spokojny, grzeczny i bez wyrazu. Przyniósł z sobą mapę.

– Mama nie ma nic przeciwko temu, żeby koleżanki pojechały. Pod moim kierownictwem jeszcze nikt nie zabłądził. Pogoda będzie. Kwestia finansowa nie przedstawia się groźnie: tylko noclegi i powrót pociągiem. Leszka mama właśnie przygotowuje suchy prowiant i chciałbym wiedzieć, czy dla koleżanek też.

– Oczywiście, no jasne, może iść w czym pomóc? – wołały jedna przez drugą. – I co to znaczy, że na parę dni?

– No, na trzy. Do Białej jeden dzień, z Białej na Śnieżnik – drugi i powrót – trzeci. To będzie trochę forsowne, ale myślę, że koleżanki kondycyjnie wytrzymają.

– Ho, ho! – zawołała zuchowato Joasia.

Jacek spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– To ja wobec tego nie przeszkadzam. Wyjazd jutro o siódmej.

Przy drzwiach jeszcze się zatrzymał.

– Koleżanki pewnie nie mają plecaków, to proszę, może ktoś pójdzie do nas, bo my mamy różny sprzęt. Basia poderwała się ochoczo i poszli.

– Och, ta Baśka! Marynarz będzie miał z nią niespokojne życie – zauważyła Krystyna.

– Nie wygaduj na nią, bo jakby nie ona, tobyśmy jutro najwyżej spacerowały po lesie – ujęła się za nieobecność Joasia. – No, wiara, pakujemy się!

– Jeszcze nie ma w co! – stwierdziła realistycznie Krystyna. – Poczekajmy na Basię.

– A, to ja pójdę po ten prowiant – Joasia już wyraźnie nie mogła usiedzieć na miejscu. Tak się cieszyła jutrzejszą wycieczką, że dopiero gdy wracała z kuchni, uświadomiła sobie, że przecież wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w Stroniu jest Marek. No to co, że jest? – powiedziała w duchu. – Niech będzie, też... Nawet go nie będę szukać. Pewnie, jakbym się przypadkiem z nim spotkała, to dzień dobry mogę powiedzieć. Co mi szkodzi. Zresztą nie ma o czym myśleć.

Otworzyła drzwi nogą, bo ręce miała zajęte puszkami konserw i zupami w kostkach. Zsyłała to wszystko ostrożnie na stół.

Miała dobrą szkołę wycieczkową z czasów harcerskich, więc wytypowanie odpowiedniej odzieży było kwestią minut. Ale nadspodziewanie długo medytowała, jakie zabrać bluzki. Wreszcie stanęła przed szymbą i zaczęła przymierzać belgijską chustkę do szarej. Pod rozpięty kołnierz? A może na gołą szyję, jak szalik z końcami wrzuconymi pod bluzę?

– Lepiej na wierzch – poradziła Krystyna, która, leżąc swoim zwyczajem na łóżku z rękami pod głową, przypatrywała się koleżance. – Efekt murowany.

– Jaki efekt? Też masz pomysły! – wzruszyła ramionami Joasia i szybko rzuciła chustkę na przygotowane rzeczy. – No, jesteście wreszcie! – zawołała do Basi.

– Chłopcy powiedzieli, że dwa plecaki starczą, bo cięższe rzeczy oni wezmą, I dwa nasze koce też poniosą.

– Co za rycerze!

I nazajutrz chłopcy byli w rycerskiej formie. Przygotowali możliwie wygodne siedzenia z worka i koców, pomogli koleżankom – a właściwie Basi, bo Krystyna i Joasia dały sobie samą radę, a Wanda ulokowała się w szoferce – wdrapać się na auto, załadowali plecaki. Rozległ się właśnie gong na pobudkę, kiedy ciężarówka ruszyła.

– Jeśli będziemy przed dziesiątą na miejscu, to bez specjalnego wysiłku zrobimy dzisiejszą trasę – zauważył Jacek.

– I dostaniemy u nich drugie śniadanie – dodał biały Leszek. – Odpadnie jedno pichcenie po drodze.

Ciężarówka pędziła asfaltowymi serpentynami, skończyły się lasy, migały tylko wioski, owocowe aleje, obrośnięte winem domy małych miasteczek. Wnętrze wozu raz zalegał półmrok, to znowu, po jakimś zakręcie, ostre ranne słońce zmuszało do mrużenia powiek i odwracania twarzy. Czarny Leszek ułokował się na skraju budy i oświadczył, że się chce opalać.

– Ojej, nie rób tego, bo spadniesz! – zaniepokoiła się Basia.

– Ho, ho, jeszcze długo nie! – odpowiedział Leszek, z brawurą ściągając koszulę.

– Ach, takie mocne słońce, pozwól, że ci nasmaruję plecy olejkiem – troska Basi o Leszka była widać nieprzebrana. Krystyna z miną „jak gdyby nigdy nic” zaczęła śpiewać:

Morowa marynarska wiara,  
Szczęsny jej życia los...

Baśka spojrzała trochę spode łba w jej stronę, ale mężnie przyłączyła się do chóru. Potem przysła kolej na inne melodie, ale kiedy Leszek zaproponował Basi, by też spróbowała się opalać, a on ją już przytrzyma, żeby nie spadła, Krystyna znowu wróciła do piosenki o marynarskiej wierze.

– Co się ciebie to tak uczepiło? – spytała ze złością Basia.

– A wiesz, nie mam pojęcia. Widocznie podświadomość.

Auto zanurzyło się w lasy, opalanie się skończyło, biały Leszek wyciągnął jabłka i rzucał towarzyszom. Baśka upuściła swoje, czarny Leszek schylił się, by je podnieść, zderzyli się głowami.

– Och, bardzo mi przykro! – pożałowała go Basia.

– To są kobiety. Najpierw ranią człowieka, a potem im przykro – odezwała się milcząca dotąd Joasia i zaczerwieniła się. Uświadomiła sobie, że cytuje Międzyrzeckiego.

Co jest! – zganiała się. – Czy ja już sama nic nie mogę wymyślić?

Leszek klęcząc wycierał chusteczką Basine jabłko. Krystyna, by się nie powtarzać, śpiewała teraz „Morze, nasze morze”.

Joasia przysunęła się do Krystyny i ni z tego, ni z owego zaczęła jej opowiadać, że chodniki przed szkołą są strasznie dziurawe.

– Człowiek się może na nich kropnąć jak nic. A już jesienią, jak jest ciemno i mokro...

– Co ci się przypomniało?

– A nic, tak sobie patrzę na ten postrzelany asfalt. Ja zresztą lubię takie późne powroty ze szkoły. Wiatr kołysze lampy, tramwaj dudni po moście...

– „Liryka, liryka, tkliwa dynamika, angelologia i dal” – zacytowała ironicznie Krystyna. – Nie znasz jeszcze jakiejś marynarskiej piosenki?

I kapitan, dzielny chwát,  
zaczerwienił się i zbladł,  
bo zrozumiał,  
że tym razem to już wpadł.

– zaśpiewały obie, patrząc z kamienną obojętnością ponad głowy Basi i Leszka. którzy po ostatnim zakręcie wpadli jakoś na siebie i już tak pozostali.

Auto zatrzymało się przed dużym czerwonym budynkiem.

– No, to już – powiedział Jacek. – Mieliśmy dobre tempo. Poczekajcie tu, a ja pójde was zaawizować. Zeskoczył na ziemię i przepadł na dłuższą chwilę.

Towarzysze skupili się przy szoferce, nie bardzo wiedząc, co robić. Na progu domu stanęła gromadka chłopców przypatrujących się z zaciekawieniem ciężarówce. Joasia rozpoznała kilka znajomych twarzy. Nie ona jedna.

– Cześć, Jurek! – wykrzyknęła z radością Baśka machając ręką do jakiegoś dryblasa z matematycznej. Spojrzała na Leszka, zawahała się, ale uznała, że szkolna znajomość ma swoje prawa, i pobiegła do kolegi.

– Chodź, poszukamy też kogoś z naszych – zaproponowała Krystyna.

– Wiesz, ja właściwie tak mało znam chłopaków z budy – odpowiedziała Joasia. – Rozejrzyj się sama. Krystyna dostrzegła kolegę z klasy, więc nie wdawała się w dyskusję. Joasia przysiadła na błotniku i popatrywała bezmyślnie przed siebie.

– Ach, żeby już iść! – mruknęła nagle półgłosem. – Po co się śpieszyć? – odpowiedział biały Leszek. – A śniadanie to pies?

– Nie, oczywiście, że nie pies – zgodziła się potulnie. – Ja tylko nie lubię tak siedzieć i czekać.

– Już idzie Jacek!

Syn kierowniczkii zabrał ich do jadalni, paczką zaopiekowali się chłopcy z kolonii.

Przy jedzeniu Baśka i Krystyna opowiadały o kolegach, jak im tu się wiedzie, że wybierają się z wizytą do ich kolonii, że też im deszcz dokuczył itp. Joasia przysłuchiwała się w milczeniu. Chciała zapytać o coś Krystynę, ale jakoś nie mogła się zdecydować. Wreszcie, gdy już zabierali się do wymarszu, zapinając pasek od plecaka odezwała się głosem mizernie imitującym naturalność.

– Widzisz, bym zapomniała! Nie mówił ci twój kolega, czy jest tu Międzyrzecki Marek z mojej klasy?

– Nic nie wspominał.

Joasia jakoś nie mogła sobie poradzić z zaczepieniem rzemienia o zapinkę. Pochyliła jeszcze niżej głowę i powiedziała:

– A... nie możesz go zapytać o tego Międzyrzeckiego?

– Mogę, jeśli ci zależy.

– Nie zależy mi, ale zawsze kolega z klasy.

– Co za solidarność klasowa! – wzruszyła ramionami Krystyna, ale wróciła do budynku.

– Nie, nie ma go tutaj – oznajmiła doganiając już w bramie kolegów. – Miał podobnojechać, ale widać coś mu przeszkodziło.

– To nic. Zresztą i tak już idziemy.

Szli kawałek szosą, potem Jacek znalazł szlak, przepawili się przez strumień i gęsiego pomaszrowali miedzą wśród dojrzewającego żyta. Zaczynał się skwar, do lasów było jeszcze daleko, więc przyspieszali kroku, by jak najprędzej znaleźć się w cieniu. Joasia ze wzrokiem utkwionym w trampki i krótki cień poprzedzającego ją Jacka poprawiała co chwila łokciami źle umocowany plecak i złościła się w duchu na siebie.

Ja już nawet rzemienia nie umiem porządnie dopasować. W ogóle się do niczego nie nadaję. Po co ja kazałam Krystynie dowiadywać się o Marka? Jakbym sama nie mogła kogoś spytać. Co się stało z Markiem, że nie przyjechał? Może kto u nich w domu chory? A może mu się trafiło coś lepszego? Ostatecznie ta kolonia to żadne mecyje – być za ubogiego krewnego wobec drogich gości z zagranicy.

Jacek przystanął nagle, by ściągnąć koszulę, i Joasia omal na niego nie wpadła.

– Joasiu, nie leć na Jacka, już zajęty – zażartował biały Leszek.

– Ja też! – odparowała i dodała szybko: – Swoimi myślami.

– To widać – włączyła się Krystyna. – Nawet nieśmiertelne piękno przyrody cię nie obchodzi!



Joasia spojrziała za siebie. Stwierdziła ze zdumieniem, że Stronie zostało już daleko i nisko: szare, kamienne zabudowania rozmywały się w upale, drzewa i zboże stały bez ruchu pod białym słońcem.

– Nie, dlaczego? – odpowiedziała Krystynie. Mnie się wszystko bardzo podoba.

Rzeczywiście mi się podoba – pomyślała, gdy znowu ruszyli dalej. – I pogoda taka udana. To musi być okropnie, siedzieć teraz w mieście. Co też robi Janka? Muszę do niej napisać. Chyba będzie wiedzieć, co się dzieje z Markiem. Boże drogi, czemu ja się tak wygłupiłam w tym Stroniu? Gdyby Marek tam był, to i tak już bym go nie zobaczyła. No, jak ja będę zawsze taka mądra, to się ładnie w życiu urządzę. Wyobrażam sobie, jak bym się czuła, gdyby to chodziło o jakąś moją prawdziwą sympatię: jak bym teraz robiła sobie wyrzuty o zmarnowaną okazję. Nie mam za grosz cywilnej odwagi. No nic, no nic. Myśl o czym innym. Życie i tak nie najgorsze.

Zanurzyli się w lasy – nieruchome, parne i ciche. Opity ulewami mech tłumiał kroki, czasem trzasnęła sucha gałązka, potoczył się kopnięty kamień. Wielkie, migotliwe płachty słońca okrywały co chwila kogoś z nich, lśniły ostrym blaskiem przytroczone do plecaków menażki, połyskiwały nasmarowane oliwą ramiona. Kiedy zacisnęło się palce, czuło się, jak krew dudni w żyłach, nogi niosły same po twardym żwirze, po splątanych korzeniach. Przy ostrzejszych podejściach miało się przed oczyma tylko kamienie, wysoką, wiotką trawę, jakiś fragment zwalonego drzewa, którego połamane gałęzie zostawiały na nieostrożnych nogach rysę szybko nabiegającą czerwienią. Wreszcie koniec podejścia: można stanąć, czekać, aż się wyrówna tętno, spojrzeć za siebie. Jakby nie ta droga: świerki oblane są błękitnym niebem, brzozowy zagajnik w dolinie pociągnięty mgiełką wydaje się widokiem z zapomnianego snu – lekki i nierzeczywisty. Ostatni z szeregu dopędza kolegów. Teraz znowu w dół: trudno nie lecieć na łeb, na szyję, odpychając w biegu natrętne drzewa, ślizgać się po suchym, sypkim igliwiu. Trudno nie skakać z kamienia na kamień i nie wymachiwać rękoma. Trudno nie śpiewać. Och, byle co: „Zielony mosteczek ugina się”. Uskoczyć w bok przed pniem, przesadzić wyszczerbiony głaz – „czerwone i białe róże sadził, czerwone i białe róże sadził”, – Uważaj, hamuj, pokoziołkujesz w dół!

– Nic mi się nie stanie, nie bój się. „I ciebie, dziewczyno, odprowadził”.

– Na, i jednak leżysz, jednak leżysz!

Gałązki we włosach, żwir w trampkach. To nic, zaraz się otrzepie. Jeszcze jedna krecha na skórze – kto by się tym przejmował. I koniec zejścia – nowa ścieżka, szeroka i równa, ze śladami kolein. Po lewej stok, z którego lecieli, po prawej – sosnowy młodniak, wielkie, kunsztowne pajęczyny między czubkami sosenek, wysoko w górze jastrząb. Ścieżkę przecina strumyk – włókna mchu chwieją się na dnie, woda jest zimna i cierpka. Tak, teraz zanurzyć ręce po łokcie, oblać wodą głowę i szyję. Przecież tu są maliny, wiara, nie ma sensu, zatrzymajmy się – będą na deser. Więc wyciąga się płaskie kamienie ze strumyka, ustawia się na nich rzędem menażki. Kto potrafi zapalić tylko jedną zapałką. Pali się? Właściwie nie wiadomo, w południowym słońcu wątyły płomyczek jest niewidoczny. Ale nie, nie, pokazał się pierwszy kłęb dymu.

– Proszę państwa, co zamawiamy na obiad?

Na trawie leżą zupy w kostkach, konserwy, paczki makaronu. Grochówka? Jarzynowa? A może dla eksperymentu ogonowa pomieszana z grzybową? Szybko, decydować się, bo woda zaraz się zagotuje. Niech będzie „eksperymentalna”, co nam szkodzi! No, a jakby zaszkodziła? Też masz pomysły! Sypie się rozbełtaną papkę do dwóch menażek. Brunatna, zawieszista ciecz wygląda nieco podejrzanie, ale da się jeść. Jacek kroi finką chleb, rozdaje grube pajdy. Rozlewają „eksperymentalną” zupę do dekli, Leszkowie rezerwują dla siebie okopcone menażki, w których się zupa gotowała. Uch, ależ to gorące, utrzymać nie można. Stawiaj naczynia na trawie, kładą się obok – Proszę, jaka wytworność, ucztaj jak u starożytnych Rzymian, na leżąco.

Na ognisku dogotowuje się makaron. Trzeba jakoś przygrzać mięso. Ech tam, też problem – puszka gulaszu do makaronu, wymieszać – może dla lepszego efektu dodać jeszcze masła? Pewnie, trzeba mieć te kalorie.

– Kto będzie mył garnki? Zagrajmy w marynarza! – Żadnego marynarza – woła Basia i dodaje: Chłopcy zawsze przy tym szachrują.

– Wanda niech myje, przecież musi wykonać nasz rozkaz! – przypomina Krystyna, wyciągnięta w pełnym słońcu. Mycie zakopconych, tłustych menażek to żadna rozkosz, zwłaszcza jak się widzi kolegów cynicznie pograżających się w lenistwie. Ale, mój Boże, to też należy do ceremoniału.

Góry po południu wyglądają zupełnie inaczej. Im dłuższe stają się cienie, tym wyraźniejsze, pełniejsze barwy. Pnie sosen są teraz czerwone, niebo, dotąd spłowiałe, nabiera koloru głębokiego błękitu. Widoczność tak wspaniała, że można liczyć dymy w wioskach po dolinach. Przedwieczorny wiatr rozwiewa włosy, szumi w wysokich drzewach. Spłoszona sarna skacze na strome zbocze, sypią się kamienie. Jeszcze przez chwilę śmiga między sosnami i znika za skałą.

Ale najpiękniejszy był jednak wieczór. Schodzili w dolinę już trochę jakby śpiący w środku, podczas gdy nogi, ramiona, dłonie zaczepione o pasy plecaków pocziwie, sprawnie i samodzielnie pokonywały zakosy ścieżki i śliskie stromizny. W uszach szumiał im wiatr, potok łomocący środkiem doliny i własne zmęczenie. Doszli do wsi z pierwszymi gwiazdami, kiedy lasy straciły barwy i upodobniły się do czarnych, wyszczerbionych murów, zamykających zewsząd dolinę. Nie namyślali się długo, gdzie nocować. Pierwsza z brzegu stodoła wydała się w sam raz. Jacek załatwił sprawę z gospodarzem, który życzliwie otworzył wrota, zastrzegając tylko, by uważali z ogniem.

– A jak chcecie coś zagotować, to możecie u mnie w kuchni.

– Ach nie, dziękujemy, nie chcemy przeszkadzać. Ale nie chodziło im o „nieprzeszkadzanie”, tylko nie mogli sobie odmówić przyjemności rozpalenia ogniska w nocy. Zostawili wszystko w stodole i wzięwszy jedynie prowiant polecili z powrotem na kraj lasu, gdzie w przyzwoitej odległości od drzew i od zabudowań, w pobliżu potoku rozłożyli ogień.

Dziewczynki przyrządzały wytworne kanapki z chleba, boczku, ogórka, chłopcy ściągali takie ilości chrustu, że można by przy tym upiec wołu, i to dużego.

– Herbata będzie wprawdzie nie klasyczna – zapowiedziała Krystyna, sypiąc do wrzącej wody pół paczki – ale za to szatańska.

Ledwie rozlała herbatę do kubków, Leszkowie wrzucili na połowę kuchnię pozostały zapas drzewa. Ogień przez chwilę jakby próbował sił, wysyłając na zwiady małe płomyki, które myszkowały wśród czarnych gałązek. Potem od razu wielkim skokiem wydostał się na szczyt. Buchnęło gorącem, więc wszyscy musieli cofnąć się aż na granicę światła i ciemności.

Śledzili iskry znaczące czerwone linie w mroku. Niektóre z nich żarzyły się bardzo długo i gasły dopiero wtedy, kiedy towarzyszący im wzrok napotykał wysokie gwiazdy. Czasem mignęło światelko od tamtej strony – od pogodnego nieba – i meteor szybkim, niepokojącym łukiem zniknął za linią lasów.

– No, pomyśl coś! – szepnęła Krystyna do Joasi. Ale Joasia jakoś nie mogła ubrać w słowa życzenia i tak pozwałała spadać gwiazdom bezużytecznie.

Ogień, z początku podobny do rozmigotanej, strzelistej topoli na wietrze, przygasł. Leżeli teraz blisko niego, śpiewając to, co się zawsze przy ognisku śpiewa: „Czerwony pas”, „Hej, bystra woda”, „Przylecieli sokołowie pod wiśniowy sad”. Potem jeszcze chwila opętanej bieganiny do potoku po wodę, zalewanie żaru, potykanie się w ciemnościach (celowała w tym oczywiście Basia, dziwnym trafem spotykająca zawsze na drodze czarnego Leszka) i trzeba było wreszcie wracać na leże. Chłopcy rycersko odstąpili koleżankom świeże siano i poszli na drugą stronę stodoły rozłożyć się na zeszłorocznej słomie. Joasia, owijając się w koc, mruzczała jeszcze ogniskową piosenkę:

Hej, lesie ciemny, wirchsku zielony,  
Ka mój Janicek umileny...

Niedługo trwało, kiedy zasnęli. Nie wszyscy zresztą. Joasia zauważyła, że Krystyna przewraca się z boku na bok, więc powiedziała szeptem:

– Widzisz, to ta twoja szatańska herbata teraz nam spać nie daje.

– E tam, herbata. Ty lepiej powiedz... co ci wreszcie szkodzi, czy ten twój „Janicek umilenny” nie ma czasem na imię Marek?

– Skąd wiesz? To znaczy, wiem, skąd wiesz; nawet ci nie mogę pogratulować spostrzegawczości, tak się głupio wkopałam. Tylko że nie „umileny”.

– Joanna, komu to mówisz? Ja mam słuch na takie rzeczy. Od razu po twoim zagajeniu wtedy przy zabawie w szczerłość wydał mi się podejrzanym twój cytat: „Między nami nic nie było”. Między kim?

– Bo nie było. Bo ja nie chcę się w nim zakochać.

– Przecież już się zakochałaś!

– Nie. Mam rozum i wolną wolę.

– Uhm. Właśnie. „Pierwsze westchnienie miłości jest zarazem ostatnim westchnieniem rozumu” – jak powiedział ktoś uczony. A co do wolnej woli, to już w ogóle lepiej nie mówić.

– Dlaczego nie mówić? Jak ja nie chcę?

– Ale czemu nie chcesz? Czy on królewicz, żonaty, ksiądz czy co, że nie możesz chcieć?

– Nie. Ale nie dla mnie. On jest wszechstronnie nadzwyczajny, a Joanna Uruska z Karczewa Wielkopolskiego, która dopiero od roku wie, co to jest Teatr Rapsodyczny. I ma piegi na nosie.

– Jezu, przecież ty jesteś idiotka!

– No właśnie. Sama mówisz. A Marek, mój Boże, Marek...

– To twoje „mój Boże” to tylko nagrać na płytę i demonstrować aktorom jako westchnienie czystego liryzmu. No więc, co Marek?

– Przede wszystkim jest niezwykle inteligentny...

– Ty przecież też jesteś prymusem.

– A tam, ja. Ja jestem kujon. Zresztą widzisz, Marka inteligencja jest taka nieszkolna. To, że się dobrze uczy, to tu najmniej istotne. Ma takie szerokie zainteresowania, czyta rzeczy, o których przeciętnym prymusom w ogóle się nie śni. Na przykład „Listy” Chopina. Zna się na muzyce, na malarstwie. I jest taki niezależny w sądach i w ogóle we wszystkim. Nie liczy się z niczym zdaniem i chyba ma nas wszystkich za durniów.

– To bardzo urocze! – wtrąciła Krystyna zgryźliwie.

– Tak mówisz, bo go nie znasz. Bo on z drugiej strony nigdy się nie obraża, jest koleżeński, wyrozumiały. Taki Zagórski mu zupełnie po chamsku dokucza, a on to znosi z pogodnym czołem. Z nauczycielami się kłóci o sprawy ogólne, ale jeszcze nie widziałam, żeby się uraził o niesprawiedliwy stopień. Jest taki nieuchwytny, taki... nie z naszych stron.

– Powiedzmy nawet. Ale co z tego?

– To z tego, że zakochać się w takim człowieku to jedno wielkie nieszczęście. Spróbuj sobie wyobrazić, że się zakochałaś, powiedzmy, w jakimś planetniku, czarodzieju...

– No, ty go windujesz na piedestał!

– Czekaj, pozwól mi skończyć! Więc, że się zakochałaś w kimś z innego, i to w dodatku lepszego świata. Więc nie masz żadnych szans, żeby go ściągnąć na swoją czarną rolę. Zresztą, mniejsza o szansę. To byłoby nawet nieuczciwie, chcieć go ściągnąć. Tak, jakby ktoś chciał orać Pegazem. A poza tym... chciał, nie chciał, Marek i tak patrzy na mnie jak na powietrze. I on jest – dodała jeszcze ciszej – jest taki ładny. A ja co?

– A ty masz piegi na nosie, tak? A że masz, no, choćby ładne nogi, to nie wiesz? I duże, wyraziste oczy? Aż za wyraziste, powiedziałabym, jeśli ci naprawdę zależy, żeby kryć w sercu tę wielką tajemnicę.

– E, nie, ja sobie wypracowałam całą technikę patrzenia na niego – wyznała Joasia tak naiwnie, że Krystyna parsknęła śmiechem.

– Pamiętaj, i najlepsza technika czasem nawala. – Pierona, ty może masz rację – zaniepokoiła się Joasia. – Czasem mi się też tak wydaje. Już nie mówię o Jaremiance, bo ona w ogóle jest trucizna i lubi dogryzać. Ale moja Janka jest niekiedy tak jakoś podejrzanie litościwa wobec mnie. Tylko, że kobiety mają lepsze oko. Marek na pewno niczego nie spostrzeże. Gdzie by tam zresztą miał zauważyć, tyle bab się koło niego kręci.

– I nie mają głupich skrupułów. Nie możesz się i ty zakręcić?

– Nie. To by było niehonorowo.

– Jeszcze honor do tego pasztetu! Co to ma do rzeczy?

– Ma. Tobie łatwo wydziwiać, kiedy się kochasz, tak, no, symetrycznie: dobre słowo za dobre słowo, ręka w rękę, w ogóle po prostu menuet. U ciebie nie było problemu „zakręcenia się”.

– Ale ja tu nie widzę żadnego problemu. Ktoś człowiekowi przypadnie do serca, więc się człowiek stara, żeby stać mu się bliskim. Po co mieszać do tego honor, moralność i czort wi co? A co do honoru jeszcze: to uważasz, że wodzić za kimś cielecym spojrzeniem nie przynosi ujmy temu twojemu honorowi?

– Nie. Może ambicji, ale nie honorowi. To dwie różne rzeczy. Honor wymaga, żeby człowiek był uczciwy. A narzucanie się komuś, wplątywanie go w swoje życie, ujarzmianie go jest nieuczciwe.

– Ale przecież tak w praktyce, na co dzień, musisz się do tego Marka jakoś ustosunkować. Nie możesz zniknąć razem z twoim złamanym sercem, chociaż pewnie według ciebie to byłoby najlepsze. Więc czego ty chcesz?

– Chcę mu się przydać i być blisko niego.

– Cóż, ładnie powiedziane. Daj ci Boże.

Zapadło milczenie. Przez szpary we wrotach wpadało światło księżycy, słychać było szum lasów i potoku.

– Ty przecież jesteś właściwie wesoła i do życia – odezwała się znowu Krystyna. – I czemu musisz się kochać tak na ponuro?

– Mówiłam ci już, że się nie kocham. Więc tym bardziej nie na ponuro. Ale ta Baśka to numer nie? – dodała, żeby zmienić temat.

– Jak mamy gadać o Baśce, to lepiej śpijmy. Przecież ten Jacek nas przegania jak rekrutów. Pod wieczór myślałam, że skonam.

– Ale fajnie tu jest, nie? To są, bracie, wakacje. Wiesz, po maturze musimy zapaść w te góry tak na cały miesiąc. Z namiotami.

– I może z Markiem?

– Ojej, czego nudzisz! Już ci w życiu nic nie powiem. I nie próbuj czasem jutro śpiewać: „Poszedł Marek na jarmarek”.

– Oczywiście, że spróbuję. Dobrze, że mi przypomniałaś. Trzeba Basi dać odetchnąć.

– Ty trucizno!

Na całe szczęście „Poszedł Marek na jarmarek” nie dało się śpiewać w marszu, więc Joasi się jakoś upiekło. Nie ze wszystkim zresztą, bo Krystyna wynalazła sobie inny sposób dokuczania przyjaciółce. Na pierwszym postoju wzięła do ręki kilka drobnych kamyków, podniosła je do oka patrząc równocześnie na przeciwległy szczyt.

– Co tak przymierzasz te kamyki do góry? – zapytała nieostroźnie Joasia.

– Wymierzam proporcje – odpowiedziała Krystyna, ucieszona, że Joasia dała się złapać. – Ta góra to ktoś z lepszego świata, a kamyk to pewna zwykła śmiertelniczka. Ale czy nie wydaje ci się, że kamyk to za dużo? Może ziarnko piasku będzie raczej w sam raz?

Joasia zerwała źdźbło trawy i zmięła w palcach:

– O, widzisz? Tak zrobię z niektórymi, co lubią wymyślać głupie metafory.

– I to mówi „humanista w ogóle”? Jak ci nie wstyd!

– Humanizm humanizmem, ale radzę ci przestać.

Krystyna nie przestała. Do końca wycieczki ze zdumiewającą pomysłowością wyszukiwała obiekty nadające się do podobnych porównań: szpilka sosny i wysokie drzewo, kropla wody i strumień, wreszcie – głód i możliwość jego zaspokojenia. Bo kiedy po dwóch dniach traperskiego życia i włóczęgi po bezludziach dotarli do schroniska pod Śnieżnikiem, nie mogli oprzeć się urokom cywilizacji i zafundowali sobie luksusowe leże w trzysobowych pokojach, kąpiel i wspaniałą kolację.

Ale po wesołym wieczorze nastał ponury ranek – okazało się, że na legitymacje uczniowskie nie ma zniżek, że jajecznica jest o wiele droższa niż w dolinie i że w plecakach został tylko słoik pogardzanego dżemu i pół bochenka czerstwego chleba. Scalone fundusze starczyły jedynie na bilety powrotne. W Międzygórzu na przystanku autobusowym zjedli ostatnie kromki. Mieli sporo przesiadek, a na każdej stacji węzłowej były bufety z czekoladą, skumbrią w tomacie, kanapkami, ciepłą kiełbasą. Nie do zniesienia! Więc rzeczywiście apetyty biednych ofiar schroniskowego luksusu były zgola kosmiczne, kiedy pod wieczór maszerowali wysypaną żużlem ścieżką do domu. Śpiewali dla fasonu:

Jak dobrze nam po wielkich szczytach

Wracać w doliny, w progi swe.

Przyjaciół jasne twarze witać.

O, młoda duszo, raduj się...

Na „jasne twarze przyjaciół” spojrzeli jak na psa, a „młode dusze” uradowały się dopiero nad pełnymi talerzami. Ale mimo to, choć na kolonii organizowano teraz wciąż krótsze i dłuższe wycieczki, te trzy dni pustkowia, noclegów w stodołach, ognisk wieczornych i zup „eksperymentalnych” zapadły w pamięć jako najnajlepsze dni tego lata.

– A w ogóle, to chyba były moje najbardziej udane wakacje – powiedziała Joasia do Krystyny, kiedy wykaligrafowała „Koniec” w kronice kolonijnej. – Wiesz, na początku wakacji tak sobie wróżyłam z Heinego: na którym wierszu się otworzy, takie będzie lato. I wypadło na taki: „Schöne, helle...”

– Tłumacz od razu.

– „Piękne, jasne, gwiazdy złote, pozdrówcie moją daleką miłość, powiedzcie, że wciąż jestem smutny i wierny”. Zupełnie się nie sprawdziło. Tyle że człowiek właściwie co wieczór patrzył na gwiazdy.

– Oj, ty hipokryto. Nie przysięgåłabym, żeś tam nie przekazywała jakichś pozdrowień staroświeckim sposobem przez Wielki Wóz. A swoją drogą, głupi ten twój Międzyrzecki.

Ten mój Międzyrzecki... Ech, głupstwo, dam sobie z tym radę. Tak mi się teraz dobrze żyło, jak żubrowi w rezerwacie. Szkoda, że to już koniec, ale wreszcie okazuje się, że „Uruska w stanie natury” jest do życia, sama Krystyna tak mówiła. Dlaczego więc miałabym się bać wrócić do szkoły? Wcale się nie boję, jestem już zupełnie bez skłonności do najeżania się. Pozostaje mi tylko uładzić się z „kwestią Marka”, ale to wreszcie żadna kwestia. Z gorszymi sobie człowiek radził.

## CZĘŚĆ TRZECIA

### Świadectwo dojrzałości

#### 1. Puste miasto

Coś by trzeba ze sobą zrobić – zastanawiała się Joasia, wychodząc ze stołówki. Uparła się, żeby jeść obiad w mieście, i wykręciła się od zaproszenia ciotki pod pozorem, że koniecznie, ale to absolutnie dziś musi wykupić boczki na wrzesień. W ogóle spieszyła się nieprzytomnie do Wrocławia – wreszcie nic nie stało na przeszkodzie, żeby przyjechać wieczornym pociągiem albo zgoła dzień później. Ale wydawało jej się, że ostatni dzień wakacji trzeba uczcić spotkaniem z przyjaciółmi i że to spotkanie będzie szczególnie miłe i ważne. Teraz dopiero na nowo uświadomiła sobie, że Wrocław to nie Karczew i nie wystarczy wyjść z pociągu, żeby od razu, ot tak, między dworcem a rynkiem, spotkać pół klasy.

Do Janki czy do Krystyny? Wypadałoby do Janki, bo i bliżej, i dłużej się nie widziały. No tak, więc do Janki.

Nie skręciła jednak w stronę Opery, do przystanku. Lepiej przejść nad fosą, droga ładniejsza i cień. Parszywy upał, jak na wrzesień. Poleżałby sobie człowiek teraz gdzieś nad potoczkiem...

Nawet nie chciało się patrzeć na ulice – były w jakiś szczególny sposób równocześnie i szare, i błyszczące, słońce odbijało się od zakurzonych szyb, byle jaki powiew wiatru podrywał z gruzów dławiający pył. Liście młodych akacji, porastających zwałiska, zwisały poszarzałe. Woda w fosie przypominała stół porzucony w rupieciarni, od miesięcy nie tknięty ścierką, zaśmiecony przypadkowo ciśniętymi przedmiotami. Koło zwałonego pnia tkwiła nieruchomo rozcięta do połowy, wyblakła piłka, na środku kołysało się leniwie pudełko od „lotników” i rozmokła gazeta.

Stanowczo w czerwcu Wrocław jest ładniejszy – myślała Jaasia. – Teraz tak jakoś pusto, nieciekawie. Inaczej to sobie człowiek wyobrażał.

Wiadomo, jak sobie „człowiek” wyobrażał. „Człowiek” myślał, że każda ulica, każda ławka na plantach może być miejscem spotkania Marka. Z daleka wydawało się, że Wrocław i Marek to jedno. Że ni z tego, ni z owego zobaczy się pociągłą twarz i niebieskie oczy na pomoście dwunastki albo odbitą w szybie antykwariatu, albo na progu wypożyczalni książek. Wszystkie te miejsca, w wyobraźni opromieniane nadzieją, gasły jedno po drugim i całe miasto szarzało z godziny na godzinę.

Może jednak iść do Krystyny? Z Janką się jutro nagadam w klasie.

Krystyna mieszkała przecież w stronie Międzyrzeczekiego. I Krystyna w i e d z i a ł a. Wspomnienie wieczornych rozmów w górach włączało ją jakoś w „to wszystko”, można przynajmniej mówić, tak ogólnie, o tych sprawach.

Nie, Uruska, miej ty jakiś kręgosłup – postanowione, to postanowione. Marsz do Janki! – zdecydowała nagle, nie przyznając się przed sobą do spostrzeżenia, że chociaż z Krystyną można mówić o Marku, to Janka jest jedynym człowiekiem, od którego może się czegoś o nim dowiedzieć. I może nawet... może Marek akurat u niej będzie?

Przystanąła na chwilę, by przepuścić przejeżdżający tramwaj. Szybkim skupionym spojrzeniem ogarnęła siedzących wewnątrz pasażerów, zatrzymując dłużej wzrok na gromadce chłopców stojących na otwartym pomoście ostatniego wozu. Może wskoczyć? – Jednak poszła pieszo. Ale wybrała już najkrótszą drogę i niebawem przetartym szlakiem przez gruzy zburzonej oficyny wydostała się na podwórko kamienicy, w której mieszkała Janka. Dzieci, układające z cegieł jakieś apartamenty, przyglądały jej się w milczeniu. Zbliżyła się już do drzwi, kiedy jakiś chłopaczek zawołał:

– Janki nie ma, poszła nad Odrę!

Joasia poznała brata koleżanki – nie było powodu, żeby mu nie wierzyć. No cóż, widać było pisane, że będzie miała dziś pecha. Więc żeby przynajmniej coś zdziałać, wróciła do śródmieścia kupić zeszyty i co tam jeszcze do życia potrzebne. Z silnym postanowieniem zrobienia sobie na złość zamiast do Krystyny pojechała na Karłowice.

Dopiero na moście jakoś ją odeszło uczucie zawodu i goryczy. Tramwaj włókł się, motorniczy z irytacją dzwonił na furmana, który pewien bezkarności nawet się nie obejrzał. Więc Joasia miała dość czasu, by popatrzeć z tylnego pomostu na panoramę miasta. Nad fabryką fajansu, browarem, elektrownią wisały czarne, nieruchome prawie pasma dymu, ale nad wschodnią częścią miasta niebo było czyste, choć wyblakłe. Wyszukała wieżę ewangelickiego kościoła na Sępólnie – tam gdzieś mieszka Krystyna. Zielony, strzelisty hełm wieży Świętego Krzyża widać z okien Janki. Gdzieś w połowie między tymi punktami jest dom Marka. Na tej przestrzeni między kamiennym nadbrzeżem rzeki a dalekimi wieżami muszą być przecież oni wszyscy. Może nawet któreś z nich idzie teraz ścieżką w cieniu dębów albo leży na łące mając przed oczyma pożółkłą trawę i płynące po wodzie trochę przedwcześnie opadłe liście. W każdym razie, cokolwiek by robili – kupowali chleb, czytali książkę przy otwartym oknie, stali w kolejce przed kinem – są. Są w tym samym mieście, niejako w zasięgu wzroku, przeżywają tę samą pogodę i mrużą oczy przed tym samym kłującym słońcem wczesnego popołudnia.

No, Joanno, „nie ostatni raz słońce zachodzi”. Mimo wszystko i tak lepiej patrzeć na te wieże niż siedzieć na progu werandy w Karczewie i wsłuchiwać się w dudnienie pociągów jadących na południe. Teraz to już kwestia paru godzin i kilku kilometrów. Byle do jutra!

Rano wymieniła z ciotką parę okolicznościowych uwag na temat, co to się zmieniło od zeszłego roku, że tym razem idzie do szkoły całkiem bez tremy, że jaka szkoda, że nie ciocia będzie ją przygotowywać do matury, tak, tak, matura właściwie za pasem, trzeba się wziąć w garść od samego początku, ciężki rok będzie – i poszła.

Po wczorajszym upale dzień się zrobił nieoczekiwanie mglisty i chłodny. Joasia nawet pożałowała, że nie wzięła płaszcza. Chodniki pociemniały od wilgoci, na kolczastych drutach ogrodzeń wisały krople nosy. Można by patrzeć bez zmrużenia oczu w słońce – ledwo dało o sobie znać jaśniejszą plamą. Na wiadukt wjechał pociąg towarowy – dym i para stały się w jedno z mgłą – wyglądał z daleka tak jakby ktoś niewidocznym ołówkiem ciągnął grubą czarną krechę na szarym papierze.

Hej, po raz który to człowiek wskakuje do tej szóstki! – pomyślała na widok tramwaju mijającego właśnie pierwsze ciemnoczerwone klony alei. – Ostatnia szansa, żeby go dogonić.

Oplaciło się biec, bo na Nowowiejską dojechała akurat w momencie, kiedy z przystanku ruszała jedyńka. Jedyńka jak jedyńka, sama przez się niewarta sprintu, bo i tak było czasu dosyć. Ale obok motorniczego Joasia zauważyła czarne loki – nie, nie ma wątpliwości, to Janka.

Świetnie, lepiej się nie mogło złożyć – myślała, przepychając się przez zatłoczony wóz. – Dobra wróżba!

Na następnym przystanku fala wysiadających popchnęła ją wprost na koleżankę.

– Niemal po trupach, ale dotarłam da ciebie! Cześć! – powiedziała.

Janka odwróciła głowę.

– Ooo! Cześć! — zaśmiała się. – Tak żałowałam, żeś mnie wczoraj nie zastała...

– Pani wysiada na następnym? – zapytał ktoś z tyłu.

– Nie. To jest tak, wiesz, Joanna, co tu mają nas poniewierać, pieszo też zdążymy.

– No to powiedz, co się z tobą działo przez te dwa miesiące? – zapytała, kiedy szły już spokojnie ulicą. Więc Joasia zaczęła szybką i chaotyczną relację z kolonii, co parę zdań wtrącając: „a wtedy Krystyna”, „bo Krystyna”, „idziemy sobie z Krystyną”, aż Janka zauważyła trochę cierpko, że właściwie bardziej ją interesuje ona, Joasia, niż jakaś tam Krystyna.

– Ach, nie, słuchaj, Krystyna jest strasznie fajna, na pewno się polubicie.

– Mmmoże – wycedziła Janka.

Joasia nabrała od razu przekonania, że raczej się jednak nie polubią. I w tej samej chwili przeleciała jej przez głowę myśl, że może to i lepiej. Właściwie wcale bym nie chciała, żeby Janka wiedziała o mnie to, co Krystyna. Z Janką się dobrze gada o zupełnie innych rzeczach. A że dalsze opowiadanie o wakacjach bez wspomnienia Krystyny wydało jej się niemożliwe i że była ciekawa, co się dzieje we Wrocławiu, powiedziała:

– Zresztą tak ogólnie, to ci o wszystkim pisałam, tylko ty, cyniku, nie raczyłaś odpisać.

– Bo ty, cyniku, nie podałaś adresu! – Niemożliwe!

– Pokażę ci kopertę.

– To na razie lepiej powiedz, co byś mi napisała, gdybyś ten adres miała.

– Trzy tygodnie byłam na wczasokursie ZMP nad morzem. Wilkołek, pocziwota, mnie wyekspediował w ostatniej chwili. A poza tym tak się pętałam po Wrocławiu... wiesz Odra, kajak, kino i te rzeczy.

– Widywałaś się z kimś z klasy? – rzuciła Joasia pytanie z dawna przygotowane.

– Trochę z Wilkołkiem. Bez przerwy gadał o tobie, aż nieprzyzwoicie. I z Jasiem Skorupką. Ale więcej z przyrodnikami. A Marek, drań, nie pokazał się ani razu. Był na tej kolonii, pewnie, ale przecież to się skończyło jakoś tydzień temu, prawda?

– Tak, dwudziestego piątego. Tylko że Marka nie było na kolonii.

– Skąd wiesz?

– Przejeżdżaliśmy raz przez ich miejscowość, to .się dowiedziałam.

– Dobrze, ale gdzie on się wobec tego podziewał? – Może Bodek będzie wiedział.

– Po co Bodek, sam się musi wypowiadać.

Joasia uświadomiła sobie w tej chwili, że o ile w Karczewie jeszcze wydawało jej się, że pierwszą napotkaną we Wrocławiu osobą musi być oczywiście Marek, to od wczoraj popadła w drugą skrajność – uważała, że w najlepszym wypadku może coś o nim usłyszeć. Przeżyła zresztą w wyobraźni tyle najróżniejszych z nim powitań, że w to realne, pewne spotkanie w czterech ścianach klasy czy na korytarzu, czy wszystko jedno wreszcie gdzie, ale najpóźniej za piętnaście minut – że w to spotkanie po prostu nie chciało się jej wierzyć. W dodatku żadne z owych wyimaginowanych powitań zupełnie nie pasowało do rzeczywistości – do tego długiego, wyłożonego żółtymi płytkami korytarza, którym teraz szły, ani do rozwrzeszczanych klas, ani do towarzystwa Bożki, kiwającej właśnie radośnie i wdzięcznie rączką do nadchodzących koleżanek. Wymyślał sobie człowiek jakieś fantastyczne sceny z długimi inteli-



gentnymi oracjami, a nie zastanowił się, jak się zachować w tej jedynej prawdopodobnej – zezłościła się na siebie w duchu.

– Wiesz co – powiedziała głośno. – Jakoś nie mam siły słuchać teraz szczebiotania Bożki. Skoczę do Krystyny na drugie piętro.

Zawróciła, nie czekając odpowiedzi.

Nieprawda, nie mam siły powiedzieć Markowi głupiego „dzień dobry” – wyrzucała sobie, biegnąc po schodach. – Krystyna by pękła ze śmiechu, gdyby wiedziała.

Krystyna siedziała na pulpicie, rozmawiając z jakąś grubą blondynką. Joasia zatrzymała się w progu – nie miała ochoty włączać się do rozmowy i w ogóle zapoznawać się z tamtą. Ale Krystyna już ją spostrzegła, zeskoczyła z ławki i osadziwszy na miejscu jakimś słowem blondynkę podeszła do Joasi.

— Pokazałaś się przecież – powiedziała, popychając ją lekko na korytarz. – Myślałam, że cię ten twój magnes zatrzyma w klasie na cały dzień.

– Jaki magnes? Nie byłam jeszcze w klasie.

– Ćwiczysz wolę? A może boisz się, że to za dużo szczęścia?

– No, jaka ty jesteś! Przychodzi do ciebie człowiek z dobrym słowem, a ty zaraz tępisz.

– Nie, skądże. Żeby ci dowieść dobrej woli, podprowadzę cię do was. Tylko odwagi!

Joasia wzruszyła ramionami:

– Chodź; jak chcesz. Będzie mi bardzo miło. Jak ci zeszły ostatnie dni?

Krystyna złożyła zwięzłe sprawozdanie. Joasia wypytywała ją o drobiazgi, żeby nie dopuścić do nowych docinków. Koło schodów dopędziła ją blondynka:

– Krycha, chodź tylko, musisz mi coś powiedzieć!

– Ot, żandarm – mruknęła Krystyna. – Może wpadniesz do mnie po południu? – zwróciła się do Joasi.

– Może, ale nie wiem na pewno...

– Ach tak, oczywiście – Krystyna zrobiła porozumiewawczą minę. – Powodzenia!

Joasia załatwiła powitanie kolegów jednym ogólnym „cześć” – już za dużo ich było, by każdemu podawać rękę. Podeszła szybko do swojego miejsca i oparłszy się o stół jeszcze raz ogarnęła wyrokiem obecnych. Bodek Lipski siedział okrakiem na krześle, ręce założywszy na poręcz, obok stały Müllerówna i Bożka, Zagórski, z kolanem opartym na przechylonym krześle, kiwał się w przód i w tył.

No tak. Oczywiście się spóźni. Jak zwykle. Joasia zaczęła uważniej słuchać rozmowy kolegów.

– I patrzcie, czy to nie niesamowite? – mówiła Ania Palikówna. – On tak się zachwycał Słowackim i Chopinem. A przecież oni obaj też umarli na gruźlicę!

– Co za „też”? – zaprotestowała Müllerówna. – Nie kracz ty lepiej. Jeszcze nikt nie umarł.

– Ania by pewnie wolała, żeby umarł. To by było takie wzruszające, prawda? – wtrąciła zjadliwie Bożka. – Mogłaby napisać prześliczny wiersz, elegię albo treny...

– Ty, o czym one plotą? – spytała Joasia stojącą obok Jankę.

– Marek się rozchorował i jest w sanatorium.

– Aha.

Joasia wyciągnęła z teczki brulion i ołówek, ułożyła je równiutko na stole, zamknęła teczkę. Potem przyciągnęła sobie krzesło, siadła bokiem do stołu i położyła głowę na zgiętym ramieniu. Gapiła się bezmyślnie na kolegów, napotkawszy jednak wzrok Janki, powiedziała z uśmiechem:

– Człowiek ledwie przyjechał do tego Wrocławia i już niewyspany.

– Tak, to ten klimat – zgodziła się szybko Janka, ale jeszcze przez parę sekund patrzyła prosto w oczy koleżanki i wreszcie dodała: – Ale nie martw się, jakoś trzeba to przeżyć.

– Bo ja zawsze mówiłem, że tak się skończy – perorował tymczasem Zagórski. – Nie można być takim zdechlakiem. Obkuwał się, czytał Bóg wie co, żeby zgrywać intelektualistę. To

teraz ma. Jego by trzeba nie do sanatorium, ale do wojska. Poznałby życie, jakby za nim mamusia z szalikiem nie latała: „Mareczku, owiń szyję, bo zimno”. Jak ktoś udaje arystokratę, to mu potem byle co zaszkodzi.

Zagórski jest głupi, Zagórski jest głupi, Zagórski jest obrzydliwie głupi – powtarzała w myśli Joasia.

Pierwsze lekcje przeleciały tak sobie, na załatwianiu formalności i gadaniu, potem był koncert – wszystko wskazywało na to, że najpóźniej o pierwszej będą wolni. Joasia tylko jednym uchem przysłuchiwała się pieniom grubej śpiewaczki, ubolewającej, że nie ma „skrzydełek jak gaska”; pochłonięta była rozważaniami – co zrobić ze sobą po południu. Wydawałoby się, że to żaden problem, jednak bez końca zastanawiała się, czy umówić się z Janką, czy iść całą paczką do kina, jak proponował Wilkołek, czy zamelinować się w Ossolineum i przeczytać sobie jakiegoś Boya albo co. Do Krystyny w każdym razie nie – wystarczy sobie wyobrazić, jak zapyta: „No i jak znalazłaś ten twój Everest”, żeby się człowiekowi odechciało wszystkiego. A może po prostu wrócić na Karłowice?

Otóż to, tu tkwił sęk: wreszcie rzecz sprowadzała się do tego, czy zostać .między ludźmi, czy w czterech ścianach przemyśleć. Joasia nie precyzowała, co mianowicie przemyśleć, i przez cały koncert męczyła swój „rozum i wolną wolę” głupstwami, i to właściwie dlatego, żeby udawać, że nic się nie stało. Koniec końców, gdy oklaskiwała ostatni punkt programu, wciąż jeszcze nie miała ustalonego planu dnia.

Przy zatłoczonym wyjściu znalazł się koło niej Wilkołek.

– To co, idziesz z nami do kina?

– Wiesz, jeszcze nie wiem. Jak się złoży, to was przecież odszukam.

– Przyjdź na pewno, wykupię bilet dla ciebie.

– Kto jeszcze się wybiera?

– Ee, tego, pełno wiary, pół klasy.

– No dobrze. Dam ci pieniądze.

– A to już potem. Więc o drugiej czekam przed „Śląskiem”.

Joasia w tej chwili uprzytomniła sobie, że ta pora jest właśnie bardzo niewygodna ze względu na obiad w stołówce. Ale tymczasem Wilkołek jak Almanzor – „uciekł i zmylił pogonię”.

A, głupstwo. Mogę zjeść coś w barze.

Bar, wiadomo, kolejki, czekanie. Ledwie zdążyła na czas przed kino.

– Już się .bałem, że nawalisz – przywitał ją Wilkołek.

– A gdzie reszta?

– A, tego – Wilkołek odgarnął rękaw marynarki i spojrzął na zegarek. – Właśnie chyba się rozmyślili.

Oj, kręcisz, bracie – pomyślała Joasia, ale machnęła ręką na podstęp kolegi. – Co mi tam.

Weszli szybko na salę. „Ali Baba i czterdziestu rozbójników” okazało się straszliwą chałwą. Joasia zapominając, że Wilkołek wybrał ten film pewnie dla zrobienia jej przyjemności, bez litości wyśmiewała się potem z hollywoodzkich kolorków i atelierowej egzotyki. Biedny Henryk najpierw też tępił ideologicznie „szmirę made in zgniły Zachód”, ale nagle powiedział:

– Taka jesteś nie w humorze. Ty się pewnie przejmujesz tym Międzyrzeckim.

– Też pomysł!

– Nie udawaj!

Oczywiście. Nie udawaj! – mówiła sobie, kiedy wreszcie spławiła Henryka. – Czego się zgrywać. To i tak nie ma znaczenia. Żadnego. Głowa mnie boli. Co za diabli przynieśli mnie do Wrocławia, nie lepszy to Poznań? Człowiek jest głupi. „Przydać mu się i być blisko niego”. Świetnie. Ani przydać się, ani blisko. Boże, i ja nic nie mogę zrobić. Po prostu nic. Marek, Marek... A człowiek zdrowy jak koń, aż wstyd. Żeby tak można...

## 2. Zawsze może być gorzej

Człowiek może mieć złamane serce, ale musi żyć. Ba, musi się zastanawiać nad przyczynami upadku powstania listopadowego, nad sporem romantyków z klasykami, a nawet nad tym, dlaczego w zdaniu: „Tu ne quaesieris, scire nefas, quem mihi, quem tibi finem di dederint” użył poeta koniunktywu. Człowiek może być potrójnie nieszczęśliwy i mimo to jest jeszcze nawet w najbardziej złamanym sercu miejsce na czwarte nieszczęście.

Joasia siedziała w swoim pokoju w pozycji ze wszech miar godnej nagany z pedagogicznego punktu widzenia – głowa na łokciu, kręgosłup skrzywiony jak na poglądowych rysunkach z napisem „tak nie należy”, wzrok wlepiony w karygodnie blisko oczu leżący arkusz papieru.

– Wesoło się zapowiada – mruknęła i przysunęła arkusz jeszcze bliżej.

Kochana Joanno – czytała. – Muszę Cię powiadomić, że prawdopodobnie nigdy nie będziesz jeździć wspaniałym, małowitrazowym wozem, konstrukcji Twojego brata ani wylewać nieudanej zupy do zlewu przeze mnie zaplanowanego, a nawet deptać łąk odwodnionych według moich zaleceń. Miałaś rację, że mam małe szanse dostania się na mechanikę wobec tego, że na jedno miejsce jest trzech kandydatów. Więc nawet się specjalnie nie załamałem, jak wyczytałem na tablicy: „Zdał, nie przyjęty z braku miejsc”. Ale na inżynierii sanitarnej też nie było dla mnie miejsca i na melioracji też. Się mówi trudno. Pomyślałem, że widać poznańska WSI nie lubi ludzi o imieniu Maciej, i próbowałem szczęścia w Szczecinie, Częstochowie i w Olsztynie. Mam się z czego cieszyć, bo poznałem szmat kraju; ale wszystkie sekretarki, bardzo miłe w rozmowach wstępnych, robiły się oschłe na drugi czy trzeci dzień. Pojąłem nareszcie, że los chce mnie widzieć w innej roli niż studenta politechniki, i wobec tego jadę złapać jakąś robotę w Nowej Hucie. Na przyszły rok będę próbował na nowo. Żal mi roku i w ogóle wielu rzeczy.

W domu po staremu, tj. źle. Pokłóciłem się z macochą, właściwie o głupstwo, ale wiesz, jak to jest – nie chodzi o rzecz, tylko o zasadę. W końcu miałem tak wszystkiego dość, że cieszę się już z samego wyjazdu; mniejsza z tym, gdzie i po co. Zresztą Ty to dobrze rozumiesz – przeżyłaś to rok temu i nawet mogę powiedzieć, że poniekąd jesteś ode mnie o ten rok samodzielności starsza. Boję się tyłka, że jak mnie nie będzie w Karczewie, to nasza ukochana opieka domowa będzie Ci w paczkach przysyłać kartofle i buraki. Niby zdrowe i waga odpowiednia, ale w zeszłym tygodniu wyrzuciłem z kartonu piękną głowę kapusty i włożyłem

boczek, który pewnie właśnie dojadasz. W każdym razie, gdyby coś nawalało, pisz do mnie, będę teraz miał swoje pieniądze, to sobie poradzimy i bez niej.

Już późno, a jeszcze nie wszystko spakowałem, całuję Cię więc mocno, cześć i nie martw się.

Maciek

P.S. Adres przyślę za parę dni.

A już się cieszyłam, że po pierwszym semestrze przeniesie się do Wrocławia i będziemy razem – pomyślała. Wyobraziła sobie brata na tle krajobrazu widzianego na kronice filmowej: rozjeżdżone drogi, sznury ciężarówek, dźwigi, rury, cegły. Wielka budowa – tak, coś w tym jest, i gdybym była chłopakiem, tobym nie miała nic przeciwko temu. Szkoła to jest w ogóle życie trochę na niby, więc takie coś mocnego wydaje się człowiekowi szczególnie pociągające. Ale Maciek będzie chodził po tych rozjeżdżonych polnych traktach z uczuciem podwójnego odtrącenia i wygnania, przez dom i przez studia, i na pewno będzie czuł się o wiele gorzej niż ona swego czasu. Wielka przygoda jest wielką przygodą, jak się ją dobrowolnie wybiera. A może i nie? Maciek jest dzielny i może samo dawanie sobie rady będzie dla niego pociechą? Dla niego pewnie tak, ale jej przez to wcale nie jest lżej. Boże drogi, więc nie dość kłopotu z maturą, to jeszcze trzeba się martwić o przyjęcie na studia! Ot życie – jak deszcz, to zaraz ulewa. Więc jaki to jest *coniunctivus*, to „*dederint*”?

Załatwiła ową zawilóść gramatyczną i złożyła zeszyty. Na dziś koniec. Co to za głupia pora – kwadrans po ósmej – za późno, żeby do kogoś podjechać, za wcześnie na spanie. Domo-we roboty jakoś akurat wyprowadzone na czysto – ani co wyprasować, ani pomyć, nawet ciągle otwierające się drzwi szafy właśnie wczoraj doprowadziła do porządku. Napisać list do Maćka – to właśnie najlepiej by się zmieściło w tę ostatnią godzinę – cóż, kiedy adres brata dostanie dopiero w przyszłym tygodniu.

Prawdę mówiąc, był do napisania jeszcze jeden list – do Międzyrzeckiego. Marek przysłał na adres szkoły najpierw kartkę, którą klasa przyjęła z rozczuleniem, ale nikt się nie kwapił z odpowiedzią, potem drugą z wymyślaniami i wyraźnym żądaniem, by Joasia i Janka opisały mu wszystko, co się dzieje w szkole.

– To ty napisz, a ja się dopiszę – powiedziały do siebie niemal jednocześnie, wracając ze szkoły.

– Więc ustalone, że ty! – zawołała Joasia już z chodnika, gdy tramwaj z Janką ruszył.

– Nie, ty! – odkrzyknęła przyjaciółka.

Tak więc Joasia miała za sobą wyraźną wolę Marka i Janki i gdyby teraz siadła i zaczęła pisać, nikt nie mógłby się przyczepić. I pewnie by rzeczywiście „siadła i napisała”, gdyby nie to, że od miesiąca, od początku roku, niczego tak nie pragnęła, jak pisania do Marka długich, pokrzepiających listów, które miałyby go rozweselać i skłaniać do myślenia o szkole, a nie o chorobie. Ale od czasu, kiedy się załamała i przyznała przed sobą do swoich uczuć, postanowiła twardo nie ułatwiać sobie życia i ułożyła surowy regulamin postępowania nie tyle wobec Marka, ile wobec własnego serca. Pierwszy punkt tego regulaminu, który Krystyna stukając się w czoło nazwała „przepisem doskonałym na nieszczęśliwą miłość”, brzmiał: „nie narzucać się”. „Narzucanie się” zaś zostało zdefiniowane jako każdy krok w stronę Marka, nie poddyktowany absolutną koniecznością.

No tak, ale skoro Janka mi kazała, to przecież muszę – tłumaczyła się przed sobą, kiedy po kilkunastu minutach gapienia się w czarne okno podeszła nagle do szafki i wyciągnęła blok listowy. – Właściwie zresztą Marek mnie wymienił na pierwszym miejscu, więc widać zależy mu na liście ode mnie. Tak? To czemu pisał na szkołę, do klasy, a nie wprost na mój adres? Mógł nie pamiętać adresu. Jak to, nie pamiętać – był tu chyba z pięć razy. Piac razy? No tak, z Marysią Jamrózką raz, prima aprilis – dwa, moje imieniny trzy, a potem jakżeśmy się uczyli przed końcem roku, dwa, nie – trzy razy. Więc sześć, nie licząc odprowadzania pod sam dom.

Ty, Joanna, myślisz nie na temat. Pisał do szkoły, tak? Wymienił Jankę i ciebie, tak? Nie masz się narzucać, tak? Więc przestań kręcić, poczytaj sobie jeszcze pół godziny „Noce i dnie” i idź spać. A list napisze Janka.

I ostatecznie list rzeczywiście napisała Janka, a Joasia ograniczyła się do wyczerpujących dopisków na marginesie.

Potem było kilka ciężkich dni oczekiwania, zupełnie bezsensownego wypytywania ciotki: „Nie było do mnie czegoś z poczty?” (pod pozorem, że się czeka na paczkę z domu, co zresztą było zgodne z prawdą) i wróżenia z byle czego: „Jeśli suma cyfr na bilecie tramwajowym będzie podzielna przez trzy, to odpowiedź przyjdzie na mój adres”, z nie wypowiedzianym dalszym ciągiem: „Jeśli odpowiedź przyjdzie na mój adres, to Marek kiedyś będzie tego... będzie dla mnie dobry”.

Wreszcie w sobotę, na wielkiej przerwie...

Pogoda tego dnia była okropna, wichura i deszcz, tak że nawet najsurowszy z nauczycieli nie miał serca wypędzać uczniów na podwórze. Klasa mogła spokojnie przygotowywać się do łaciny, o ile w związku z tą lekcją można w ogóle mówić o spokoju. W zeszłym roku dostawców tłumaczeń było czworo: Sylwia, Marek, Janka i Joasia. Teraz Marek był w sanatorium, a Janka i Joasia uznały, że ich wiedza nic nie ucierpi, jeśli będą przygotowywać się na zmianę. Z powodu tak gwałtownego spadku podaży łacinnik stale narzekał: „Nic się w tym roku nie uczycie, cymbały jedne”, a wokół dwóch aktualnych „tłumaczek” robił się tłok i zator. Teraz też w jednym kącie klasy odpisywano na gwałt od Sylwii, w drugim Joasia wyjaśniała Müllerównie, Wilkołkowi i paru innym, gdzie podmiot, gdzie orzeczenie, i od czego trzeba zacząć, żeby się nie zaplatać w zdaniach podrzędnych. Między obiema grupkami krążyła Bożka, zapewniając nie pytana kolegów, że chce tylko sprawdzić swoją wersję.

– Nie, to już szczyt – szepnęła Hanka Mullerówna. – Powiedziałyby uczciwie: daj odwalić, a nie mydliła oczu.

– Ale ma, trucizna, fenomenalną pamięć – odpowiedziała Joasia nie bez podziwu. – Więc „carpe diem” to dosłownie...

– Poczytylion, poczytylion! – zabrzmiało od progu.

Ania Palikówna podskakiwała przy drzwiach, wymachując niebieską kopertą.

Joasia poczuła dziwne zimno w końcu nosa i pomyślała: „Zawsze lepiej zblednąć, niż się zaczerwienić”.

– I po co tak wrzeszczeć? – mruknęła, wzruszając ramionami. – Ta Ania zawsze... Więc „carpe diem”...

– Ta już dosyć, i tak tyle dziś nie przerobimy – urwała Hanka. – Chodź, zobaczymy, co to za list. Na pewno od Marka.

Ania właśnie głosiła to samo:

– Nasz Mareczek najdroższy przesyła nam zacząć, grubą epistołę. Powstańcie, ludkowie mili, i posłuchajcie. Aż owo nie rozkosz dowiedzieć się...

Za jej plecami pojawiła się Janka.

– Aż owo nie rozkosz dowiedzieć się, do kogo to właściwie jest? – zapytała i wyjęła Ani list z ręki. – Bóg wam zapłać, poczytylionie, pozwólcie, że was wyręcę i oddam, komu trzeba. Masz, Joanna! – wyciągnęła rękę w stronę koleżanki.

Bożka, która wykorzystując zamieszanie szybko przysiadła na krześle Joasi i gorączkowo „sprawdzała” tłumaczenie, pisząc drobnym maczkiem na marginesie książki, teraz głośno zaprotestowała:

– Ooo, jak to? Czy wy macie monopol na Marka? Jak pisze na szkołę, to znaczy, że do wszystkich. Janka obrzuciła ją spojrzeniem tak lodowatym, że wulkan by ostygł.

– Adres jest wyraźny: „Joanna Uruska”. I koniec. Nie ma dyskusji. No, zabierz wreszcie – ponagliła Joasię.

Joasia niezdecydowanym ruchem ujęła kopertę.

– Jak chcecie, to ja oczywiście zaraz głośno przeczytam. Bożka ma na pewna rację, że to do całej klasy i tylko przez przypadek jest taki adres.

– Uhm, przez przypadek – zaśmiała się Müllerówna. – Kto chce, niech wierzy. Ale przeczytaj sobie sama i jutro nam powiesz, co tam ciekawego.

Nie bój się, najciekawszego i tak nie powie – oznajmiła głośnym szeptem Bożka. – Tajemnica serca?

Oczywiście wszyscy to usłyszeli. Zagórski zarzął:

– Ha, ha, serca! Główki, proszę państwa, chytrej główki Międzyrzeckiego. Ten wie, kogo się trzymać. Wiadomo, że taka prymuska maże mu się przydać, jak wreszcie będzie musiał przestać leniuchować na leżaku i zabierze się do nadrabiania zaległości. Ty, Joanna, nie bądź głupia, i czasem się nie nabieraj na jego słodkie słówka.

– Jakie tam słodkie słówka, co bredzisz – odpowiedziała, myśląc: Ludzie są jednak dziwni. Bożce nie zależy na Marku, a jest zazdrosna o ten list. Zagórskiemu nie zależy na mnie, a chce mi obrzydzić Marka. Niechby ten łacinnik już przyszedł.

Zamiast łacinnika przysłała polonistka, powitana tak entuzjastycznie, że aż uznała za stosowne zganić ten zachwył.

– Dziwi mnie, z czego się cieszyicie! Oczekiwałoby się od klasy maturalnej bardziej poważnego stosunku do nauki.

– Właśnie dlatego się cieszymy – spróbowała bronić honoru kolegów Joanna – że przerobimy więcej materiału z polskiego, z tego zdajemy wszyscy, a z łaciny tylko paru.

Nie wyglądało na to, że polonistka potraktowała tę wypowiedź serio, ale w każdym razie darowała im kazanie.

– Wykorzystamy tę godzinę na lekcję wychowawczą. Nazbierało się sporo spraw, które trzeba omówić. Przede wszystkim, skoro Międzyrzecki nie tak prędko wróci, musicie wybrać nowego wójta klasy albo przynajmniej jego zastępcę. Poza tym należy zastanowić się już dziś nad organizacją samopomocy koleżeńskiej, jeśli macie zamiar w komplecie dotrzeć do matury. Osobiście niepokoję się o przyszłość kilkorga z was. Oczywiście z mojej strony możecie oczekiwać konsultacji i nawet dodatkowych lekcji, ale zdaje mi się, że na przykład Marysi Jamróz czy Kociubińskiej potrzebna jest systematyczna pomoc kogoś ze zdolniejszych kolegów.

Joasia spojrzała kątem oka na Jamrózkę – siedziała ze spuszczoną głową, zaczerwieniona po uszy.

– Ty wiesz – mruknęła do Janki – że ona się nie zna na ludziach, tośmy już dawno zauważyli. Ale miałam ją za osobę taktowną.

– Poczekaj, to dopiero początek.

– O tych sprawach porozmawiamy szerzej, a teraz, proszę, podawajcie kandydatyry na wójta.

– Na zastępcę – sprostowała Joasia dziwiąc się, skąd jej się tak zebrało na gadanie. – Nie można przecież Międzyrzeckiego ot, tak sobie, usuwać.

– A mówiłem, że Marek wie, kogo się trzymać – usłyszała głośny szept Zagórskiego. – Już go broni!

– Czy Zagórski chce coś powiedzieć? – spytała wychowawczynie i odczekawszy chwilę dodała: – Więc kogo proponujecie?

– Ja Uruską! – zawołał szybko Wilkołek, co Zagórski znowu skomentował:

– O, widzicie, jak szlachetny! Choć „ona mu odrzekła: nie”...

Bożka wołała Müllerównę, ale Hanka, niepewna opinii wyborców, podziękowała za zaszczyt i tak Joasia została wicewójtem. Postanowiła się tym nie przejmować. Okolicznościowy frazes, że „dziękuje kolegom za zaufanie” wyrecytowała w rekordowym tempie, zużywszy na to dokładnie tyle czasu, ile trzeba, by poderwać się z ławki i sięść na powrót. Od przewodniczenia zebraniu uchyliła się pod pozorem, że to przecież lekcja wychowawcza, nie po-

siedzenie samorządu. Nie, moi państwo, żadna siła mnie nie zmusi, żeby zajmować się czymś więcej niż zbieraniem składek. A już w każdym razie nie będę dzielić kolegów na zdolniejszych i mniej zdolnych.

Bo o to właśnie rzecz poszła. Polonistka, zapewne ze względów wychowawczych, usiłowała wydobyć od klasy nazwiska tych lepszych i gorszych, żeby ich powiązać w pęczki samokształceniowe. Szło to opornie, bo szkolne asy nie kwapiły się do wypowiedzi w rodzaju: „Ja jako zdolny chętnie pomogę tej niezdolnej”. Z mieszaniny fałszywej i prawdziwej skromności, ukrytego sobkostwa czy szczerzej delikatności wyłoniła się wreszcie zdawkowa odpowiedź:

– Ja, proszę pani profesor, oczywiście bardzo chętnie, gdybym się czuł na siłach, ale nie sądzę, żebym umiał więcej od kolegów.

Polonistka załamała ręce:

– Widzę, że klasa całkiem nie dorosła do idei samopomocy. Będę musiała odgórnie ustalić, kto z kim ma się uczyć. Trudno, widać trzeba z wami jak z dziećmi.

Joasia czuła na sobie spojrzenia kolegów. Wypadałoby coś powiedzieć. A niech sobie patrzą – pomyślała z uporem. – Ja się do tych cenzurek mieszać nie będę. Zamiast niej wmieszał się Zagórski:

– Cóż, więc chyba ja muszę zrobić dobry początek – powiedział z miną ojca ojczyzny. – Mógłbym podciągnąć z polskiego i historii Skorupkę i Lipskiego.

Bodek Lipski odwrócił się gwałtownie w stronę mówiącego i mruknął:

– Sam się podciągnij, obwiesiu. Uczył Marcin...

Skorupka przyjął wyróżnienie spokojniej. Zapatrzony w swoje wypielegnowane paznokcie zauważył w przestrzeń, że w razie potrzeby jego ojca stać będzie jeszcze, Bogu dzięki, na korepetytora z prawdziwego zdarzenia.

– Uważam też – ciągnął Zagórski nie zrażony brakiem entuzjazmu kolegów – że niekoniecznie najlepsi uczniowie tylko mają się udzielać. Myślę, że np. dwóch średniaków wystarczy, żeby poduczyć jednego, hehe, biedniaka. Ania Palikówna i Bożka wspólnymi siłami mogłyby pomóc Marysi Jamróz...

Bożka, wściekła, że jej nie zaliczył do najlepszych, powiedziała:

– Kto cię upoważnił do tego rozdzielania ról? Pytał cię kto o radę?

– Sądziłem...

– Nie sądzicie, żebyście nie byli sądzeni – odezwała się nagle Joasia. – Skoroście mnie już wybrali, to trudno, pozwólcie, że z racji urzędu... Więc tego. Proszę pani profesor, ja stawiam wniosek, żeby sprawę samopomocy odłożyć na inny raz. Najlepiej w ogóle nie poruszać jej na zebraniu, tylko...

Wychowawczyni była urażona:

– Jak to? Chyba to właściwa pora: jesteście wszyscy razem, znacie się, możecie szczerze i otwarcie...

Jak jej wytłumaczyć, że to właśnie jest sprawa, której nie można szczerze i otwarcie, że tu ciągle lawiruje człowiek między donosicielstwem i samochwalstwem!

– Tak, oczywiście – przerwała profesorce – tylko że nas ten problem trochę zaskoczył, musimy przemyśleć...

– Toteż właśnie jest czas na dyskusję.

Znowu podniósł się Zagórski.

– Nie rozumiem stanowiska koleżanki Uruskiej. (Oho, tak oficjalnie? Pewnie chce mnie wkopać na całego – pomyślała Joasia.) Stoi przed nami konkretne zadanie, zadanie, proszę kolegów, twórcze, i my zamiast kolektywnie, odpowiedzialnie je przedyskutować i przeżyć, poddajemy się biernie propozycji jakiegoś pokątnego, jakiegoś, powiedziałbym, kumoterskiego załatwienia sprawy. I co najdziwniejsze, wniosek ten stawia nowo wybrany wójt,

koleżanka, która z racji dobrych stopni sama powinna wystąpić z inicjatywą pomocy. Ja uważam, proszę kolegów, że wybraliśmy koleżankę Uruską zbyt pochopnie.

– Ty, Jurek, nie indycz się! – zawołała nie speszona bojowym stylem kolegi Hanka. – Jak zbyt pochopnie, to wycofaj swój głos, naszych i tak starczy. A Joasia ma rację: co my tu mamy jakiś targ niewolników robić; geniusze mają sobie wybierać osiołków, czy jak?

– Müllerówna, wyrażasz się niepoważnie – przerwała wychowawczyni. – Wobec różnicy zdań przegłosujcie: kto jest za wnioskiem Uruskiej, by nie zajmować się samopomocą?

Joasia szybko wstała:

– Ja przepraszam, ale mnie chodziło tylko o to, żeby nie tak zaraz.

– To na jedno wychodzi.

Dzień feralny. Uwzięła się na mnie, czy co?

– Niezupernie – odpowiedziała. – Trzeba się przedtem rozejrzeć w sytuacji. Są grupy kolegów od dawna uczących się razem...

– W dalszym ciągu nie widzę powodu odwlekania. Ale głosujcie!

W tej chwili zabrzmiał dzwonek i głosowanie stało się niepotrzebne.

– Przez wasze niezdyscyplinowanie godzina zeszła na niczym – powiedziała polonistka. – Uruska i... kto jest u was sekretarzem koła klasowego ZMP?

Janka wstała.

– I Opisówna. Odpowiadacie poniekąd za klasę, proszę przyjść do mnie do pokoju nauczycielskiego.

– O Boże! – westchnęła Joasia z głębi serca. Co za dzień! Nie podejrzewasz, czego ona może od nas chcieć? – zwróciła się do Janki po wyjściu profesorki.

– Podejrzewam, że właśnie teraz się nad tym zastanawia. Chciała przeprowadzić akcję w wielkim stylu, a myśmy się zacięli. Pewnie nas teraz będzie za to rugać.

Noga za nogą polazły do pokoju nauczycielskiego. Kiedy ja wreszcie przeczytam ten list? – myślała Joasia, dotykając przelotnie kieszeni dresu, wypchanej złożoną we dwoje kopertą. – Czekał człowiek na niego jak kto głupi, żeby teraz godzinami nosić w kieszeni. O, dolo gorzka!

Wychowawczyni wyłożyła na szczęście od razu, o co jej chodzi:

– Mam do was żal, szczególnie do ciebie, Uruska, że nie stanęłyście na wysokości zadania i nie potrafiłyście zmobilizować kolegów. Jeden Zagórski okazał dziś dobrą wolę i postawę koleżeńską. Jak wytłumaczycie swoje postępowanie?

Ani Janka, ani Joasia nie należały do tych, którzy ukrywają swoje zdanie i wolą, by inni nadstawiali karku. Jeśli więc milczały dłuższą chwilę, to nie dlatego, że każda czekała, by koleżanka zabrała głos.

Czy ja mam jej! powiedzieć – łamała się w duchu Joasia – że pomysł był poroniony, bo tego jeszcze nie było, żeby klasa dobrowolnie odkrywała przed nauczycielem swoje słabe strony? Że w dodatku zaczęła fatalnie, wymieniając Marysię wśród słabych, a przecież Marysia naprawdę umie więcej niż niejedna dęta sława. Nie chcę jej obrazić, a jednak na to wyjdzie, czy jej powiem prawdę, czy nie. No, trudno, raz, dwa, trzy...

Spojrzała prosto w oczy profesorce:

– Wydawało mi się, i wydaje zresztą teraz też, że gdybyśmy na siłę zorganizowali zespoły, byłoby z nich więcej kwasów niż pożytku. I samo typowanie pomagających i „pomaganych” było właściwie dla obu stron przykre... Jednym była wstyd się chwalić, drugim przyznawać do słabości. Nie każdy zresztą chce uznać, że jego kolega naprawdę umie więcej.

– Tu jest właśnie miejsce na autorytet wychowawcy, który wie, co kto naprawdę umie, i może obiektywnie... – wtrąciła profesorka.

– Jeśli naprawdę wie – odpaliła Janka.

– Jak to, wątpisz?



– Profesorowie słyszą odpowiedzi, ale my słyszymy podpowiadanie. I my wiemy, że dobra nota czasem nie należy się temu, co odpowiada, ale zupełnie komu innemu.

– Pięknych rzeczy się dowiaduję!

– Przecież to stare jak świat – podjęła z kolei Joasia. – Podpowiadanie, bryki, cudze zadania, no i autoreklama... tego zza katedry nie widać, a przed klasą się nie ukryje. Niesłusznie gani profesor zaliczyła Jamrózkę do zagrożonych – zmieniła nagle temat. – Ona jest może nieefektowna, ale bardzo solidna.

– I systematyczna, i ma dobrą pamięć – dodała Janka. – Za nią możemy ręczyć, że się nie wyłoży przy maturze.

– Ja mam tu inne zdanie – ucięła oschle wychowawczynie. – Ale do rzeczy: co będzie więc z samopomocą?

Joasia miała ochotę powiedzieć: „Nic, przyjdzie czas, przyjdzie rada”, ale dała spokój:

– Już niektórzy od dawna uczą się razem. Więc trzeba by najwyżej rozejrzeć się, czy kto potrzebujący pomocy nie chodzi luzem.

– W każdym razie trzeba obserwować, jak będzie działał zespół Zagórskiego – wychowawczynie utkwiała widać w głowie inicjatywa Jurka.

– Ale przecież chłopcy nie chcieli z nim się uczyć – wyrwało się Joasi.

– Skąd wiecie? Dlaczego?

Na taką niebotyczną naiwność nie było co odpowiedzieć. Musiały mieć dziwne miny, bo profesorka spytała:

– Co to, tajemnice jakieś? Nie macie do mnie zaufania?

– Mamy, tylko szkolny savoir vivre nie pozwala mówić o pewnych rzeczach. (I jak tu jej powiedzieć, że Zagórski z historii nic nie umie, a w polskim jedzie na frazesach?).

To polonistkę, zdaje się, załamało:

– Ach, ten wasz savoir vivre! O ile łatwiej by się pracowało, gdyby nie uczniowskie zasady honoru. Skoro to jednak taki labirynt, to proszę, opracujcie same w ciągu tygodnia plan samopomocy i przedstawcie mi do wglądu.

– Jak najchętniej.

Za drzwiami koleżanki popatrzyły na siebie bez cienia triumfu.

– No tak, niby stanęło na naszym. Ale ona jest na nas w dalszym ciągu obrażona – zauważyła Janka.

– Bo najtrudniej to tłumaczyć komuś rzeczy oczywiste. Stańmy tu gdzieś z boku, to przeczytamy ten list.

– Może wolisz sama?

– Nie wygłupiaj się.

Ale zaterkotał dzwonek na koniec przerwy i wyjęta już koperta znowu zniknęła w kieszeni. Nawet lepiej – pomyślała Joasia. – To ostatnia lekcja, więc będziemy mogły potem przeczytać w spokoju.

Fizyka przeszła bezboleśnie, profesor spłynął równo z dzwonkiem. Joasia przełożyła list z wiatrówki do płaszcza i czekała mniej więcej cierpliwie na Jankę, która na półpiętrze konferowała z koleżankami z przyrodniczej. Na wymowne znaki Joasi odkrzykiwała „zaraz, zaraz”, wreszcie zawołała:

– Wiesz, nie gniewaj się, ale Mimi namówiła mnie, żeby razem iść do dentysty. Więc nie czekaj.

– Dobra, cześć.

Udawiała przed sobą, że się martwi perspektywą samotnego powrotu ze szkoły. Ale zaraz za bramą skręciła w stronę parku, na nie uczęszczane ścieżki. Już wkładała rękę do kieszeni po wiadomą kopertę, kiedy dobiegło ją wołanie:

– Cześć, Joanno, gdzie cię tu niesie?

Krystyna. Hm. No cóż, ostatecznie można przeczytać przy niej. Albo później. Poczekała, aż przyjaciółka ją dopędzi.

– Mam dwie godziny czasu do obiadu, więc tak sobie chcę połączyć – wyjaśniła.

– To mnie odprowadź. Ja wprawdzie nie przepadam za łażeniem pieszo, ale dla ciebie zrezygnuję z tramwaju. Widziałam cię dziś z Janką, jak wychodziłyście z nauczycielskiego. Takieście miały jakieś niemrawe miny. Coś przeskrobała?

– Ach nic, takie bzdury. Polonistce nie wyszedł jeden plan naprawy Rzeczypospolitej i miała do mnie o to pretensję.

– Czemu do ciebie?

– Bo niby jako wójt klasy i w ogóle. Właściwie się trochę postawiłam.

– Ale o co poszło?

Joasia opowiedziała całą historię, zapalając się w miarę, jak sobie przypominała szczegóły. Zakończyła wielką filipiką, że „tak nie można, w klasie też musi być demokracja albo przynajmniej pozory, nie wolno nikogo upokarzać ani faworyzować”...

– Aha. I ty z tego powodu, że Jamrózka miała czerwone uszy, pokłóciłaś się z opiekunką klasy, i to jeszcze profesorką twojego najważniejszego przedmiotu maturalnego?

– Uee tam, zaraz pokłóciłaś. Wreszcie musiał ktoś zakończyć tę szopkę, bo robiło się przykro.

– I tym kimś musiałaś być ty?

– No, skoro mnie wybrali na wójta...

– Co ty nie powiesz? A może mi przypomnisz, kto to dwa miesiące temu, podskakując na piętrowym łóżku, wykrzykiwał, że uprzejmie dziękuje za etat trybuna ludu?

– Wcale nie chcę być trybunem ludu. Tylko tak wyszło. I w ogóle, co się znęcasz?

– Ja się znęcam? Ja ci dobrze radzę. Ten Zagórski, na którego się tak oburzasz, wie, jak żyć. Mniejsza, co będzie z jego zespołem, ale już się zapisał dobrze w pamięci polonistce, a przy okazji maznął na czarno konkurencję. Ot, głowa.

– Ty tak naprawdę myślisz? To czemu tak nie robisz?

– Bo mi się nie chce, wiesz?

– Ale...

– Ale zmieńmy temat. Mam twórczą propozycję: co się masz truć w stołówce, jakżeś zaszła tak daleko, to zjedz u mnie obiad.

Joasia zaczęła się wymawiać, że nie chce robić kłopotu, że to, tamto, choć pierwszą reakcją na zaproszenie była myśl: „I znowu dwie godziny, jak w pysk dał, list poleży w kieszeni”. Krystyna była jednak stanowcza.

Potem, przy deserze, Joasia uświadomiła sobie, że i wobec tego dostanie w stołówce zwrot za nie wykorzystany obiad, co ostatnio było jej bardzo na rękę. Wbiła sobie do głowy, że Międzyrzecki na pewno marzy, by mieć świeżo wydaną „Księgę z San Michele”, i w związku z tym przeprowadzała skomplikowane operacje finansowe.

U Krystyny siedziało się jakoś wyjątkowo dobrze – zapewne i dlatego, że z małego kafłowego pieca promieniowało miłe ciepło, i że człowiek rozciągnął się na tapczanie w jak najbardziej swobodnej pozycji. Ale nie tylko to. W tym niedużym mieszkaniu już od progu wyczuwało się atmosferę powszechnej tolerancji i zwrot matki Krystyny „proszę się nie krępować” nie brzmiał jak pusty frazes, przeciwnie, było się przekonany, że jest to naczelne hasło tego domu. Pani Biezanowska odnosiła się do wszystkich spraw córki z taką jakąś zrezygnowaną życzliwością. Krystyna wyjaśniła to Joasi:

– Bo widzisz, cokolwiek bym zrobiła, mama zawsze powie: „Cóż, Krysiu, skoro uważasz, że z tym ci dobrze”... To nawet, wbrew pozorom, nie jest zbyt wygodne, bo człowiek chciałby czasem, żeby ktoś za niego zdecydował. Ale mama w gruncie rzeczy po tym, cośmy przeszły w czasie wojny, nie może przestać się dziwić, że w ogóle żyjemy, i wobec tego zasadniczego poniekąd faktu wszystko jest już mało ważne.

Zagadały się do zmierzchu. Jednak kiedy Krystyna z ogromnym wzdychaniem zaczęła szukać pantofli, by iść do kuchni zrobić herbatę, Joasia zerwała się energicznie i oznajmiła, że już ani minuty.

– Naprawdę, do domu jadę godzinę, a wreszcie te lekcje też niby trzeba zrobić. Bardzo ci dziękuję, przepraszam i cześć.

Na ulicy wiatr, jak na październik przystało. Po południu musiał przelecieć deszcz, bo w dziurach asfaltu lśniła woda. Z zachodniej strony nieba, przez szeroką, szklaną, ciemnozieloną wyrwę w szarych chmurach spływało na miasto ostatnie światło dnia.

Ciekawam, jaka też jest teraz pogoda w górach – pomyślała Joasia.

Dni są u nas słoneczne i ciepłe – czytała godzinę później (nareszcie!) – chociaż z rana bywają przymrozki i łąka przed sanatorium błyszczy od szronu. Z wieczornego leżakowania po kolacji najczęściej też uciekam, bo marznę. W ogóle lekarze nie mają nadziei, żeby zrobić ze mnie wzorowego pacjenta. Kazali mi się np. hartować pod zimnym natryskiem. Przewycięzyłem opory psychiczne i wlałem pod ten natrysk. Niestety, ciało okazało się bardziej uparte niż duch i na tę „męską” kurację zareagowało tak pięknym skokiem temperatury i kaszlu, że mam raz na zawsze spokój z hartowaniem. Za to w południe jest bardzo ciepło, prawie upał. W tym sanatorium dla beznadziejnych nad nami zasłaniają wtedy okna czarnym, płótnem. Muszą tam być przeciągi, bo te czarne zasłony powiewają na zewnątrz, co jak możecie sobie wyobrazić, sprawia nieco makabryczne wrażenie. Nie gniewajcie się, że tak piszę wciąż o pogodzie, ale tu się prawie nic nie dzieje, a to, co się dzieje, jest raczej ponure i doprawdy wolałbym odpowiadać trzy razy dziennie z consecutio temporum niż tu siedzieć. Więc dziękuję Wam za wszystkie nowiny z klasy. Janka niech sobie nie wyobraża, że jestem „ponad” plotki szkolne. Z tej odległości nawet dowcipy fizyka wydają się urocze. Może przyślecie mi jakieś nowe wiersze Ani? I koniecznie piszcie mi, co zadane z ważniejszych przedmiotów, będę próbować coś robić. Tu wymyślili teraz nawet metodę leczenia gruźlicy, nazywają to terapia praco, i w ramach tej terapii mamy robić jakieś parszywe schodki przez łąkę. Uznają błogosławiony wpływ pracy na psychikę, ale nie lubię robienia schodków. Więc będę miał wymówkę przed lekarzem, że odrabiam lekcje. Zresztą to mi się może i przyda, bo chyba przecież kiedyś się stąd wydostanę. Lekarz mówił, że nie mam gruźliczej natury, bo choroba mnie się łatwo czepia, ale szybko porzuca. Widać i na tym polu okazuje się, że tracę przy bliższym poznaniu. Czekam na Wasze listy, valet!

Marek

– No tak. To nawet będę miała trochę roboty powiedziała do siebie Joasia. – Przepisać dyspozycje z polskiego i tytuły zadań, raz. Przepisać wszystko, cośmy przerobili z Horacego i słówka, dwa. Z matematyki... co by tu wykombinować? Nic, dam mu cały zeszyt, a zacznę pisać w nowym. Nawet w ogóle mogę używać cieńszych zeszytów, żeby się prędzej zapisały, i zaraz wysyłać. Dobrze, w porządku.

Ale nie bardzo było dobrze. Joasia początkowo nie chciała o tym myśleć, wreszcie jednak postanowiła „uporządkować wrażenia”. Ogólne wrażenie było niestety takie:

Ten list mógłby napisać do każdego w klasie. To był naprawdę przypadek, że na moje nazwisko. Przez całe półtorej strony nawet nie było mojego imienia. Tym lepiej, mogę spokojnie jutro wszystkim przeczytać. Przeszanę się wygłupiać.

Wyobrażała sobie chwilę, jak czyta list w szkole. Pokrzykiwania Zagórskiego, grzeczna obojętność Skorupki, Bożki kąśliwe uwagi w rodzaju „o, z Marka się zrobił poeta opisowy”. Nie, wbrew pozorom ten list wcale nie był dla wszystkich. Marek często wobec całej klasy pokpiwał z samego siebie, ale nigdy nie narzekał: A z tego, co pisze, widać jasno, że mu tam źle. Więc ten list jest szczery. Co za odkrycie! Szczery, więc... Tak. Oczywiście, że człowie-

kowi brak w nim jakiegoś dobrego słowa. Ale wreszcie, z jakiej racji dobre słowo? To jemu się należy. A jeśli się pisze do kogoś szczerze, to jakoś go się wyróżnia od innych.

Zaczęła czytać jeszcze raz. „Dość ponure”, „nieco makabryczne”, „może kiedyś się stąd wydostanę”. Co na to odpisać? „Nie przejmuj się, na pewno szybko wyzdrowiejesz”? Głupie banały! Pisać do Marka banały to już dno. Ale coś w tym sensie musi być. Może ta „terapia pracą” nie jest takim głupim wynalazkiem! Po prostu trzeba skomponować taki list, żeby chłopak przynajmniej przez pół dnia mógł myśleć o czym innym. Uhm, po prostu. Łatwo powiedzieć. No przecież nie można się spowiadać z wrażeń lektury „Nocy i dni”. Czekać, a o czym pisał Marek? Zwyczajnie, o wszystkim. Więc też będzie o wszystkim. I też szczerze, bez wymądrzania się.

Wyciągnęła blok. Ostatecznie wypadła jej kolej. „Wrocław, dnia...” i co dalej? Nigdy nie pisała listu do kolegi, a tu sytuacja jeszcze taka, powiedzmy, delikatna. W korespondencji rodzinnej czy między dziewczynkami pisało się „Kochana Elu”, nie przywiązując do przydawki żadnego znaczenia, i właśnie zastąpienie jej inną wskazywało na większy stopień sympatii. Dlatego nie można napisać „Drogi Marku”, bo to zwracałoby uwagę na to, że w ogóle nagłówek może coś znaczyć. Opuścić zupełnie? I dziko, i oschle. Wobec tego niech będzie „Kochany Marku”, właśnie jak gdyby nigdy nic. Po prostu jak do ciotki.

Napisała te dwa wyrazy i chwilę patrzyła na nie, jak by powiedziała Krystyna, wzrokiem zarzynanego cielęcia.

– No, bez liryki – mruknęła wreszcie. – Jazda dalej. Rzeczowo i szczerze.

Przedstawiła koledze ostatnie wypadki w szkole, swój sąd o nich, pozwoliła sobie nawet na dłuższy wywód o swojej roli w klasie. Kończyła drugą stronę, kiedy do pokoju weszła ciotka:

– Joasiu, zapomniałeś o kolacji? I spać już trzeba powoli iść!

– Zaraz, zaraz, właśnie kończę.

Ciotka, jako osoba dyskretna, nie zapytała, co mianowicie kończy, i powiedziawszy tylko: „Ale na pewno!” – wycofała się. Joasia przeczytała wszystko od początku. No tak, to wygląda całkiem naturalnie. Ba, to nawet j e s t naturalne. O ile łatwiej pisać do Marka, niż z nim rozmawiać. Żeby tylko jeszcze ładnie zafinishować.

„Finisz”, redagowany mozolnie na osobnej kartce, przybrał wreszcie postać:

Więc jeśli masz ochotę, to pisz dużo, my się bardzo cieszymy wiadomościami od Ciebie. Jak czego potrzebujesz, to mów, zrobię, co mogę. Bądź zdrow (naprawdę!).

Janka na drugi dzień opatrzyła to zakończenie komentarzem: „Zwróć uwagę na powściągliwą szlachetność bijącą z tych słów!” Joasia walnęła ją za to zeszytem i zawołała:

– Nawet Krystyna nie wymyśliłaby takiego perfidnego dopisku. Czekać, ja cię jeszcze urządzę!

### 3. Chandra Unyńska

Listopad zaczął się okropnie i nic nie wskazywało, żeby zła passa miała się jakoś skończyć. Najpierw przyszedł list od brata, że „całokształt ocenia raczej pozytywnie”, jest pomocnikiem kierownika odcinka robót – „małego, ale zawsze”. Tylko że mają przed mrozami wyciągnąć fundamenty i w związku z tym nie będzie mógł na Wszystkich Świętych być w Karczewie.

Świetnie, to ja też nie pojadę – zdecydowała od razu Joasia. Potem jednak myśl o grobie matki „bez jednej świeczki” – (oczywista przesada, bo przecież ojciec i babcia na pewno za dbają) wydała się nie do zniesienia i postanowiła mimo wszystko jechać. Wiadomość że ojciec i macocha wyjeżdżają na święta do Szczecina do jej rodziny, utwierdziła ją w zamiarze. Pojechała więc wprost do babci, starając się usilnie, by jednym spojrzeniem nie zawadzić o bliskie sercu topole nad rodzinnym domem. Karczewskie plotkarki oczywiście zauważyły jej osamotnienie i miały co młócić przez najbliższy miesiąc. Macocha czuła się dotknięta ludzkim gadaniem, wskutek czego Joasia w odpowiedzi na cotygodniowy list dostała od ojca bardzo oschłą kartkę, a paczki żywnościowe przestały w ogóle przychodzić.

Na zdrowy rozum, Joasia mogłaby się już przyzwycząić do tego, że jej życie rodzinne jest takie, łagodnie mówiąc, nie uporządkowane. Tymczasem znosiła to znacznie gorzej niż w zeszłym roku, aż wreszcie ją samą zastanowił ten brak hartu.

Co ci jest, ofiario losu? – mówiła do siebie, wlokąc się mglistą, szarą ulicą od przystanku do przystanku (znieubiła ostatnio jazdę tramwajem). – Że ojciec przyznaje rację macosze, a nie tobie? No to co, zawsze tak było. Masz teraz przyjaciół, mocną pozycję w szkole, wszystko, o co się dobijałaś w zeszłym roku. Więc jest o wiele lepiej, a ty się martwisz „domową troską”. Tak, ale w zeszłym roku właściwie się człowiek starał o coś, więcej myślał o szkole niż o tym całym Karczewie, a teraz co? Ach, „nigdzie drogi ni kurhanu”. W ogóle w zeszłym roku w klasie było weselej. Tak, tak, oczywiście weselej, wiadomo dlaczego, bo był Marek. Co za atrakcja: przyglądać mu się z kąta klasy. Przyznaj się, czym się więcej gryziesz: domem czy Markiem? Boże drogi, wszystkim. Więc gwizdź na wszystko. Dobrze, gwizdź.

Było to jednak dosyć ponure gwizdanie, na melodię „a właśnie na złość nie będę”, od „a właśnie nie kupię nic na kolację” po „a właśnie nie przygotuję się do klasówki z angielskiego”. Godzinami snuła się po mieście, w domu czytywała znane na pamięć powieści i „było jej wszystko jedno”. Stwierdziła, że najlepsza chwila dnia to moment zasypiania. „Przynajmniej ma człowiek nadzieję, że się co miłego przyśni. W rzeczywistości nie ma na co czekać”.

To ostatnie zdanie było, rzecz jasna, nieprawdą. Przynajmniej cztery dni w tygodniu schodziły Joasi właśnie na czekaniu. Na list od Marka. Jeśli przyszedł we wtorek, to choćby odpi-

sało się tego samego dnia, dopiero od soboty zaglądnąć do skrzynki na listy miało jakiś sens. A w dodatku najczęściej można było wysłać odpowiedź dopiero na drugi albo i na trzeci dzień – utartym od pierwszego listu zwyczajem raz pisała Janka, a Joasia dopisywała na marginesie uwagi, raz na odwrót, więc to musiało zabrać więcej czasu. Marek adresował teraz listy wprost do Joasi, ale z treści wynikało, że za właściwego odbiorcę uważa raczej Jankę – tak w każdym razie wydawała się Joasi.

Przez połowę tygodnia nie było więc na co liczyć.

Ach, jak ja nie lubię tych pustych dni – myślała wtedy. Ale kiedy wreszcie miała w ręku niebieską kopertę, tamte nie do zniesienia „puste dni” wydawały się błogim stanem spoczynku. Żeby mieć to już za sobą – wzdychała, jeszcze przed otwarciem koperty.

Bo „puste dni” były zarazem okresem fantazjowania na temat treści przyszłego listu. Że będzie w nim coś w tym rodzaju: „Piszę ostatni raz, bo za trzy dni wracam do Wrocławia”. „Lekarz powiedział, że już jestem zupełnie zdrowy”, „Cieszę się, że znowu będziemy odprowadzać się po szkole – tak się nam dobrze wtedy gadało, prawda!”

Nic podobnego. I ani śladu tego wyczekiwanego, upragnionego „dobrego słowa”. Czy ten Marek jest zupełnie bez serca?

Potem mozolne komponowanie listu, żeby był wesoły, żeby nie był głupi i żeby, za żadne skarby, nie przedostało się nic z prawdziwego nastroju Joasi i żadne nieodpowiedzialne zdanie, które Janka mogłaby opatrzyć dopiskiem o „powściągliwej szlachetności” albo jeszcze gorzej.

Pomysł z „Księgą z San Michele” zupełnie nie chwycił. Markowi książka się nie podobała i bez ogródek wyśmiewał „krygowanie się” autora. Cóż, nie zawsze jest świętego Jana – mówiła sobie. – Jeśli się cieszył „Listami” Chopina, to nie znaczy, że każda książka ode mnie musi w nim budzić zachwyt. Przypomnił jej się pewien zimowy wieczór, blask latarni na twarzy Marka i to jego: „To było bardzo ładnie z twojej strony, z tym Chopinem”. Boże, jeszcze raz zrobić coś takiego, żeby znowu usłyszeć ściszony, dobry głos. I co jeszcze? Nic, właściwie zupełnie nic, do czego można by wracać pamięcią. No cóż, zobaczymy, co czas przyniesie.

Ale wszystko trwało bez zmian. Budzik o szóstej, sprzątanie mieszkania, droga do szkoły, pociąg warszawski na wiadukcie o 7.10 – więc znowu wyszło się za wcześnie, pusta klasa, potem powoli schodzący się koledzy, nie czekani, coraz mniej lubiani, skoro wiadomo, że między pierwszym rannym ptaszkiem a ostatnim późnialskim nie będzie Marka. Nudne kawały nauczycieli: „Opisowna nam opisze”, „Skorupka, źle za młodu nasiąkasz”, mogliby już wymyślić coś innego. Dziwne, że szkoła może być tak irytująca.

Lekcja historii. Joasia patrzy, jak ostatni skrawek błękitu znika w szarości. Najpierw przemyka przez niego jedna, druga paska, kłębiasta chmura, jeszcze chwilę przeblyskuje coś niebieskiego, ale następny obłok jak zakurzona gąbka zamazuje to do reszty. Niebo w okiennej ramie wygląda teraz jak osobliwy zeschnięty liść, pożyczowany czarnymi gałązkami ogołocionych dębów.

– Proszę, Uruska! – mówi historyk. Janka przytomnie podpowiada:

– O wojnie secesyjnej między Północą a Południem.

– Wojna secesyjna. Powodem wojny secesyjnej było... – zaczyna Joasia niemrawo. – Więc właśnie powodem wojny domowej między stanami południowymi a północnymi było, tak, berło...

– Co było? – niecierpliwi się historyk.

– Była dysproporcja między Południem a Północą, to znaczy właśnie...

– Przygotowałaś się na dzisiaj?

U licha, przecież ja to znam, bodaj z „Przeminęło z wiatrem”. Czego on mnie tak pogania?

– Przygotowałaś się? – powtarza profesor.

Janka podsuwa karteczkę: „1861, niewolnictwo, Lincoln, rolnictwo pd. – przemysł pn.”.

– Nie.

Klasa jest trochę zaszokowana, można to poznać po charakterystycznej ciszy.

Joasia milczy. Postawiłby tę dwójkę i dał święty spokój.

Ale historyk chce być szlachetny:

– Wierzę, że miałaś ważne powody. Przygotujesz się na następną lekcję. Albo nie: przedstawisz mi na przyszły raz zestawienie najważniejszych faktów z tej wojny na piśmie. Proszę, niech Wilkołek odpowie na to samo pytanie.

No, upiekło mi się. To zestawienie zrobię, przyda się Markowi. Ale niepotrzebnie się wygłupiłam.

Tego samego zdania jest Janka.

– Dziewczyno, czyś ty oszalała? – wyrzuca jej na przerwie. – Kto słyszał, żeby tak poddawać się bez walki! Psujesz sobie markę.

– No to co. Nic mi się nie chce.

– Skąd taka rozlazłość? Zrób coś ze sobą!

„Zrób coś ze sobą. Zrób coś ze sobą”. Joasia siedzi w domu i pisze to zdanie na bibule różnymi sposobami: kursywa, duże litery, „niby chińskie”, fantastyczne. Kreski na „ó” i „ś” przemieniają się w wydłużone węże, ogon węża, zaokrągla się w pętle, nad nią wyrasta pozioma kreska, obok pionowa: szubienica. Drze bibułę i wrzuca do popielnika. Z paleniska spada rozżarzony węgielek, bibuła się zapala, czerwony blask chybotrze chwilę na twarzy i rękach.

Dosyć. Raz na zawsze dosyć mazgajstwa. Tylko co zrobić?

Uchyła drzwi do pokoju ciotki. Ciotka podnosi głowę znad poprawianych zeszytów.

– No, co się stało?

Joasia chwilę nic nie mówi, wreszcie pyta:

– A jak się cioci na przykład nic nie chce, to co ciocia wtedy robi?

– Dlaczego ci się nic nie chce? – ciotka odkłada czerwony ołówek. – Źle się czujesz?

– Nie, ja tylko tak, teoretycznie... – Joasia już chce się wycofać z pokoju

– Nie uciekaj, co się stało?

– A, wie ciocia, już od trzech tygodni nie dostałam paczki z domu. Mnie tam nie chodzi o jedzenie, dam sobie radę, ale jednak człowiekowi niemiło, jak tak zapominają. Przecież nie zrobiłam im nic złego. I nie mają ze mną pedagogicznych kłopotów...

– Zdaje się, że to ja będę miała pedagogiczny kłopot z tobą.

– No, ciocia fachowiec.

Ciotka puściła tę uwagę mimo uszu, wstała, podeszła do Joasi i położyła jej ręce na ramionach.

– Masz jakieś kłopoty w szkole? Nic teraz nie opowiadasz o klasie. Zawsze z przyjemnością słuchałam twoich relacji.

– Bo teraz nic ciekawego się nie dzieje – odpowiedziała, ale głos jej się podejrzenie „podłamał”. – A kłopotów nie mam. To jest, dzisiaj mi nie poszło z historii, ale to głupstwo. Po prostu nie chciało mi się odpowiadać.

– Ależ... – zaczęła ciotka pedagogizująco, ale się powstrzymała. – Siądź wygodnie, porozmawiamy. Więc martwisz się domem? Widzisz, dla starszych też trzeba mieć wyrozumienie!

– Czy ja nie mam? Ojej, aż za dużo. Chciałabym wiedzieć, za co ani mnie tępią.

– Napisz szczerze do ojca, jak sprawy stoją.

– O, co to, to nie. Człowiek ma swój honor. Oni powinni sami wiedzieć, co do nich należy.

– Przydałoby ci się więcej łagodności w sercu. Nie można być tak zasadniczą.

– Ciekawam, dlaczego? A w ogóle świat jest okropny. To ja już pójdę.

– Słuchaj, a może wybierzemy się zaraz do kina? Jeszcze jest dość wcześnie.

– Ciocia ma tyle tych zeszytów. Zresztą właściwie mi się nie chce.

– Trzeci raz już to słyszę. Co się z tobą dzieje? Czy na pewno tylko dom tak cię zwarzył? Nie popadłaś czasem w jakieś tarapaty... sercowe?

Joasia otwierała drzwi zbyt gwałtownie, żeby to nie zwróciło uwagi nawet mniej doświadczonego psychologa. Ciotka uśmiechnęła się, więc Joasia zacięła się na dobre.

– To ja już nie przeszkadzam.

– Wiesz, poradzę ci coś na to twoje „niechcenie”. Spróbuj się czymś poważnie zająć, choćby bez przekonania. Na takie nastroje praca jest najlepszym lekarstwem.

– Postaram się. Przepraszam, już idę.

Też mi rada. Rany boskie, co za rada. Zająć się. Kiedy właśnie nie mogę się niczym zająć. Wreszcie żeby był choć węgiel do zrzucania, ale nic, tylko lekcje i lekcje. Zdumiewające, że wytrzymałam to dziesięć lat. Właściwie nawet jedenaście. Zresztą nie mam nic do roboty. Łacinę zrobiłam na zapas, matkę też, śpiew i religia się nie liczą, a jutro środa. Może rzeczywiście warto było iść do tego kina? Pewnie, co mam siedzieć w domu. Lepiej gdzieś do ludzi.

Bez dalszego zastanawiania wzięła płaszcz, wsunęła głowę do pokoju ciotki i oznajmiła:

– Ja wyskoczę na godzinę do Krystyny.

– Ale wróć przed dziewiątą.

– Tak, oczywiście.

Miała wyjątkowe szczęście z tramwajami. Wprawdzie każda przesiadka kosztowała ją parę metrów galopu, ale w „duże” pół godziny była na miejscu. Nacisnęła dzwonek. Słychać było głosy i ruch za drzwiami, ale nikt nie otwierał. Co, u licha... Zadzwoiła jeszcze raz i dopiero teraz uświadomiła sobie, że przecież już za pierwszym razem brzęczyk się nie odezwał. Trzeba pukać. Raz, drugi. Usłyszała Krystynę.

– Otwórz, zdaje się że ktoś się dobija.

– Też w porę... – odpowiedział męski głos.

Więc Joasia już chciała zwać, ale było za późno. Na progu stał jakiś młody człowiek w szarym swetrze, za nim Krystyna ze świeczką w ręku.

– Joanna, no wiesz! Długo tak tu stałaś? Prąd wysiadł, więc dzwonek też. Właśnie naprawiamy. Chodź, chodź.

Joasia wchodząc obrzuciła chłopaka szybkim spojrzeniem. Niespecjalnie wysoki, ale zgrabny, szatyn, siwe oczy, opalona, pewna siebie twarz. „Wystrzałowy facet”. Nie w moim typie, ale nie dziwię się Krystynie – osądziła krótko.

„Wystrzałowy facet” przedstawił się, powiesił Joasi płaszcz na kołku, Krystyna spytała: „No, co u ciebie słychać”, „Tak sobie” odpowiedziała Joasia i nastąpiła krótka, ale kłopotliwa cisza.

– Może dasz mi też jakąś świeczkę, to przynajmniej nie będę zawadzać? – zaproponowała Joasia.

– My, zdaje się, w ogóle poprzestaniemy na świeczkach – zaśmiała się Krystyna. – Krzysztof spalił już drugą komplet korków i wciąż nie wiadomo, gdzie jest spieć.

– Ależ wiadomo, gdzie jest – odezwał się zniechęcony ktoś za Joasi plecami. Odwróciła się szybko i zobaczyła barczystą sylwetkę w drzwiach pokoju. – To jedna z tych trzech żarówek w żyrandolu.

– O, zapomnieliśmy o Tadziu. Joasiu, poznajcie się! – zawołała Krystyna. Nieznajomy uściśnął mocno dłoń Joasi i powiedział nawet dość wyraźnie, jak na taką okazję:

– Tadeusz Berej – po czym zwrócił się do Krzysztofa: – Nie włączaj jeszcze bezpieczników, ja ściągnę żyrandol i przyjrę mu się z bliska. Potem możesz włączyć, bo inne lampy są w porządku.

– Może masz i rację – zgodził się Krzysztof.



Po chwili siedzieli we troje przy świetle nocnej lampki. Ów Tadeusz wyniósł się z żyrandolem do kuchni, „bo tam jaśniej”. Rozmowa nie kleiła się skandalicznie, więc Krystyna oświadczyła, że trzeba chyba coś zjeść.

– Ja ci pomogę – poderwała się szybko Joasia.

– Mam wszystkiego po kawałku, to najlepiej zrobić kanapki – Krystyna zaczęła wyjmować z kredensu masło, ser, jakąś wędlinę. – Tadeuszu, przesun się z tym majdanem.

Tadeusz potulnie przesunął żyrandol na kraniec kuchennego stołu. Dziewczeta zabrały się do kanapek, ale po chwili Krzysztof odwołał Krystynę pod pozorem, że nie może znaleźć jakiejś płyty.

Joasia przez pewien czas w milczeniu smarowała kromki.

– Coś długo szukają tej płyty – zauważył Tadeusz, spoglądając na Joasię znad „czynników pierwszych” lampy. Uśmiechnęli się do siebie.

– Cóż, młodość, proszę pana – powiedziała Joasia. – Zresztą o, słyszy pan, już znaleźli.

Z pokoju dochodził najpierw szum, potem jakiś niezwykle optymistyczny tenorek zaśpiewał: „Miłość, miłość i tylko miłość”...

– A jasna cholera niech weźmie miłość – wyrwało się Joasi.

– Co za zaciętość! Można by przypuszczać...

– Nic nie można by. Po prostu nie cierpię tej płyty. Przykre skojarzenia zaimprovizowała.

– Stłukłam taką na imieninach koleżanki, czego mi do tej pory nie może darować.

Do kuchni zajrzała Krystyna:

– Tam w szafie są korniszony, to je jakoś wkomponuj w kanapki. Ja będę nakrywać.

– Podejrzewam, że ani się teraz oboje wkomponują w kanapkę – mruknął po jej wyjściu Tadeusz.

– Czemu z pana taki złośliwy kibic? Trzeba było zostać w domu, jak to pana denerwuje.

– Kiedy Krzysztof kazał mi tu przyjść przez to światło. Ja jestem elektryk, a on budowlany i ledwie wie, co to bezpiecznik.

– Pan na którym roku? – spytała, żeby coś powiedzieć.

– Dopiero na trzecim, choć jestem stary koń. Wojna – wyjaśnił. – A pani, tak jak Krystyna, przed maturą?

– Tak. Pana kolega studiuje tak długo, jak pan?

– Zdawaliśmy razem przyśpieszoną maturę, ale on jest o trzy lata młodszy.

A ma 23 lata. Więc ten 26 – obliczyła szybko. – Rzeczywiście stary przyk.

Trudno powiedzieć, żeby rozmowa była pasjonująca, ale przynajmniej jakoś się wlokła. Krystyna nakrywała stół podejrzanie długo, półmisek z kanapkami dawno był gotów i można by go zanieść, ale Joasia wolała poczekać na wyraźne wezwanie. Przypatrywała się więc Tadeuszowej dłubaninie, a przy okazji i jemu samemu. W porównaniu z Krzysztofem był zgoła nieatrakcyjny: czarne, gładkie włosy, wystające kości policzkowe i grube wargi nadawały mu jakiś taki nieeuropejski wygląd.

– Widzi pani, ten drucik styka się niepotrzebnie z oprawką żarówki. Zaizoluję i w porządku.

Zaizolował i już oboje nie mieli co robić w kuchni. W pokoju łąkały teraz hawajskie gitary.

– Nastrój, można powiedzieć, romantyczny. Lepiej nie psuć – powiedział Tadeusz. – Powinienem panią czymś rozerwać, ale nie wiem jak.

– Wie pan, ja chyba „uderzę w czynów stal” i pójdę tam z tym półmiskiem. Już jest po siódmej, przed kolacją nie mogę zwiać, zaraz potem też nie, a mam być w domu o dziewiątej.

– Krótko panią rodzice trzymają.

– Nie mieszkam z rodzicami, ale ciotka też człowiek. Niech się cieszy z pedagogicznych sukcesów.

– Łagodna z pani osoba.

– Tam, łagodna, nie łagodna. Człowiek nie powinien zawadzać innym. Ta ciotka jest zupełnie w porządku wobec mnie, więc niby dlaczego mann jej robić jakieś wyskoki. No, odwagi, idę.

Zaraz, ja stworzę odpowiednie efekty dźwiękowe!

Tadeusz końcem żyrandola zepchnął z kuchni garnek z przykrywką, upewniwszy się przedtem, że jest pusty. „Efekt dźwiękowy” podziałał prawidłowo, w parę sekund później do kuchni wpadł Krzysztof:

– Co wy wyprawiacie?

– Żebym ja ciebie o to nie spytał! – powiedział, podnosząc garnek Tadeusz. Znalazła się i Krystyna.

– Joasiu, biedna sieroto, to ty już wszystko zrobiłaś?

– Wiesz, że ja w kuchennych sprawach wielka siła. Bierz herbatę.

– Poczekajcie, może ja jeszcze zawieszę ten żyrandol.

– Ach nie, ja już nakryłam do stołu!

– Co ty nie powiesz? Kiedy zdążyłaś? – powiedziała cicho Joasia.

– Nie znęcaj się!

– Jak to miło raz od ciebie usłyszeć skomlenie o litość. Widzisz, trucizno!

Zabrali się ostro do kanapek. Krzysztof i Krystyna byli raczej małowówni, rozgadał się natomiast Tadeusz. Nie było to widać jego zwyczajem, bo Krystyna wreszcie zauważyła:

– Popatrz, Krzysztof, co za zgubny wpływ humanistów! Wystarczyło twojego przyjaciela na dziesięć minut zostawić z Joasią, a zrobił się z niego niemal Cyncero!

– Jeśli ci się wydaje, że to było dziesięć minut... – mruknęła w przestrzeń Joasia.

Ledwie skończyli kolację, Tadeusz zarządził montaż żyrandola. Wyłączono prąd i obaj studenci zaczęli majstrować pod sufitem. Krystyna i Joasia usadowiły się na tapczanie, popatrząc na wykoślawione cienie rąk i głów „monterów”.

– Krystyna, ja właściwie przyszłam po te komedie Szekspira. Prosimi mnie o nie, więc jeśli już przeczytałaś...

– Jacy oni cię prosili? Czy to nie jest czasem pluralis maiestaticus?

– Poniekąd.

– Międzyrzecki?

– Uhm.

– Trudno, bierz. Jeszcze kiedyś mi pożyczysz, dobrze? Hej, wy tam, długo jeszcze? Bo muszę jednej książki poszukać.

Zabłysło światło. Tadeusz ściągał krzesła ze stołu, Joasia pakowała książkę i tak się złożyło, że niemal równocześnie oświadczyli, że niestety już czas się żegnać. Krystyna zdobyła się na tyle heroizmu, by ich zatrzymywać, ale Joasia na oczekaniu zrobiła z ciotki tyrana nieugiętego w sprawach punktualnych powrotów. Tadeusz zaś dodał:

– I przecież pani nie może iść sama do domu o tej porze, więc dobrze się składa, że wyjdziemy razem.

Na schodach Joasia upewniła się, że Tadeusz mieszka w pobliskiej części dzielnicy, i gdy znaleźli się na dworze, powiedziała:

– No, tośmy jakoś z honorem zeszli z placu. Pan idzie przez Spółdzielczą, prawda? Więc do widzenia!

– Kiedy ja całkiem poważnie mówiłem, że trzeba panią odprowadzić.

– Po co? Straci pan masę czasu niepotrzebnie. To nie czterdziesty piąty rok.

– Pijacy zawsze w Polsce będą. Idziemy do szesnastki?

– Ale ja naprawdę sama też dojadę żywa do domu.

– Myślałby kto, że się pani boi ze mną iść.

– Uee, tam. Właśnie – wzruszyła ramionami.

– Więc chodźmy.

Ulicę oświetlały tylko kwadratowe plamy światła padających z okien, a gdy przecięli plac przed ewangelickim kościołem i weszli w wąską uliczkę między ogrodami, widać było zaledwie zarysy dachów na tle wyiskrzzonego nieba.

– Będzie jutro ładnie – powiedziała Joasia.

– Ale nocą może być mróz.

Temat pogody został wyczerpany. Po kilkunastu krokach Tadeusz zapytał dość niepewnie:

– To ciekawa książka, którą pani wzięła od Krysty?

– Komedia Szekspira.

– Byłem dwa lata temu na „Śnie nocy letniej”.

– Tu tego nie ma. To są, wie pan, te tak zwane „wielkie komedie”: „Wieczór trzech króli”, „Jak wam się podoba”, „Wiele hałasu o nic”.

Znowu milczenie. Do tego tramwaju jest jednak paskudnie daleko, a trzeba o czymś mówić – myślała Joasia. Przecież nie będę go przez grzeczność pytać o jakieś ampery czy coś tam. Nic mi się nie udaje. Myślałam, że się nagadam z Krystyną, a przez tych dwóch bubków wszystko się pokręciło. Dobrze, ja mu pokażę. Zaaplikuję mu taki monolog, że będzie wiał z daleka, jak zobaczy kogoś z jakimś arcydziełem w ręku. I z determinacją zaczęła:

– Ja panu powiem, dlaczego najwięcej lubię „Wiele hałasu o nic”...

„Wielki monolog” trwał przez całą długą uliczkę. Joasia nie oszczędziła biednemu elektrykowi żadnego porównania z innymi dziełami Szekspira, charakterystyki żadnej z osób, dowodziła, że rzekome nieprawdopodobieństwa wcale nie są nieprawdopodobne.

Tadeusz nawet nie próbował przerywać. Na przytanku podziękowała mu za odprowadzenie („ale widział pan sam, że ulice całkiem puste i spokojne”) i wskoczyła do odjeżdżającego wozu. Gdy tramwaj skręcał na pętli, zobaczyła nowego znajomego, jak z rękoma w kieszeniach, pochylony ku przodowi, przecina szybko jezdnię.

No, ten ma na długo dosyć Szekspira – pomyślała z satysfakcją.

Tramwaj był prawie pusty, ale Joasia wolała sobie postać w ciemnym kącie za motorniczym. Patrzyła na skąpo oświetlone lampą wozu szyny i majaczące po bokach pnie drzew, musiała liczyć przystanki, żeby w ciemnościach nie przegapić miejsca przesiadki. Dopiero gdy już maszerowała dobrze znanym skrótem do zerówki, wróciła myślą do nieudanej wizyty:

No, to nareszcie wiem, jak wygląda ideał Krystyny. Zresztą mniejsza, jak wygląda, ale nie myślałam, że ona tak traci dla niego głowę. Przecież ostatecznie jesteśmy ze sobą blisko, bardzo blisko, ale od razu było widać, że między Krzysztofem a resztą jest u niej „długo, długo nic”. Zawsze uważałam, że z nią by można konie kraść, tylko teraz już wiem, że gdyby ten gość był w pobliżu akcji, nie udałoby się zwędzić nawet jednodniowego króliczka. Co to miłość robi z ludzi... Czy ona nie czuła, że my w tej kuchni możemy się z niej podśmiewać? Przez całe wakacje, na dobrą sprawę, nie było takiego momentu, żeby z Krystyny można było kpić. Zawsze ona była górą. A teraz... zupełnie jak rak bez skorupy. Ja bym chyba na jej miejscu umiała jakoś ukryć, że żal mi każdej sekundy bez „Niego”. Chociaż...

I od tego „chociaż” zaplątała się w długie rozrachunki ze sobą.

Właśnie. Ja niby jestem ten mędrzec panujący nad namiętnościami, co? Cóż Krystyna? Krystyna woli być z tym chłopakiem niż robić kanapki. Czy to takie wstrząsające? A ja, od czasu jak Marka nie ma, w ogóle nic nie wolę. „Wszystko krzywe, wszystko nie takie.” Co ja przez te prawie trzy miesiące zrobiłam, żebym mogła sobie powiedzieć: „no, Uruska, tego nie potrzebujesz się wstydzić”? Łażę po świecie jak obity pies i jeszcze szukam u drugich pomocy. Mało brakowało, a bym się u ciotki rozryczała na melodię „ach, ciociu kochana, ginę z tęsknoty za Markiem”. No i co to da? Czy Marek będzie zdrowszy przez to, że czytam wciąż w kółko trzeci tom „Potopu”? Wreszcie było powiedziane na początku, że tylko dlatego wolno mi kochać Marka, że jest chory i że wypieranie się uczucia do kogoś, kto jest w nieszczęściu, byłoby niehonorowe. Więc w założeniu miała to być „dzielna miłość”. A co jest? Chandra Unyńska, angelologia i dal – jedno dziadostwo. Nawet właściwie dobrze, że u Krystyny

byli ci studenci. Już sobie wyobrażam, jak by wyglądała nasza rozmowa. Krystyna by mnie ustawiała na rozsądnie, a ja oczywiście – im ona bardziej „biała”, tym ja bardziej „czarne”. No, więc co? Od jutra nowe życie? Tam, zaraz nowe życie. Ale pójdę do Ossolineum i zrobię taką piękną tablicę chronologiczną wojny secesyjnej, że historyk będzie z niej uczył całe pokolenia. I następny list do Marka będzie taki dzielny, że Rodziewiczówna by załkała z zachwytu. O, i jeszcze w ramach dzielności mogę dziś naprawić kran. Ciotka będzie się podwójnie cieszyć, bo pomyśli, że to pod wpływem jej rad, choć naprawdę to zasługa Krystyny. A Krystyna znowu ani się domyśla, że się staje moim mężem opatrznościowym.

## 4. Wszystko nie tak

Okazja do czynu nadarzyła się za parę dni. Na wielkiej przerwie dyrektor wezwał do siebie wójtów wszystkich starszych klas, zgromił ich za tegoroczną opieszałość w zbiorce odpadków użytkowych i oznajmił, że to skandal, że szkoła nie wykazała się w tej dziedzinie żadnym osiągnięciem, że wlecze się na końcu, że inne szkoły to hoho! – i wobec tego dziś po południu i jutro od rana mają się zabrać do zbierania złomu i makulatury. I to solidnie, bez wagarowania, bo tu chodzi o honor szkoły.

Na zapytanie, czy klasy maturalne też, odpowiedział srogo, że przede wszystkim. On to w ogóle będzie traktował jako sprawdzian ich dojrzałości i klasa, która będzie miała najlepsze wyniki, zostanie nagrodzona dobrą opinią za postawę społeczną.

Joasia powtórzyła to swoim. Trudno powiedzieć, żeby bojowe zadanie nappełniło ich entuzjazmem. Wobec przedmaturalnego tempa nauki, wobec parszywej pogody wrocławskiego grudnia hasło „przemysł czeka na surowce” jakoś nikogo nie mobilizowało. Więc zaczęła od razu przemowę do zdrowego rozsądku:

– Słuchajcie, ja tam nad wami nie chcę stać jak kat nad dobrą duszą i nie będę składać raportów, ile kto przyniósł papieru czy rur. Ale dyrowi coś bardzo na tej sprawie zależy i lepiej by było, żebyśmy mu nie podpadli. Dzisiaj dużo nie zdziałamy, lekcje się kończą o wpół do trzeciej, a o czwartej już ciemno. Więc może tylko spenetrujemy okolicę, do jakich domów warto zaglądać, a jutro od ósmej trójkami ruszamy na łowy. Aha, kto może skombinować wózek?

Wózki znalazły się trzy. Powinno starczyć.

– Joanna, wpadnij do mnie po południu – powiedziała Janka już po dzwonku. – W tych gruzach za podwórkiem jest jakieś żelastwo, zbadamy, co to warte.

Joasia bardzo się spieszyła w stołówce i potem, żeby dojść do Janki jeszcze za dnia. Nad miastem wisiały niskie, bure chmury, nagle podmuchy wiatru podrywały zeschnięte liście nad fosą, ale w gruncie rzeczy było ciepło, cicho i duszno.

Nastrój jak przed burzą – pomyślała. Na chwilę wyjrzało słońce, w wielkich oknach secesyjnych kamienic odbiła się jaskrawożółta krecha – niebo wydawało się przy tym jeszcze ciemniejsze. Potem słońce schowało się na dobre i okna kamienic zabłysły znowu na żółto – ale łagodnie, by nie rzeć: mdło. Zadzierając głowę, by przyjrzeć się jakiejś dziwnej lampie w nie zasłoniętym oknie na pierwszym piętrze, Joasia zauważyła, jak przez prostokąt światła spokojnie przesuwają się coś podobnego do puchu mleczów. „Pierwszy śnieg. Moja druga zima we Wrocławiu”.

Owo żelastwo na Janki podwórku oglądały już przy kieszonkowej lampce. Joasia przesunęła światło wzdłuż zwału gruzów.

– Ty wiesz, to wygląda interesująco. O widzisz – kopnęła w wyszczerbiony zlew – stąd idzie rura i jakby mieć jakiś łom, toby jej można wypruć nie wiem ile metrów.

– Przyślij mi jutro chłopaków i dwa wózki, ja wydostanę od ojca francuski klucz, jakiś ki-  
lof czy coś też się znajdzie. A ty przypilnuj nasze panny, niech zbierają makulaturę.

– Myślisz, że chłopaków można tak posłać bez eskorty? Zagórski pierwszy zwieje.

– Joasiu, nie znasz życia. Będzie walczył o każdy gram żelaza, zobaczysz. On dobrze wie, że jeżeli dyra ktoś ochrzanił za złom, to dyr ozłoci tego, kto go wybawi z głupiej sytuacji. Idealna okazja, żeby się „wykazać”. A jak będzie trąbił o wynikach!

– To świetnie, przynajmniej my nie będziemy tracić energii na reklamę.

Janki przewidywania okazały się słuszne. Zagórski nie tylko nie zdradzał żadnych odśrodkowych tendencji, ale objął rolę brygadzysty. Wytargował nawet od woźnego żelazny łom i wyszczerbioną siekiere, zwymyślał Lipskiego, że się spóźnił z wózkiem, przykazał koleżankom, żeby nie zostawały w tyle i nie przyniosły mu wstydu, wreszcie zakomenderował:

– Złomiarze, kierunek na most Szczytnicki, odmarsz!

Przy bramie stała grupka matematyków. Zagórski dogonił drugi wózek, wskoczył i wymachując toporem wołał:

– Naprzód, żołnierze Cezara! Z tarczą albo na tarczy!

– Humanista-tumanista! – krzyknął pod jego adresem jakiś matematyk.

Jurek puścił to mimo uszu, maże i nie słyszał, bo jego rydwan terkotał już po bruku. Koleżanki popatrzyły chwilę w jego kierunku, wreszcie Bożka powiedziała:

– No, a z nami co? Może tego złomu starczy na całą klasę?

– Trochę makulatury też trzeba, bodaj na urozmaicenie menu – przerwała Joasia. – Tu do najbliższych domów nie ma co zaglądać, na pewno ozebrane. Proponuję obejść trójkami te wielkie wille przy końcu parku. Wózek zostawimy tutaj, kto pierwszy coś znajdzie, zostawi kartkę u woźnego, gdzie jest. Więc kto z kim idzie?

Sama wybrała sobie szybko Izę Nowacką i Sylwię. Izę chciała mieć na oku, nie tyle ze względu na wyniki zbiórki, ile przez złośliwość. Niech się ten anioleczek trochę pomorduje. A Sylwię dobrze jest mieć przy sobie na zasadzie kontrastu; ona jest tak nieśmiała, że człowiek mimo woli musi być odważny, tak dla równowagi. O, choćby tę monumentalną willę z wieżyczkami i bramą z kutego żelaza najchętniej by obeszła z daleka. Ani chybi mieszka tu jakiś profesor uniwersytetu, który je zwymyśla za mącenie spokoju. Ale Sylwia mówi:

– Tu tak daleko od bramy do domu. Może lepiej nie dzwonić, będą źli, że muszą otwierać.

– Trudno, my też nie dla przyjemności chodzimy. Kraj czeka na surowce – odpowiada Joasia i naciska mosiężny guzik. Wpatruje się z napięciem w drzwi willi. Na progu staje kobieta nieokreślonego wieku i zawodu:

– Do kogo? – woła.

– Czy nie ma pani makulatury? Albo złomu? – odkrzykuje Joasia.

– Czego?

– Makulatury. My zbieramy dla szkoły.

– Ja tam niczego nie wydaję.

Za duża odległość, żeby się wdawać w dyskusję.

– A, to przepraszamy – woła Joasia, na wszelki wypadek uprzejmie, choć jest wściekła.

– Jestem pewna, że marynuje w suterenie przynajmniej dziesięć roczników jakiegoś „Völkischer Beobachter” – mówi do koleżanek. – Ot, ludzie.

Na następnej furtce napis „Zły pies”. Tym razem Iza odradza:

– Jak zły pies, to i źli ludzie. Chodźmy dalej.

– E, może to tylko propaganda z tym psem. Płot zdaje się cały, więc tak od razu na nas nie wyskoczy. Zresztą przejdźcie na drugą stronę ulicy, jak będę się dobijać.

Sylwia protestuje:

— Możesz ty się narażać, mogę i ja.

Sama dzwoni. Raz, drugi. Może nikogo nie ma? Raczej nie, bo otwarte okno na pierwszym piętrze wskazuje, że ktoś chyba sprząta – w grudniu nie zostawia się otwartych okien na pół dnia. Jeszcze jedna próba...

– Wiecie, coś mi się zdaje – mówi Joasia – że ten dzwonek milczy od czasów, kiedyśmy dobili faszystowskiego gada w jego własnym gnieździe.

Naciska klamkę, furtka otwiera się z lekkim skrzypieniem.

– Joanna, a zły pies?! – ostrzega ją Iza.

– Wolę psa niż taką babę, jak ta obok. Tylko śmiało!

– Ja nie idę.

– Czy ja mówię, żebyś szła?

– A jak cię ugryzie?

– Na razie go nie widać. Żegnajcie, towarzysze. W razie czego wiecie: „Przechodniu, powiedz Sparcie...”

– Czy panie do mnie? – odzywa się ktoś z boku.

Oglądają się; jakiś dosyć sympatyczny, starszawy jegomość z siatką pełną bułek i innych śniadaniowych elementów.

– Jeżeli pan tu mieszka i ma w domu makulaturę, to tak! – odpowiada Joasia.

– I jeżeli może pan zamknąć tego psa – dodaje Iza.

– Pies poszedł szukać przygód trzy tygodnie temu, nie spodziewam go się prędzej niż za miesiąc. Otwiera furtkę i przepuszcza dziewczęta.

– Więc panie po makulaturę. Oczywiście mam, całą masę, nawet usiłowałem sprowadzić jakiegoś antykwariusza, żeby sobie zabrał, na co ma ochotę, ale dziś podaż niemieckich książek taka, że gdzie by mu się chciało.

– To może szkoda brać je na przemiał? – niepokoje się Joasia.

– Ja je z grubsza posegregowałem. To, co jest w garażu, to tylko straszliwe romansidła i prasa.

Zbiegają po pochyłości do garażu w suterenie. Drzwi otwierają się ciężko, zostawiając na zeszcłej trawie półkolisty ślad. Wewnątrz jest ciemnawo i tak jakoś dławiąco sucho. Stos powiązanych sznurkami gazet niemieckich sięga aż do małego, zasnutego pajęczyną okienka. Książek jest mniej, ale na jeden wózek by się nie zmieściły.

– Proszę brać, choćby wszystko. Rad będę, jak tu wreszcie zrobi się porządek.

– Bardzo dziękujemy.

Jegomość wychodzi i znika za węglem domu.

– Nie wiem, co tam inne znalazły, ale ten sezam nas urządzi, prawda? – mówi Joasia. – Idźcie po wózek, a ja zacznę to wyrzucać na górę.

Po odejściu koleżanek wyniosła parę paczek gazet, uformowała je przy ścieżce w pryzmę odpowiednią do wielkości wózka i wróciła do garażu. Zaczęła przeglądać książki, natrafiła na niemiecki przekład „Przeminęło z wiatrem”.

Ciekawam, ile z tego zrozumieć – pomyślała i rozsiadłszy się wygodnie na książkach, pograżyła się w lekturze.

Nie od razu więc zauważyła, że u wejścia do garażu ktoś stoi. Dopiero strzép rozmowy „Uszykowane jak dla nas. Nic, tylko brać”, skłonił ją do powstania. Wychynęła z głębi garażu:

– Hej, wy tam. Zostawcie to, już zajęte! – zawołała do dziewcząt, w których poznała koleżanki ze szkoły.

– Co ty, Joanna, w cerbera się bawisz? Może ty jesteś za tego złego psa z ogłoszenia? – zza pryzmy gazet ukazała się Krystyna.

– Jakżeście tu trafiły? – spytała, byle coś powiedzieć.

– Zwyczajnie. Dałabyś trochę tej makulatury.  
Joasia zawahała się chwilę. Inna klasa, konkurencja...  
– No dobrze, a ile chcecie? – powiedziała bez entuzjazmu.  
– Tyle, ile uniesiemy. Po dwie paczki. Trzeba się z czymś pokazać, a już mi się chce iść do domu.

Krystyny towarzyszki porwały paczki z przemy i ruszyły do bramy.

– Mogłyby chociaż „Bóg zapłać” powiedzieć za wyniesienie tego na górę – zauważyła kwaśno Joasia.

– Dobrze, jak ci na tym zależy, to uzupełnię braki. – Krystyna zbiegła na dół. – Ty coś czytasz? – spytała, widząc książkę w ręku Joasi.

– Tak przeglądam. Margaret Mitchell.

– Po niemiecku? Ty, słuchaj, przypomniało mi się. Coś ty wtedy naopowiadała Tadeuszowi?

– Jakiemu Tadeuszowi – zdziwiła się Joasia. – Kiedy?

– Berejowi. Jak cię odprowadzał do domu ode mnie.

– Nic, słowo honoru!

– Ach wiesz, bo on potem Krzysztofowi przez pół nocy opowiadał w kółko, jaki to teraz jest wysoki poziom w ogólniaku, i chciał się zakładać, że się w XI klasie czyta całego Szekspira.

– A to cymbał!

– Dlaczego zaraz cymbał! Młody technik pełen szacunku dla humanistyki. Wobec niego nie miałabyś kompleksu niższości.

– Ja nie mam w ogóle kompleksów. Jestem człowiekiem bez podświadomości.

– Przy okazji ci udowodnię, że się mylisz.

– Bierz, co masz zabrać, i wiesz, bo jak Iza wróci z wózkiem i cię zobaczy, to mnie okrzyczy wrogiem klasowym.

– I jeszcze cię zdetronizują z funkcji trybuna ludu.

– Zabieraj się!

– Aleś ty uprzejma. No trudno, idę. Serdecznie dziękuję za łaskawą zdradę stanu.

Joasia wzruszyła ramionami i wróciła do garażu, ale nie chciało jej się już czytać. Splotła ręce na kolanach i patrząc na zeschnięte źdźbła trawy wyrastającej w pęknięciach betonowego podjazdu myślała:

Zdrada stanu, zaraz zdrada stanu. Choć właściwie racja. Wyobrażam sobie, jak byłby wściekły Zagórski, gdyby wiedział, że oddaje punkty innej klasie. Swoją drogą, co za parszywa sytuacja, kiedy o te trzydzieści, no, powiedzmy czterdzieści kilo papieru można by robić kwestię. Czy nie lepiej byłoby zbierać bez współzawodnictwa? Pieron wie, mógłby nikt palcem nie kiwnąć. Też zabawne: żyję z nimi szczęśliwie drugi rok i nie potrafię powiedzieć, ilu z klasy by zupełnie dobrowolnie stanęło do jakiegoś „czynu”. Janka, Sylwia, Jamrózka. Marek? No tak. Marek też. Tylko, co by on uważał za „czyn”. Zbierania złomu i makulatury chyba nie. On jest ponad to – pomyślała z przekąsem, ale zaraz się zastanowiła: To co, czy chciałabym, żeby się wygłupiał jak Zagórski i jeszcze innych popędzał? Nie, ale żeby był bardziej pozytywny i brał szkołę życzliwiej, poważniej. Bo że się dobrze uczy, to jeszcze o niczym nie świadczy. Jest jakaś zasadnicza różnica między nim a innymi prymusami. To i Bogu dzięki, że jest – zreflektowała się. – Wreszcie cała wyższość Marka leży w tym, że jest inny.

Potem uświadomiła sobie, że z tą jego innością jest człowiekowi dość ciężko.

Żeby on był jednak trochę inaczej inny! No, jaki na przykład? Po pierwsze, żeby był zdrowy. To nie zależy od charakteru! Tak, ale żeby już był zdrowy... Niech już będzie, jaki chce, ale niech będzie we Wrocławiu, niech sobie myśli o szkole, co chce, ale niech siedzi codziennie w trzeciej ławce pod oknem, choćby nonszalancko, bokiem do klasy. Nie potrzebowała



przymykać oczu, żeby przywołać na pamięć zarys profilu Marka, spłowiła bluzę, smukłe palce obejmujące oparcie krzesła. Oczywiście, kiedyś wreszcie przyjedzie z tego sanatorium. Skończy się pisanie listów... I co? I nic. Przestanę mu się przydawać – stwierdziła z żalem.

Zabrała się znowu do wynoszenia makulatury. Kiedyż one wreszcie przyjdą, ta Iza z Sylwią? Nie zwieziemy tego do wieczora przy takim guzdraniu.

Pół garażu zdążyła wypróżnić, kiedy koleżanki nadeszły. Sylwia od razu zaczęła układać papier na wózek, ale Iza musiała najpierw podzielić się rewelacjami z pola bitwy.

– Nie masz pojęcia, co się robi! Cała szkoła lata jak opętana, na jednych drzwiach widzieliśmy kartkę: „Złomu i makulatury nie ma”. Nas dopadli matematycy i chcieli koniecznie iść z nami, aleśmy im uciekły. Ta Sylwia też jest! O mało im nie powiedziała adresu! Czekałyśmy na wózek, bo Bożka z Marysią objeżdżały te domy, gdzie inne coś odłożyły. Mamy już blisko sto kilogramów.

– A jak z żelastwem? – udało się wtrącić Joasi.

– Kanada! Jurek wyliczył, że i w cyfrach bezwzględnych, i na głowę jesteśmy bezkonkurencyjni. Naharowali się okropnie. Bodek sobie skaleczył rękę, ale Jurek przysięga, że dyr przynajmniej jeden dyplom przodownika pracy i nauki da na naszą klasę.

– A jego głowa, żeby personalnie on dostał. Więc jednak puścił farbę, idealista złomowy – zauważyła Joasia.

– Z papierem, jak to zwieziemy, to w każdym razie w przeliczeniu na osobę wyjdziemy bardzo dobrze – ciągnęła Iza. – Chłopcy kończą już swoje i przyjdą nam pomóc. W ogóle inne klasy, te młodsze, wcale się tak nie przejmują i wiele już poszło do domu. Ci z punktu skupu będą czekać do drugiej.

– Więc jedziemy. Kto zostaje na straży?

– Ja! – zawołała szybko Iza. – Już mam na dziś dosyć, a stąd będzie mi bliżej do domu.

Sylwia i Joasia pociągnęły wózek. Mniej więcej w połowie drogi spotkały dwa pozostałe „zaprzęgi” – Jankę i Marysię przy jednym, Zagórskiego i Wilkołka przy drugim wózku.

– Dużo tego tam jest? – zapytał Wilkołek.

– Jak mądrze poukładacie, to nie będzie trzeba drugi raz jechać – odpowiedziała Joasia.

– To macie nasz wehikuł, a my dostawimy ten pełny – zaproponował Zagórski. Joasia dopiero poniewczasie zorientowała się, że wyszła na zamianie nieszczególnie, bo trzeba się było wracać i potem z pełnym wózkiem odbyć jeszcze raz tę samą drogę. Ale cieszyła się z towarzysztwa Janki i Marysi.

Wilkałek i Zagórski czekali na nie w bramie, przy wadze.

– Zostawcie to, my dopilnujemy wagi i odwieziemy wózki do szkoły – ofiarował się Henio.

– Poczekajcie na nas, to dowiecie się ostatecznych wyników – dodał Zagórski.

– Dobrze, i tak idziemy do szkoły się umyć – powiedziała Janka. – Będziemy w klasie.

Chłopcy coś marudzili przy wadze. Minał kwadrans, drugi, a ich nie było. Pierwsza zniecierpliwiła się Sylwia:

– Ja chyba już tu nie będę potrzebna? – powiedziała. – Czy mogę iść do domu?

– Ależ oczywiście, co za pytanie? – zaśmiała się Janka.

Więc Sylwia powiedziała: „przepraszam, do widzenia” i wymknęła się z klasy.

– Cóż, my też nie będziemy tu zimować – zauważyła po jej wyjściu Joasia. – Poczekajmy jeszcze pięć minut...

Ale w tej chwili drzwi klasy otworzyły się z hukiem i wleciał Zagórski

– Słuchajcie, to jest granda, to jest kryminał, ja ich ze szkoły wywalę, tych złodziei, opryszków. Joanna, masz w tej chwili iść szukać dyrektora i wszystko mu powiedzieć.

„Joasia obruszyła się na to „masz w tej chwili” i powiedziała lodowato:

– Może byś do rozkazu dołączył bliższą instrukcję, bo nie wiem, co mam mianowicie powiedzieć dyrektorowi.

- Co powiedzieć? To powiedzieć, że przyrodnicza C zdobyła pierwsze miejsce!
- No cóż, pogratulować im!
- Pogratulować oszustwa. Wiecie, co oni zrobili?
- Właśnie chcemy się dowiedzieć!
- Więc tak. Waga stała przy bramie, tak? A złom składało się na podwórzu, tak? A podwórze dotyka wału i jest nie ogrodzone, tak?
- Trzy razy tak – zgodziła się Janka.
- Ty się nie śmieję, bo zaraz zobaczysz. Oni przywozili złom bramą, a po cichu wywlekali ten sam złom przez podwórze i drugi raz podjeżdżali do wagi. I nic by się nie wydało, bośmy z Heńkiem już mieli iść, ale właśnie nadjechał ich wózek, więc chciałem się dowiedzieć, ile w sumie mają kilogramów, i stanąłem przy wadze. Patrzę i nagle krew mnie zalewa: taszcą z wózka tę rurę ze zlewem, przy której Bodek sobie rękę rozwalił. Poznałbym to cholerstwo na końcu świata, bośmy się z tym męczyli przez pół godziny. Pokazuję Henrykowi...
- Fakt, nasz złom sprzedawali – poświadczył Wilkołek (nawet nie zauważyły, kiedy wszedł). – Pewnie zresztą swój też dwa razy ważyli.
- Zagórski spojrzał z triumfem na koleżanki.
- No, może nie granda?
- Paskudna – przyznała Joasia. – Ci robotnicy z punktu skupu mogą mieć chryję, jak się okaże, że złomu jest mniej, niż zapisali.
- Guzik mnie obchodzą robotnicy! – krzyknął Zagórski. – Ich tam na pewno nikt nie będzie sprawdzał, a choćby nawet... Ale taka podłość. Tak niekoleżeńsko postąpić. Joanna, ty jako wójt musisz to załatwić. Weź Heńka jako świadka i idź wyłożyć dyrektorowi. A dobrze, żeś mi przypomniała o robotnikach, można z tego zrobić sprawę polityczną. Nawet możemy zażądać przeważenia wszystkiego jeszcze raz. Wyjdzie, że oszukują kolegów i państwo. Świnie!
- Zapadło milczenie. Wszyscy mieli w tej przyrodniczej przyjaciół, nawet Joasia przypomniała sobie Wandę z kolonii i pomyślała, że jednak niemiło byłoby ją widzieć na ławie oskarżonych. Popatrzyła na Jankę.
- Pierwsze miejsce diabli wzięli – powiedziała. – Jak myślisz, co robić?
- Jak to, co? – zaperzył się Zagórski. – Już mówiłem, co.
- Jurek, bądź ty poważny – mitygowała go Janka. – Nieładnie zrobili, pewnie, ale znowu nie można tak od razu lecieć na skargę. Zresztą czemu sam nie chcesz iść, tylko wysyłasz Joasię z Henrykiem?
- Joanna ma iść z urzędu, a Henryk, bo był przy tym.
- Ty też byłeś.
- Tak, ale Henryka oni nie zauważyli, a ze mną nawet rozmawiali... – Zagórski nagle zmieszał się i urwał. – Zresztą, gdybym ja poszedł, toby wszyscy powiedzieli, że robię szum, bo chcę dostać dyplom. A to przecież nie moja sprawa, tylko honoru szkoły.
- Nie wiem, czy honor szkoły zyska na tym, kiedy wyjdzie na jaw, że niektórzy uczniowie są niespecjalnie uczciwi – wtrąciła milcząca dotąd Marysia.
- Pereat mundus, fiat iustitia – odparł Zagórski.
- Nie bądź taki Kato – powiedziała Janka. – Zresztą mnie się też wydaje, że więcej ci chodzi o dyplom niż o sprawiedliwość. Kto w ogóle rozpuścił fałszywą dyplom? Mnie się wydaje, że to bzdura. Wstęp bez egzaminu na uniwersytet za stare rury? Gdzie tu logika?
- To jest dyplom przodownika nauki i pracy s p o ł e c z n e j – przerwał jej Jurek.
- Swoją drogą, chętnie bym dała w łeb temu, kto pierwszy powiedział o nagrodzie w postaci dyplomu. To za duża stawka jak na taką akcję – westchnęła Joasia. – Niektórzy gotowi są wtedy myśleć, że wszystkie sposoby są dobre. Zresztą oni...
- Już ich bronisz! Wiedziałem, że tak będzie! – huknął Zagórski.

– Jurek, przestań ty wreszcie wrzeszczeć – rozzłościła się na niego Janka. – Ja uważam, że trzeba na to machnąć ręką. Najwyżej możemy im prywatnie powiedzieć, że są dranie.

– Przepraszam cię bardzo – włączył się do dyskusji Wilkołek. – Albo uważamy, że to drobiazg, i wtedy można machnąć ręką, albo nazywamy ich draniami, ale wtedy uznajemy, że zrobili dużą grandę, i nie ma mowy o żadnym machaniu.

– Dranie są – przyznała Janka.

– Ale zgadzam się z tobą i z Joasią, że skarga do dyrektora nie jest dobrym pomysłem. To jest sprawa wewnątrz młodzieżowa i trzeba ją załatwić po linii organizacyjnej. Zwołam zebranie szkolnego koła ZMP...

– I będziemy to młócić przy VIII-klasistach? Toż będą mieli zabawę. A jaki przykład... – Janka wzruszyła ramionami.

– To wobec tego tylko klasy XI.

– Heniek, sensu nie ma. Wyjdzie na to samo albo jeszcze gorzej – zaproponowała Joasia. – Będzie rzeź niewiniątek, bo matematycy się gryzą z przyrodniczą, zaczną na nich –najeżdżać, my będziemy występować w roli oskarżycieli, koniec końców pójdzie wniosek do dyrekcji o ukaranie winnych na podstawie naszego donosu. A tego właśnie chcemy uniknąć.

– Czy ty jeszcze nie rozumiesz, że mnie chodzi o to, żeby dyrektor wiedział? – Zagórski wrócił do swego.

– A mnie nie chodzi. Zgadzam się, zrobili parszywy kant. Dobrze. Ale na chwyt nie fair nie można odpowiedzieć tym samym.

– „Gwałt niech się gwałtem odciska” – zacytował Jurek.

– Nie deklamuj, nie jesteś na trybunie.

– To wymyśl jakieś wyjście, ty moralistko. Chyba nie uważasz, że można zbrodnię zostawić bez kary?

– Nie można.

– Więc?

Joasia milczała. Nie pójdę do dyrektora, choćby nie wiem co – myślała. – Boże, żeby ten Marek wrócił, zaraz bym przestała być wójtem.

– No, czekam, czekam – ponaglał ją Zagórski.

– Mówiłeś, że to była przyrodnicza C? – upewniła się.

– Tak.

– Tam przewodniczącą klasowego koła jest Wanda. Niech Henryk, jako sekretarz szkolnego ZMP, z nią porozmawia.

Joasia przypomniała sobie w porę list Wandy do Henryka, jej zmieszanie... Ona mu pójdzie jak najbardziej na rękę, jeszcze będzie rada, że może z nim porozmawiać w cztery oczy.

– I to ma być wyjście?

– Jasne. Wanda jest człowiekiem z zasadami. Heniek jej powie, że ich chłopcy poszachrowali...

– Myślisz, że ona nie wie? – przerwał zjadliwie Jurek.

– Już nie przesadzaj. I niech oni sami rzecz osądzą. Niech sobie odliczą te poszachrowane wózki i podadzą dyrektorowi prawdziwe wyniki. Robotnikom niech powiedzą, że znaleźli błąd w rachunkach, i zwrócą pieniądze.

– Mnie się wydaje, że Joasi projekt jest jeszcze najrozsądniejszym wyjściem – podsumowała Marysia. – Ale trzeba działać szybko, bo jak oni się pochwalą wynikami, to będzie trudno wszystko odkręcić.

– Ja też się zgadzam. Tylko gdzie ja znajdę teraz Wandę? – zmartwił się Wilkołek. – Cała szkoła pusta.

– Trudno, jedź do niej do domu. – Joasia przypuszczała, że Wanda, przyjmując Henia we własnym pokoju, będzie jak wosk.

– A ja się nie zgadzam na takie pokątne konszachty.

– Jurek, nie nudź – znowu odezwała się Marysia. – Wreszcie co ty i ja mamy tu do gadania? Joasia – wójt, Janka i Wilkołek – ZMP. Szarże zadecydowały.

– Szarże to są w twoim harcerstwie. Ja protestuję i żądam satysfakcji.

Na to wszyscy ryknęli śmiechem.

– Śmieście się, dobrze. Więc ja osobiście pójde do dyrektora.

– A z czym takim, przyjacielu najmilszy? – usłyszeli nagle od drzwi. Odwrócili się w tamtą stronę. – Marek! – zawołała pierwsza Janka. – Boże drogi! Skąd się wziąłeś?

– Przyszedłem się przywitać. Czemu szkoła pusta? Tylko Jurkowe ryki huczą głucho po korytarzach.

– Pokaż się, jak wyglądasz! – podeszła do niego Marysia.

– Kwitniesz po prostu, stary byku – w głosie Zagórskiego dźwięczała nutka rozczarowania.

– A kobiety tu nad tobą łyły łyły.

Przy drzwiach zrobiło się tłoczno, wszyscy pokrzykiwali jeden przez drugiego. Ale Jurek prędko przerwał powitalne serdeczności i wrócił do swego:

– Marek, właściwie ty tu rządzisz, nie te baby. Powiedz, czy ja nie mam racji – i dość chaotycznie, ale z patosem przedstawił całą historię.

– A one chcą to wszystko zatuszować – zakończył. – Tymczasem ja jestem zdecydowany choćby zaraz poszukać dyrektora, żeby ich nauczył moresu.

– Oj, Zagórski, wiedziałem, żeście duren, ale nie myślałem, że aż taki – odpowiedział ku zdumieniu klasowego Katona Marek. – Ty myślisz, że dyrektor cię ozłoci za tę informację? Za to, że mu zwalisz na głowę galimatias z szukaniem winnych, wyjaśnieniami w punktach skupu i inne bzdury? I że wokół całej akcji zrobi się podejrzana aura? Poszukajcie lepszego wyjścia!

– Już Joanna znalazła – wyjaśnił Wilkołek.

– A, Joanna! Co też z nią się dzieje? – zapytał Marek.

Joasia poznała głos Międzyrzeckiego zaraz, jak wszedł do klasy. Zeskoczyła wtedy z katedry i cofnęła się trochę w stronę tablicy. Niech inni się z nim witają najpierw, ja się potem włączam w tłok – myślała. Ale tłok zrobił się tak nagle, że mowy nie było o jakimś dyskretnym doszlusowaniu – tak jej się w każdym razie zdawało. Przejść na oczach wszystkich te parę metrów od tablicy do drzwi? Okropność! Lepiej zostać w kącie, jak za dawnych czasów. Więc z pochyloną głową, spod zmarszczonego czoła wpatrywała się w Marka, w skupieniu i zapamiętaniu, jakby chciała odrobić te miesiące niewidzenia i na zapas, na zawsze utrwalić w pamięci rysy chłopca. Ponad głowami i plecami kolegów widziała smagłą twarz; niebieskie oczy, też jakby pociemniałe, błyszczące w tej chwili; po dawnemu nie uczesane jasne włosy, kontrastujące z opalenizną. Wygląda zdrowo i... i... interesująco – pomyślała. – Ach, żeby oni jak najdłużej z nim gadali i zostawili mnie w spokoju.

Ale teraz wszyscy odwrócili się w jej kierunku, co już samo w sobie było ciężkie do zniesienia, a jeszcze kiedy Marek zbliżał się z wyciągniętą ręką, Zagórski zabuczał „Tam-tam-taram” – marsza weselnego z „Tannhäusera”.

– No wiesz! – mówił Marek. – Myślałby kto, że nie chcesz się ze mną przywitać.

– Ależ chcę! Tylko usiłowałam szybko ułożyć mowę powitalną! – odpowiedziała cierpko, rada w duszy, że zdobyła się na przytomną odpowiedź. – „A witaj nam, witaj, miły hospodynie!” Cieszę się, że od jutra mogę skończyć z tym wójtowaniem. A właściwie od dziś.

– Czekaj czekaj, co ty tak od razu de publicis?

– Bo tak akurat się fatalnie złożyło z tym złodem i w ogóle.

– A dajmy już spokój tej aferze – wtrąciła Janka. – Późno, jeść się chce, a Heniek ma zaraz jechać do Wandy. Idźmy stąd.

Zagórski pożegnał się przed szkołą i odszedł obrażony, ale nie odgrażał się już, że pójdzie do dyrektora. Widać argumentacja Międzyrzeckiego trafiła mu do przekonania. Marysia i

Wilkołek pogнали do dwunastki odchodzącej na Biskupin. Pozostali patrzyli chwilę na biegnących – złapią czy nie złapią. Potem spojrzeli po sobie.

– I nareszcie jesteśmy w przedwakacyjnym składzie – powiedziała Janka. – Pora niezbyt odpowiednia do spacerów, ale chyba pójdziemy dawną trasą?

Na moście przystanęli chwilę, by popatrzeć na rzekę. Po ciemnej, prawie czarnej wodzie płynęły z rzadka białe kłęby – nie była to jeszcze kra, ale podmarznięta piana, zapowiedź mrozu. Po wczorajszym śniegu nie zostało oczywiście śladu – tylko liście i papiery przy balustradzie mostu leżały mokre i pozlepiane, a kurz w rynsztoku zamienił się w błoto. Kamienne nadbrzeża, nad którymi latem tańczyło rozgrzane powietrze, we mgle i wilgoci upodobniły się do ołowianego nieba. Marek podniósł kołnierzą płaszcz:

– Po co ja się tak śpieszyłem do tego Wrocławia? Żeby wiedział, że tu będzie tak zimno, tobym jeszcze został.

– Ale już cię wyleczyli, prawda? – zapytała Janka.

– Tak, w zasadzie. Tylko mam na siebie uważać.

– Nie bój się, będziemy cię pilnować.

– Byle nie zanadto, bo chcę używać życia. Wynudziłem się tam straszliwie i teraz nawet kino nie wydaje mi się rozrywką niegodną myśliciela.

Zaczęli rozmawiać o filmach. Joasia milcząc szła skrajem chodnika, z rękoma w kieszeniach, z miną mającą wskazywać, że obchodzi ją w tej chwili tylko problem, żeby nie stracić równowagi i nie stąpnąć na jezdnię. Istotnie rozmowy przyjaciół słuchała półuchem, zaprzęnięta w duchu całkowicie pytaniem, co robić.

Z Markiem? Nic, niech będzie jak przedtem. Znowu uważać, żeby nie podpaść, klasa i tak za dużo wie. Po czym oni, u licha, poznali? W ogóle zejść z oczu. Koniec z wójtowaniem. Nie będę się przecież przed Markiem wygłupiać w roli trybuna ludu, jak mówi Krystyna. Trzeba się do niej wybrać. Aha, właśnie, żeby się wyzalić. Na co ty chcesz się żalić, bałwanie? Że twój najmiłszy przyjechał? I że to wypadło „nie tak”? Boże drogi, czego ja jeszcze szukam w tej szkole? Żeby się to raz skończyło. Co skończyło? No, szkoła, gapienie się na Marka... A przede wszystkim ta droga. No, drogę mogę sama skończyć – zdecydowała nagle. Rozejrzała się za tramwajem, z Piastowskiej wyjeżdżała zerówka. Właściwie ni w pięć, ni w dziewięć, ale wreszcie można się później przesiąść na dwunastkę, i tak do stołówki jeszcze trzy kwadransy czasu.

– Przepraszam, ale muszę się pożegnać – powiedziała ceremonialnie. – Chciałabym złapać tamten tramwaj.

– Od kiedy ty jeździsz zerówką? – zdziwiła się Janka.

– Od dziś! – odburknęła Joasia zapominając o ceremonialności.

– Joasiu, co ci się stało? – zdziwił się Marek. – Słowa nie mówisz, chcesz uciekać... Myślałem, że się ucieszysz z mojego powrotu...

– Niby dlaczego miałabym się cieszyć? Jezu, jakiś ty zarozumiały! – wybuchła. – Zresztą – dodała, starając się, by to zabrzmiało jak najbardziej konwencjonalnie – Zresztą cieszę się oczywiście, żeś wyzdrowiał. Tylko wciąż myślę o tej historii ze złomem i to mi psuje honor.

– Też nie macie większych zmartwień! Jak wy w ogóle możecie się zastanawiać nad takimi głupstwami. Oszukali? No, to oszukali, miły Boże. Tylu ludzi oszukuje i jakoś żyje. A wy się bawicie w jakieś ultimata, sądy koleżeńskie i zadośćuczynienia, i to pięć minut przed odejściem ze szkoły. Jesteście uroczo dziecinni. Trudno się wstrzymać od łez rozczulenia. Takie prawe, proste umysły!

– Jeśli myślisz, że ja dlatego, że ty się śmiejesz z prawości, że ja dlatego będę kraść, to się grubo mylisz!

– „Że, że, że”! Przed maturą i takie nieporadne zdania! Ja się wcale nie śmieję, przeciwnie, jestem głęboko wzruszony. Tylko się dziwię!

– Czemu?

- Że potraficie się angażować w takie czytankowe obrazki z życia szkolnego.
  - Życie szkolne to też życie.
  - Ale trochę na niby.
  - Nieprawda. Masz to samo, co gdzie indziej: przyjaźnie, antypatie, zwierzchników, ambicję, pracę, obowiązki i pozytywne cele.
  - Niby jakie?
  - No, zdobycie wiedzy.
  - Też, za przeproszeniem, wiedzy to ja sam, z książkami, w ciągu trzech miesięcy „zdobyłem” więcej niż w szkole przez cały rok.
  - To się okaże przy maturze. A poza tym, choćby nawet, to programy nie są dla geniuszy.
  - Co się z tobą zrobiło przez ten czas – pokręcił głową Marek. – Od geniuszy mi wymyśla!
- A takie to było ciche, poczciwe stworzenie. Po twoich listach spodziewałem się...
- Naprawdę, mało mnie obchodzi, czego się spodziewałeś!
  - Czemu chcesz się koniecznie ze mną kłócić?
  - Ależ ja wcale nie chcę. Boże, przez was mi ten tramwaj uciekł! – zawołała z rozpaczą, zgoła nieproporcjonalną do tak błahego wypadku.
  - Ojej, masz tu zaraz dwunastkę, też cię zawieszę, gdzie trzeba – powiedziała Janka.
  - Dziękci Bogu. Cześć!
- I poleciała do dwunastki.

Oczywiście, ledwie stanęła na pomoście, zaczęła żałować, że nie została z tamtymi. Widziała, jak przechodzili przez plac, śmiejąc się z czegoś („na pewno ze mnie”). Janka nawet odwróciła głowę w stronę tramwaju, ale tylko na chwilę.

No tak, pewnie. Im to dobrze ze sobą – pomyślała, ale zreflektowała się. – Jeszcze tego potrzeba, żebym była zazdrosna o Jankę. Czemu ja zawsze robię sobie na złość?

Nawet już później, na Karłowicach, nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Zresztą tym razem, wyjątkowo, ciotka była w domu i wciągnęła ją do przedświątecznych porządków. Do świąt niby jeszcze z górą dwa tygodnie, ale coś już trzeba robić, żeby się wszystkim naraz nie zwaliło. Pościagały firanki z okien i ugrzęzły na dobre w zakładaniu nowych, takich prowizorycznych, na tymczasem. Joasia zawsze miała zwyczaj śpiewać przy robocie, więc nie byłoby w tym nic szczególnego, że zamiast rozmawiać, mruzczała:

Komu dzwonią, temu dzwonią,  
Ty mi, bracie, w kielich dzwoń.

(Pierońska pineska, oszaleć można.)

Bo takiemu pijakowi  
Jakie życie, taki zgon.

Ciotkę jednak zastanowił ponury repertuar.  
– Gdzieś ty się nauczyła tej wisielczej piosenki?  
– Na kolonii. Moim zdaniem, bardzo ładna.

W piwnicy mnie pochowajcie,  
W piwnicy mi kopcie grób...

- Moim nie bardzo – sprzeciwiła się ciotka i chcą widocznie przerwać balladę o pogrzebie pijaka, zapytała: – Jak wam się udała zbiórka papieru i żelastwa?
- Nawet dobrze, tylko – i tu z nagłą pasją opowiedziała całą historię.
- Wydaje mi się, że znalazłaś najwłaściwsze wyjście z sytuacji – pochwaliła ją ciotka.

– Akurat. Są tacy, którzy uważają to za komiczne i dziecinne. Za czytankowe obrazki z życia szkolnego.

Ciotka zaczęła bronić „życia szkolnego” niemal tymi samymi słowami, co niedawno Joasia. Joasia zaś powtarzała argumenty Międzyrzeckiego. Spostrzegł się dopiero po chwili, ale nie wypadało się wycofywać. Zresztą wydało się to jej tak komiczne, że złość jej przeszła i roześmiała się:

– Nie, ciociu, ja się nie upieram, ja się zgadzam z ciocią. Tylko tak dla hecy. Dyskusja akademicka.

Ciotka nie była zachwycona tym „dla hecy” i rozmowa się urwała. Poza tym firankę można już była zawiesić, więc Joasia, balansując na parapecie, wróciła do swego „w piwnicy mnie pochowajcie”, myśląc przy tym: Błogosławiony wpływ zajęć praktycznych. Gdyby jeszcze były jakieś dwa kubiki drzewa do porąbania, tobym nie tylko przestała się złościć na Marka, ale w ogóle o nim myśleć. Jak by to było cudownie!

Dwóch kubików drzewa wszakże nie było i ledwie Joasia znalazła się w swoim pokoju, całe nieudane powitanie znowu stanęło jej przed oczyma.

Kiedy bo Marek rzeczywiście się zmienił. Taki się zrobił, ja wiem, pesymista czy cynik. „Ludzie oszukują...” – też pomysł. Czy ja na przykład oszukuję? Albo Janka? Albo ciotka? I ta rada dla Zagórskiego, że dyrektor wolałby nie wiedzieć o kantach. Tak mógłby rozumować właśnie Zagórski. Zaraz, a może Marek – powiedział to naumyślnie, bo nic innego by Jurka nie przekonało? Jasne!

Ucieszyła się z odkrycia i nagle całe zachowanie Marka okazało się w porządku. Że mówił zgryźliwie o ludziach i szkole? Proste: pewnie w ciągu tych miesięcy szkoła wydawała mu się coraz bardziej sielankowa. Wraca z nadzieją i radością trafia w sam środek parszywej awantury: podgryzania, konkurencja, kanty. Melon by się zrobił cierpki, co dopiero człowiek po sanatorium.

No tak, ale jak wobec tego ona wygląda? Przecież przez cały czas Marek nie usłyszał od niej jednego dobrego słowa. Nie mógł to człowiek podejść po prostu i powiedzieć: Marku, bardzo się cieszę, że cię znowu widzę?

Powtórzyła półgłosem: „Marku, bardzo się cieszę” i ogarnął ją taki żal za zmarnowaną chwilą i nienawiść do siebie, że miała ochotę walić głową w ścianę.

I pomyśleć, że ja bym mu chciała nieba przychylić, a tymczasem robię piekło. I czemu? Dla niepoznaki, żeby się nie domyślił... To przecież idiotyzm. Uruska, spokojnie. We wszystkim spokojnie. Wreszcie, jak mu życzę lepiej niż inni, to mogę mu chyba okazywać przynajmniej tyle życzliwości, co reszta. Normalne „bardzo się cieszę” to jeszcze nie oświadczyły.

Odetchnęła z ulgą:

To jest wyjście. Po prostu będę się do niego odnosić dokładnie tak, jak Janka. Przecież nawet dotąd w listach tak było. Że mi to wcześniej nie przyszło do głowy. A koniec końców mam to, co chciałam: jest blisko i mogę mu się przydać. Mogę? Człowiek zawsze może się przydać, jak chce. Dzięki Bogu.

## 5. Kazaniem można się nie przejmować

Nie, nie zapalaj światła – powiedział Międzyrzecki. – I tak jest dosyć jasno.

Janka posłusznie przekręciła jeszcze raz kontakt i w pokoiku migotał teraz tylko poblask od szeroko otwartych drzwiczek wysokiego kaflowego pieca, wydobywając z cienia grudniowego popołudnia trzcinowy fotel, tapczan przykryty czerwoną kapą, obrusy i ręczniki suszące się na sznurach rozciągniętych między oknem a dwoma nie heblowanymi słupami, podtrzymującymi spękany sufit. Cały pokój wymownie świadczył o zawziętej walce mieszkanki z kamienicą: kamienica uparcie demonstrowała, że jest walącą się rudera. Janka zaś na wszelkie sposoby usiłowała stłumić te demonstracje. Podłoga, strasząca szparami, była świeżo pomalowana, zacieki na ścianach przysłonięte wielkimi reprodukcjami wyciętymi z czasopism, stemple zaś zaopatrzone w fikuśne półeczki, na których latem stały kwiaty, a teraz świerkowe gałęzie.

Janka wychyłała zza wielkiego, świątecznego za pewne obrusa, trzymając w ręce talerz z piernikami

– Macie, wprost z blachy.

Postawiła talerz na tapczanie, przed Markiem, który rozciągnięty wygodnie, z dłońmi pod brodą, patrzył w ogień.

– Posuń się trochę, sybaryto – powiedziała.

Marek przetoczył się na bok, Janka siadła koło niego i zwróciła się do Joasi:

– Chodźże tu bliżej, nie będę do ciebie przecież latać z każdym piernikiem.

Joasia niezdecydowanie podniosła się z krzesła. Pozazdrościła Jance czystego sumienia. Wprawdzie postanowiła zachowywać się wobec Marka tak jak ona, ale siadać przy nim na tapczanie wydało się jej za śmiałe.

– Mam nadzieję, że to zwierzę było po Wielkanocy trzepane – powiedziała więc, przyciągając sobie dywanik z pośmiertnych szczątków królika, i uplasowała się pod ścianą, bakiem do przyjaciół.

– Zupełnie jak na biwaku – zauważyła. – Ogień, pnie drzew, zapach świerków...

– Tylko to pranie na sznurach psuje iluzję – wtrąciła Janka trzeźwo.

– Nie, dlaczego? Przypomina żagle. Krystyna mówiła, że w poprzednie wakacje na Mazurach...

– Oho, teraz usłyszymy dłuższy kawałek epickiej prozy o Krystynie – jęknęła Janka.

– Teraz nie. Ale po wakacjach na pewno. Będę z nią dziesięć dni w górach. Zaraz w pierwsze święto wyjeżdżam z domu.

– Że ci się chce tłuc gdzieś na koniec świata – wzruszył ramionami Marek.



Jankę zainteresowało co innego:

– Ale że was tak rodziny puszczają samopas. Twoja pedagogiczna ciotka chyba zemdleje, kiedy się dowie. – Gdzie tam, sama napisała do mojego ojca o pozwolenie. To był majstersztyk dyplomacji. Krystyna jedzie pod opieką kuzyna...

– Uhm, kuzyn – chrząknął Marek.

— Nie żadne uhm, tylko autentyczny. W dodatku żonaty i dzieciaty. I właśnie jego żonę napuściłyśmy na ciotkę. Ciotka też najpierw mówiła „uhm”, ale jak zobaczyła tę żonę, to się zrobiła jak wosk. Żona koło trzydziestki, gruba i zrównoważona, w sam raz do matkowania.

— Ee, to nie widzę powodu, dlaczego jedziecie. Pod okiem matkującej kuzynki nie będzie żadnej okazji do ekscesów – powiedział Marek.

– Po pierwsze, zależy mi na nartach, nie na ekscesach. A po drugie, tam już na Krystynę będzie czekał jej... – i tu Joasia ugryzła się w język.

– No, więc jednak! – ucieszył się Marek. – Czuję, że przynajmniej jedna z was stoczy się w bagno rozpusty. Pilnuj się, żeby ciebie też nie wciągnęło.

Joasia przekreśliła opartą na kolanach głowę i patrząc spod zmrużonych powiek na Marka wycedziła: – Przepraszam bardzo, ale możesz mi powiedzieć, co cię to obchodzi?

– Nic, absolutnie nic. Tylko tak teoretycznie cię ostrzegam przed pułapkami miłości.

– Och, każdy w nie wpada – powiedziała sentencjonalnie Janka. – I po co zaraz „bagno”. Miłość uszlachetnia, wiadomo.

– He, he – skrzywił się Marek.

– Ty nie bądź taki Przybyszewski – przycięła Janka. – Młodopolszczyzna niemodna.

– A Rodziewiczówna z uszlachetniającą miłością niby modna?

– Co wy tak: modne, niemodne. Uczucia nie można dopasowywać do żurnali. To jest rzecz poważna. A Krystyna ma zupełnie sympatyczny pogląd na miłość – oburzyła się Joasia, niby w obronie przyjaciółki.

Marek podniósł się na łokciach i popatrzył na nią z góry.

– Też osobliwe! Jak można mieć sympatyczny pogląd na tak niemoralne uczucie!

Joasię zatkało, a Janka zawołała:

– Zlituj się, Marek! Nawet najbardziej ponury ksiądz by czegoś takiego nie powiedział.

– Oczywiście, bo oni są kompromisowi i tęgą. Ja tu wcale nie myślę o grzechu czy coś tam. Mnie chodzi o niemoralność miłości w sensie, jak by wam wytłumaczyć...

– No, postaraj się zniżyć do naszego poziomu – w głosie Joasi było więcej irytacji niż zamierzonej ironii.

– Nie obrażaj się, bo to głupie. Więc w sensie psychologicznym. Miłość jest czystym egoizmem, który w dodatku udaje altruizm. Te wszystkie wychwalane szlachetności, poświęcenia mają zupełnie niski cel.

Boże, on to mówi wyraźnie przeciw mnie – przeraziła się Joasia, ale chcąc bronić honoru swojej miłości powiedziała:

– Nie rozumiem, dlaczego szczęście drugiego człowieka ma być niskim celem.

– Nie bądź naiwna. Szczęście drugiego człowieka? Ale dlaczego ten drugi człowiek to nie sparaliżowana babcia, tylko wysportowany brunet na długich nogach?

– Zaraz tam wysportowany brunet. Już nie upraszczaj. A poza tym ludzie ponoszą różne ofiary dla tego wybranego, nawet jak nic z tego nie mają. Już nie mówię: wzajemności, ale bodaj dobrego słowa – przy tym „dobrym słowie” głos jej się troszkę załamał.

– Właśnie dlatego tak robią, żeby zdobyć wzajemność. Ba, żeby tylko wzajemność. Ale żeby przywiązać do siebie drugiego człowieka, zwyciężyć, podporządkować, mieć na własny użytek.

On ma rację, ja kiedyś tak samo myślałam. Tam na kolonii im tłumaczyłam – dręczyła się Joasia. – Ale czemu się nade mną znęca? Przecież mu nic złego nie zrobiłam.

– Ty mówisz, że szczęście drugiego. Ale taki zakochany pękłby z rozpacz, gdyby ktoś inny oddawał większe usługi obiektowi jego uszczęśliwiania. Popatrz, ile egoizmu w marzeniach czternastolatków, wyobrażających sobie, jak ratują z pożaru swoją dulcyneę. „Ach, żeby jej dom się spalił, tobym pokazał, co jestem wart”. Życzy jej nieszczęścia, żeby mieć okazję się popisać.

To już było nie do zniesienia.

Joasia zerwała się z miejsca i żeby jakoś upozorować ten zryw, podeszła do pieca dorzucić węgla. Pochylając się nad paleniskiem myślała:

No tak. Tak jest. Przecież ja właściwie byłam rada, jak chorował i mogłam mu posyłać ządania i pocieszać. Człowiek jest podły. Ja o tym wszystkim wiem, ale to jest okropne, że właśnie on to mówi. A wydawało mi się, że moja miłość jednak jest honorowa.

Zupełnie zgnębiona skuliła się znowu koło ściany. Na domiar złego Marek wcale nie skończył:

– To zresztą są te jeszcze najlepsze przypadki. A ile się robi pospolitych świństw z miłości. Już nie mówię o fizycznej stronie tych spraw, która jest obrzydliwa.

Tu nie wytrzymała Janka:

– Ja tam wcale nie uważam, że obrzydliwa. Ty, Marek, wyśmiewasz czternastolatków, ale sam masz komiczne, szczeniackie poglądy. Z miłością jak z życiem, może być lepsze czy gorsze, ale tylko skończony bałwan by się wieształ, że dalekie od ideału.

Joasia spojrzała na nią z bezgraniczną wdzięcznością i przyrzekła w duchu, że będzie za nią tłumaczyła łacinę do końca roku.

Marek się roześmiał:

– No, jeśli tak mówi znająca życie kobieta, to składam broń. Od dziś będę się nurzał w rozkoszach namiętności. Za twoim przykładem.

Teraz się wygłupia – pomyślała Joasia. – Choć lepsze to, niż żeby się nade mną znęcał. W każdym razie na przyszły raz zakocham się w wysportowanym brunecie, który nie będzie miał najmniejszych skłonności do filozofowania.

Słuchała dalszego przekomarzania się kolegów, nie odzywając się już ani słowem. Kiedy Janka zabrała sprzed nosa Marka pusty talerz, by iść po nowy zapas pierników, podniosła się i powiedziała:

– Na mnie już czas, jeśli nie mam jechać na buforach. Wesółych świąt, przyjaciele.

– Cieszysz się, że będziesz w domu? – spytał Marek, kiedy ubierała się w przedpokoju.

– Właśnie. Szalenie. Czy ty myślisz, że... No, trzymajcie się, cześć.

Miała cień nadziei, że ją odprowadzą, toteż było jej dosyć gorzko, kiedy wlokła się z ciężką walizką na dworzec. W dodatku była głodna, bo przez parę dni oszczędzała na obiadach na prezenty dla domowych i teraz nie miała nawet na bułkę z salcesonem. Wszystko to razem nie skłaniało do optymizmu, nic dziwnego więc, że ostatnie tygodnie w sokole uważała teraz za kompletnie nieudane i ponure. Jej plan zachowywania się „jak gdyby nigdy nic” okazał się nie do przeprowadzenia. I to nie z mojej winy – mówiła sobie. – Ja naprawdę ani mu się nie narzucałam, ani nie robiłam nieszczęśliwych min. Staralam się być wesoła, żartować jak każdy, nawet od wicewójtostwa nie uciekałam, jak on chciał się mną wyręczać. Dobrze swoją drogą, że z tym parszywym złomem poszło jak należy.

Wszystko byłoby znośne, gdyby nie Bożka i Zagórski – te ich głupie przytyki. A prawdę mówiąc, oni wszyscy są po jednych pieniądzech, choć się niby podśmiewają życzliwie. Hanka Mullerówna, jak wtedy zostałam z Markiem w klawie, zajrzała, to zajrzała, ale po co zaraz takie „a przepraszam, kochajcie się w spokoju”. Kochajcie się! Kto się tu kocha? Tylko ja, i to głupia. A swoją drogą Marek też jest dobry – nawet okiem nie mrugnie na takie enuncjacje. Jakby nie o nim. Choć może on jeden się nabrał na moje „jak gdyby nigdy nic”. Sam widzi, że nie damę mu powodów do podejrzeń, więc te wygłupy klasy uważa za bezpodstawne. Dałby Bóg. Ale ta dzisiejsza filipika! Przecież to wyraźnie należało rozumieć jako „odczep się ode

mnie”. No, chętnie bym się odczepiła, ale jak to zrobić? Przecież choćbym nawet była jak głaz, klasa będzie po swojemu tłumaczył każdy głupi przypadek. Życie byłoby o wiele prostsze, gdyby się nikt nie wtrącał. Ach, myśl o czym innym.

Cóż, kiedy drugi temat do myślenia – dom – też nie należał do najweselszych. Jak ją tam przyjmą? Od Wszystkich Świętych sytuacja jest dość napięta. Listy oschłe, a paczki skąpe. Czy dojdzie do jakiejś zasadniczej rozmowy? Każą się tłumaczyć? Wreszcie z czego? To oni są nie w porządku. Są, pewnie, ale tym bardziej zaatakują pierwsi. Chociaż Boże Narodzenie to takie święto pojednania .. I Maciek będzie. Może się wszystko ułożyć pozytywnie.

Ułożyło się rzeczywiście. Macocha widać nie chciała psuć nastroju, może zresztą, skoro pozbyła się pasierbów z domu, pozbyła się i niechęci do nich. W każdym razie dopuściła Joasię do świątecznych przygotowań, co było dowodem łaski, bo zwykle robiła wszystko sama, a potem skarżyła się ojcu, że Joasia, prawie dorosła, przy domowych zajęciach palcem nie kiwnie. Wyeksponowała Joasię z kuchni dopiero wtedy, kiedy zabierała się do smażenia karpia.

Joasia siadła w fotelu w jadalni, przypatrując się bratu i ojcu, jak przy kredensie komponują jakieś nalewki.

– Chyba dosyć mocne? – mówił ojciec do Maćka. Maciek wychylił kieliszek i powiedział:

– Piłem mocniejsze, ale ujdzie. Jak myślisz, damy spróbować tej nieletniej?

Ojciec odwrócił się do Joasi: – Chodź, oceń ten cocktail.

Joasia odważnie przełknęła i powtórzyła za bratem, że ujdzie. Potem „oceniła” jeszcze jałowcówkę, przy Wigilii dotrzymywała kroku mężczyznom i w pewnym momencie świat i życie wydały jej się proste i wesołe.

Macocha, gościnnie podsuwająca półmiski, wyglądała bardzo ładnie w niebieskiej sukni, zgranej z kolorem oczu. Cóż, dobrze, że się z nią ożenił – pomyślała Joasia. – Przynajmniej ma piękną żonę. Niech się cieszy. – Przeniosła wzrok na brata i ojca – ależ oni są do siebie podobni! Maciek zapala papierosa zupełnie jak ojciec. Całe jego zachowanie podnosi na duchu – od razu się człowiek czuje ponad szkolne rygory, opiekę domową i wahania, co wypada, a co nie wypada. Zaraz, kogo on mi przypomina? U Krystyny? Tak, ale nie Krzysztofa. Krzysztof był taki trochę, nie, nie szczeniacki, ale popisujący się. A Maciek jest jak ten drugi – uważający stan dorosłości za naturalny. Jak miło pachnie ta choinka. Być w domu na prawach gościa też ma urok. Czy to Maciek „ustawił” macochę, że nas traktuje jak pełnoprawnych obywateli? To znakomite mieć dorosłego brata.

– Bo ja wam powiem – zaczęła ni z tego, ni z owego przemówienie. – Człowiek nie powinien się nadto przejmować. Ty, Maciek, mi się podobasz. Myślałby kto, że powinieneś być załamany, jak się nie dostałeś na studia. A ty jesteś ważny i dorosły, mówisz ojcu per ty i w ogóle. Tylko nie powinieneś mnie nazywać nieletnią, ja za pół roku będę uznana za dojrzałą fizycznie, moralnie i formalnie. Zobaczysz, jak ja sobie ze wszystkim dam radę. Ho, ho! Myślicie, że mnie co obchodzi, że Marek...

– Co za Marek? – zainteresował się ojciec.

– Żaden Marek. Nie ma żadnego Marka. Nie, to nie. Maciek, daj mi papierosa.

– Ty palisz?

– Nie, ale jak ty... Zresztą, kiedy mogę pić, to i palić też.

Zauważyła, że ojciec i brat wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Maciek wyciągnął paczkę „lotników”, ale ojciec go przytrzymał.

– Nie, na papierosy ma jeszcze czas. Joasiu, napij się lepiej kompotu.

– Dlaczego kompotu? A zresztą, Maciek, nalej mi. Tylko samego soku. Wiecie co, ja chyba na pasterkę nie pójdę.

– Spodziewam się – mruknął brat.

– Muszę się wyspać, przecież jutro jadę.

– Koniecznie?

– Czekają na mnie. A sama po nocy nie chcę iść do schroniska, bo drogę na Śnieżnik znam tylko z lata, i to od drugiej strony, z góry na dół.

– Trudno. Szczęśliwego złamania nogi.

Maciek powtórzył to życzenie nazajutrz, otwierając drzwi wagonu.

– Nie, tu druga klasa – zaproponowała Joasia.

– Masz chyba tego brata na stanowisku, co? – odpowiedział Maciek. – Po co się tłoczyć w trzeciej. I włożyłem ci trochę mamony do plecaka.

– Oszalałeś? Tatuś mi dał, ile trzeba.

– Forsy nigdy nie jest za dużo. No, trzymaj się, w przyszłym roku pojedziemy razem.

– Na pewno.

Pociąg ruszył. Widok zaoranych pól i kapiących wilgocią nagich gałęzi jakoś nie zachęcał do wyprawy w góry i Joasia pożałowała, że nie została w domu jeszcze tych dwu dni, nim Maciek, wyjedzie.

## 6. Ten drugi – lepszy od wszystkich

We Wrocławiu też było „Boże Narodzenie po wodzie”. Ciotka dosyć ironicznie popatrywała, jak Joasia ładuje plecak i wciąga narciarskie spodnie i buty (prezent zbiorowy od całej rodziny). Za to kuzyn Krystyny był pełen optymizmu:

– Śnieg? Będzie cała masa. Na Śnieżniku zawsze jest. Spokojna czaszka. Też nie macie innych zmatwień. Bylebyście nóg nie połamały, bo ja was niańczyć nie będę. Ja jadę na ciężką pracę. Dwudziestu ludzi z nogami z drewna, w tym jeszcze połowa bab, co nie wie, którą stroną dechy założyć. Jak ci ma imię? – zwrócił się nagle wprost do Joasi. – Aha, Joanna, prawda. Mówmy sobie ty, Kazik jestem.

Joasię ta osobistość w czarnym skafandrze i białej czapce z pomponem nieco zaszokowała. Kręcił się ciągle po przedziale, pokrzykując na towarzyszki. Brązowe, trochę wypukłe oczy błyszczały nieoczekiwanie dziecinnie, w ogóle był podobny do jakiegoś leśnego stworzenia, jelonka na przykład.

Dobrze, że to nie jego wysłała Krystyna z delegacją do ciotki – pomyślała sobie. – Żona wygląda spokojniej, ale zdaje się, że nie bardzo się liczy w tym stadle.

– Czy wy, panny, umiecie chodzić? – dopytywał się, gdy już dojeżdżali. – Zapowiadam, że będę was gnał bez litości. Chcę przed północą być w łóżku.

Joasia zapewniła go, że już jakieś szesnaście lat temu nauczyła się posługiwać nogami i że przecież o szóstej powinni być w Międzygórzu, więc chyba zajdą.

– Zajdą, zajdą. O ile w Domaszkawie będzie autobus do Międzygórza. Bo jak drogi zawiane...

– Kazik, nie strasz, przecież wiesz, że w zeszłym roku śnieg się zaczął dopiero po godzinie podchodzenia – zmytygowała go żona.

– Teraz może być inaczej – Kazik wyraźnie upajał się przewidywaniem trudności. – I pamiętajcie, że w Międzygórzu wybieram wam dechy w wypożyczalni. Poniesiecie same. Zośka tak mi wyładowała plecak, że lepiej nie liczcie na moje męskie ramię.

Męskie ramię Kazika okazało się zupełnie niepotrzebne, zresztą ku jego z trudem skrywanemu rozczarowaniu. Wsiadając w Międzygórzu z autobusu (jednak chodził!), nieoczekiwanie natknęli się na Krzysztofa i jego przyjaciela. Komu nieoczekiwanie, komu oczekiwanie – Krystyny zdumienie z powodu spotkania było tak robione, że nawet Zośka się nie nabrała. Ale przywitani się tak, jakby to rzeczywiście był przypadek.

Studenci byli bez nart.

– Nie warto było brać – wyjaśnił Krzysztof. Pół drogi i tak musielibyśmy nieść, bo dobry śnieg jest tylko na samej górze.

– A zasp żadnych nie ma? – spytała naiwnie Krystyna.

– Coś ty? – wzruszył ramionami Krzysztof. – Co za bałwan mówił ci o zaspach?

Tu Kazik szybko zakomenderował:

– No, panny, za mną. Po dechy.

– Nie trzeba – Krzysztof odebrał mu i tę satysfakcję. – Zabraliśmy dla nich jeszcze w Wigilię.

– Na pewno jakieś trupy! – mruknął markotnie Kazik. – Idziemy?

Joasia schyliła się po bagaż.

– Sensu nie ma! – usłyszała i zanim się spostrzegła, przyjaciel Krzysztofa już zapinał pasek od plecaka.

– Ale ja sama. Bardzo panu dziękuję, ale ja naprawdę...

– Naprawdę nie ma sensu – powtórzył Tadeusz. – Po tośmy tu przyszli.

Cóż, szarpać się z nim nie będę – pomyślała. – Zresztą plecak nie jest ciężki.

Placyk przy autobusie oświetlały silne lampy na wysokich, smołowanych słupach. Ale wystarczyło skrócić za najbliższy róg, by uświadomić sobie, że to już właściwie noc. Rozjaśniał ją tylko blask padający z małych okienek chałup. Czasem ktoś zaniepokojony ujadaniem psów otwierał drzwi i stawał na progu, w żółtym prostokącie światła. Omal nie zderzyli się z gromadą dzieciaków pędzących przez drogę do sąsiada, skądś doleciał strzęp kolędy: – „...od proroków ogłoszony, od narodów upragniony”, jakiś kundel-służbista odprowadził ich szcękając aż do ostatnich, nie zamieszkałych zresztą, budynków wsi.

Tadeusz przesunął światło latarki na jedną z takich chat.

– Nawet zupełnie przyzwoita – zauważył. – Tylko szyby wprawić i można by mieszkać.

– Mocna by, ale po co? – wzruszył ramionami Krzysztof. – Wiecie – dodał, zwracając się do dziewcząt – Tadeusz ma manię urządzania. Nie powinienem narzekać, bo ostatecznie tę naszą melinę na Sępólnie to on właściwie odbudował. Jak mi dwa lata temu pokazał miejsce po domku i powiedział, że z tego da się coś zrobić, to chciałem mu mierzyć gorączkę. Z całej budy stało dwadzieścia procent: jeden pokój i kawałek korytarza. Tadeusz poskładał z tych sproszkowanych osiemdziesięciu procent dach, ścianki działowe i zrobił się wytworny apartament z łazienką i bogato zaopatrzoną w puste butelki piwnicą.

– Ta piwnica to już twoja zasługa – Tadeusz chciał być sprawiedliwy.

– Jeśli chodzi o butelki, to na pewno! – wtrąciła Krystyna.

– Bo się obrażę i oddam ci plecak! Przepróś! – Krzysztof zagroził jej drogę.

– Już się kłóć! – mruknął, mijając ich Tadeusz.

– Pogodzą się – odpowiedziała Joasia.

– Zdaje się, że o to godzenie przede wszystkim chodzi. Dogońmy lepiej Kazików, bo już wchodzą do lasu.

W lesie wbrew oczekiwaniu było trochę jaśniej. Mdłe światło mizernego księżyca odbijało się od śniegu leżącego równą, ale widocznie cienką warstwą, bo podkute buty raz po raz zgrzytały o wystające kamienie. Poza tym panowała oszałamiająca cisza, aż Joasia po ostatnich dniach spędzonych w gwarze świątecznym i stuku pociągu poczuła się trochę nieswojo. Towarzysze szli szybko i w milczeniu. Raz tylko Kazik krzyknął:

– A teraz tym skrótem. Nie pogubcie się!

Po kwadransie las się urwał i na rozległej połoninie zobaczyli światła schroniska.

– Wszyscy są? – chciał się upewnić Kazik.

– Krzychy zostały – odpowiedział Tadeusz.

– Kurtka modna. Z nimi tak zawsze. Chyba pójdę ich szukać.

– Na pewno nic się nie stało. Oni się tylko godzili. Poczekajmy zresztą z dziesięć minut.

Na otwartej przestrzeni było o wiele zimniej. Podskakiwali trochę dla rozgrzewki, „zabijali” rękoma, a Kazik bez przerwy pomstował na maruderów. Kiedy jednak „Krzychy” wychyły z lasu, beztrosko gaworząc, zdobył się tylko na zjadliwe:

– Oj, czekaj, Krystyna, wszystko powiem mamie.

Do tego okrzyku, powtarzanego potem ciągle przy byle okazji, ograniczały się opiekuńcze funkcje Kazika na kursie. Wykombinował dla dziewcząt mały, dwuosobowy pokój i zostawił swojemu losowi. Już po pierwszym dniu ćwiczeń, kiedy Kazik zaczął je wraz z resztą kursantów przeganiać po „oślej łączce”, wymyślając coraz dziwniejsze synonimy słowa „nie-dolega”, Krystyna zbuntowała się i powiedziała:

– Wiesz co, Kazik, bardzo cię lubię prywatnie, ale jako instruktor jesteś niemożliwy. Znęcaj się nad swoimi urzędowymi owieczkami, ja wolę, żeby mnie uczył Krzysztof.

– Wcale się nie dziwię. Na pewno ma wszechstronniejszy program. Ale powiem mamie?

Joasia wytrzymała dwa dni dłużej. Ćwiczyli na stoku koło schroniska płużenie i łuk z pługu. Kazik stał w połowie stoku i głośno komentował wyczyny kursantów, pokornie starających się zatrzymać przy jednym wbitym w ziemię patyku, a wytwornym łukiem omijać inne. Komentarze Kazika nie liczyły się z godnością osobistą kandydatów na Marusarzy, toteż Joasia z niejaką obawą ruszyła do kolejnego zjazdu. Zatrzymała się w wyznaczonym miejscu z dokładnością do jednego metra, łuk wyszedł tak mniej więcej, ale raczej mniej niż więcej w jej przekonaniu. Zdziwiła się więc, kiedy Kazik zawołał:

– No widzicie, nieszczęsne kreatury, że można się nauczyć skręcać. Jeśli takie nieletnie ciele się nauczyło...

Zastanawiając się, czy obrazić się za „nieletnie ciele”, czy cieszyć się z pochwały, przestała na chwilę myśleć o nartach.

– Hej, gdzie cię niesie? – usłyszała głos Kazika.

Niosło ją w las zamykający ośłą łączkę. O rany, rozkwaszę sobie nos na następnym – pomyślała przelatując koło pierwszego drzewa. No proszę, dzieją się cuda – minęła świerk w bezpiecznej odległości. – Chyba ta choinka zakończy mój genialny szus. Ale choinka zastała w tyle, z nie naruszoną śnieżną czapą. Czyżbym umiała jeździć? Jeśli mi się uda zatrzymać na taniej polance. Podrzuciło ją na małej muldzie, przygięła kolana, wyprostowała się znowu. — Jasna cholera, przecież to zupełnie proste. Hej, ja mam talent, trallalla! – zaśpiewała zatrzymując się w przewidzianym miejscu. – To ci heca, no! Trallalla, gwizdę na Kazika. Co ma mną poniewierać. Od południa jeżdżę z Krzychami i tamtym drugim. No, Uruska, widać, że nadajesz się jeszcze do czegoś poza nieszczęśliwą miłością!

Wróciła na obiad w doskonałym humorze.

– Panie Krzysztofie, przechodzę od dziś pod pana kierownictwo – oznajmiła zaraz przy zupie. – Stwierdziłam, że Kazik mi ideologicznie nie odpowiada. Już nie mówię, że nie docenia, ale po prostu nie na moim poziomie.

Kazik się oburzył.

– Też coś? Omal dziś nie zdemolowała lasu i jeszcze nosa zadziera. Krzysztofa ci się zachciewa? Krystyna, co ty na to?

– Z przyjemnością bym go odstąpiła. Żebym tylko miała kogoś na zastępstwo...

– No, przecież jest Tadeusz! – palnęła Joasia. Tadeusz spojrzął na nią znad talerza dosyć dziwnie. Obrząził się? E, przecież nie miał o co!

– Nie, Tadeusz się nie nadaje – wmieszał się Krzysztof. – On jest stworzony na tego trzeciego, na przyjaciela domu. Pilnować bagażu, zamówić pokój, poszukać czwartego do brydża. Pod tym względem jest niezastąpiony.

– Panie Tadeuszu, i pan się zgadza na taką rolę osiołka Porfiriona? – zapytała Joasia.

– Nie mam ważnych powodów, żeby się zbuntować. Co mi szkodzi wreszcie.

– Popatrzcie, to on tak tylko z łaski – zawołał Krzysztof. – Tadziu, a może nam zdradzisz, jakie by to mogły być ważne powody, żebyś się zbuntował?

– A mogłyby być, wszystko się może zdarzyć – powiedział Tadeusz łagodnie, ale z jakąś taką nutką w głosie, że Krystyna szybko wtrąciła:

– Dajmy spokój biednemu Porfirionowi, bo się zdenerwuje. Dokąd jedziemy po południu?

– Na Śnieżnik, tam jest najdłużej jasno.

– Tylko nie przelećcie na drugą stronę, bo ja was u WOP-u nie będę wypraszał! – upomniał Kazik. Wyszli zaraz po obiedzie, żeby nie tracić dnia. Krzysztof niósł narty Krystyny, więc Joasia czuła się trochę pokrzywdzona, że musi dźwigać swoje. Oczywiście wcale mi nie zależy – myślała – ale ten Tadeusz mógł przynajmniej zapytać. Pewnie jest zły za tego osiołka Porfiriona.

Wyprawa na Śnieżnik nie bardzo się udała. Na szczycie było wszechstronnie lodowato, bo i zimno, i niebo szkliste i nieprzyjemne, i śnieg podmarznięty.

– Gips przewiany – powiedział ponuro Tadeusz. – Musimy zjechać niżej, do lasu.

– Posuniemy z Krystyną naprzód, a wy trochę poczekajcie, żebyście nas gdzieś nie rozjechali – zakomenderował Krzysztof.

Joasia i Tadeusz posłuchali bez słowa. Dopiero gdy tamci skryli się w młodych świerkach, Tadeusz powiedział:

– Zdaje mi się, że oboje jesteśmy osiołki Porfiriony.

– Właśnie. Takich dwoje „trzecich”.

– Zawsze we dwoje raźniej, prawda? Niepotrzebnie kantuje pani deski – zmienił temat. – Jest zasada, żeby operować samym ciężarem ciała. Ja panią jutro nauczę.

– To brzmi groźnie.

– Musimy sobie wymyślić jakieś zajęcia, żeby tamtym nie przeszkadzać.

– Ale teraz możemy już chyba zjeżdżać? – Proszę, niech pani jedzie naprzód.

– Wolę za panem. Ja się na pewno będę walić co dziesięć metrów, więc i tak albo by mnie pan minął...

– Albo nie minął, co byłoby jeszcze gorsze. Wobec tego proszę się trzymać moich śladów.

Klasyczny, równy ślad Tadeuszowych nart prędko znikł, nie wskutek zmierzchu, tylko rozpaczliwego płużenia Joasi, która wśród głązów i drzew, w dodatku słabo widocznych, jechała z ostrożnością godną prababki. Dopiero na hali nad schroniskiem nabrała odwagi. Dała sobie spokój z hamowaniem, a kiedy od pędu i mroźnego powietrza zaszyły jej łzami oczy, zdobyła się na to, by na chwilę oderwać wzrok od drogi i przetrzeć je wierzchem rękawicy.

Tadeusz czekał przed schroniskiem. Otrzepywał brzoszową miotłą buty i spodnie, ale nart jeszcze nie zdjął. – Wie pan, to była jazda. Zupełnie co innego niż na oślej łączce albo na tamtej ślizgawicy na górze. Chyba sobie zjadę jeszcze raz.

– Świetnie – ucieszył się Tadeusz. – Też miałem ochotę, ale myślałem, że pani jest zmęczona. Podchodzimy?

Joasi nie przyszło do głowy, że Tadeusz mógł przecież spokojnie sam pojeździć. Po powrocie powiedziała mu wprawdzie „dziękuję za obstawę”, ale poszła od razu na górę, zostawiając obstawę własnemu losowi.

A jednak z przyjemnością zwałę te buciory i włożę pantofle – myślała, ściągając po drodze rękawice i czapkę. – Kolacja będzie chyba za dobrą godzinę, to moje potłuczone kończyny przyjdą do siebie na łóżku. Ciekawa jestem, kiedy ten zamek przestanie się zacinać – przystanąła na ostatnim stopniu, by uporać się z błyskawicznym (właśnie!) zamkiem od wiatrówki. Kładąc dla większej swobody ruchów rękawice i czapkę na poręcz, spojrzała w mroczny korytarzyk prowadzący do ich pokoju. W tej chwili drzwi od pokoiku otworzyły się i przy świetle padającym z wnętrza rozpoznała Krzysztofa.

Mógłby choć dla przyzwoitości zapukać – pomyślała. – Trzeba się pośpieszyć, bo jak się rozgości, to go żadna siła nie wyrzuci. A zresztą – machnęła ręką – niech się cieszą – i zawróciła na dół. W progu jadalni spotkała Tadeusza, który niezdecydowanie rozglądał się po sali. Popatrzył ze zdziwieniem na Joasi skafander i buty (sam już się przebrał), potem się uśmiechnął, ale powiedział tylko:

– Ping-pong zajęty, szachy też. Siądźmy gdzieś na boku, może coś się zwolni.



Usadowili się przy swoim stole we wnęce. O tej porze jadalnia była jeszcze pusta, każdy z wchodzących kierował się ad razu do świetlicy obok, najwyżej ktoś zatrzymywał się na chwilę przy bufecie po papierosy. Tadeusz i Joasia chwilę milczeli. Nie, Szekspir się w tej chwili nie nadaje – myślała Joasia. – Ani żadna inna literatura. Nie można się powtarzać. Niech on teraz gada.

– Ciekawa jestem, jak pan zmontował ten wasz domek we Wrocławiu? – chwyciła się pierwszego lepszego tematu.

– A, proszę pani, to było moje życiowe osiągnięcie. Zresztą nigdy bym się do tego nie zabrał, gdyby nas gospodarz nie wyrzucił z mieszkania, i to z dnia na dzień.

– Musieliście zdrowo narozrabiać.

– Nie, tylko mieliśmy pecha. Oblewaliśmy pierwszy zdany egzamin, wie pani, człowiek się wtedy zawsze musi wygłupić. Któryś z kolegów postawił butelkę na otwartym oknie, ktoś ją popchnął i zleciała z drugiego piętra. Drobiazg, choć niby wódki szkoda. Ale na nieszczęście przechodził tam akurat milicjant i butelka mu trochę przekrzywiła daszek. Rany boskie, co się potem działo! O mało nie zamknęli gospodarza, nas ciągaliby po komisariacie, a jak wróciliśmy, nasze rzeczy stały już na korytarzu. Tłumaczyliśmy się, że i tak się wyniesiemy, ale chcemy jeszcze przez resztę nocy pospać. „To śpijcie w gruzach” – poradził nam ten miły człowiek.

– Przecież nie miał prawa.

– Prawa to on faktycznie nie miał, ale miał brata docenta, więc trzeba było pożegnać uroczy apartament Zresztą był czerwiec, ciepło i przespaliśmy się w gruzach nawet przyjemnie. Tak się przywiązałem do nici że od rana wziąłem się do porządkowania. Musi pani kiedyś przyjechać zobaczyć to dzieło. O, najpierw wyglądało to tak...

Tadeusz wziął papierową serwetkę i zaczął szkicować fazy odbudowy domku. Joasia słuchała początkowo przez grzeczność, potem ze szczerym zainteresowaniem.

– Ale o superkomforty to już się starał Krzysztof – kończył opowieść Tadeusz. – Może pani sam opowiedzieć, bo właśnie idzie.

Joasia odwróciła się w stronę drzwi. „Krzychy” szły przez salę z minami jak gdyby nigdy nic.

– No tak; ona ma oczy błyszczące, on maślankowate. W porządku, prawidłowo! – zauważył półgłosem Tadeusz.

Krzysztof widać spodziewał się komentarzy w tym rodzaju, bo od razu przeszedł do ofensywy:

– A, tuście się zadekowali! Pani Joasiu, niech mi pani nie zabiera przyjaciela.

– Nie bój się, nie zabierze! – zawołała Krystyna. – Ona się kocha smętnie i na wieki wieków w koledze z klasy. W takim anielskim blondynku z romantyczną czuprynką, niesłychanie intelektualnym.

– Ty... – wykrztusiła Joasia. – Ja...

– On, ona, ono – dokończyła Krystyna. – Czego się złościysz? Może kłamie?

– Mogłabyś sobie darować głupawe charakterystyki.

– Aha, obraza świętości. Przepraszam, przepraszam...

Joasia przygryzła wargę. Spojrzała Krystynie prosi w oczy i w stała bez słowa.

– Gdzie lecisz?

– Po kubki, zaraz zaczną wydawać kolację.

– Proszę siedzieć, ja przyniosę – mruknął Tadeusz.

Po jego odejściu Krystyna powiedziała po raz trzeci „przepraszam”, już zupełnie innym tonem:

– No dobrze, głupstwo – odpowiedziała Joasia. Ale nie miała ochoty rozmawiać z nią tego wieczora i zaraz po kolacji poszła z Tadeuszem grać w ping-ponga. Jemu też jakoś nie było do gadania i wymieniali tylko suche „14 : 12”, „zmiana”, „net”, „do 18”, tłukąc seta za setem

bez końca, aż wreszcie kierownik schroniska zwrócił im uwagę, że od dziesiątej obowiązuje cisza nocna i on niestety musi zamknąć świetlicę.

Rano „Krzychy” zupełnie nie mogły się wyguzdrać, więc Krzysztof, zniecierpliwiony Tadeuszowym przynaglaniem, zdecydował:

– Jedźcie sami naprzód, znajdziemy was po śladach! :Nie znaleźli oczywiście i Joasia całe przedpołudnie „pędzowała” samotnie na słonecznym stoku. Tadeusz co jakiś czas pokazywał się na polance, obserwował chwilę jej wyczyny, poprawiał błędy („bo najgorzej raz się czegoś źle nauczyć”) i przepadał gdzieś w lesie.

On jest zupełnie fajny – stwierdziła. – Nie wrzeszczy jak tamci i nie traktuje człowieka jak dziecinę wszechstronnie niedorozwiniętą. I człowiek czuje się różnie, jak jest gdzieś w pobliżu, a równocześnie nie ma się wyrzutów sumienia, że kogoś krępuje. Wcale się nie dziwię, że go Krzysztof wszędzie z sobą ciągnie.

Tym razem zresztą Krzysztof akurat nigdzie Tadeusza nie ciągał. Na mocy milczącego porozumienia już jakiś kwadrans po wyjściu ze schroniska gubili się w górach, przy czym inicjatorem ucieczki niekoniecznie bywał Krzysztof. Tadeusz wynalazł w lesie niewielką, ale długą polankę przed opuszczonym domkiem myśliwskim i tam spędzali z Joasią całe przedpołudnie. Polanka łączyła się ze stromą i krętą ścieżką, którą można było w kilkanaście minut dojechać do szosy i okrężną drogą wrócić do schroniska. Nazwali ją z przymrużeniem oka nartostradą, wyszukiwali zresztą i inne szlaki, czasem zwyczajnie włóczyli się po lesie, rezygnując z emocji zjazdowych. W południe, jeśli było ładne słońce, siadywali na próchniejących schodach myśliwskiego domku, obgadywali trochę „Krzychów”, Joasia niekiedy wyciągała Tadeusza na okupacyjne wspominki (a miał dar dramatycznego, choć trochę bezosobistego przedstawiania wypadków) albo bardziej dla siebie niż dla towarzysza wygłaszała dłuższe monologi o literaturze, wypowiadając te myśli i sądy, których nigdy nie miała odwagi ujawnić przy Marku. Któregoś dnia przy takiej pogawędce, kiedy Tadeusz zapalał papierosa, powiedziała:

– A może niech mi pan też da jednego. Kiedyś wreszcie trzeba zacząć.

– Już dawno panią namawiałem. Proszę.

Stwierdziła, że palenie papierosów przychodzi jej o wiele łatwiej niż „christiania równoległa”. Niedługo potem, właśnie przy tej nieszczęsnej christianii, złamała kijek. „Kara boża za palenie” – przemknęło jej przez myśl.

– Ale widzi pan, on już był pęknięty – tłumaczyła się strapiona. – Tu jest ślad starego nadłamania, ja go tylko wykończyłam.

– Głupstwo, nie ma się czym martwić. Żeby to był jakiś bambus, to jeszcze. Ale zwykły leszczynowy kij... Pod Międzygórzem rośnie tego cała masa.

Powrót do schroniska nie należał do najprzyjemniejszych – po kopnym śniegu nie można było iść bez nart, a podchodzenie o jednym kijku okazało się bardzo uciążliwe. Przyszli do jadalni, kiedy zupa już dymiła z talerzy, powitani znaczącym „oho” pozostałej czwórki.

– Coś mi się widzi, że zamiast na Krystynę, będę musiał uważać na ciebie – pokrzykiwał Kazik, a Krzysztof zaczął opowieść, raczej fantastyczną, jak to z Krystyną ich szukali i szukali.

– Ale po południu już nam nie zwiejecie – zakończył. – W każdym razie na Tadeusza nakładam areszt domowy.

– Bo co?

– Jak to się sprawdza, że szczęśliwi nie liczą czasu. Zapomniałeś, że dziś Sylwester?

– Widać pan nieszczęśliwy, skoro pan pamięta – wtrąciła Joasia. – Ostrożnie z przysłowiami.

– No i cóż z tego, że Sylwester? Goliłem się rano, spodnie mam wyprasowane...

– Ależ nie chodzi o twoją aparycję, tylko o to, żebyś zradiofonizował tę starą budę.

– Uprzejmie dziękuję za zaufanie, ale chcę spać spokojnie. Samo radio ryczy i tak dość głośno.

– Nie, tylko podłączysz głośnik tu do jadalni. Przecież jak wszyscy naraz wypełzną wieczorem, to świetlica nie wystarczy.

– I z czego ja niby mam zrobić tę radiofonizację?

– Są jakieś elementy.

Tak więc Tadeusz od obiadu miał zajęcia po uszy, jeszcze go wrobili w efekty świetlne. Krystyna oznajmiła, że zabije każdego, kto by ją przed piątą zbudził, wobec czego Joasia zabrała bez pytania jej kijki, wsadziła do kieszeni pożyczoną od Tadeusza finkę i ruszyła na wyprawę po leszczynowy pręt.

Przed schroniskiem nie było nikogo. Słońce błyszczało nad linią lasu na Śnieżniku, śnieg pocięty śladami nart w przedziwne trójkąty nie iskrzył się jak przed południem, ale, zmatowiały już, wchłaniał barwy nieba, błękitnawy w cieniu, złoty tam, gdzie padały późne promienie. Joasia spozjrzała na miedziany krąg nad szczytem.

Dzień krótki – pomyślała. – Trzeba się spieszyć. Po prostej drodze narty niosły spokojnie, z lekkim szmerem, który był jedynym słyszalnym głosem życia w pustym wąwozie. Znowu zakręt, szary las, w głębi zupełnie ciemny i nagle wielka poręba, z lewej zakończona rudymi skałami. Nad drogą błysnęło słońce, jak rozpalone żelazo w czarnych kleszczach świerków zbiegających z obu zboczy na krańcu poręby.

Tu już powinna być leszczyna – Joasia zahamowała popatrząc na krzewy przydrożne. – O, chyba tam.

Zdjęła narty i wbiła w głęboki śnieg. Zapadła po kolana, wygrzebała się, podeszła do leszczyny i chwilę, zerkając na tkwiące opodal kijki, szacowała pręty. Wybrała wreszcie, nacięła dookoła, przygięła, przemarznięty pręt trzasnął głucho. Teraz tylko ściągnąć paskami narty, kijki i pręt i można wracać.

Czerwone słońce już dotykało drogi.

Zaraz zajdzie i skończy się ostatni dzień roku. I ostatni dzień lat czterdziestych. Boże, co to były za lata! Wciąż się człowiekowi wydawało, że zaraz się zacznie inne życie – albo zupełnie beznadziejne, jak w 41, kiedy mamusia umarła, albo nareszcie szczęśliwe – jak się wojna skończyła, jak w 47 wrócił ojciec. Albo takie poważne i bez złudzeń, kiedy przyjechała do Wrocławia. Za każdym razem myślał człowiek, że już nic ważniejszego nad to nie może się zdarzyć, a jednak się zdarzało. W zeszłym roku nie miałam innych zmartwień poza tym, żeby się wybić w szkole i im wszystkim pokazać. Ale potem w Karczawie nawet nikomu nie powiedziałam, że dostałam nagrodę, a teraz już szkoła nic mnie nie, obchodzi, choć to niby matura i w ogóle. No, marsz do góry.

Przy pierwszych świerkach zamykających porębę obejrzała się jeszcze raz. Słońce już zniknęło, podniósł się wiatr, który strząsał śnieg z ogołoconych kalin na wykrotach. Białe kłębki sunęły z wolna w szklistym powietrzu, rozsypywały się zaczepiwszy o gałązki albo o szerniałe, przemarznięte grona kalinowych jagód. Z najbliższej kępy zerwał się jakiś .ptak i zdmuchnięty śnieg zawirował wokół drzewa jak ómy.

Joasia uprzytomniła sobie, że przecież parę miesięcy temu była już w tym samym miejscu, z Leszkami, Basią... Kaliny były wtedy czerwone, huczał potok, którego teraz wcale nie widać spod lodu i śniegu, a Krystyna mówiła: „Głupi ten twój Międzyrzecki”.

I pomyśleć, że wtedy jeszcze sprawa była do wygrania – myślała. – Gdybym się uparła, mogłabym się jednak nie zakochać. Nawet wtedy miałam dosyć powodów, żeby nie leżeć w tę przygodę, a co dopiero, gdybym wiedziała, jak to będzie. To znaczy, nawet tak sobie to wyobrażałam, ale co innego wyobrażać sobie, a co innego przeżyć. W każdym razie nie myślałam, że tak ciężko człowiek odczuje Marka, no, niezycliwość. Trudno, przepadło. Popatrz lepiej na ten śnieg, zawsze się człowiekowi lżej robi na sercu, jak widzi coś ładnego. To też coś warte.

Ale urok górskiego zmierzchu był raczej melancholijny niż krzepiący. Wśród wysokich świerków było po prostu ponuro, więc przyspieszała kroku, a poczuła się wręcz nieswojo, kiedy nagle zza zakrętu wyłoniła się czarna sylwetka narciarza. Usunęła się na skraj drogi, żeby go przepuścić, kiedy narciarz zahamował. Poznała Tadeusza, zanim się odezwał.

– Cóż pana tu zniosło?

– Ja się o to pytam. Jak można się pchać w góry samopas i na noc? Trzeba mi było powiedzieć.

– Po pierwsze nie na noc, tylko na popołudnie, po drugie pożyczalam od pana finkę, to się pan mógł domyślić, po co.

– Właśnie się domyśliłem, ale za późno.

– Co znaczy za późno? Mógł się pan wcale nie domyślić i nawet nie zauważyć, że mnie nie ma w schronisku, i nic by się nie stało.

– A jakby się stało? Przecież mogło panią znieść z drogi w las, a jakby pani utkwiała gdzie ze złamaną nogą, toby pani dopiero wiosną spłynęła do potoku. Nie wolno chodzić po górach bez opieki.

– Tam, takie góry. I bez opieki? Proszę pana, ja od czterdziestego pierwszego chodzę bez opieki po świecie i jakoś mnie diabli nie wzięli. A w ogóle, skąd panu nagle – chciała powiedzieć „do opieki nade mną”, ale urwała. Nie miała ochoty usłyszeć odpowiedzi na to pytanie.

– Lepiej by pan pilnował radiofonizacji.

– Skończę ten cyrk za pół godziny – odpowiedział z przechwałką. – I jeszcze ten nieszczęsny kijek pani oprawię jak należy.

Joasia znowu miała ochotę powiedzieć „obejdzcie się”, bo już była zła. Przyszło jej jednak do głowy, że efekt będzie lepszy, jak się szybko sama z tym upora i dopiero wtem powie, że nie trzeba.

Tadeusz związał swoje narty i mimo oporów wziął Joasine.

– Skoro ma być ta zabawa wieczorem, nie może pani być kompletnie skonana.

– Żeby pan czasem nie był.

– Spokojna głowa.

Szli w milczeniu cały czas. W schronisku Tadeusz od razu przepadł w swoim pokoju, więc Joasia przestraszyła się, że może mu być przykro. Ostatecznie trzeba cenić dobrą wolę. Zabrała się do oprawiania kijka, ale już bez zamiaru demonstrowania swojej niezależności, i kiedy Krystyna powiedziała:

– Po co się z tym paprzesz, od czego mamy chłopaków? – odrzekła szczerze:

– Chłopaki też ludzie, nie można ich nadużywać.

– Z taką filozofią daleko nie zajdziesz. Lepiej byś sobie przygotowała jakieś szaty na wieczór.

– Właściwie to nic nie mam. A zresztą nie warto.

– Oczywiście, nie warto, bo nie ma nieporównanego Marka. Pokaż, cielęcino, co masz w plecaku.

– A zobacz sobie.

Krystyna zniknęła za drzwiami szafy. Joasia kończyła spokojnie przybijanie rzemiennej pętli do kija, odpowiadając monosylabami na okrzyki oburzenia głucho dźwięczące za dyktą drwi.

– I spódnicy żadnej nie zabrałaś?

– Nie.

– Ciemna masa małorolna. Gdzie masz tę chustkę od Belgijek?

– We Wrocławiu.

– No, to wystąpisz chyba w bluzie od pizamy, bo nic oryginalniejszego tu nie widzę.

– Trudno, zgodzę się na banalność.

– Ale ja się nie zgodzę. Czekaaj, już cię urządzę.

- Nie wątpię.
- Nie wąp i idź po żelazko.

Joasia oparła kijek o taboret z miską, przyjrzała się jeszcze z satysfakcją swemu dziełu i poszła. Oczywiście żelazka nie można było dostać i mogła być rada, że zamówiła sobie kolejkę do tego bezcennego w danym momencie sprzętu domowego.

- Za dwadzieścia minut będzie – oznajmiła po powrocie.
- Trudno, świetnie. Wymyśliłam dla ciebie strój galowy. Spodziewam się dozgonnej wdzięczności.
- To się okaże.
- Zostaniesz w tych spodniach, co masz...
- Narcziarskie są nowe.
- Ale te mają przyzwoite kanty i w ogóle fason. I włożysz ten sweter.
- Przecież to Maćka pulower. Wzięłam go tylko na wszelki wypadek, jakby był wielki mróz. Usmażę się, jak go wciągnę na bluzkę.
- Toteż obejdzie się bez bluzki. Czarne spodnie, rudy sweter z dekoltem, kreacja wyprzedzająca epokę!
- Dobrze, tylko ten epokowy sweter jest trochę za duży.
- Właśnie. A Belgijki w jakich chodziły?
- Dobrze, że tu nie ma Wilkołka, bobym się musiała spowiadać z kosmopolityzmu.
- A innych zastrzeżeń nie masz?
- Nie, tego przynajmniej nie trzeba prasować. Idź sobie pod piętnastkę po żelazko, a ja do kolacji pograżę się w sny tajemnicze.

Otwarte drzwi od szafy zasłaniały żarówkę i Joasia zasnęła, nie wiedząc, jak i kiedy. Obudzili ją dopiero gong na kolację. Zamknęła nagą szafę i zobaczyła Krystynę ubraną w szeroką, czarną spódnicę i ciemnozieloną bluzkę z obcisłymi rękawami. Odwiązywała właśnie ostatnie papiloty.

- Co za zgnily Zachód! Nie wstyd wam, koleżanko?
- Nie. Ubieraj się szybko, bo zaraz przyjdą chłopaki.

Z toaletą Joasi nie było dużo zachodu i kiedy rozległo się pukanie, siedziała spokojnie na poręczy łóżka, doradzając Krystynie:

- Lewy szew zanadto w prawo.
- Zaraz, zaraz – krzyknęła Krystyna w stronę drzwi i poprawiła pończochę. – Już!

Weszły „chłopaki”. Krzysztof był w ciemnym garniturze, Tadeusz w swetrze, ale w białej koszuli. Zlustrowali się wzajemnie w pierwszej sekundzie, po czym Krzysztof powiedział:

– Ho, ho! Każda w swoim rodzaju. Będą nam zazdrościć, co, Tadziu? Ale chodźmy już, jestem głodny jak pies, a kolacja spóźniona o półtorej godziny.

„Krzychy” wyszły pierwsze. Tadeusz przystanął, żeby przepuścić Joasię, i spostrzegł skończony kijek.

- Ale pani uparta! – mruknął.

Kierownictwo schroniska dołożyło starań, żeby sylwestrowa kolacja była okazała: parówki z unrrowskich remanentów, sałatka i masy pracochłonnych kanapek. Nic dziwnego, że przygotowanie tego wszystkiego trwało tak długo.

– Kanapek nie ruszajcie – zastrzegł Kazik, gdy siedli do stołu. – Będą na zagrychę o północy!

- O rany – jęknął Krzysztof. – Dwie godziny czekać!

Ale te dwie godziny przeleciały szybko – studenci z kursu byli od pierwszej chwili w karnawałowym nastroju i co niecierpliwsi tańczyli już wtedy, gdy inni jeszcze kończyli parówki. Krystyna i Joasia były daleko od stolika i od swoich, kiedy nagle zgasło światło i rozległo się uroczyste walenie w gong. Podniosły się okrzyki „do siego roku”, „żeby nam się”, „niech żyją

lata pięćdziesiąte”, ściskano ręce i składano życzenia po ciemku, wszystko jedno komu. Wreszcie przebrzmiało dwunaste uderzenie, zapaliło się światło. Koło Joasi znalazł się Kazik:

– Chodź szybko, gdzie się pętasz, kanapki czekają. Kanapki, jak kanapki – Kazika najwięcej ciągnęło do wyczarowanych chytrze szklanek z czerwonym winem.

– Więc, koledzy i przyjaciele – zaczął, podnosząc szklankę. – Witamy Nowy Rok. Cieszymy się, czyli gaudeamus!

Studenci huknęli od razu „iuvenes dum sumus” i przy wtórze pieśni i dzwonieniu szklanek rozpoczął się rok 1950. Znowu włączono radio, z Warszawy ktoś przemawiał, więc jakiś znający się na rzeczy chłopak złapał Monte Carlo.

– Panowie, jesteśmy tu prywatnie. Ideolo została we Wrocławiu. Pozwalam wam tańczyć boogie-woo-gie! – ryknął Kazik, porwał żonę i przepadł w tłumie.

– Kończmy to wino, szkoda muzyki – popędzał pozostałych Krzysztof. – Panno Joasiu, no, do dna. – Krzysztof, skoro jest wino... – powiedziała Krystyna – wypilibyście z Joasią bruderszaft, już mnie nudzi ta wasza etykieta.

– Właśnie. Skoro Krystyna mnie rozgrzesza... Zbliżył się do Joasi ze szklanką, skrzyżowali ręce, wypili i nim Joasia zdążyła postawić szklankę, objął ją i pocałował.

– Więc mówmy sobie ty.

Joasia speszona popatrzyła na Krystynę, ale ta widać była przyzwyczajona do takich obrzędów i okiem nie mrugnęła. Dla Krzysztofa też był to chleb powszedni, bo zaraz krzyknął:

– Krzycha, o rany, rumba negro! Chodź! – i schwyciwszy ją za rękę pobiegł w największy ścisk.

Joasia powoli postawiła szklankę na stole i trochę ogłupiałym wzrokiem patrzyła na fikające pary. Drgnęła, kiedy za jej plecami odezwał się Tadeusz:

– A ja, czy jestem gorszy?

Odwróciła się w jego stronę. Tadeusz stał oparty o parapet okna, z założonymi na piersiach rękoma. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie, pan jest o wiele lepszy. Od wszystkich.

– Więc, proszę – wyciągnął do niej rękę, nie ruszając się z kąsa między firankami. Joasia podała mu swoją, ale zastrzegła:

– Nie mam już wina.

Tadeusz przygarnął ją do siebie i schylając się nad jej twarzą powiedział cicho:

– To nie jest ważne.

– Właśnie – odparła szybko Joasia. – Możemy sobie mówić per ty bez tego wszystkiego – spróbowała się odsunąć.

– Sama powiedziałaś, że nie jestem gorszy.

Przytrzymał dłonią głowę Joasi. „Jaki on silny” – przemknęło jej jeszcze przez myśl; zanim ją pocałował. Ledwie poczuła jego wargi, chciała szarpnąć głowę w tył i zaniechała tej próby równie szybko. A wreszcie, niech się dzieje, co chce.

Odsunęli się od siebie dopiero, jak muzyka się urwała. Krystyna z Krzysztofem, wciąż trzymając się za ręce, zbliżali się do wnęki.

– Ach, wy, gapy, tak tracić czas zamiast tańczyć – łajał Krzysztof.

– Tadeusz, poprawisz się, jak zagrają tango? powiedziała Joasia straszliwie sztucznie.

– Oho, oni są już na ty! – zauważyła Krystyna.

– E, taki bruderszaft bez świadków to nieważne! Powtórzyc! – zawołał Krzysztof.

Krystyna spojrzała z ukosa na stojących pod oknem. – Coś mi się widzi, że więcej niż ważny. Bogu dzięki.

– Co Bogu dzięki? – zaperzyła się Joasia.

– A nic, tak w ogóle – odpowiedziała Krystyna i uśmiechnęła się najchytrzej, jak umiała. – No, macie to wasze tango.

Więc poszli tańczyć. Joasi wypita duszkiem szklanka wina szumiała trochę w głowie, w ogóle miała niejaki mętlik w duszy, ale mimo to dość trzeźwo zauważyła ledwie uchwytną zmianę w zachowaniu Tadeusza. Właściwie dotąd był jakiś taki opiekuńczy wobec niej, oczywiście. Tylko że przedtem miało to charakter raczej sportowy, koleżeński, a teraz zdawał się podkreślać, że ochrania przed zamaszystymi łokciami, przewróconym krzesłem, przenikliwym powiewem zimna z otwartego okna właśnie ją osobiście, jako kogoś bliskiego. A w ogóle, jeśli już mowa o bliskości – trzymał się stale przy Joasi i zadziwiająco sprytnie manewrował i wśród tańczących, i przy stoliku, by mieć okazję ogarnąć ramieniem Joasine barki albo poprowadzić ją parę metrów za rękę. To nie było niemiłe, ale jednak w jakiś sposób krępujące, tak że Joasia parę razy spróbowała mu się zgubić. Ucieszyła się też, kiedy kucharka, wychylając się z okienka przy bufecie, zawołała:

– Proszę państwa, jeśli kto chce kawy, to można zamawiać.

Nie wiadomo skąd wychynął od razu Kazik, zajmując pierwsze miejsce w kolejce. Systemem „podaj cegłę” przetransportował sześć kubków kawy do stolika. Joasia, sprząając pokolacyjny bałagan, myślała: Dobrze, że ma się jakąś przerwę w tych przytulankach pod pozorem upojnego bostona. Poczekam, aż się porozsiadają, i uplasuję się koło macierzyńskiej Zośki.

– Wiecie, ja mam jeszcze na górze zupełnie przyzwoite pierniki – oznajmiła. – Skoczę po nie.

Wracając, spotkała Krzysztofa i Tadeusza stojących z zafrasowanymi minami u drzwi do kotłowni.

– Podniósł cenę, monopolista cholerny! – mówił Krzysztof.

– Kto jest cholerny monopolista? – spytała.

– Palacz. Przytaskał rano z Międzygórza zapas wina i teraz wykorzystuje prohibicyjną sytuację – wyjaśnił Tadeusz.

– Mówi, że ma już tylko włoskie wina. Może one i włoskie, ale kosztują chyba tyle, co w jakim „Moulin Rouge” – dodał Krzysztof. – A przecieć człowiek musi pić w Nowy Rok!

– Musi, nie musi, ale poczekajcie chwilę – zawołała Joasia i poleciała znów na górę. Wyjęła zwitek stuzłotówek, wsunięty do plecaka przez Maćka.

– Macie, chłopaki – powiedziała. – Chyba starczy.

Tadeusz zachnął się.

– Daj spokój, przydadzą ci się na co innego.

– Na co? Na książki dla Mar... – urwała i dokończyła spokojniej. – Nie, to i tak do przepicia. Brat mi dał z przeznaczeniem na tak zwane używanie życia.

– A kiedy tak... – włączył się szybko Krzysztof. – No, to chodźmy po te Chianti czy jak je zwał.

Po chwili wkraczali tryumfalnie na salę. Joasia zobaczyła na moment swoje odbicie w lustrze: pod rękę z dwoma panami w białych, zmiętych koszulach, wymachującymi butelkami.

Jezus, gdyby mnie teraz Marek zobaczył! Hehe! – pomyślała .niefrasobliwie. – Nie byłby zachwycony. Janka też nie. A ciotka...

Wyobraziła sobie minę ciotki i zaśmiała się głośno. Ale wrocławskie wspomnienie jednak zepsuło jej humor. Siedziała między Krzysztofem i Tadeuszem, który oczywiście musiał trzymać rękę na oparciu jej krzesła. Kazik otwierał drugą butelkę, kiedy zdecydowała, że idzie spać.

– Dokąd? – spytał Tadeusz, gdy odsuwała krzesło.

– Na górę. Kawa, papierosy, wino... to za dużo na moje nieletnie ciało. Jeszcze chwila, a zacznę się zwierzać.

– Mnie się możesz zwierzać – powiedział Tadeusz, znowu cicho. – Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

Przyjaciółmi! Rany boskie, jak on to sprytnie wymyślił. Myślałby kto, że prawda. Przyjaciółmi! Świetne!

Z pozornie dobrą wiarą przyjęła jednak tę definicję za obowiązującą, co zresztą nie przeszkadzało jej nazajutrz trzeźwo notować w pamięci wszystkie posunięcia Tadeusza, których nawet nieuprzedzony obserwator nie mógłby oznaczyć etykietą przyjaźni. Czy jeśli ktoś jest moim przyjacielem, musi koniecznie sięgać w taki sposób po zapalniczki, żeby opierać się na moim kolanie? – myślała z niejakim rozbawieniem. – Albo koniecznie zaciągać mi błyskawiczny zamek przy wiatrówce? Albo dotykać dłonią policzków, żeby sprawdzić, czy zanadto nie zmarzłam?

Formalnie wszystko się zgadzało: Tadeusz nie powiedział ani jednego słowa, które by stało w jaskrawej sprzeczności z konwencją przyjaźni, a dla tych nietypowych manifestacji koleżeńskich uczuć wymyślał zawsze preteksty, niezbyt wyszukane, to prawda, ale w każdym razie odróżniające jego postępowanie z Joasią od bezceremonialnych przytulaniek „Krzychów”.

W wigilię Trzech Króli mieli wracać. Dzień był nienadzwyczajny, padał mokry śnieg, zanosiło się na prawdziwą odwilż i może dlatego nikomu nie było żal schroniska. Zdali pościel w magazynie, spakowane plecaki leżały na gołych materacach, nie było co robić do obiadu, który miał być wcześniej, więc oczywiście musiał się spóźnić. Przełknęli wreszcie gorącą zupę i niekoniecznie zupełnie dogotowane kartofle. Kazik po raz ostatni wystąpił w roli wodza, każąc kursantom krzyczeć „hiphiphurra!” na cześć kierowniczkę schroniska, grupa wdzięcznych elewów podrzuciła go z zapalem, ale bez specjalnej pieczołowitości pod sufit i po chwili cały tłum przypinał narty przed schroniskiem. Kazik zatrzymał swoich bliskich:

– Lepiej się nie pchać, niech tamci przetrą szlak. Więc zjechali ostatni, potem jeszcze trzeba było oddać narty w wypożyczalni i do autobusu musieli biec. Okna były zaparowane, robiło się już szaro i byłoby zupełnie smętnie, gdyby studenci z kursu nie ryczeli karnawałowych piosenek:

To napisał Murzyn dla Murzyna  
Jazz!  
Kiedy Murzyn w dechę się urzyna  
Jazz! Boogie-woogie!

W Międzygórzu leżał jeszcze dużymi splachciami śnieg, ale teraz widać było tylko poszarzałe dachy i leniwie sączącą się z rynien wodę, a później zamglone, czarne pola. Na przejazdach, wśród kałuż, stały niekiedy zabłocone auta; a płoty małych stacyjek, zwykle podpierane przez melancholijnych marzycieli o szerokim świecie, służyły teraz za przystań zmokłym wróblom.

Joasia ten przeskok z zaśnieżonych zboczy i przeskok w sam środek nizinnej bezsłonecznej odwilży traktowała niemal jak przepowiednię.

Już widzę, jak to wszystko będzie dalej – myślała stojąc przy oknie w korytarzu. – Palenie w piecu, gonienie tramwajów po tym rozkiszłym śniegu. A w szkole głupie intrygi i zawiści o stopnie, o ile w ogóle nie pójdzie na noże o ostateczny wynik i dobrą opinię. Wcale mnie nie ciągnie do szkoły. Żeby jeszcze człowiek wiedział, że Marek się cieszy na rozpoczęcie lekcji, toby też się cieszył. Żeby miało się jakąś nadzieję, że usłyszy od niego coś innego niż zarozumiałe filipiki przeciw miłości. Choć zresztą... on jest taki filozof. Może wcale wtedy nie mówił tego przeciwko mnie? A co tam sobie głowę łamać, zapalę ostatniego papierosa przed powrotem do przyzwoitego życia.

Wyjęła „lotniki” i pomyślała, że już nie wypali tej paczki do końca. Wsunęła głowę do przedziału:

– Tadek, proponuję ci dobry interes: raz, dwa, jedenaście papierosów za jedną zapalniczkę.



Tadeusz wyszedł też ma korytarz. Palili razem, popatrując w głąb przedziału, gdzie Kazik, siedząc na stoliku pod oknem, dyrygował śpiewającymi studentami:

Chmury się kłębią i płyną,  
Burzę zwiastuje nam wiatr.  
Idzie chłopiec z rozwianą czupryną,  
Idzie samotny przez świat.

– wyciągali tęsknie najnowszy zetempowski szlagier. Tadeusz spojrzął z ukosa na Joasię, chciał coś powiedzieć, ale tylko zaciągnął się papierosem. Potem zamknął nagle drzwi przedziału. Joasia popatrzyła na niego zdziwiona.

– Nie myśl wciąż o tym chłopaku! – odezwał się nieoczekiwanie. – To nie ma sensu.

I jakby dla podkreślenia tej bezsensowności dmuchnął dymem w szybę przedziału.

– Co ty wiesz! – odpowiedziała Joasia.

– Więcej niż ci się zdaje. Mogłabyś sobie wybrać dyskretniejszą koleżankę. Zresztą mniejsza, co wiem. Ale ci dobrze życzę.

Mój Boże, żeby to Marek powiedział – westchnęła w duchu. I rozgoryczenie na Marka połączyło się z dość nieokreślonym uczuciem wdzięczności do Tadeusza: że się nie narzucał, że nie stawiał niczego na ostrzu noża i przy tym wszystkim nie miał urazy, a dobre słowo. Ucisnęła lekko jego dłoń.

– No, wierzę ci. I dziękuję. Zresztą jesteście przyjaciółmi.

I uśmiechnęła się porozumiewawczo, chcąc dać do zrozumienia, że wie, co myśleć o tej przyjaźni, i że ją aprobuje.

W miarę jak zbliżali się do Wrocławia, coraz bardziej żal jej było gór, nart, potańcówek. Nie usiłowała przy wyjściu z dworca zgubić Tadeusza i przeżyła chwilę prawdziwego popłochu, kiedy „przyjaciół”, załadowawszy do taksówki „Krzychów”, otworzył drzwiczki przy kierowcy i ściągnął swój plecak.

– No, to cześć! – zawołała i odwróciwszy się szybko, poszła w stronę przystanku tramwajowego. Usłyszała stukot zatraskiwanych drzwiczek i szum motoru.

No, tak, więc jestem w tak zwanym domu. „Bądź pozdrowione miasto, wielkie i pełne tajemnic” – zacytowała sobie ironicznie Heinego. – Szlag by to trafił!

– Co, myślałaś, że cię zostawię? – dopędził ją Tadeusz.

– Nic nie myślałam.

– A szkoda, trzeba myśleć. Myślę, więc jestem. To ostatnie zdanie powiedział z taką intencją, że nie wiadomo było, czy to cytat, czy osobiste wyznanie o sensie mniej więcej takim: „Ponieważ myślę, więc jestem koło ciebie”. – Chciałem tylko podrzucić Krzychowi plecak, a tyś już mi uciekła – dodał.

W przeciwieństwie do Joasi Tadeusz woale nie wydawał się przygnębiony powrotem do miasta. Przez całą drogę opowiadał o swoich najbliższych planach, że musi od razu wziąć się do pracy, żeby potem, w przerwie semestralnej, mieć czas wyskoczyć w góry, że ma upatrzoną dobrą robotę u jakiegoś radiotechnika, więc się świetnie podkuje finansowo, itp. We wszystkich tych wynurzeniach powtarzały się zwroty w rodzaju: „Zresztą zobaczysz sama, jak do mas się wybierzesz z Krystyną”, „W którąś niedzielę, jak tylko będą warunki, zabiorę cię w Góry Sowie”, a już przed samym domem Joasi powiedział:

– O której wy zwykle kończycie lekcje?

– Bardzo różnie. Tylko w środę zawsze o dwunastej.

– To będę na ciebie czekać przed szkołą, dobrze?

– Dobrze, ale właściwie po co?

– Jak to, po co? Ustalimy sobie jakiś plan zajęć.

– Świetnie. Więc cześć, do przyszłej środy. Dawaj plecak

– Nie, jestem człowiekiem honoru. Jak już niosę, to do samych drzwi.  
Joasia nie chciała się sprzeczać, żeby się nie powtarzać. Weszli na ciemną klatkę schodową.

– Stań z boku, tu gdzieś jest kontakt – powiedziała, macając ręką po ścianie.  
– Pomogę ci szukać.  
Znowu jeden z jego znakomitych pomysłów „w ramach przyjaźni” – pomyślała Joasia, kiedy ich dłonie zetknęły się na kontakcie.

– Nic z tego, widać żarówkę znów ktoś gwizdnął – wyjaśniła.  
– To musisz mnie poprowadzić na dobrą drogę, bo nie znam tych kniei.  
– Tu jest poręcz – wyjaśniła szybko, ale Tadeusz nadal trzymał jej rękę.  
Weszli na piętro.

– Już – powiedziała. – Bardzo ci dziękuję, za to i za całe wakacje.  
Tadeusz milczał i nie puszczał jej dłoni. Jeśli będzie próbował mnie pocałować, walnę w łeb bez litości – postanowiła w duchu, z bijącym sercem.  
Ale nie walnęła. Więcej nawet, zupełnie z dobrej woli przytuliła policzek do jego skafandra.

– To do środy – przypomniał potem Tadeusz, schodząc ostrożnie ze schodów.  
Joasia szybko otworzyła drzwi. Ciotki nie było, więc nie zapalając światła podeszła do okna w kuchni i zobaczyła, jak Tadeusz, świecąc sobie kieszonkową lampką, usiłuje odczytać numer domu.  
A to drań! On przez cały czas miał latarkę!

## 7. Wrózenie z fusów

Po koncercie wyszli ze szkoły we czworo, ale już przy bramie Wilkołek odgarnął rękaw płaszcza i spoglądając na zegarek powiedział:

– A tego, bym zapomniał, muszę z Wandą coś załatwić po linii organizacyjnej.

– No, to leć, bo widziałam, jak już wracała do klasy z auli – Powiedziała Janka. – Jeszcze ci ucieknie.

Wilkołek okręcił się na pięcie i ruszył z kopyta. Janka popatrzyła za nim i zwróciła się do Joasi:

– Widzisz, straciłaś adoratora.

– Za to uszczęśliwiłam Wandę. Już ja wiedziałam, co robię, jak go wysyłałam do niej w sprawie tej afery ze złomem.

– Co za lekkomyślność! – wtrącił Marek. – Adorator zawsze się przyda, choćby dla dobrego samopoczucia.

– Aha, to nareszcie wiem, dlaczego ty zawracasz głowy dziewczętom i skąd twoje dobre samopoczucie.

– Dopiero teraz na to wpadłaś? – zaśmiała się Janka.

– Wiesz, ja miałam na Marka taki idealistyczny pogląd... Przez całe dwa tygodnie rozważałam jego przedświąteczne kazanie o miłości i nigdy bym nie sądziła, że na prywatny użytek ma inne teorie.

– Wy, koleżanko Uruska, nie potraficie myśleć dialektycznie – próbował bronić się Marek, ale Joasia mu przerwała:

– Och, myślę, myślę, trallalla, strasznie dialektycznie myślę.

– Janka, może ty mi powiesz, co się z tą Joanną zrobiło po wakacjach? Od trzech dni jest w takim szampańskim humorze, że nie mogę się nadziwić, gdzie się podziało to melancholijne dziewczę sprzed świąt.

Joasia rzeczywiście, wbrew swoim ponurym przewidywaniom, czuła się w szkole znakomicie, choć trochę dziwnie. Akurat tak, jak się czuje człowiek, kiedy po wielogodzinnych zjazdach i podchodzeniach zdejmuje wreszcie narty i wraca do schroniska: nie zapomniał przecież chodzić, ale jest jeszcze „nakręcony” na zupełnie inne ruchy, rozpędzony wewnętrznie i stawianie zwyczajnych kroków wydaje się jakieś takie śmieszne. Wstawać i mówić chórem z kolegami „dzień dobry” historykowi, wyliczać dywaniki, karabele, skrzynie z dekoracji „Wesela” – i równocześnie mieć żywo w oczach zadymioną salę w noc sylwestrową, studentów ryczących „To napisał Murzyn dla Murzyna”, a przede wszystkim dziesiątki jakby szachowych posunięć w grze w przyjaźń – to przecież może człowieka nieziemsko bawić. Toteż

Joasia odnosiła się do rzeczywistości szkolnej wręcz protekcyjnie, z miną „a ja coś wiem, ale nie powiem”. Opowiadała też dużo i z zapałem o nartach, o swoich wzlotach i upadkach sportowych, nader chytrze jednak przemilczając osobę i Tadeusza. Pojawił się w tych wspominkach tylko jako „jakiś narciarz”, który przetaił szlak albo także wyłożył się na jakiejś .muldzie. Wybrała ten zabieg stylistyczny, żeby się klasa nie czepiała, a także – „żeby w razie czego był lepszy efekt”.

A „efekt” właśnie kupował papierosy w kiosku koło przystanku i Joasia „trallalla” wcale nie wyrażała szczęścia z powodu umiejętności dialektycznego rozumowania, tylko uciechę na myśl, co to zaraz będzie.

– Chyba pojedziemy tramwajem, za wielkie błoto, żeby chodzić – przerwała Markowe wydziwiania.

W tej chwili Tadeusz odwrócił się i zauważył Joasię. Uśmiechnął się i ruszył w jej stronę, ale po dwóch krokach zatrzymał się i uklonił. Joasia powiedziała, niezbyt głośno, do kolegów:

- Zresztą cześć, bo tu na mnie czekają.
- Kto? – spytał Marek, rozglądając się.
- Wysportowany brunet. Do widzenia.

Podeszła szybko do Tadeusza, choć miała straszną ochotę zobaczyć minę Janki i Marka. Za to Tadeusz, witając się z nią, rzucił uważne spojrzenie w stronę pozostałych.

– Widzisz – usprawiedliwiała się – nie udało mi się wykręcić z koncertu, bo wychowawczyni się do mnie przyczepiła i pilotowała do samej auli. Myślałam że nie będziesz czekał.

– Krystyna widać sprytniejsza, bo związała. Spotkałem ją i powiedziała mi o tym koncercie. Czekałem tu, bo myślałem, że pewnie tak wolisz.

– Ach nie, wszystko jedno. Więc co robimy?

– Chciałem cię zabrać na kawę, ale teraz za późno. Chodź, pokażę ci halę AZS, gramy tam wieczorami w siatkówkę. Możesz jutro przyjść? O szóstej.

– Mogę – odpowiedziała bez namysłu.

I tak się zaczęło podwójne życie Joasi. Siatkówka w AZS-ie, ping-pong w świetlicy „Bratniaka”, niedzielne wypadki na Sobótkę albo Wzgórza Trzebnickie, kiedy już wreszcie ustaliła się zima, masa nowych twarzy – studenci politechniki, prawa, WF-u, inna gwara, inne problemy i nieodstępny Tadeusz u boku. Spostrzegła, że kolegów z klasy traktuje tak, jak w zeszłym roku karczewskich przyjaciół – miała dla nich o wiele więcej życzliwości niż w tych chandrowatych miesiącach, kiedy Marek był w sanatorium, ale uważała, że należą już do innego, skończonego etapu. Sama – może i dlatego, że przebywała teraz przeważnie ze studentami – czuła się właściwie już po maturze. Wyobrażała sobie, że tak musi się czuć człowiek, który za kilka tygodni ma na zawsze wyjechać z kraju: płaci oczywiście rachunki za gaz, dyskutuje ze znajomymi, powiedzmy, o zmianach w komunikacji miejskiej, ale paszport w kieszeni odbiera temu wszystkiemu wagę spraw na serio. Joasia zresztą nie zapomniła, że nie ma jeszcze matury w kieszeni. Uczyła się dużo, nawet więcej niż kiedykolwiek, bo zredukowała do minimum wszystkie „straty czasu”. Zaczęła od tego, że wymówiła obiady w bankowej stołówce i poprosiła Tadeusza, żeby ją wkręcił do akademickiej (zysk na czasie – prawie pięć godzin tygodniowo). Skończyły się wędrówki z kolegami od przystanku do przystanku, kilometrowe odprowadzania Janki po szkole, wielogodzinne wizyty u Krystyny, beztrudne pogaduszki o zmierniku. Kiedy umawiała się na wieczór z Tadeuszem, nie wracała po południu na Karłowice (zysk – półtorej godziny), ale odrabiała lekcje w czytelni Ossolineum. Słówek uczyła się w tramwaju, historię powtarzała, stojąc w kolejce po obiad, a w te dni, kiedy nie było w planie ani siatkówki, ani kina z Tadeuszem, przerabiała lekturę, tłumaczyła łacinę, na zapas, żeby mieć potem spokojną głowę. Więc można by powiedzieć – wzorowa uczennica, gdyby nie to, że zupełnie inaczej niż w X klasie, kiedy uczyła się, żeby zdobyć sobie miejsce w szkole, wkuwała teraz, żeby bez przeszkód z tej szkoły wyskoczyć.

Nawet ciotka, mimo zaabsorbowania swoim dyrektorstwem w popołudniówce na Pilczycach, zauważyła, że Joasi podejrzenie często nie ma w domu. Ale kiedy raz i drugi (na pewno nie przypadkiem) wpadła do Ossolineum i zastała Joasię za stosem książek, była wręcz rozczulona.

– Widzę, że traktujesz maturę poważnie – powiedziała, spoglądając na okładkę „Historii ustroju Polski” Kutrzeby. – Tego przecież nie masz obowiązku przerabiać.

Nie przyszłoby jej na myśl, że te lektury nadobowiązkowe były w pojęciu Joasi wybitnie antyszkolne. To miał być kapitał na studia, nie na maturę!

Klasa o wiele wcześniej zmiarkowała, co się święci. Na trop Tadeusza pierwsza wpadła niezawodna w tych sprawach Bożka (Janka i Marek słowa nie pisnęli o scenie przy kiosku) i oczywiście nie chowała światła pod korcem. Joasia trzepała właśnie ścierkę od tablicy, wychylona do granic możliwości za parapet okna, kiedy Marek od progu klasy zawołał:

– Czy Uruska jeszcze nie przyszła? Chciałem...

– Oj, Mareczku, może ty i chciałeś, ale Uruska nie chce! – wpadła mu w słowo Bożka. – Ona teraz już w innych sferach.

Co bliżej stojący nadstawili uszu, oczekując jakichś rewelacji. Ale Joasia już zeskoczyła z okna i kiwnęła na Marka:

– Mam tego Staffa, nie bój się.

Marek wziął książkę i wywiął z klasy, żeby przejrzeć spokojnie zadaną lekturę. Na ten raz więc burza przeszła bokiem. Bożka jednak zdążyła jakoś powiedzieć komu trzeba, że widziała Joasię z Tadeuszem (może wtedy, jak wracali z treningu? – zastanawiała się Joasia. – Że też akurat musieli iść pod rękę!), bo podczas dużej przerwy Zagórski wymalował na tablicy wielkie serce z inicjałami Marka, przekreślone dwiema szerokimi krechami, a pod tym wykaligrafował: „Serce Międzyrzeckiego stratowane przez narciarza”. Po czym stanął przy katedrze i czekał na wejście zainteresowanych. Uczniowie schodzili się powoli, jakoś nikt nie siadał na swoim miejscu i kiedy w końcu wróciła z przerwy Joasia z Janką, koło katedry uformował się już cały krąg widzów.

– Jak ci się podoba moje arcydzieło? – zapytał Zagórski.

Joasia spojrzała na tablicę.

– No, gejzer dowcipu to to nie jest – powiedziała. – Poza tym ślad nart wygląda trochę inaczej.

– Ach, ty, z twoim płaskim realizmem! – oburzył się zawiedziony Zagórski.

Ale liczył, że z Markiem uda się lepiej. Prawdę mówiąc wszyscy liczyli, Joasi nie wyłączając.

Marek obejrzał symboliczny obraz swojej katastrofy sercowej i zawołał z komicznym z troskaniem: – Och, życie, życie! A byłem pewny, że przynajmniej ona będzie mi wierna!

– Widzisz, taki z ciebie Casanova a byle niedopieczony inżynierek cię pobił – cieszył się Zagórski.

– Skąd takie lekceważenie dla twórców nowej ery? – Marek nie dał się zbić z tropu. – Inżynier dzisiaj to jak rycerz w średniowieczu. Zawsze lepiej być pobitym przez takiego niż przez pętaka z IX klasy.

Była to aluzja do nieudanych zalotów Jurka do uroczej smarkuli, która nad splendor niedalekiej dojrzałości Zagórskiego przekładała czarne oczy kolegi z klasy. Nic dziwnego, że zareagował z furją:

– Kto pobity przez pętaka? Może ja? Ja mam w nosie całą IX klasę, wiesz?

– Ojej, biedny nos – zmartwił się Marek. – Taki zagęszczony. Musisz go pilnować.

– Pilnuj ty swego.

– Ależ oczywiście. Jestem ci głęboko zobowiązany za dobre rady.

I na tym się skończyło, bo weszła polonistka. Nie zdążyli nawet zetrzeć tablicy. Podczas sprawdzania obecności Bożka chichotała i tak demonstracyjnie spoglądała za plecy nauczycielki, że ta wreszcie obejrzała się za siebie:

– A cóż to za dramat się wydarzył? – spytała. – La donna e mobile – zanucił z ostatniej ławki Lipski.

Polonistka od czasu do czasu usiłowała pokazać, że sprawy, młodzieży są jej bliskie, więc powiedziała:

– Ale ty, Międzyrzecki, nie wpadaj w rozpacz. Ona na pewno do ciebie wróci.

– Tylko ta nadzieja podtrzymuje mnie przy życiu – westchnął Marek z głębi serca. Kto by go nie znał, pomyślałby, że szczerze.

Ale Joasia go znała. Toteż, jeśli teraz po raz pierwszy od tygodni popatrzyła na niego bez urazy, to nie dlatego, żeby go posądziła o jakiś smutek z powodu jej zdrady.

Zresztą jaka tam zdrada – myślała. – Nie można przecież zdradzić kogoś, dla kogo się zawsze było powietrzem. Śmieszne. Gdybym przyjęła dziś obywatelstwo Ekwadoru, żaden Urugwajczyk nie mógłby mieć o to do mnie pretensji. W porządku. A Markowi trzeba przyznać, że zachował się popisowo. Nawet, powiedziałabym, po rycersku. Bo mógłby powiedzieć: „A dajcie mi spokój, co mnie obchodzi, z kim Joasia romansuje”. Albo rozżłościć się, tak jak Jurek się wściekł o tego „pętaka z IX klasy”. Albo zacząć się ze mnie nabijać. Przecież mógłby mnie zrobić na kompletną idiotkę. Aż się zimno robi na samą myśl. Nie ma co mówić, był stylowy. Powiedział akurat to, co wszyscy chcieliby usłyszeć, ale powiedział tak, że nikt nie wie, co o tym myśleć. On jest jednak nieporównany. Nieporównany, oczywiście, ale co mi z tego.

Na lekcji serce zostało zmasowane i epizod można by uważać za skończony, ku rozczarowaniu Bożki i Zagórskiego. Bożka próbowała jeszcze coś wykrzesać z tej historii, przyczepiła się do Joasi i dogadywała:

– A ty nawet się nie domyślasz, skąd ja wszystko wiem.

– Kiedy, widzisz, ja jestem tak przekonana o twojej wszechwiedzy, że trudno mi w tej mierze coś zaimponować. To coś tak jak z Duchem Świętym: nikogo nie dziwi, że zna najskrytsze plany biednych śmiertelników.

– Ale Marka wzięło, co, przyznaj sama?

– Co go miało wziąć? Markowi nie tak łatwo coś wmówić, choć wmawiacie mu rozmaite bzdury od pół roku. Jeszcze nie zdążyła zauważyć, że on jest ponad takie hece?

– Ho, ho, „ponad”. Ty go tak nie wychwalaj. Co by na to powiedział twój student?

– Wyobraź sobie, ptaszyno, że pewno nic. A poza tym czy nie masz innych zmartwień? Nie? To pofruwaj sobie bez troski! O, widzisz, pół matematycznej wzdycha za tobą na schodach.

Bożka pofrunęła, a Joasia, przystanąwszy przy oknie, zaczęła się zastanawiać, czy śnieg utrzyma się do przyszłej niedzieli. W południe kapie z dachów, pewnie, ale wiatr jest wschodni – kalkulowała. – Na południowych stokach może być ślisko. A jednak muszę to przemyśleć – oderwała się odważnie od meteorologicznych rozważań. – Trzeba mieć jasny pogląd na sprawę. Czy ja chodzę z Tadeuszem jedynie na złość Markowi? Ba, żebym tylko chodziła...

Stanął jej przed oczyma pusty dworzec podgórskiej stacyjki, gdzie przed paroma dniami czekali na pociąg. Narty przy zaśnieżonej ławce, „Krzychy” rzucający na siebie puch z płotu, twarz. Tadeusza, oświetlona ostrym blaskiem łukowej lampy: błyszczące oczy, niebieskawy cień zarostu, dłonie w brezentowych rękawicach, zaciśnięte na jej przegubach. „Joanna, ja cię o nic nie pytam, nie musisz niczego rozstrzygać. Chyba wystarczy, że jest nam dobrze ze sobą?”

Właśnie – wystarczy. Czy trzeba zaraz wszystko przemyśleć? Czy wszystko musi być jasne? Wcale nie musi. Życie w ogóle jest niejasne, więc niby czemu ja mam akurat być „uporzędkowana”?

Ogarnęło ją uczucie podobne do tego, co przeżywała zawsze, kiedy narty nabierały zbyt dużej szybkości: nie patrzeć na boki, nie myśleć o końcu, lecieć naprzód i pamiętać tylko o tym, kiedy przygiąć kolana, kiedy przerzucić ciężar ciała na nartę dostokową. Ważne są tylko sekundy; jak się człowiek zacznie zastanawiać, to się zaryje w śnieg na amen.

I czas leciał: wtorki, piątki – siatkówka, niedziela – góry, geometria analityczna, wojna francusko-niemiecka, śniegi topnieją, Nałkowska, Wasilewska, „Kordian i cham”, w parku Szczytnickim już sucho, Tacyt, protony, neutrony, pierwszy spacer za miastem, przyleciały skowronki, „Noce i dnie”, klasówki, chyba już ostatnie, Tadeusz już nie mówi o przyjaźni, ale jeszcze nie mówi o miłości, nie myśleć o Marku, „tu ne quaesieris, scire nefas”, jak mówi Horacy. Czym się to wszystko skończy?

– Teraz już nie powiesz, że nie możesz ze mną iść, bo błoto – mówi Janka.

– Nie, oczywiście. Wiesz, o wiele ładniej wyglądasz bez czapki.

– Nie zagaduj.

– Zlituj się, co ja mam zagadywać?

– Swoje nieczyste sumienie.

Joasia patrzy na Jankę spode łba:

– Masz mi coś do zarzucenia?

– Pewnie, że mam. Wszyscy mamy.

– Co na przykład?

– Zdradzasz szkołę. Latasz, Bóg wie gdzie i z kim.

– Ale, też! Nie tylko Bóg, ale cała klasa wie, z kim. Wreszcie Hanka Mullerówna też uprawia egzogamię, że się tak wyrażę.

– Dobrze wiesz, że nie o to chodzi. Będziesz rozmawiać poważnie czy nie?

– Nie.

– To nie. To jedź sobie tramwajem.

Janka odchodzi, Joasia patrzy na nią. Niech mi dadzą spokój. Nie lubię, jak ktoś z boku coś woła, kiedy człowiek właśnie szusuje całym pędem.

Ale Janka widać się uparła, żeby „wołać”, bo po kilku dniach, gdy wracały przez boisko z gimnastyki, jak gdyby nigdy nic znowu wróciła do swego, tym razem łagodniej.

– Joasiu, wiesz, że ja się nie lubię wtrącać...

– No wiem.

– Ale ostatecznie mam oczy.

– Masz, faktycznie. Czarne, ładne oczy.

– Daruj sobie i mnie ten ironiczny tonik.

– Dobrze, daruję. Więc?

– Więc widzę, że robisz coś sobie na złość czy jak.

Po co zwiewasz zaraz po lekcjach, pałaszujesz się z tym Mongołem...

– Kto powiedział, że Tadeusz jest Mongoł? Ma wystające kości policzkowe, ale...

– Marek powiedział.

– Co Marka obchodzi rasa Tadeusza?

– Nie wiem, co obchodzi. Ale mniejsza z tym. W każdym razie...

– Niech Marek nie będzie taki pies ogrodnika. Możesz mu to powtórzyć...

– Nie powtórzę, bo na pewno byś żałowała. Ja bardzo lubię Marka i ciebie i nie chcę, żebyście się kłócili. I żeby już od razu, po prostu, wszystko powiedzieć: jak się kochasz w Marku, to nie zawracaj głowy innemu. To nie jest żaden sposób.

Joasia podniosła z ziemi suchą gałązkę i zaczęła ją pedantycznie łamać na drobne kawałki. Po chwili powiedziała już zupełnie niezaczepnie:

- To nie sposób, mówisz? Krystyna jest innego zdania...
- Oj, tę Krystynę toś w złą godzinę spotkała.
- Nie mów, ona jest na swój sposób bardzo życzliwa. A wracając do rzeczy, ja przecież nie mam u Marka żadnych szans, więc...
- Boże drogi, żeby powiedziała, że mam szansę, że Marek jej powiedział. Że na pewno albo przynajmniej, że ma takie wrażenie – modliła się w duchu. Ale Janka powiedziała tylko:
  - To jest małoduszne.
  - A czemu niby ja mam być wielkoduszna?
  - Każdy człowiek powinien być.
  - Kiedyś też tak myślałam, ale teraz mi wszystko jedno. W każdym razie dziękuję ci, że się zajęłaś moim morale.
  - Nie wygłupiaj się?
  - Naprawdę. Mówię szczerze.
  - To wiesz co? Chodźmy na zgodę dziś po lekcjach do muzeum. Jest wystawa ceramiki rokokowej i Marek już dawno się wybiera.
  - Dziś poniedziałek. Muzeum zamknięte.
  - To jutro.
  - Jutro nie mam czasu.
  - Z tobą gadać to jak groch o ścianę. Tłumaczę ci, żebyś puściła kantem tamto towarzystwo, a ty znowu.
  - Ale ja nie mam zamiaru nikogo puszczać kantem. Oni są bardzo mili. I już obiecałam, że będę. Przecież we wtorek jest podkoziółek.
  - Co?
  - Podkoziółek. No, Ostatki, śledź czy jak wy to nazywacie. Poprawię się w wielkim poście.
  - Myślałby kto, żeś strasznie wierząca.
  - Wierząca, niewierząca, ale uważam, że karnawału nie należy kończyć w muzeum.
  - Niby racja. Więc w każdym razie nie uciekaj nam po szkole przynajmniej dziś. Poza wszystkim rzeczywiście musimy omówić trochę klasowych spraw. Przecież za parę tygodni kończą się lekcje, a w maju matura.
  - O tym to pamiętam. Ale wy mnie odprowadzicie na obiad, dobrze?
- Dwie godziny później szli nadrzewnym wałem w stronę stołówkowego baraku. Mieli właściwie przedyskutować sprawę zespołów samopomocowych, która jesienią poszła sobie spokojnie na dno nurtu szkolnego życia, a teraz wychynęła znowu, jak topielec, na fali przedmaturalnych niepokojów. Ale jakoś nikt nie miał ochoty zająć się poważnie nieszczęsnym topielcem: Marek nie, bo go to w ogóle nie obchodzi, Joasia – bo w tej chwili obchodził ją tylko Marek, a Janka – bo wolała wykorzystać tymczasowe zawieszenie broni na stwarzanie podstaw do trwałego trójprzymierza. Więc ustaliła, trochę arbitralnie, że w najbliższą niedzielę zejdą się u Joasi i rzecz gruntownie „rozpracują”.
- Marek rad, że „nudziarstwo” zostało odroczone wpadł w dobry humor.
  - Ech, pomyślcie, czy to nie jest wyrafinowana złośliwość – powiedział, rozpinając płaszcz – kazać nam się uczyć w porze, kiedy każdy normalny człowiek głupieje? Już teraz miałbym ochotę iść tym brzegiem aż do Osobowic; a co będzie za miesiąc, kiedy liście i ptaszki, i w ogóle cudowna harfa przyrody?
  - Nic nie mów na przyrodę – oburzyła się Joasia – żebyś ty wiedział...
  - No tak, cóż ja wiem. Ty to co innego: turnie, źleby, przepaści, szum potoków i jodły na gór szczycie.
  - Joasi nie potrzeba wiosny, żeby zgłupieć – wtrąciła półgłosem Janka.
  - Ach nie, Joasia nigdy nie zgłupieje – Marek wziął koleżankę w obronę. – Nie mogę sobie wyobrazić, żeby kiedyś na przykład nie przygotowała się do lekcji.



– Widzisz, jak ty nie znasz kobiet – przerwała mu Janka. – Kiedyś byłeś w sanatorium, Joasia wręcz odpowiadała profesorom: „Nie przygotowałam się, bo nie byłam w nastroju”.

– Joasiu, załamujesz moją wiarę w ludzi. A ja cię uważałem za stalowego człowieka, podobnego do kapitana McWhirra z „Tajfunu”.

– Też komplement. O tym kapitanie mówi się bez przerwy, że był monstrialnie tępy.

– To do innego kapitana. U Conrada jest ich na kopy, a co jeden to dzielniejszy.

Byli już przy baraku, więc Joasia zaproponowała, by weszli do środka i poczekali, aż zje obiad, a potem wrócą razem do tramwaju.

– Ach nie – zaprotestował Marek. – Nie lubię studentów.

– Przecież za pół roku sam będziesz studentem – zwróciła mu uwagę Janka.

– To wtedy nie będę lubił licealistów, jasne.

– Więc nie idziecie? – upewniła się Joasia.

– Zniesiesz to chyba z pogodnym czołem? – spytał Marek, cierpko, jak jej się wydało.

– Jakoś przeżyję. Cześć.

W stołówce było jeszcze pustawo, dostała szybko swoją porcję i w pośpiechu łykała makaron z serem. Jak się uwinę – myślała – to może ich jeszcze dogonię.

Ale kiedy wypadła na dwór, w zamglonej alejce nie było już nikogo.

– No tak – powiedziała półgłosem.

Stała chwilę niezdecydowana, popatrując na burą wodę Odry, na zeszlę, połamane trzciny. Od mostu dolatywał zgrzyt skracającego tramwaju, z kominów akademika na drugim brzegu unosiły się proste słupy dymu. Na rozłożystym dębie jazgotały wróble i nagle podrywały się, spłoszone nie wiedzieć czym. Joasia wiodła za niani wzrokiem, kiedy podobne do skręcanej wiatrem chmury jesiennych liści kłębiły się nad rzeką, by wreszcie przepaść w dalekich ogródkach. Musiała zmrużyć oczy, bo słońce, choć przez wilgotną mgłę, świeciło jednak ostro.

Jakie już teraz długie dni. Właściwie warto to wykorzystać. Zamiast do mostu skręciła więc w prawo, by pomaszerować wielkim łukiem wałów, aż do domu. Dopiero na śluzie przypomniała sobie, że miała się zobaczyć w stołówce z Tadeuszem. Przecież nie wie dokładnie, gdzie i kiedy ma być ten „podkoziółek”. Wracać nie było sensu. Zresztą – dowie się w szkole od Krystyny. A jeśli Tadeusz czeka? To niech czeka.

To niech czeka..? – powtórzyła w duchu – Ze mnie to też typek. Ledwie Marek zrobił ćwierć kroczyka w moją stronę, już tamten „niech czeka”. Piętnaście minut gadaniny z Markiem o niczym, a jakie zaraz pole do optymistycznych spekulacji: nie lubi studentów – wiadomo, zazdrosny o Tadeusza. Wydelegował Jankę jako gołąbka pokoju. Wyśmiewa góry, bo byłam tam bez niego. Cieszy się, że ma dobry wpływ na mnie. Uruska, jesteś głupia zimą i wiosną, i o każdej porze roku. Dobrze wiem, co są warte takie spekulacje. To tylko pobożne życzenia. A jednak wystarczyłoby, żeby Marek osobiście powiedział: „chodźmy jutro do muzeum”, żebym od razu zmieniła zdanie na temat sposobów kończenia karnawału. I to po prawie trzech miesiącach końskiej kuracji antysentymentalnej. Eh, Uruska, z ciebie człowiek bez charakteru!

Przypomniała sobie parę szczegółów tej kuracji i przestała ubolewać nad nędzą swego charakteru, a za to zaczęła sobie robić wyrzuty za Tadeusza. Nie, naprawdę Tadeusz jest za poważny, żeby go używać za ilustrację do piosenki „Mam ja innych na tysiące, o ciebie nie stoję”. Do tego by wystarczył byle Wilkołek. Tadeusz nadawałby się na to, żeby go zamienić za Marka, ale cóż, skoro ja, jak widać z powyższej scenki, wcale nie chcę Marka zamieniać. Więc nie trzeba zawracać głowy biednemu Mongołowi. Oho – teraz „biedny Mongoł”, Markowa terminologia. A kto w sylwestra mówił: „pan jest lepszy od wszystkich”? Bo on jest rzeczywiście dobry, wyrozumiały. Zwłaszcza wyrozumiały, co? Można go spokojnie trzymać w rezerwie i wodzić za nos. No nie, zaraz, czy ja go tak naprawdę wodzę za nos? Przecież wreszcie on sam wszystko inicjuje. Stop, uważaj, jeszcze krok, a będę mówić jak Basia na

kolonii, „co ja jestem winna, że mu się podobam?” Jakbym chciała nie być winna, to trzeba było powiedzieć: „cześć” przy wyjściu z dworca i już go więcej nie zobaczyć!

Spróbowała sobie wyobrazić, jak by to wyglądało w rzeczywistości, i zrobiło jej się zimno:

Boże drogi, jaka ja bym była przegrana przez te trzy miesiące, gdyby nie on. I tak mu odpłacam. Ech, anioł Marek rację, kiedy mówił, że człowiek z miłości popełnia pospolite świństwa. Ale kiedy mówił, że adoratorzy dobrze wpływają na samopoczucie, to też miał rację. Taka głupia historia. I czego tu się trzymać: rozsądek co innego, sumienie też, a serce jeszcze inaczej. A poradzić nie ma się kogo. Krystyna powie to, co rozsądek: machnąć ręką na „intelektualnego blondynka”. Janka – sumienie – nie męczyć Mongoła. A serce, czyli ja, chciałoby Marka, ale żal mu Tadeusza. Nic tylko zagrać w orla i reszkę.

Zanim doszła do Karłowic, rozbolała ją głowa. Musiała mieć w ogóle wygląd osoby mocno przegranej, bo ciotka, która niemal od progu zawołała: „Świetnie że jesteś wcześniej, to zabierzemy się do zmywania. Nazbierało się już nad miarę!” – chwilę później przyjrzawszy się swojej podopiecznej zmieniła plany:

– A może lepiej położyć się trochę. Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

– Coś mnie podkusiło, żeby iść pieszo do domu. To jest jednak prawie pięć kilometrów, a wie ciocia, jak takie marcowe powietrze człowieka rozkłada. Ale zaraz się biorę za te naczynia.

– Więc poleż sobie przynajmniej, aż się woda zagrzeje.

Joasia patrzyła przez piętnaście minut w sufit, rozważając zalety obecności ciotki w domu.

Po pierwsze, jest do kogo się odezwać. Po drugie, mam się czym zająć. Po trzecie, ciotka to istota rozumna i można by z nią spróbować ustalić pewne ogólne dyrektywy.

Kiedy ciotka, wycierając szklanki, spytała o szkolne sprawy, Joasia już miała gotowy temat rozmowy.

– Przerabiamy teraz „Noce i dnie”. Jedna trzecia klasy uważa, że to nudziarstwo, jedna trzecia, że arcydzieło, a jedna trzecia bez przerwy się zastanawia, czy Barbara powinna była wyjść za Bogumiła.

– A ty do której grupy należysz? – ciotka połknęła haczyk.

– Do tej od arcydzieła i od zastanawiania. Bo czy ciocia nie uważa, że nie należy wychodzić za mąż bez miłości? Barbara powinna zostać wierna panu Toliboskiemu.

– Przecież to pan Toliboski ją zdradził i porzucił. Barbara nie miała wobec niego żadnych zobowiązań.

– Tak formalnie. Ale jak można żyć z jednym człowiekiem, a wzdychać do innego? Ja źle powiedziałam. Chodzi mi o to, czy pani Barbara nie powinna być wierna nie Taliboskiemu, tylko swojemu uczuciu?

– Moja droga, w życiu jest tyle ważniejszych spraw od miłości. Barbara była kochającą matką, dobrą gospodynią, prawdziwym przyjacielem dla Bogumiła.

– Uee tam, przyjacielem. Bogumił na pewno nie był zachwycony, że zamiast miłości miał przyjaźń. Nie mówiąc już o tym, że zatruwała mu życie. A poza tym ciocia mówi, że jest tyle ważniejszych spraw. Ja bym się nie zgodziła, w „Nocach i dniach” miłość jest najważniejsza. Więc Barbara, jak ciocia sądzi...

– Wiesz, czasami jednak mam wrażenie, że „Noce i dnie” są za trudną lekturą dla szesnastolatek.

– Mam osiemnaście, nie szesnaście.

– Więc tym bardziej się dziwię, że nie interesuje cię nic więcej poza tym problemem.

– Interesuje, tylko... – Joasia urwała.

Nie sposób przecież wytłumaczyć ciotce, że cała rozmowa miała zastąpić grę w orla i reszkę: z tego, jak ciotka osądzi panią Barbarę, chciała wyciągnąć te „ogólne dyrektywy”. No cóż, widać, że tych spraw nie można rozstrzygać na przykładach literackich. Wobec tego trzeba wrócić do konkretów:

– Czy ciocia nie będzie miała nic przeciwko temu, jak jutro ewentualnie zanocę u Krystyny? Bo ona urządziła podkociołkę i to może się przeciągnąć.

– Nie musisz przecież być do końca. Ja w zasadzie nie uznaję takich noclegów u koleżanek.

– Nie jestem dzieckiem.

– Właśnie dlatego, moja droga.

Joasia wahała się, czy się obrazić, czy walczyć dalej. Ostatecznie mruknęła w „przeźrenie”

– Musiałby kto mieć dużo złej woli, gdyby twierdził, że ciocia miała ze mną jakieś kłopoty przez te dwa lata.

Ciotka nie odpowiedziała. Kończyły robotę w ponurym milczeniu. Ale przy kolacji ciotka się załamała:

– Jeśli ci już tak bardzo zależy, to możesz nocować u tej koleżanki.

– Tak bardzo, to nawet nie – przyznała szczerze Joasia. – Po prostu jakby się tak złożyło.

Nazajutrz okazało się, że prawdopodobnie nic się nie złoży, bo Krystyny klasa poszła na hurtowe prześwietlenie i wiadomo było, że już nikt potem „nie zdąży” wrócić do szkoły.

Podjechać do niej po lekcjach? A może skorzystać z pretekstu i wcale nie iść? Wygląda na to, że los się wmieszał samorzutnie i trzeba zbieg okoliczności potraktować jako hasło do likwidacji sprawy Tadeusza. Jeśli do końca lekcji nie dostanę od nich żadnej wiadomości, to wracam na Karłowice. Aha, jeszcze stołówka... może Tadeusz tam będzie.

Nie było go. Joasia po obiedzie pojechała jeszcze do Ossolineum, sprawdzić swoje tłumaczenie Tacyta z jakimś uczciwym przekładem. Było już szaro, kiedy otwierała drzwi do mieszkania. Na podłodze zauważyła kartkę z notesu: „Szukałem Cię, czekałem i nic. Idziemy na zabawę do klubu żeglarzy. Bądź na Belwederczyków 14 o szóstej, wyjdziemy wszyscy razem – T. B.”

– O szóstej. Przepięknie. To znaczy za pół godziny. W ogóle nie warto wyruszać. Chociaż – zreflektowała się. – Najlepiej pojedę, oczywiście się spóźnię, zostawię obrażoną kartkę i pod tym pozorem przestanę się z nim widywać. Znakomicie! Trzeba słuchać głosu przeznaczenia.

Nawet się specjalnie nie przebierała, tylko zmieniła pończochy i zamiast nieśmiertelnego zielonego battle-dressu wciągnęła granatowy golf. Potem ze stoickim spokojem patrzyła, jak uciekają tramwaje. Zegar na ewangelickim kościele wybijał siódmą, kiedy odnalazła ulicę Belwederczyków. Nie potrzebowała patrzeć na numery, żeby się domyślić, gdzie jest Tadeuszowa czternastka; u końca szeregowych, dość tandetnych domków stał pokryty papą szczątek kolejnego segmentu. Niewątpliwie trochę ruderowaty, ale zadbane. Nad wejściem świeciła się żarówka – co za luksus! – a na metalowej tabliczce, zamorskiego pochodzenia, bo wyciętej z unrowskiej puszki, widniał wyskrobany pieczołowicie napis: „Krzysztof Podharski. Tadeusz Berej. Studenci”. Pod dzwonkiem jeszcze jedna informacja: „Lubi się psuć. Radzimy od razu kopać w drzwi”. Joasia jednak zadzwoniła, a po paru sekundach, oparłszy się plecami o drzwi, stuknęła w nie obcasem. Drzwi otworzyły się nagle, straciła równowagę i wleciała na Tadeusza.

– To ma być ta wasza słynna poznańska punktualność? – powitał ją.

– Wytłumaczę ci zaraz. Nie boicie się, że wam kto świecnie tę żarówkę? – zmieniła temat.

– Niechby spróbował! Kopie jak cholera.

Przekręcił zamek, po czym, wieszając Joasi płaszcz, wyjaśnił:

– Krzychy już polecili, a ja jestem jeszcze niegotowy. Nie obrazisz się, jak cię zostawię na moment? Muszę się ogolić.

– Właściwie powinnam się obrazić, ale trudno. Wasz apartament jest tam, prawda? – wskazała na uchylone drzwi.

– Tak. Weź sobie „Przekrój” i czuj się jak u siebie. Tadeusz zniknął w łazience, a Joasia z zaciekawieniem rozglądała się po „apartamencie”. Okno zasłaniała pluszowa kapa z frędzel-

kami, na biblioteczce, której oszklenie nie przetrzymało kataklizmów dziejowych, tykał budzik i świeciło zieloną tarczą radio. Jeden fotel, zarzucony garderobą Krzycha, stał przy niskim stole, na drugim, koło pieca, leżał otwarty karton, z którego wylały jakieś papiery. Dwa tapczany przykryte były szarymi kocami, przykrótkimi, bo wyglądały spod nich cegły podpierające materace.

Joasia chciała najpierw przenieść gdzieś karton z fotela, ale zobaczywszy, że to wpółrozpakowana paczka żywnościowa, dała spokój i siadła z „Przekrojem” na tapczanie bliższym siołu. Nie doczytała się do końca nawet „Lisku z fiołkiem”, kiedy pojawił się Tadeusz z krawatem w rękę.

– Jeśli chcesz, żebym porządnie wyglądał, to zaiąż mi to diabelstwo. Zaczarowany czy co, wciąż wychodzi krzywo.

– Oczywiście, że chcę, żebyś wyglądał porządnie. Nie jestem pies ogrodnika.

– Co?

– No, taki, co sam nie je i innym nie da. Bo ja chyba nie pojedę do tych żeglarzy. Już późno, a mam być przed dziesiątą w domu – powiedziała myśląc: Biedna ciotka, tyle ją kosztowało to pozwolenie na całonocną nieobecność, a ja z niej robię znowu tyrana?

Tadeusz wbrew oczekiwaniom wcale się nie zmartwił.

– A to świetnie! Mnie się też nie chciało tam iść.

Rzucił krawat na foteli podszedłszy do biblioteczki zaczął manipulować śrubokrętem przy wyłamanej zamku.

– Od lat mam zrobić tu jakiś uczciwy uchwyt do otwierania i nie mogę się zmobilizować – mówił, usiłując otworzyć drzwiczki. – Krzysztof chciał wbić po prostu gwóźdź, ale moim zdaniem szkoda psuć... – odwrócił głowę w stronę Joasi i urwał zobaczywszy ją przy drzwiach.

– Gdzie lecisz?

– Jak to gdzie? Do domu.

Tadeusz jednym skokiem znalazł się przy niej i chwycił za ramiona.

– Oszalałaś? W Ostatki trzeba się bodaj wina napić. Siadaj, gdzie siedziałaś.

Pospiesznie uporał się z drzwiczkami, wyciągnął butelkę, dwie szklanki, a z kartonu torbę z ciastkami, które zaraz wysypał na talerz. Joasia, stojąc na środku pokoju, patrzyła na jego krzątanie, na szklanki. Właściwie racja – pomyślała. – Nie trzeba odwlekać. A wino się przyda dla kurazu.

– No siadaj, siadaj – Tadeusz wziął ją za rękę, zaprowadził na dawne miejsce i usadowił się obok, półleżąc. Gdyby teraz chciała wyjść, musiałaby przeskoczyć jego wyciągnięte nogi.

– Tyle razy cię zapraszałem tutaj, a jak wreszcie przyszałaś, to uciekasz. Nie musisz się mnie bać – powiedział.

– Też pomysł. Co mógłbyś mi zrobić?

– No, mógłbym, mógłbym – zaśmiał się. – Nalej wina i podaj mi szklankę.

Joasia posłusznie napełniła szklanki do połowy.

– A teraz wyciągnij się wygodnie, masz tu koc pod głowę, i powiedz, czemu jesteś taka surowa.

– Nie jestem surowa. Tylko trochę nie w sosie, jeśli już będziemy się trzymać kulinarnej terminologii.

– To napijmy się. Wino jest znakomitym dodatkiem do sosów.

Wypili do dna. Po chwili milczenia Joasia zaczęła z determinacją:

– Bo widzisz, muszę ci powiedzieć...

– Jak musisz, to trudno. Ale poczekaj, nastawię wodę.

Przepadł w kuchence, a Joasia szukała w suficie natchnienia do wielkiej przemowy, którą chciała za chwilę wygłosić. Tadeusz nastawiał tę wodę dostatecznie długo, żeby wino zaczęło

zamazywać przejrzysty schemat Joasinego rozumowania. Wreszcie wrócił, siadł bokiem przy Joasi i oparłszy łokcie o kolana, a głowę na rękę, powiedział:

– Właściwie już wiem, co chcesz powiedzieć. Tylko moim zdaniem nie musisz.

– Właśnie, że muszę. Nie znoszę niejasnych sytuacji. Widzisz, Tadeusz, ja ciebie naprawdę bardzo lubię, szanuję, ale...

– Ale kocham innego, tak? I co tu niejasnego?

– No jednak. Nie chcę cię oszukiwać.

– Przecież mnie nie oszukujesz, to raz. A po drugie, wierz mi, to jest dzieciństwo i przejdzie ci z wiekiem. O ile zechcesz. Bo na razie, jak mi się zdaje, hodujesz w sobie to uczucie wbrew rozsądkowi.

– Ja hoduję?! Tadziu, jak ty się na tym nie znasz. Jeszcze chyba nie było uczucia gorzej traktowanego. Ja się do niego odnoszę jak do psa, który jazgocze pod oknem i w którego się wali pustymi puszkami od konserw. I nic nie pomaga. To jest już całkiem nieprzyzwoite, że-bym się tobą pocieszała po niepowodzeniach z tamtym.

– To nie jest specjalnie miłe, co mówisz. Ale na zdrowy rozum: jest nam z sobą dobrze, lubimy się, przeżyliśmy parę dobrych momentów... tego z Markiem nie masz.

– O, te dobre momenty. Czekaj, daj mi jeszcze wina. Dziękuję. Więc te momenty. Widzisz, jak mnie całujesz... – zaczerwieniła się, ale odważnie uściśliła: – jak się z tobą całuję...

– To sobie wyobrażasz, że ja to Marek.

– Nie, co to, ta nie. Wtedy w ogóle brudno o czymś myśleć. Jesteś taki, no, taki, powiedzmy, męski, choć to nieprecyzyjne. I ja wreszcie nie jestem z drewna...

– Kto by pomyślał – rzucił niedbale Tadeusz, ale nie potrafił ukryć zadowolenia.

– Więc nic sobie nie wyobrażam. Tylko potem tak mi cholernie żal, że to nie z Markiem, że tylko wziąć i się wieszać. I w ogóle im mi lepiej z tobą, tym potem gorzej. Bo człowiek dopiero wie, jak by mu mogło być dobrze na świecie, gdyby miał tego, którego...

Urwała. Tadeusz nalał sobie pełną szklanekę i wypił, jakby to była woda. Potem zapalił dwa papierosy i pochylając się nad Joasią, wsunął jej jednego do ust.

– Popał sobie, moje dziecko.

– Bóg ci zapłać.

Wyciągnął się koło niej i przez długą chwilę patrzyli na fantastyczne kształty niebieskiego dymu. Tadeusz odezwał się pierwszy:

– A jednak Krystyna mówi, że z tego z tym Markiem nic dobrego nie będzie. Krystyna to naprawdę bystry człowiek, o ile oczywiście nie głupieje z Krzychem.

– Tadek, będzie, nie będzie, myślmymy o tym, co jest. A jest, jak wyszczególnione powyżej. Ty jesteś taki wartościowy człowiek jak Bogumił Niechcic albo Szymon Darre...

– Kto to jest?

– Z „Nocy i dni” i z „Krystyny córki Lawransa”.

Szkoda, że jesteś baki nieoczytany, lepiej się można rozumieć, jak się zna te same książki.

– Ty, słuchaj. Ja jestem nieoczytany, ale ja znam życie. Jestem od ciebie o te parę lat starszy. Więc mówię do ciebie w tej chwili nie jako ktoś osobiście zainteresowany, ale po prostu z doświadczenia. Takich szkolnych sentymentów nie można brać poważnie. To są urojenia, wmówienia, cholera wie co. I całkiem niepotrzebnie o tym mówimy. Bo z gadaniem jest tak, jak z duchami: powie się nieopatrznie słowo i nagle duch, którego by byle przeciąg wywiał z pokoju, materializuje się i potem nie można go się pozbyć.

– Co, ty wierzysz w duchy?

– Ech tam. Tak dla przykładu. Po co to rozgrzebywać, skoro w ogólnych zarysach i tak wiemy, jak jest. I ta rozmowa niczego nie zapieni. To takie szczeniackie, stawiać zaraz wszystko na ostrzu noża. Co tu jest do rozstrzygnięcia?

– Jednak trzeba coś postanowić.

– Po co? Źle nam? Czy ja chcę się z tobą żenić? To jest, nawet bym chciał, ale przecież w najbliższy piątek cię nie poprowadzę do ołtarza. Więc zupełnie niepotrzebnie mi mówisz rzeczy, których się domyślałem, oczywiście, ale słuchać przykro.

Podniósł się ociężale:

– Ta woda na kawę już się chyba wygotowała.

– Nie rób kawy, na noc lepiej nie pić.

– Pewnie – zgodził się. – Starczy wzruszeń na dziś.

– To wiesz, to ja już pójdę.

– Idź, jak koniecznie chcesz – Ale byś zrobiła mądrzej, gdybyś została. Krzych i tak do rana nie wróci.

– Na wszelki wypadek go spławiłeś?

Tadeusz zaczerwienił się i nie odpowiadając zaczął wciągać płaszcz.

– Idziesz jednak do tych żeglarzy?

– Idę cię odprowadzić, mimo wszystko – mruknął oschle.

– Nie musisz się na mnie obrażać.

– Nie obrażam się.

Ale szli w milczeniu całą długą, bardzo długą drogę, bo na Karłowice tramwaje już nie chodziły i od Nowowiejskiej trzeba było maszerować pieszo. Noc była ciepła i wietrzna, silne południowe podmuchy strącały suche gałązki, a z mostu Karłowickiego słychać było wyraźnie plusk fal o kamienie nadbrzeża. Jaskrawa lampa przy fabryce wodomierzy wahała się nieregularnie na drutach, wydobywając co chwila z ciemności atramentową rzekę i granitowe filary mostu. Cień luków mostu to się wyolbrzymiał, ciemnymi krechami filarów znacząc błyszczącą kałużami nawierzchnię, to znów przepadał w ogarniającym wszystko mroku. Cienie Joasi i Tadeusza też ukazywały się, rosły i znikwały, kiedy na drugim brzegu Odry wyskakiwały z czarnych masywów fragmenty secesyjnych wieżyczek czynszówki i bezlistne, posrebrzone wilgocią korony lip.

– W górach jest teraz halniak – odezwał się Tadeusz. – Śniegi topnieją. Wiesz, dopóki łąki nie zakwitną, jest tam bardzo smutno.

– Lubię wiosnę, ale w tej chwili też mi ciężko na sercu. Przy tym wietrze człowiek robi się nieswój. I żal mi, że skończyła się nasza zima.

Tadeusz ujął ją za ramię:

– Ja jednak wracam do swego: nic nie stoi na przeszkodzie, żeby się zaczęło nasze lato. Wezmę cię na żaglówki...

– Widzisz, mogę się zgodzić, że nie trzeba rozstrzygać. Że głupio zrobiłam zaczynając tę całą rozmowę. Ale z drugiej strony, pomyśl, czy to nie jest też głupie: ruszać w dalszą drogę lasem i zostawiać nie wygaszone ognisko. Oczywiście ono może spokojnie wygasnąć, ale też może zniecka się rozpalić i wtedy na pewno się nie dojdzie tam, gdzie się chciało. A z tymi żaglówkami toby było właśnie coś w tym rodzaju. Ja ci też dobrze życzę.

– Ech, oboje sobie dobrze życzymy i co z tego. Po co ty się męczysz?

Kwadrans później Joasia powtarzała sobie to pytanie patrząc z okna, jak Tadeusz przecina krąg światła i znika w połyskliwej od deszczu ulicy.

No i straciłam przyjaciela. „Żal, żal, serce boli”. Ale naprawdę to byłoby świństwo traktować go jako środek na dobre samopoczucie. Wreszcie, do jasnej cholery, stać mnie chyba na to, żeby o własnych siłach kochać się bez wzajemności.

## 8. Kapitulacja bezwarunkowa

Joasia po raz któryś z rzędu tasowała w myśli klasę na zespoły samopomocowe, ale jakoś nie wychodziło – zawsze zostawało kilkoro bez przydziału. Odsunęła z ulgą pokreśloną kartkę, kiedy ciotka zajrzała do jej pokoju.

– Ja teraz wychodzę do kościoła – oznajmiła. – Popilnuj mleka, jest na gazie.

Joasia wyszła za ciotką na korytarz, przystanęła przy drzwiach, żeby po jej wyjściu zasunąć rygiel. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały, ciotka pokręciła głową z dezaprobatą, a Joasia uśmiechnęła się z miną „bardzo mi przykro, ale...” Takie sceny mimiczne powtarzały się już w niejedną niedzielę. Ciotka zgodnie z wyznawaną doktryną: „należy szanować cudze przekonania” nie nalegała wprost, żeby Joasia chodziła do kościoła, ale z pewną ostentacją wykazywała pogładowo, że ona jednak trwa przy wierze ojców. A niech sobie trwa – myślała wtedy Joasia. – Ja też jestem liberalna i nawet mi się nie chce dyskutować na te tematy. Nie należy z niedowiarstwa robić wojującej religii na wywrót.

Zajrzała do tego mleka – wyglądało dość niewinnie. Nie będę przecież tak stać i gapić się w garnek jak sroka w kość. O, mogę przygotować coś dla gości.

Rozłożyła na stole kupione rano w mleczarni herbatniki i zaczęła je smarować dżemem, żeby było wytworkniej. Od tego zajęcia oderwał ją syk kipiącego mleka. Przyjęła ten mały kataklizm kuchenny po stoicku, przywołując na pamięć mądrość przodków, w tym wypadku babci, która utrzymywała, że jak natura ciągnie wilka do lasu, tak i wyciąga mleko z garnka. Ale musiała wyczyścić Kuchenkę i herbatniki leżały „nie doszlifowane”, kiedy usłyszała za drzwiami szuranie, a w parę sekund później dzwonek.

Zasmarowanymi rękoma otworzyła drzwi i ujrawszy, zgodnie z przewidywaniem, Jankę i Marka, zawołała:

– O, fajnie, że już jesteście. Rozbierajcie się i idźcie do mojego pokoju, ja tylko sunę ślady złośliwości, przedmiotów martwych.

– Co się stało? – spytała Janka.

– Mleko – wyjaśniła lakonicznie i znikła w kuchni.

Myjąc ręce, myślała, że to nawet dobrze wyszło z tym mlekiem, bo nie musiała się witać z Markiem, co wciąż jeszcze wydawało jej się wieloznacznym i skomplikowanym ceremoniałem. Poskładała szybko herbatniki, nastawiła wodę i umocniona na duchu tymi prostymi czynnościami poszła do kolegów.

Marek siedział na jedynym fotelu pod piecem, mrużąc oczy przed niskim, ale już silnym marcowym słońcem. Janka, zanurzwszy swoim zwyczajem palce w czarnych włosach, z łokciami na stole, studiowała Joasiną kartkę z planem zespołów.

– Ty, jak mi się zdaje, kojarzyłaś te poligamiczne wspólnoty według sentymentów – powiedziała do Joasi. – Boję się, że tą drogą nic się sensownego nie ustali.

– Też do tego doszłam. Zwłaszcza że jak się zorientowałam, niektórzy chcą się uczyć z elementami klasowo obcymi. Bożka puszcza w trąbę Marysię i ma powtarzać polski i zagadnienia współczesne z matematykami.

– Narwany pomysł, co oni wiedzą o historii literatury? – wzruszyła ramionami Janka.

– Toteż Bożka będzie się przed nimi popisywać – wyjaśnił Marek. – Ta kobieta dla próżności gotowa poświęcić maturę.

– Może jej to wybić z głowy? – zatroskała się Janka.

– Nonsens. Bożce jest równie trudno coś wybić z głowy, jak wbić – zaproponował Marek. – Wreszcie to jej sprawa, z kim sobie pościele, z tym się wyśpi.

– Nie bądź taki frywolny w obecności dwóch niewinnych dziewcząt – przerwała mu Janka.

– Jak takie niewinne, to skąd się znają na frywolności?

Teraz wmieszała się Joasia:

– Może na tematy obyczajowe pomówimy później? Najpierw obowiązek, potem przyjemność. Janka, masz jakieś pozytywne propozycje?

– Dlaczego Janka? Czy ja nie mogę być pozytywny? – oburzył się Marek.

– Nie kokietuj, za dobrze się znamy – ucięła Joasia. – No więc?

– Więc moim zdaniem tak – podjęła Janka. Historyk i polonistka robią od pierwszego powtórki. Jasne, że wszyscy niepewni skorzystają z tego i w ten sposób dwoma przedmiotami nie potrzebujemy się martwić. Zostają języki i zagadnienia. Uważam, że zespoły trzeba zorganizować „na bazie” języków. Kto jest mocny w języku, jest mocny i w zagadnieniach.

– Tylko bez politycznych aluzji, koleżanko! – wtrącił Marek.

– Gdzie ty tu masz aluzje? Aha, wiem. Też ostrzeżenie! Sami swoi. Więc wracając do podziału: angielski zdaje dwunastu, to będą dwie grupy. Jedną ja mogę wziąć do spółki z Wilkołkiem, do drugiej może ty, Marek?

– Ja zdaję łacinę.

– Po co? Przecież ty idziesz na historię sztuki?

– Na historii sztuki łacina też potrzebna.

– No, jak wolisz, oczywiście. Więc kogo byś widział w drugiej grupie?

Chwilę nicowali ewentualnych przywódców. Joasia jakoś nie mogła się zdobyć na żaden sensowny pomysł, oszołomiona rewelacją Marka: jeśli on będzie zdawał łacinę, to będą się uczyć razem! Czy to szczęście, czy nieszczęście? Mniejsza z tym, ale zawsze coś się będzie musiało wyklarować.

– Masz rację – kończyła tymczasem Janka. Lipski może akurat w innych przedmiotach nie orzeł, ale angielski zna. A z zagadnień podtrzyma ich Iza, jej ojciec jest lektorem KW, więc będą mieli instrukcje z pierwszej ręki. Zaraz, więc z tego wynika, że wy będziecie mieli najmniejszy zespół: Bożka i Jasio, bo idą na medycynę, Joasia i Zagórski, prawnicy...

– Zagórski ostatecznie idzie na prawo? – zmartwiła się Joasia. – Coś mówił o ekonomii...

– Nie, ostatecznie postanowił zostać prokuratorem – rozwiła jej nadzieje Janka.

– To fatalnie. Może wobec tego ja zmienię kierunek?

– Nie histeryzuj – zgaśniła Janka. – Zresztą Jurek myśli o przeniesieniu się do Warszawy.

– Niech Bóg ma w opiece naszą ukochaną stolicę – westchnął Marek.

– Ale ten nasz zespół i tak będzie pokrecony – zauważyła Joasia. – Bożka wyłącza się z zagadnień, Jasiowi w ogóle tata zafundował korepetytora...

– Więc tylko nam dwojgu dostanie się w udziale rozkosz obcowania z błyskotliwą osobowością Jurka – stwierdził Marek.

– Mniejsza z tym – ucięła Janka. – Pierwszy punkt programu mamy załatwiony.

– To jest i drugi?

– Jest, urocza niespodzianka.



- Poczekaj z nią chwilę, napijemy się herbaty.
- Pomogę ci – zaofiarowała się Janka i poszła z Joasią do kuchni. Nalewając esencję do szklanek rzuciła przez ramię:
  - Wciąż zapominam cię zapytać, jak ci się udał podkoziołek. Przyjemnie było?
  - Cholernie.
  - No?!
  - Tadeusz dostał dymisję. Będziesz go miała na sumieniu.
  - Dlaczego ja?
  - Dobrze wiesz, dlaczego. A szkoda chłopaka, taki był poręczny.
  - Gdybym wiedziała, że tak będziesz żałować, tobym nic nie mówiła.
  - Po pierwsze, nie aż „tak”, po drugie, rozeszliśmy się mimo wszystko w zgodzie, po trzecie, chodźmy już, bo Marek się nudzi.
  - Czekaj no, powiedz...
  - Kiedy indziej. Teraz mamy na rozkładzie kwestie publiczne. Bierz talerzyki, ja...  
Urwała, zobaczywszy w progu Marka.
  - A ty tu go co? – spytała zaskoczona.
  - Posłuchać, o czym plotkujecie. Zostawiacie człowieka samego.
  - To niech człowiek weźmie te ciastka i zanieś na stół – zakomenderowała Janka.
- Joasia ze szklankami szła na końcu, zastanawiając się, co z ich rozmowy mógł Marek usłyszeć. Cóż, choćby nawet wszystko, to co? Ani dobrze, ani źle.
- Siedli wreszcie.
  - Czy ta niespodzianka jest aż tak ważna, że nie można o niej mówić przy jedzeniu? – przypomniał Marek.
  - Właśnie. No, Janka, rzuć tę bombę! – poparła go Joasia.
  - Wielka bomba to to znowu nie jest. Była wczoraj odprawa w Zarządzie Dzielnicowym w sprawie studiów: że mamy być czujni, walka trwa itd. Wiecie zresztą sami...
  - Wiemy – zgodził się Marek. – Ale gdzie rewelacja?
  - Krótko: aktyw klasy ma wypisać opinie wszystkim kolegom. We wtorek trzeba je dać do Dzielnicy.
  - Po co?
  - Do weryfikacji czy coś. Zresztą przez Zarząd Koła Szkolnego, który też pewnie swoje trzy grosze dopisze.
  - Szkoda, żeśmy nie ściągnęli Wilkołka, toby już przez jedno sito przeszły – zauważyła Joasia.
  - Nawet myślałam, ale potem doszłam do wniosku, że w trójkę będziemy swobodniejsi.
  - To ty zamierzasz te opinie pisać szczerze? spytał Marek.
  - Tak mniej więcej.
  - Czy jest sens? Dzielnica je i tak wyrzuci do kosza, a da swoje. Wystylizujemy jedną szablonową, pozmienia się tylko nazwiska i uzdolnienia, i kropka.
  - Nie, Marek, nie można robić lipy. To naprawdę okazja, żeby tym z góry powiedzieć parę rozsądnych słów o klasie – zaprotestowała Janka.
  - Bo patrz – podjęła Joasia – ty mówisz: wrzucą do kosza. Nieprawda. Przecież nie kazali by nam pisać tak sztuka dla sztuki. A wobec tego są szanse, żeby to, co napiszemy na przykład o Sylwii, przeszło. Piszmy, że tak powiem, zgodnie z sumieniem.
  - Proszę bardzo, jak chcecie. Mogę dyktować. Müllerówna: można przyjąć na każdy wydział, bo i tak wyjdzie za mąż za jakiegoś inżynierka i jej wiadomości fachowe nikomu nie zaszkodzą. Zagórski... umysłowość oznaczona szczególną cechą: uważa za swoje najgłębsze przekonania to, co aktualnie dobrze widziane. Uruska...
  - Daj spokój!

– Uruska: jednostka pozornie pozytywna, ale niebezpieczna dla otoczenia, bo z zasadami, nie wyrosła jeszcze z harcerskiego poglądu na świat. Co, nie piszecie?

– Oszalałeś?

– Moje wy „pozytywki”, jak chcecie zgodnie z sumieniem, to nie można chyba napisać o Jasiu, że wybitny umysł z zadatkami na Pasteura i Judyma równocześnie, nie?

– Zawsze się znajdzie jakaś dobra strona, bodaj i w Jasiu. Choćby... o, towarzyski – odparła Joasia.

– I dlatego ma się dostać na medycynę?

– Marek, ty nie rób z nas wariatów! – zniecierpliwiła się Janka.

– Nie robię. Tylko chcę wam pokazać, że wypowiedanie opinii zgodnie z sumieniem prowadzi do tak zwanych etycznych sprzeczności.

– No, więc pokazałeś i dajmy temu spokój. Moim zdaniem, to jest w myśl mojego ograniczonego harcerskiego światopoglądu, jak to uprzejmie określiłeś, napiszemy te opinie tak, żeby nikomu nie zaszkodziły, a komu się da, to pomogły. Nie możemy Jasia kreować na przyszłego Pasteura, bo wtedy nikt nie uwierzy i w to, że Jamrózka jest wartościowym człowiekiem, ale nie możemy też napisać o nim, co wiemy...

– Że to sympatyczny cymbał. Zgoda. „Więc piszmy”, jak mówią w „Ślubach panińskich”.

– Poczekajcie, mam w płaszczu kartkę z punktami, które trzeba uwzględnić – powiedziała Janka wstając.

Po jej wyjściu odezwał się Marek:

– Ty się zaraz nie obrażaj za wnikliwą charakterystykę.

– Dałbyś mi spokój. Chociaż skoro swojego przyjaciela robisz na drania...

– Jakiego przyjaciela?

– No, Zagórskiego.

– Wiesz, że ja nie mam przyjaciół. Oprócz ciebie, jak sądzę.

– Drugi kandydat na przyjaciela. Urodzajny rok! – westchnęła.

– Bo co? Dlaczego drugi?

Ale Janka już wróciła i zabrali się do tych opinii. Marek wbrew oczekiwaniom nie bruździł i tylko od czasu do czasu pokrzykiwał:

– No, na temat jej stosunku do pracy można by coś kropnąć, żeby się nie pozbierała!

Albo:

– Uzdolnienia? Nieprzeciętnie przeciętne.

Dobrnęli wreszcie do Z. Janka zakreśliła pióro i wyciągnęła się wygodnie, zakładając ręce na karku:

– Ot i koniec. Należałyby nam się duże pieniądze za godziny nadliczbowe.

– Wyobraźcie sobie, że losy osiemnastu ludzi były w waszych rękach – zauważył Marek. – Aż miło pomyśleć, jak mogliśmy ich urządzić.

– Aż się zimno robi – podjęła Janka – jak by nas urządził w tej sytuacji nieoceniony Jureczek. Pozbyłby się wszystkich rywali. Klasa jednak wykazała zdrowy instynkt samozachowawczy, że mu nie dała żadnej funkcji.

– Cóż, lud wie, komu dać władzę – zakonkludował Marek.

– Czekaście, a opinie o nas? – przypomniała Joasia. – Może to zlecić Wilkołkowi, żeby nikt nic nie powiedział.

– Wilkołek za głupi, żeby ocenić głębie naszych intelektów. Napiszę dla was, a wy obie skomponujecie do jutra jakiś wdzięczny i bojowy obraz mojego wnętrza.

– Nie bez drżenia składamy swoją przyszłość w twoje ręce – zaśmiała się Janka. – W każdym razie pamiętaj, że możemy cię zniszczyć w rewanzu.

– Nie udawaj. Ostatecznie wszyscy jesteśmy sobie życzliwi.

W ogóle pławimy się wszyscy w oceanie życzliwości – myślała Joasia po wyjściu przyjaciół. – Janka z życzliwości dla mnie i Marka wierciła mi dziurę w brzuchu, żeby skończyć z

Tadeuszem, Krystyna z tychże pobudek wmanewrowała mnie w tegoż przyjaciela, Tadeusz, życząc mi jak najlepiej, uwodził mnie powoli, ale omal skutecznie, ja z czystej przyjaźni posłałam go w diabły, a z nadmiaru dobrych uczuć do Marka traktowałam go jak wroga przez trzy miesiące. Marek... właśnie, co Marek? Marek z filantropii programowo się do niczego nie miesza. Ot, komedyja.

W poniedziałek z rana dali opinie Wilkołkowi. Studiował je uważnie, pokraśniał z zadowolenia, kiedy przeczytał o swoich zasługach na niwie organizacyjnej i o zaletach swego umysłu. Tylko jedna opinia nie przypadła mu do gustu:

– O Jamróz tu coś za dobrze. Pamiętajcie, że ona była przez rok u urszulanek!

– No to co? – wzruszyła ramionami Janka. – Stalin też był w seminarium duchownym.

Wilkołek spłoszony obejrzał się, czy nikt nie słyszy...

– A zresztą, jak chcecie – zgodził się. – O tych urszulankach mogą nie wiedzieć.

Parę dni później wypełniali formularze wymagane przy zgłoszeniu na studia. Wychowawczynie, zebrawszy je od uczniów, popatrzyła na plik arkuszy i powiedziała:

– Tak, to już niezawodny znak, że niebawem wyfruniecie ze szkoły. Pamiętajcie: żeby się spełniły wasze piękne plany, trzeba się uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć. Uruska – przypomniała sobie nagle – już dawno miałaś mi przedstawić plan samopomocy w nauce.

– Już jest gotowy i zaaprobowany przez klasę.

– Po lekcji przyjdź do pokoju nauczycielskiego, to go przedyskutujemy.

Co tu jest do dyskusji? – pomyślała niechętnie Joasia, ale musiała iść.

W konferencyjnym wychowawczynie ktoś na chwilę odwołał i Joasia stała samotnie przy stole, popatrując na nauczycieli. Popijali herbatę z niekoniecznie wytwornych naczyń, na pergaminowych opakowaniach leżały kanapki. Historyk zza gazety usiłował na ślepo dosięgnąć swój chleb. Na drugim końcu stołu fizyk dłubał w stercie wędzonych szprotek. Gdzie ich profesorska powaga? Wyglądają jak urzędnicy Centrali Usług Takich i Owakich – zauważyła nie bez złośliwej satysfakcji. Wychowawczynie pod oknem wciąż jeszcze konferowała z angiolką. Hej, a przerwa leci! – pożałowała Joasia błędząc oczyma po stole. Wzrok jej zarzynał się na przyniesionych przez polonistkę formularzach. Od razu przestała się bezinteresownie gapić: na wierzchu leżała ankieta Marka.

Przeleciała przez dane personalne: Int. prac., ojciec: nie żyje. Matka: nauczycielka, miejsce pracy: nie pracuje, w nawiasie: renta inwalidzka.

Renta inwalidzka?

Joasia poczuła okropny zamęt w umyśle i sercu.

Renta inwalidzka. Więc z czego oni do cholery żyją? Tak, więc to tak. Przecież wszystko się teraz inaczej tłumaczy. Zupełnie inaczej. Diametralnie.

Spojrzała ze złością na zagadane nauczycielki pod oknem: „Czy ona o mnie zapomniała? Jak ma takie ważne sprawy, to niech mnie puści!”

Nieoczekiwanie wybawił ją fizyk. Tubalnym głosem zahuczał znad swoich szprotek:

– A ty, Uruska, co tu robisz? Nie szkoda przerwy. Polonistka dosłyszała:

– Ty masz ten plan napisany, prawda? Joasia tylko skinęła głową.

– Zostaw mi go, proszę, przejrzę i przekażę wam moje uwagi później.

Wyleciała więc czym prędzej z pokoju, ale zamiast iść na boisko skrzyła w korytarz prowadzący do kotłowni i na ciemnym półpiętrze oparła się o poręcz.

Najgorsze to to, że tak mało czasu – myślała. Już nic się nie odrobi. Stracę go za dwa miesiące z oczu i jeżeli mnie kiedy wspomni, to zawsze jako typka z obrażoną miną i głupimi zrywami. Uch, ty tępoto, dobrze ci tak, teraz masz za swoją „honorowość”. Przecież gdybym się nie bała z kimkolwiek pogadać o Marku, tobym dawno już wiedziała, jak z nim jest. Ale ja oczywiście tak twardo udawałam, że się nim nie interesuję, że... Ach, szkoda gadać. A co najśmieszniejsze, to cała klasa i tak wie. I pomyśleć, że ja ostatnio nawet go uważałam za człowieka mniej wartościowego od Tadeusza. Marek inteligentny, Marek błyskotliwy, Marek

z dystansem, zgoła hrabia, a Tadeusz po prostu poważny i dzielny. Oczywiście, że dzielny, ale chyba łatwiej być dzielnym, jak się ma dwadzieścia sześć lat, niż jak się ma osiemnaście.

Usiłowała sobie przypomnieć swoje zarzuty wobec Marka, ale teraz wszystkie jego ujemne cechy otrzymały znak dodatni. Że się nie przejmował szkołą na sposób wzorowego ucznia? Przecież on był „ponad to” nie z zarozumiałości, tylko dlatego, że naprawdę musiał mieć ciężkie życie, przy którym szkolne „problemy” były dziecinadą. Że miał takie zgryźliwe odezwania, pomawiał ludzi o draństwo? Łatwo sobie wyobrazić, jak mu ludzie dali się we znaki – słabemu, biednemu, z chorą matką. To jest naprawdę zadziwiające, jak on się twardo nie poddawał. Nie jęczał, nie demonstrował swoich ciężkich warunków.

Im bardziej Marek wydawał jej się teraz człowiekiem z charakterem, z niezwykłym charakterem, tym bardziej wzrastały wyrzuty sumienia. Trzeba coś zrobić, zaraz, już. Boże drogi, tyle czasu zmarnowanego. Tak idiotycznie. Jakby to ostatecznie było ważne, czy on wie, że go kocham, czy nie wie. Ta cała honorowość była po prostu małoduszna. Jak się kocha, to się kocha i honor tu nie ma nic do rzeczy, jak mówiła Krystyna. O rany, Krystyna... jeszcze mnie czeka śledztwo w sprawie Tadeusza. I tak cud, że jej się dotąd wymigałam.

Zaterkotał dzwonek na koniec przerwy, a Joasia miała wciąż ten sam mętlik w głowie, co przedtem. Szła do klasy trochę błędnie, powtarzając: I co ja mam teraz zrobić?

W tłumie powracających z boiska dostrzegła Marka. Nie było przy nim nikogo ze swoich, co uznała za wyraźny znak losu. Mijając zygzakiem grupki uczniów, przeskakując po dwa stopnie, dopędziła go na drugim piętrze.

– Słuchaj, Marek...

Urwała, bo po dwóch słowach zabrakło jej tchu – oczywiście od forsowania schodów. Przecież nie dlatego, że twarz Marka wydała jej się teraz bardziej pociągła niż zazwyczaj, kołnierzyk od koszuli dziesięć razy cerowany, a bluza nie tylko spłowieła, ale wielorako domowym sposobem przerabiana. Ani nie dlatego, że oczy, oczy były ciemnoniebieskie, błyszczące spod przymrużonych powiek, jak dawniej, jak zawsze, jak wtedy, kiedy „jeszcze nic nie było straconego” i jak wtedy, kiedy „wszystko przepadło”. Czy człowiek nie może stracić tchu, kiedy tak leci przez dwa piętra?

– Oo, to ty? Słucham.

Patrzył na nią wyczekująco, z uśmiechem.

– Wiesz, powiedz mi... To jest, chciałam się ciebie spytać...

Uświadomiła sobie, że nie wie, jak i o co spytać.

– No? Wal śmiało.

– Nie, nic takiego. Tylko, czy nie orientujesz się, jaka jest sytuacja materialna Jamrózki? Bo ZMP ma jakiś fundusz niby stypendialny – zaimprovizowała zupełnie nedorzecznie.

– Zdaje mi się, że nieszczególna. Ale Bożka czy Ania chyba lepiej wiedzą.

– Tak, oczywiście, masz rację. Właściwie po co ci tym głowę zawracam. Cześć!

– Co za cześć? Nie idziesz do klasy?

– Idę, tylko jeszcze zajrzę na sekundę do Krystyny. Oczywiście ani jej w głowie było szukać Krystyny. Przeszła parę kroków pod prąd, a kiedy mogła być pewna, że Marek już jej nie widzi, zawróciła.

To niefortunne spotkanie z Markiem miało wszakże swój pozytywny rezultat – przekonawszy się, że chłopiec jednak nie słania się z głodu, a z oczu nie wyziera mu rozpacz i przygnębienie, Joasia poczuła się jakoś raźniej. A poza tym – co tu ukrywać – on ma taki ujmujący uśmiech... Człowiek musiałby być zakamieniałym mizantropem, gdyby widząc taki uśmiech, i to wyraźnie, niedwuznacznie do człowieka skierowany, nie uznał potem życia za ostatecznie nie najgorsze.

Matematyczka pytała na stopnie, a że była dopiero przy H., Joasia mogła spokojnie myśleć o czym innym.

Moja droga – mówiła sobie. – Jak ktoś był głupi, to niekoniecznie musi być jeszcze głupszy. W kwestiach sentymentalnych też można być rozsądnym. Nawet wariaci rozumują na swój sposób logicznie. Przyjmijmy to za punkt wyjścia i rozpatrzmy się w sytuacji. Co ja właściwie chcę zrobić? Ze względu na ograniczony czas i możliwości odpada: 1. przychylenie nieba, 2. dzielenie się zdrowiem, 3. zapewnienie mu stutysięcznej renty, jak to się praktykuje u Balzaka (por. Eugenia Grandet). Za plus minus dwa tygodnie kończą się lekcje i będziemy się razem przygotowywać do matury: mogę się wystarać o możliwie najlepsze podręczniki itp., poza tym cóż? Tak zwany pogodny uśmiech i absolutnie dobra wola. Mam nadzieję, że przy obecnym stanie mojego skruszonego serca to jest wykonalne. Tyle dobrych uczynków co do ducha. A co do ciała? (Ba, żeby to chodziło o Tadeusza, nie trzeba by sobie łamać głowy nad sposobem usatysfakcjonowania ciała.) W tej materii trzeba się po prostu rozeznąć. Że tu będzie potrzebna mamona, to jasne. Ale to głupstwo, mogę się nawet wynająć do pegeeru za siłę sezonową. Tylko co Markowi by się na danym etapie najbardziej przydało? Trudno, moja Uruska, zdejm ty pychę z serca i pogadaj po dzwonku z Bodziem, on jest z Markiem najbliższym.

Więc na przerwie podeszła do Lipskiego z przemyślanym planem.

– Bodek – powiedziała tonem spiskowca. – Masz chyba jakieś „lotniki”?

Bodek był zaskoczony, ale przytaknął.

– To chodźmy gdzieś za aulę wypalić w spokoju.

– Za aulą już nie ma spokoju, fizyk lubi tam robić inspekcje. Teraz pali się tylko na schodach koło kotłowni.

W tym samym miejscu, gdzie przed czterdziestu pięciu minutami na próżno usiłowała zebrać myśli, zaciągali się „lotnikami”, dorzucając popiół swoich papierosów do licznych niedopałków pozostawionych przez innych konspiracyjnych palaczy. Bodek miał jedną nieocenioną dla Joasi zaletę – uważał za równie naturalne to, że pyta go teraz o Marka, jak to, że przedtem nie pytała. Właściwie to go nie obchodziło. O potrzebach Marka nie mógł powiedzieć nic konkretnego.

– Wiesz, on tak nigdy nic nie mówi. Ja bym też nic nie wiedział, gdyby nie to, że jak czasem jestem u nich...

– Jak mieszkają?

– Pokój z kuchnią. Nawet przyjemnie, tylko ciasno. Jego matka uważa, że on jest niesłychanie uparty, i chce, żebym ja go przekonywał. Więc mi opowiada różne rzeczy, o co zresztą Marek się wścieka. Wiesz, u nich jest tak: matka uczyła przed wojną francuskiego i rysunków. Teraz coś niedobrze z jej sercem, ma rentę. Kiedy uważa, że Marek czegoś koniecznie potrzebuje, maluje pocztówki dla tego złodzieja z dewocjonaliów. Marek robi piekło o to i żeby matkę „oduczyć”, bierze jakieś kreślenia od asystenta z politechniki...

– On się na tym zna?

– Wyobraź sobie, że podobno wcale nie najgorzej. Zupełnie nie rozumiem, po co idzie na historię sztuki, jak mógłby mieć dobry kawałek chleba na budowlance. Albo, jak taki artysta, to bodaj na architekturze.

– Cóż, odważny. No i co z tymi kreśleniami?

– Nic, matka z kolei robi piekło, że się przemęcza i że się pochoruje. I tak się trzymają w szachu. Bo Marek zresztą jest zdania, że lepiej się obejść, niż się zapracowywać.

– I chyba ma rację, jeśli oboje są nietego ze zdrowiem.

Joasia już nie próbowała wyciągnąć więcej od Bodka – to, co powiedział, wystarczało, żeby ułożyć sobie jakiś plan działania. A plan działania to najważniejsze. Stwierdziła z głębokim przekonaniem, że nie ma nic gorszego jak bezradność, jałowe rozważania na nutę „i co teraz zrobić”. Jako że nie dysponowała kapitałem Grandetów, widziała jasno, że jeśli chce się Markowi po raz ostatni przydać, musi się rozejrzeć za jakąś okazją „zbitcia fortuny”. Kto szuka, ten znajdzie: rozpytywała się wszystkich, także nauczycieli, czy nie wiedzą o jakiejś pracy

na wakacje. Rada przysłała z dość nieoczekiwanej strony: instruktorka Służby Polsce poinformowała ją o kursie higienistek kolonijnych. Nie najgorzej płatne, z utrzymaniem, można nawet na takiej kolonii ulokować kogoś z bliskich (ha, może Marka?). Kurs już się wprawdzie zbliżał ku końcowi, ale jeśli zda egzamin, to nikt nie zwróci uwagi, że się tak późno zapisała. Egzamin to nie problem: Joasia miała jeszcze z harcerstwa dosyć rozeznania w tak zwanej pierwszej pomocy, przeszła parę kursów PCK w Karczewie i była pewna, że odróżni grypę od anginy, zderzenie skóry od przecięcia tętnicy, a zapędzić dzieciaki do mycia to wreszcie też żadna sztuka.

Ten kurs, mimo wszystko, zabierał dwa popołudnia w tygodniu. Profesorowie przy odpytywaniach zbliżali się nieustępliwie do ostatnich liter alfabetu. Joasia naprawdę była zalatana i mogła całkiem szczerze powiedzieć Krystynie, kiedy już nie było sposobu, żeby się wykręcić od rozmowy:

– Dziewczyno, gdzie mi teraz siatkówka w głowie. Tadeusz też o tym wie. Przecież się o mnie nie dopytuje?

– Nie, kazał cię tylko serdecznie pozdrowić. Ale...

– Co za ale. Takie proste, a nie chcesz zrozumieć.

– Bo mogłabyś sobie przez te ostatnie dwa tygodnie darować kujonowski styl życia.

– Wiesz, wolę nie ryzykować. Jednak chcę iść na pewniaka. Zresztą pomyśl, matura jest 15 maja i potem do października będziemy wolni jak te skowroneczki na mazowieckich niwach czy coś tam. Naprawdę, mogę wytrzymać parę tygodni bez siatkówki i Tadeusza.

– No, jak chcesz być ascetą i tytanem woli, to ci nie mogę przeszkadzać – obraziła się Krystyna, a Joasia z całym cynizmem nie rzekła ni słowa, by ją ułagodzić.

I znowu, tak jak przed pamiętnym podkoziołkiem u Tadeusza, Joasia żyła bardziej w czasie przyszłym niż teraźniejszym. Uczyla się do późnej nocy, systematycznie chodziła na kurs dla higienistek, zgłaszała się teraz jak najczęściej do odpowiedzi, żeby wykładowcy zapamiętali ją sobie, co się mogło przydać przy egzaminie, w Ossolineum robiła pracowite wyciągi z historii powszechnej, z akademickich „Dziejów literatury pięknej w Polsce”, uzupełniała lektury. Ale nie było to już swobodne, powolne wałęsanie się „sztuka dla sztuki” po świecicie książek, jak w zeszłym roku. Ładowała do głowy zapasy wiedzy tak, jak się pakuje walizkę przed podróżą, kiedy myślami człowiek już w innym krajobrazie, wśród innych ludzi. Wypełnione po brzegi dni mijały szybko, nie żałowane, nie przeżyte, lekceważone, jakby nie miały większej ceny i znaczenia niż zdarta kartka z kalendarza. Jeszcze jeden dzień i jeszcze jeden dzień, i wreszcie ferie wielkanocne. Dla Joasi zaczęły się dzień wcześniej, bo żeby uniknąć tłoku w pociągu, zwolniła się już we wtorek.

– Więc pamiętaj, w czwartek po świętach od rana uczymy się u mnie – rzuciła na pożegnanie Markowi. – Zmobilizuj Jurka, żeby się nie spóźnił.

Dopiero kiedy pociąg wyjechał za miasto, uprzytomniła sobie, ile czasu upłynęło od marcowego popołudnia, kiedy na nadodrzańskim wale przyglądała się wróblom sejmikującym wśród nagich gałęzi. Lasy okrywała teraz delikatna zieleń, podrosłe oziminy falowały pod podmuchem wiatru, a w szerokich rozlewiskach nad Baryczą odbijały się białe chmury.

Tak człowiek żył z nosem w książce i nawet nie zauważył, że to już prawdziwa wiosna. Druga we Wrocławiu i ostatnia w szkole – zauważyła pedantycznie i nagle uderzyła się w czoło: – Boże drogi, toż ja dziś ostatni raz siedziałam na tak zwanej szkolnej ławie. Po feriach już przecież nie wracamy do budy. Swoją drogą, doprawdy, trzeba było bodaj się za siebie obejrzeć, jak się wychodziło z klasy. Przecież to już nigdy nie wróci.

Gałęzie drzew na błękitnym niebie przypomniły jej widok z klasowego okna i maj zeszłego roku, zatarte rysy Marka odbite w szybie i refleks słońca na tablicy.

Tak było ciężko, a tak było dobrze – westchnęła. Ale co tam. Bez sentymentów. Mam jeszcze na pociechę cały miesiąc z Markiem.

## 9. Po południu większe przejaśnienia

- Stosunki polsko-czeskie od Dąbrówki do Zaolzia?
- Jakiego rodzaju są rzeczowniki: dens, pons, fons?
- Co ważnego wydarzyło się w różnych państwach europejskich w roku 1648?
- Zależność między środkami produkcji a stosunkami produkcji?
- Chłop w literaturze staropolskiej?

Takie były oficjalne tematy wymiany zdań między Markiem i Joasią. Zadający pytanie miał prawo korzystać z książek, odpowiadający za to mógł siedzieć w fotelu. Trwało to już od tygodnia, od poświętecznego czwartku, kiedy o wpół do dziewiątej Joasia otwierając Markowi, spytała od razu: „Gdzie Jurek?” i usłyszała, że obraził się na nich i na łacinę i wkuwa solo. Radość z tego, że będą się uczyć tylko we dwoje, łatwo było upozorować antypatią do Zagórskiego. W ogóle wszystko było teraz niesłychanie łatwe. To znaczy może akurat nie wszystko, bo różnica między gerundium i gerundivum była dla Joasi niezmiennie nieuchwytna, ale w każdym razie łatwo rozmawiało się z Markiem. Nawet ją to z początku dziwiło, bo niby skąd nagle taka swoboda w konwersacji? Wytlumaczenie tego fenomenu było jednak proste: otóż nareszcie r o b i l i coś wspólnie, jej obecność przy Marku była uzasadniona nie uczuciem, ale wspólną pracą, zadaniem, które może nie jakieś tam nadzwyczajne, szczytne, przecież dostatecznie absorbowało uwagę i umysł, by przestała się zastanawiać, czy jakieś kolejne powiedzonko Marka należy rozumieć: „odczep się ode mnie”, czy „znacysz dla mnie więcej niż inni”.

W ciągu tych miesięcy od czasu powrotu Marka z sanatorium Joasia przyzwyczaiła się, że wszystko z Markiem układa się nie tak, jak by chciała. Więc ponieważ według jej pobożnych życzeń wspólne uczenie się miałoby być okazją do bliższego poznania, była pewna, że oczywiście na odwrót – Marek będzie się wymądrzał, a ona na przemian żalić się w duchu nad sobą albo atakować Marka równie zajadle, co niezgrabnie. I w końcu nie zyska założonego minimum: żeby Marek ją dobrze wspominał.

Tymczasem – jakby ktoś zaczarował – właściwie wymarzyć by sobie nie potrafiła lepszego Marka, niż był przez te dni. Okazał się nawet punktualny – niby drobiazg, lecz jednak niezwykły – a przy wkuwaniu tej „za przeproszeniem, wiedzy” wręcz pedantyczny. Ustaliwszy na samym początku, że notatki z lekcji można traktować wyłącznie jako szkic orientacyjny, obłożyli się opasłymi tomami historii powszechnej i literatury polskiej z ciotczynej biblioteki, ale właśnie Marek, nie ona, pokrzykiwał co jakiś czas: „Sprawdź jeszcze w Brockhausie, jak to właściwie było z tym Wallensteinem”, czy coś w tym rodzaju.

Oszołomiona tą niepodejrzewaną solidnością kolegi zauważyła któregoś dnia:

- Marek, przecież my ładujemy do głowy więcej, niż potrzeba do matury.
- Wiem. I co z tego?
- Nic. Tylko się dziwię, żeś się tak zmienił. Jak patrzyłam na ciebie w klasie, to mi się wydawało, że odrabiasz zadania „byle Polska nie zginęła”, a naprawdę zajmujesz się czym innym. Nawet mogliby ci przylepić etykietkę „zdolny, ale leń”, niewiele brakowało, ratowały cię właściwie jedynie tak zwane szerokie zainteresowania.
- No proszę, co za bystry obserwator! Ale jakbyś była jeszcze lepszym, tobyś i to spostrzegła, że się nie zmieniłem. To całe wkuwanie, właśnie dlatego mnie bawi, że niepotrzebne.
- Uee, szkoda. A ja myślałam, że polubiłeś solidność.
- Przecież ja lubię solidność, nawet bardziej, niż myślisz. Tylko nie lubię solidności z musu. Chcę być solidny, jak ty mówisz, ale wtedy, kiedy mi się podoba, nie, kiedy mi ktoś każe. Na historię sztuki też idę z solidności. Bo naprawdę chcę być architektem, a nie można czegoś tam nowego zrobić, jak się nie ma szerszej wiedzy i horyzontów. Gdybym chciał być prawnikiem tak jak ty, tobym najpierw studiował socjologię.
- „O jedno zdanie za dużo” – pomyślała Joasia. Bo serce w niej rosnęło, gdy Marek mówił, cieszyła się, że jest szczery, że mówi o sobie („na pewno komu innemu by się z tego nie zwierzał”) i że jest nadzwyczajny. Zawsze lepiej kochać się nieszczęśliwie w kimś nadzwyczajnym niż w jakimś bałwanie. Ale to zdanie o socjologii strąciło ją z nieba na ziemię. Pomyślała, że jest osobowością niesłychanie płaską i w dodatku nieukiem, bo trudno by jej było w tej chwili powiedzieć, jaki jest związek między prawem a socjologią, a nawet, co to tak dokładnie jest ta socjologia.
- A bo widzisz – zaczęła się usprawiedliwiać ze swojej zwyczajności – ja wprawdzie idę na prawo, bo uważam, że prawo... no zresztą mniejsza z tym na razie, co uważam, ale zależy mi też, żeby prędko stanąć na własnych nogach i od nikogo nic nie potrzebować. Zresztą – dodała śmieiej – tobie by też nie zaszkodziło, jakbyś miał uczciwe pieniądze.
- Pieniądze są najmniej ważne.
- A co twoim zdaniem jest najważniejsze?
- A twoim?
- „Już mnie nabiera. To co. Stać mnie na szczerość!”
- Jak by to powiedzieć... Widzisz, no, młodopolszczyzna, jak mówiłeś, niemodna, ale jest u Staffa wiersz, co się tak kończy:

Lecz choćby klęska skończyła me boje,  
Choćby najsrożej los się na mnie zaciął,  
Nie zmarnowane będzie życie moje,  
Bom tworzył pieśni i miałem przyjaciół..

- Więc gdyby za „pieśni” podstawić „pozytywne wartości”, to to byłby mój program.
- Popatrz, jak my się zgadzamy! – zawołał Marek. „Boże drogi, wygląda na to, że on się cieszy z tego odkrycia” – zdumiała się Joasia.
  - A jakie są te twoje „pozytywne wartości”? – zapytał jeszcze.
  - Tworzyć mądre prawa – odpowiedziała bez namysłu. – A twoje?
  - Budować ładne miasta.
- Uśmiechnęli się i długą chwilę, w milczeniu patrzyli na siebie. Wreszcie Joasia powiedziała:
- Cieszę się...
  - Z czego?
- „Z tego, że żyję, że siedzisz naprzeciw mnie, że jesteś mądry, że chcesz czegoś dokonać, nawet z tego, że cię kocham” – to byłaby prawdziwa odpowiedź, ale niedopuszczalna.



– Z tego, że Jurek wolał się uczyć sam. Z nim – nawet połowy byśmy nie przerobili. A propos przerobienia: może mógłbyś zrobić na jutro po południu streszczenie z „Rodziny” Engelsa, bo ja pewnie nie zdążę przeczytać..., przez ten egzamin na kursie higienistek.

– Po co ty właściwie chodziłaś na ten kurs?

– A gdzie bym się podziała przez wakacje? Tak przynajmniej dwa miesiące załatwione. Napisałam, wiesz, do tej kierowniczkii kolonii, gdzie byłam zeszłego roku, i właściwie tak jakbym miała posadę. Tylko świadectwo z kursu dośle i już. Jakbyś chciał – dodała z wahaniem – to spróbowałabym ci tam znaleźć jakieś lokum, bo domy kolonijne są właściwie za duże i na mansardach jest całe stado jakichś pokoików. A wyżywienie by mi odliczyli z pensji.

– Nie, już mam skierowanie do prewentorium na całe lato. Ale w każdym razie dziękuję ci za dobre chęci.

– Dobrymi chęciami piekło wybrukowane – Joasia była trochę zawiedziona, że plan nie wyszedł. Ale ustalmy: egzamin jest o drugiej, więc myślę, że gdzieś koło wpół do piątej będziesz już mógł tu przyjechać.

– To poczekam na ciebie przed szkołą i pojedziemy razem.

Ale egzamin trwał krótko i wyszło na to, że Joasia musiała czekać na Marka. Ostatnie lekcje skończyły się o trzeciej, szkoła była już pusta, ale na dziedzińcu kręciło się wielu jedena-stoklasistów. Wymieniali zeszyty, podręczniki, ostatnie wiadomości i plotki. Joasia przyłączyła się do Jamrózki i Palikówny, które czekały na Jasia, a ściśle – na obiecany przez niego kurs literatury polskiej w wydaniu Wszechnicy Radiowej. Zamiast Jasia zjawiała się Bożka. Wiedziała już na pewno, kto dostanie dyplom przodownika nauki (ten rudy z matematycznej), jakie będą tematy zadań pisemnych i co trzeba mówić, żeby ująć sobie czynnik społeczny w komisji egzaminacyjnej. Poza tym wyjaśniła, że należy się uczyć historii literatury z broszurek „Wiedzy Powszechnej”, historii z „Wszechnicy Radiowej”, broń Boże nie na odwrót, i że bez względu na to, jakie pytanie dostanie się z zagadnień, trzeba zrećcznie wspomnieć, że imperializm gnije. Słuchając tego wszystkiego Joasia pomyślała, że mieszkanie z daleka od „gieldy” ma bezsprzecznie dużo dobrych stron.

Miała nadzieję, że Bożka pójdzie przed przyjściem Marka, ale ta tkwiła przy Joasi, mimo że w tym czasie i Jasio się znalazł, i pozostałe koleżanki się pożegnały. Oczywiście, im bardziej Joasia chciała ją splawić, tym bardziej Bożka stawała się nieugięta. Wreszcie Joasia, w ostatecznej bezradności, ryzykując, że rozminie się z Markiem, zaproponowała, że odprowadzi Bożkę do domu. Marek ją wreszcie i tak znajdzie, a choćby nawet i nie, to woli to niż subtelne aluzje Bożki, jeśli zobaczy, że się tu umówili.

Bożka przyjęła ofertę, choć bez szczególnego entuzjazmu. Skręcały już w jej uliczkę, kiedy Joasia rzucając okiem za siebie, spostrzegła zbliżającego się Marka.

– Wiesz, jednak mi nie daje spokoju to, co mówiłaś o Wszechnicy Radiowej. Muszę jeszcze dziś podskoczyć do Osso i przynajmniej przerzucić romantyzm – powiedziała szybko. – Nie gniewaj się, ale lepiej, jeśli polecę od razu.

Zastawiła zaskoczoną Bożkę i poleciała.

Marek siedział na pryzmie cegieł i rysował coś patykiem po piasku.

– Widziałem cię z daleka, ale nie chciałem wołać, bo jak widzę Bożkę, popadam w ostrą mizantropię. Po coś z nią szła?

– Chciałam ją wymanewrować, żeby cię uchronić przed atakiem mizantropii. Droga wolna, możemy iść do tramwaju.

– Wiesz co, zróbmy sobie dziś ulgowy dzień i chodźmy pieszo nad Odrę. Już jest dość późno, cudów i tak nie dokonamy. U ciebie poczytamy sobie teksty średniowieczne, ja pamiętam je dosyć słabo. Ale – przypomniał sobie – jak ci poszedł egzamin?

– Też egzamin. Poszedł. Bd.

– Ty jesteś jednak dzielna. Tak sobie radzisz w życiu...

– Pewnie, że jestem. Ho, Uruska mocny człowiek, jeszcze o mnie usłyszysz!

I Joasia uszczęśliwiona zaczęła podśpiewywać „Bo dla naszej kompanii szturmowej nie ma przeszkód i nie ma złych dróg”, ale natychmiast sobie uprzytomniła, że Marek przecież jest muzykalny, więc przestała. Opowiedziała mu pokrótce, co usłyszała na giełdzie, Marek wygłosił dłuższy monolog o cymbałach, których obchodzą tylko stopnie, czego Joasia słuchała z pogodą ducha, bo tym razem miała pewność, że żadna z tych złośliwości jej nie dotyczy. Wtrącała od czasu do czasu jakieś „pewnie, masz rację”, ale w duchu snuła własny monolog innej treści:

No proszę: idę sobie z Markiem, opowiadamy o tym i owym, zwyczajnie, jak przyjaciele. Marek mówi, że jestem dzielna, szanuje moje poglądy, trallalla, słońce świeci, życie jest piękne, wszystko jest możliwe. „Niech wesoło, z przyjaciółmi...” No i czy to by było źle tak codziennie chodzić nad Odrę, pomagać sobie, radzić. Ja naprawdę jestem mocny człowiek i bym mu się do niejednego przydała. Właściwie to nie ja jestem głupia, że go chcę, ale on, że mnie nie chce. Chociaż tak całkiem to może mnie nie chce. Interesuje się moimi planami i w ogóle. Ach, Boże, czas, czas, żeby jeszcze bodaj z rok czasu. Gdybym tak poszła na historię sztuki z nim... O nie, Uruska, miłość miłością, ale tak zwany cel życia to nie pusta puszka od konserw. Takie popołudnie, jak dziś, też się liczy i będzie do czego później myślał wrócić.

Nie wybierali najkrótszej drogi do domu. Przyszli na miejsce zmęczeni i odurzeni majowym popołudniem. Marek zwałił się od razu na fotel, ale kiedy Joasia oświadczyła, że warto by coś zjeść, poszedł za nią do kuchni, „bo może trzeba ci w czymś pomóc”.

– Jak już koniecznie chcesz – powiedziała, smarując masłem chleb – to ściągnij tam ze spiżarni kielbasę i pokrój. O, a w tamtej puszcze są ciastka, wysyp je na talerz.

Marek zaczął kroić serwolatkę, chapnął jeden, drugi plasterek i zagryzł herbatnikiem. Z pełnymi ustami uśmiechnął się do Joasi i powiedział:

– Osobliwe połączenie, ale smaczne.

– Nie mówi się, jak się je – zganiła go i też się roześmiała.

Marek przełknął ostatni kęs:

– Ale fajnie nam jest, nie?

Słyszając to, Joasia powinna była zemdleć ze szczęścia, ale jako mocny człowiek zdobyła się na trzeźwą odpowiedź:

– Będzie jeszcze fajniej, jak się zagotuje herbata. Czytali potem te średniowieczne teksty, od satyry na leniwych chłopów naturalną rzeczą kolejną przeszli do Reja, od Reja do Kochanowskiego.

– Kochanowski to jest jednak wielki poeta, he-he! – powiedział Marek.

– Kiedy naprawdę wielki! – oburzyła się Joasia. – Co za „he-he”?

– Ja się śmieję, bo to zabawne powtarzać „wielki był” za naszą polonistką. Szkoła tak nie-raz obrzydzi literaturę, że człowiek potem uważa za superodkrycie, kiedy sam dojdzie do tego, że w tej literaturze coś jest.

– Jedyne rady czytać to, co nie jest w lekturze. Ja czytałam Kochanowskiego tak nie-naukowo, jak na przykład Gałczyńskiego. Bo rozumiesz, co jest w poezji – Joasia zawahała się, czy mówić dalej, ale pomyślała, że w taki udany dzień może i jej poglądy na poezję mogą wydać się Markowi zupełnie z sensem, i ciągnęła dalej: – co człowieka tak godzi ze światem, czy raczej pomaga zrozumieć, to... No, rozumiesz?

– No, no, mów dalej.

– To właśnie to, że się znajduje wyraz dla jakichś swoich przemyśleń i zarazem potwierdzenie, że to są przemyślenia czy tam uczucia wspólne z innymi ludźmi. Tak, jakby się było potem bardziej człowiekiem. Ja dlatego tak lubię myśleć cytatami: „Śnie, który uczysz umierać człowieka”, „Trudna rada w tej mierze, przyjdzie się rozjechać”...

– Ty wiesz, że mnie się te same wiersze podobają?

Więc Joasia odszukała je w wyborze. Trzeba było już zapalić światło. Ze dworu zaczęły wpadać do pokoju chrabąszcze – kręciły się wokół lampy, wpadały na dno klosza. Widać było ich cienie gramolące się ku brzegom szklanej misy, ślizgały się, spadały na dno.

– Trzeba uwolnić te biedactwa – zauważył Mapek.

Stanął na stole, wygarnął garść chrabąszczy i oboje z Joasią podeszli do okna. Joasia brała nieboraki delikatnie w palce i rzucała w stronę kasztana prześwieconego blaskiem ulicznej latarni.

– O, popatrz, ten ostatni to król – pokazała Markowi chrabąszcza z czerwonym „kołnierzem”.

Pochylili się nad „królem” patrząc, jak wdrapuje się na wskazujący palec Joasi. Obojgu zsunęły się z czoła grzywy, stali tak blisko, że włosy zmieszały się ze sobą.

No, jeszcze chwilę, jeszcze chwilę nie leć – prosiła w duchu Joasia chrabąszcza.

– Ręka ci drży. W tych warunkach on nie wystartuje – zauważył Marek i ujął przegub Joasi.

Co by było, gdybym mu teraz powiedziała? – pomyślała Joasia.

Odwróciła wzrok od chrabąszcza i spojrzała na pochyloną głowę Marka.

Położyć rękę na jego włosach, o, tam, nad uchem, powiedzieć: „Marku, ja nic od ciebie nie chcę, tylko po prostu cię kocham”,

Chrabąszcz zafurczał skrzydełkami i odleciał. Marek podniósł głowę i napotkał spojrzenie Joasi. Ciągle trzymał przegub jej dłoni.

Teraz...

Ostry zgrzyt klucza w zamku. Ciotka.

W samą porę – odetchnęła Joasia. – Błogosławiona rola przypadku.

Siedli przykładnie za stołem. Marek chwycił tomik Kochanowskiego i otworzył na chybił trafił, ale zamiast czytać powiedział:

– Właściwie szkoda, że ciotka wróciła. Chciałem cię namówić; żebyś mnie odprowadziła, ale twoja opieka pewnie uzna, że nie wypada. Ot, burżuazyjne przesady.

Po chwili ciotka zajrzała do pokoju, przynosząc dwa talerzyki konfitur:

– Musicie sobie jakoś osłodzić te gorzkie przedmaturalne dni.

Gorzkie! Boże drogi, chciałabym mieć całe życie takie gorzkie.

– To już przecież niedługo? – pytała ciotka, a Marek wyjaśnił, że pisemny egzamin za pięć dni, a ustny za dziesięć.

– Trochę mało czasu między jednym a drugim – dodała Joasia. – Tę przerwę chcemy zarezerwować tylko na historię i zagadnienia, a polski i łacinę wykończyć przed pisemnym.

Miała ochotę zapytać ciotkę, co sądzi o prawdopodobieństwie tematów podanych przez Bożkę, ale dała spokój. Ciotka, nawet gdyby najdokładniej wiedziała, nie powie. Etyka zawodowa. I słusznie.

Pięć dni później przed drzwiami auli, zamienionej na salę egzaminacyjną, Bożka zajadłe udowadniała, że ona miała murowane źródło informacji i absolutnie nie należy sobie zawracać głowy tym, co mówią przyrodnicy.

– Pozytywizm był modny w zeszłym roku. Teraz wyłącznie szlachecki rewolucjonizm.

Okazało się, że ani szlachecki, ani rewolucjonizm. Kiedy dyrektor z należytą powagą otworzył zalakowaną kopertę z tematami zadań, Joasia nie mogła sobie darować złośliwego spojrzenia na skonfundowaną koleżankę: jej obszerna ściaga „Mickiewicz i ruchy rewolucyjne” nadawała się tylko na makulaturę.

Ba, ale ten temat nie jest najporęczniejszy – stropiła się przepisując tytuł na arkusz – „Walka klasowa w literaturze polskiej”... nie wiadomo, czy pisać, jak się przejawia w literaturze, czy tylko o utworach wyraźnie nawiązujących do tych spraw.

Zdecydowała się na to drugie, sądząc nie bez racji, że gdyby chciała referować odbicie walki klasowej w literaturze, musiałaby w ciągu tych czterech godzin napisać podręcznik, którego notabene wciąż jeszcze nie było.

Więc po prostu od „leniwych chłopów” do „Kordiana i chama”. I tak wyszło z tego dziełnaście stron.

Koledzy na ogół też zaczęli od „Satyry...” Tylko Zagórski z dumą oświadczył, że włączył do przeglądu „Bogurodzicę”.

– Ale po co? – zdziwiła się Janka.

– Bo to jest ludowa pieśń o wyraźnie klasowych akcentach. Udowodniłem, o! „Adamie, ty boży kmieciu”, coś tam tego, i potem: „siedzisz na wiecu”. Oczywiście propaganda ludowładztwa! I nikt na to nie wpadł! Zobaczycie, polonistka zdębieje.

Polonistka może i zdębiała, ale dopuściła Jurka do egzaminu ustnego, jak i całą resztę. Marek i Joasia jakoś stracili rozpęd i dni przed ostateczną rozprawą spędzali coraz bardziej „ulgowo”, gadając dużo i nie na temat. Tej przedwczesnej lekkomyślności przypisywała Joasia emocjonujący moment na egzaminie ustnym.

Weszli do pokoju we czwórkę, z Janką i Jamrózką. Pytało jednocześnie czterech egzaminatorów, członkowie komisji. przysłuchiwali się na wrywki odpowiedziom. Łacinnik, markotny, że tyłu zdaje angielski, ożywił się, kiedy zobaczył dwie ofiary naraz. Ale nie był katem, starał się być nawet miły, zadania z gramatyki nie kryły podstępów, a o autorów klasycznych pytał tak „nieškodliwie”, że Joasia tę część egzaminu zaczęła traktować jak towarzyską rozmowę o poezji. Kiedy dała do zrozumienia, że wie, które ody Horacego parafrazował Kochanowski, uszczęśliwiony staruszek ścisnął jej dłoń i oznajmił, że zdała z wynikiem bardzo dobrym.

Inni egzaminatorzy byli zajęci, więc Joasia siadła w pobliżu historyka, przysłuchując się odpowiedzi Marka. „Pierwsze państwa słowiańskie”, no, to umie – uspokoiła się. Ale nagle przypomniała sobie, że Słowian południowych przerabiali ulgowo – Markowi Bułgarzy kojarzyli się z Bizancjum, Bizancjum ze „Srebrnymi orłami” i zamiast sprawdzić, jak to właściwie było z carem Symeonem, zaczął opowiadać Joasi najpierw „wątek bizantyjski”, a potem całą książkę Parnickiego. W tej chwili skończył wschodnich Słowian i przeszedł do państwa wielkomorawskiego, wspomniawszy, jak trzeba, o niejasnych wieściach o Samonie.

– Na ziemiach polskich natomiast... – ciągnął dalej, ale historyk przerwał:

– Początki państwa polskiego możesz pominąć.

O rany, zginie przez tych dzikich Bułgarów – przeraziła się Joasia. Ale Marek nie myślał tak od razu wpadać między dzikich Bułgarów:

– Nie sposób omawiać pierwszych organizacji państwowych Słowian południowych, nie uwzględniając szczególnej sytuacji Półwyspu Bałkańskiego. Krzyżowały się tu wpływy cesarstwa zachodniego i wschodniego. Bizancjum...

– Dziękuję ci, właściwie to już starczy – uciął historyk.

Kamień z serca.

Wyszli na korytarz prawie wszyscy równocześnie. Janka tylko trochę zamarudziła przy angielskim – profesorka zafundowała sobie popisowy numer, by olśnić komisję, i wdała się w błyskotliwą rozmowę z ulubioną uczennicą. Ale i to się skończyło.

– No cóż, możemy sobie chyba pogratulować dojrzałości – zauważyła Janka, zamykając drzwi sali. Marysia Jamróż wołała być ostrożniejsza.

– Poczekajmy, co powie komisja.

Wyszła wychowawczyni oznajmiając, że cała czwórka zdała wyśmienicie.

– Co do was zresztą, nie miałam obaw – ruch ręki w stronę Joasi, Marka i Janki – ale Marysia sprawiła mi prawdziwą niespodziankę.

– Nam nie! – powiedziała Joasia z niejaką zajadłością. – My wiemy, co kto umie. Zresztą mówiliśmy to pani na jesieni.

- Errare humanum est – uśmiechnęła się kwaskowato polonistka i wróciła do sali.
- Maturzyści popatrzyli na siebie niezdecydowani.
- Co właściwie teraz robić? – zastanawiała się Joasia. – Człowiek czuje się akurat tak, jak kiedy z całym rozpędem chce podnieść ciężką walizkę, a ona okazuje się pusta. Człowiek przygotował się na nie wiem jakie trudy...
- Teraz pora na radość życia. Chodźmy gdzieś – zaproponował Marek, ale Marysia nie zgodziła się.
- Wypada poczekać na ostatnią czwórkę. – Dobrze, ale na dworze.
- Przy wyjściu zderzyli się z falą uczniów – kończyła się właśnie przerwa. Młodszy koledzy z należyty szacunkiem przepuszczali szczęśliwców, których już do końca życia nie będą obowiązywały żadne dzwonki. Na dziedzińcu, jak muszle po odpływie, zostało kilku jedena-stoklasistów czekających na wieści z placu boju. Na skrawku trawy pod cienistym klonem leżał Bodek Lipski, ostentacyjnie ćmiąc „lotnika”.
- Ej, pacany! – zawołał. – Jesteście już dorośli?
- Tak jakby! – odkrzyknęła Janka.
- To przyjmijcie gratulacje i powiedzcie, jak wam poszło.
- Opowiadali jeden przez drugiego, barwnie i dramatycznie. Joasia aż się dziwiła, że taki prozaiczny fakt może w opowiadaniu wypaść wcale interesująco.
- Ale Joanna – przypomniał sobie Bodek. – Dwóch panów się pytało o ciebie. Przed pięcioma minutami.
- Jak wyglądali?
- Jeden trochę starszy, drugi trochę młodszy. Przyzwoicie ubrani.
- Tadeusz? Ale ten drugi? Krzysztof nie, bo Krystyna zdaje dopiero za dwa dni.
- Słowo honoru, że nie znam żadnych panów przyzwoicie ubranych. Pojęcia nie mam, kto to może być. A co mówili?
- Że przyjdą później. Bo ja im powiedziałem, że to potrwa ze trzy kwadransy. Nie myśla-łem, że tak szybko się wywiniecie z objęć komisji. Bardzo cię przepraszam – tłumaczył się stropiony.
- Uee, głupstwo, mogę czekać, i tak już nie mam nic na głowie.
- Może ktoś pójdzie pod drzwi posłuchać, jak się spisuje Jasio – podsunęła Janka.
- I co, podpowiadać mu przez dziurkę od klucza? – Marek wzruszył ramionami. – Zo-stańmy lepiej tu. Powoli schodzili się koledzy, którzy zdali wcześniej i polecili do domu z radosną wieścią. Kiedy ze szkoły wybiegł Jasio i ostatni zdający, pod klonem siedziała prawie cała klasa.
- No i jak?
- Klawo, byczo, wszyscyśmy po kłopocie – Jasio promieniał radością. – Panowie; chodź-cie do mnie, starców jeszcze nie ma, a alkohol już czeka. Musimy wypić za moje cudowne ocalenie!
- Domyślamy się, że zdałeś cudem, ale opowiedz.
- Szło mi zupełnie fantastycznie, aż na polskim... Na kartce było tylko „Syrokomla”, a ja za cholerę nie wiem, czy to napisał Mickiewicz, czy Słowacki. Byłbym leżał bez czterech; miałem bryk w kieszeni, ale jak wyjąć, kiedy wszyscy się gapią. I uratował mnie, nie zgad-niecie, łacinnik. Widział po mojej minie, że coś nie bardzo, stanął między moją ławką i sto-łem komisji, niby posłuchać, co mówi Ania. A ja zerk do bryka. Kto by przypuszczał, że Sy-rokomla to pisarz, a nie tytuł utworu! Przybrałem mądry wyraz twarzy, podszedłem do polo-nistki i dostałem tę trójczynę. Ale chodźmy, chodźmy, koniec z budą!
- Posłuchali go ochoczo, tylko Marek oznajmił stanowczo, że idzie z nimi tylko do mostu, bo matka na pewno czeka i denerwuje się. Zagórski wykrzykiwał coś o maminsynku, co Mar-ka oczywiście nie wzruszyło.
- No, a ty, Joanna? – zdziwił się Jasio widząc, że koleżanka nie wstaje.

– Muszę czekać na tych tajemniczych starszych panów.  
– Spław ich szybko i przyjdź. Mickiewicza 75. Poznasz tę willę po srebrnych świerkach u wejścia.

Joasia patrzyła, jak mijają bramę. Koło Marka szła Ania Palikówna, wesoło gaworząc. Potem zasłoniły ich barczyste plecy Jasia i czarna, obwisła marynarka Wilkołka.

Nawet się nie obejrzeli! Boże, jaki on jest... Matura zdana, koledzy poszli, ot, i koniec. „Trudna rada w tej mierze”.

Siadła pod klonem, opierając głowę na kolanach.

Z daleka to pewnie muszę wyglądać, jakbym oblała. Żebym się tylko nie rozryczała – zaniepokoiła się, czując podejrzany ucisk w gardle.

Umilkły pokrzykiwania odchodzących, na ulicy pod kasztanami było tak cicho, że nagły szum przejeżdżającego auta i huk zatrząskiwanych drzwiczek poderwały Joasię jak wystrzał. Zobaczyła taksówkę przed bramą i...

– Maciek, tatuś! Że mi to nie przyszło do głowy! – zawołała, biegnąc naprzeciw.

„Starsi panowie” nieśli dwa potężne bukiety róż. Powitanie, pospieszna relacja o egzaminie. Maciek wręczył róże. Joasia zerknęła w stronę drugiego bukietu, a ojciec wyjaśnił:

– To dla ciotki. Też jej się należy za pedagogiczne trudy. Zastaniemy ją?

– Chyba tak, ona jedzie na Pilczyce zwykle koło czwartej. Która jest teraz?

– Zobacz sama – ojciec wyjął z kieszeni pudełko. Zegarek!

– Nie, ty jesteś fenomenalny! – ucieszyła się.

– Taksówka czeka, siadajmy, wpadniemy na Karłowice po ciotkę i zjemy gdzieś razem obiad.

Obiad wręcz przekraczał granice przyzwoitości. Kiedy ojciec wybierał likiery do deseru, Joasia nie wytrzymała i zauważyła:

– Oj, obywatelu Uruski, znać po was te trzy lata zgniłego Zachodu!

Ojciec, jakby dla potwierdzenia, wyciągnął paczkę „chesterfieldów”. Ciotka patrzyła ze zgrozą, jak Maciek podaje ogień Joasi, ale że była uosobieniem taktu i lojalności, nie protestowała.

– Wypijmy za wasze studia – powiedział ojciec, podnosząc kieliszek. – Wie pani – dodał potem zwracając się do ciotki – to zdumiewające, ale teraz, kiedy mam dorosłe dzieci, czuję się na nowo młody. Jakby się otwierały jakieś perspektywy, swoboda, zaczynanie na nowo...

Joasi ścisnęło się serce: Po coś to powiedział, po co? Tak było miło, już ci wszystko darowałam. Przecież z mamusią byłeś szczęśliwy i nie masz złych dzieci, więc czemu uważasz, że wszystko do dzisiejszego dnia było ciężkim jarzmem? Spojrzała na brata: musiał myśleć tak samo, bo ze ściągniętą nagle twarzą wpatrywał się w podstawkę kieliszka. Ciotka wygłosiła dłuższą pochwałę Maćka i Joasi:

– Naprawdę można panu pogratulować takich dzielnych dzieci – zakończyła.

Poczciwa, kochana ciotka! Joasia zawsze uważała ją za znakomitego pedagoga, ale teraz uświadomiła sobie (ze wstydem, że tak późno), że ciotka jest w ogóle mądrym i dobrym człowiekiem. Dobrze się z nią mieszkało. Ja właściwie mam szczęście w życiu. I z Markiem się na pewno też jeszcze przed wyjazdem zobaczę.

Maciek zapytał ją o wakacyjne plany. Wyjaśniła, że od pierwszego lipca będzie na kolonii.

– Ale do lipca? Wiesz, mam pomysł: jedź ze mną od razu do Krakowa. Mój współlokator został na trzy tygodnie oddelegowany na Śląsk i mam apartament do własnej dyspozycji. Będziesz sobie zwiedzać miasto, jak wrócę z pracy z Nowej Huty, będziemy się przygotowywać do egzaminu wstępnego. Ty umiesz wszystko na świeżo, a ja już masę zapomniałem.

Joasia spojrzała na ojca. Nie miał zamiaru protestować.

– Świetnie. Tylko może nie dziś: trzeba się spakować, jakieś pranie zrobić. Pojutrze, do brze?

– Ja też jestem gapa – zaśmiał się Maciek. – Tak cię zabieram sprzed progu szkoły, a przecież na pewno chcecie z kolegami coś zorganizować. My w zeszłym roku... Nie pamięta wół...

Odwieźli ciotkę na Pilczyce, wstąpili na Karłowice napić się herbaty i już trzeba było się żegnać. Ojciec i brat mieli pociągi prawie jednocześnie.

– Byliście strasznie mili, żeście przyjechali. Teraz ja sama zaczynam myśleć, że matura to wielkie wydarzenie.

Zamknęła za nimi drzwi i chwilę stała w progu swojego pokoju. Na stole leżały jeszcze książki i rozarty, obrócony grzbietem do góry Markowy zeszyt do historii.

Jak tu cholernie pusto...

## 10. „Trudna rada w tej mierze...”

Pierwszy dzień dojrzałości spędziła piorąc, prasując itp. Ciotce ten zapal do zajęć domowych wydał się wręcz nienaturalny, ale nie wiedziała przecież, że Joasia tak niezłomnie tkwi w domu mimo pięknej pogody i poegzaminacyjnej wolności jedynie dlatego, żeby się nie rozminąć z Markiem. Rano była absolutnie pewna, że przyjdzie, koło południa nadzieja osłabła, by pod wieczór osiągnąć stan kulminacyjny. Zupełnie jak gorączka.

Nazajutrz zmieniła taktykę. Około dziesiątej pojechała do szkoły, łudząc się, że Marka będzie interesowało, jak się wiedzie matematykom. Przypatrując się z boku scenom na giełdzie, mało co różnym od wczorajszych, z każdą chwilą nabierała pewności, że Marek tu nie przyjdzie. Nie mając wszakże żadnego lepszego pomysłu, wytrzymała do południa. Potem ruszyła w stronę Politechniki.

To już całkiem głupio i w ogóle dno, włóczyć się w okolicach jego domu. Ale wieczorem wyjeżdżam, więc mogę sobie na ten raz darować honorowość. Krystyna to ma dobrze. Zdaje dopiero jutro i Krzysztof na pewno przez całe przedpołudnie będzie stał na posterunku.

Na przystani AZS jacyś studenci podnosili żagle na łodzi. Znowu pozazdrościła Krystynie, tym razem wakacji. Przypomniał jej się Tadeusz, pomyślała, że w tych stronach może raczej spotkać jego niż Marka. Nawet chętnie by go zobaczyła, uznała jednak to pragnienie za niegodne mocnego człowieka i odeszła czym prędzej.

Jak już jestem w mieście, to skoczę na Główny po bilet do tego Krakowa. A potem do Janki, do domu po walizkę i praszczej, lubimyj gorod.

Na dworcu kolejki wprost nieludzkie – mogła sobie pogratulować przezorności. Przez półtorej godziny stania uciekłyby dwa pociągi. Zmęczona, z westchnieniem ulgi wyszła na ulicę. Nagle ruszyła szybciej – w tłumie po drugiej stronie mignęła jej znajoma sylwetka: Janka, ale kto przy niej? Dostrzegła tylko jasne włosy, potem tramwaj zasłonił jej widok.

Janka z towarzyszem oddalili się znacznie, kiedy już mogła przebiec jezdnię. Nie, to nie był Marek. Trudno, nie szkodzi. I tak Janka zaraz spławi tego faceta i pójdziemy do mnie albo do niej. „Facet” coś powiedział do Janki i zawrócił do kiosku. Joasia widziała go teraz dokładnie, zobaczyła nawet w golfie znaczek AZS. Patrzyła, jak dogania Jankę, w biegu chwytając papierosy do kieszeni, jak ujmuje Jankę za ramię, jak ona, śmiejąc się, spogląda w górę na jego twarz.

Student, no proszę. A to gad z tej Janki. Nic mi nie powiedziała, jeszcze kazania prawila za Tadeusza. Ale chłopak przyjemny, niech się cieszą. Swoją drogą to będzie heca, jak jej zacznie dogadywać z miną jasnowidza. Ho! ho! przed Uruską nic się nie ukryje!



Przyjemność dogadywania mieściła się jednak w mglistej przyszłości. A teraz co z sobą robić? To już całkiem parszywe, żeby w trzystutysięcznym mieście nie mieć do kogo ust otworzyć. Inni przecież jakoś sobie radzą. Kaleka psychiczna ze mnie czy co?

Nie pozostawało nic innego, jak wrócić na Karłowice. Dokończyła pakowania, położyła się na tapczanie i zapaliła ojcowskiego „chesterfielda”.

Może jednak przyjdzie? Dobrze, że mam bilet, mogę czekać do ostatniej chwili.

Przyniosła z ciotki pokoju „Potop”, który zawsze zgodnie z intencją autora czytywała dla pokrzepienia serca. Spoglądała jednak co chwila to w okno, to na zegarek i wreszcie miała już dość.

– Wychodzę. Jak nie, to nie. Widać nie było pisane. – Pedantycznie zamknęła drzwi, klucze wrzuciła do środka przez szparę do listów, odcinając sobie ostatecznie drogę powrotu.

Walizka była ciężka, czasu nadto, a Joasia pędziła, jakby pociąg już gwizdał. Nie zwolniła nawet wtedy, kiedy u końca alei zobaczyła jasną czuprynę, ani kiedy była już absolutnie pewna, że to Marek i że idzie do niej.

– Boże, to ty już wyjeżdżasz? – zdziwił się, widząc walizkę. – A ja się wybierałem do ciebie, myślałem, że sobie pogadamy tak wakacyjnie.

– Musztarda po obiedzie. Spóźniłeś się.

– Musiałem trochę pobyc w domu. Ostatnim czasem przychodziłem tylko jeść i spać. A mama tak lubi się krzątać koło mnie, gderać, wtykać jedzenie. Przez te dwa dni byłem na prawach ciężko chorego – zaśmiał się.

– Mama chyba się strasznie cieszy, że jesteś po maturze?

– Gdzie tam cieszy! Mama już się martwi, co będzie ze studiami. Kupiła mi czapkę i jest nieszczęśliwa, że nie mam czarnego garnituru i piętnastu tysięcy innych drobiazków. Ograniczajątko kochane!

Świetnie, pošę im we wrześniu to, co zarobię na kolonii. Podszyję się pod ZMP, że to niby jakaś zapomoga czy coś.

– A do mnie przyjechał ojciec, wiesz. I Maciek, brat. A ty go zresztą znasz z moich imiennin. Starzec okazał się na poziomie, można powiedzieć europejskim. Nawet mi zostawił mamonę na fundusz reprezentacyjny. Wobec tego raz się żyje, jedziemy taksówką. O ile oczywiście chcesz mnie odprowadzić.

Tę taksówkę miała na oku już od chwili – bardzo chciała znaleźć się szybko na peronie i postawić wreszcie walizkę.

Na dworcu nie było takiego tłumu, jakiego można by się spodziewać po przedpołudniowych kolejkach. Siedli przy końcu peronu na belkach pozostałych z jakiegoś rusztowania.

– Dokąd ty właściwie jedziesz? – zainteresował się teraz dopiero Marek.

– Do Maćka. Będziemy się przygotowywać do egzaminu wstępnego.

– Myślałem, że do rodziny.

– Brat to najbliższa rodzina. W Karczewie tak za bardzo nie mam co robić. Ojciec powiedział przedwczoraj...

I nagle, machnąwszy ręką na solidarność rodzinną, zaczęła opowiadać o swojej trosce domowej.

– Bo rozumiesz, czego ja nie mogę pojąć? Jestem w porządku, ucę się, nie wyłudzam pieniędzy, prowadzę się względnie przyzwoicie i... to brzmi dziwnie w tym kontekście, ale ja naprawdę kocham mojego ojca. On jest mimo wszystko nadzwyczajny, taki znakomity fachowiec, naprawdę, gdybym była szefem rządu, tobym go zrobiła ministrem. Mógł zostać na Zachodzie, miał tam bardzo ciekawe propozycje, jakaś spółka nasiennicza w Kanadzie, w ogóle różności. Tylko on poza Karczewem nie może istnieć. Podejrzewam, uę, jestem pewna, że on wrócił do Polski nie dla nas, tylko dla Zakładów. Więc jest prawy i wierny i powiedz mi, czemu nas traktuje jak stare chomąto? Macocha to problem dalszy, przecież jeśli ojciec daje sobie radę z dwustu chłopami, to z jedną babą też przecież...

Marek się zaśmiał:

– Moja droga, dwustu chłopów to nic wobec jednej upartej kobiety. A w ogóle dobrzy ojcowie trafiają się rzadko. Mój też, Panie, świeć nad jego duszą, ale nie był szczególnie udany. Z rodziców tylko matki są niezawodne, Zresztą ja się tak nie dziwię twojemu ojcu. Jeśli on jest opętany pracą, to jasne, że jakieś domowe powikłania go męczą, że chciałby się tego pozbyć z głowy. Dla mężczyzny, wiesz, działanie, twórczość jest najważniejsza. Ja to przemyślałem i jestem przekonany, że się nigdy nie ożenię.

„Szkoda, że go spotkałam. Teraz i w ogóle. A już się wydawało...”

Patrzyła w milczeniu przed siebie. Słońce tkwiło nisko nad nasypem, szyny połyskiwały żółto w świetle skośnych promieni. Ulice w dole zalegał już cień, tylko okna wyższych pięter odbijały czerwony blask, Tuż obok przetoczył się parowóz, zasłaniając na chwilę słońce. „Weź się w garść. Bez liryki”.

– Chyba masz rację – powiedziała. – Bo ja, jak wiesz, jestem racjonalistą, wyznawcą logiki i rozsądku, więc oczywiście bym chciała, żeby w świecie uczuć też był ład. A to się przecież nie da, prawda? Więc jedyne wyjście dla człowieka rozumu to się zgodzić, że się nic nie poradzi. I kochać dalej. I starać się nikomu nie zawadzać.

– Nie wyobrażam sobie, żebyś ty mogła komuś zawadzać – głos Marka zabrzmiał nieoczekiwanie miękko. – Tak mi się dobrze z tobą uczyło, że żałuję, że idziemy na różne wydziały.

– Widzisz, nie tylko dla mężczyzn jest ważne działanie. Ja bym bardzo chciała, żeby „ojczyzna nie nawalała”. Tak żeśmy mówiły na kolonii, rok temu. A jako racjonalista uważam, że dobre prawa to... to dużo.

– Ach ty, romantyczny racjonalisto! – zaśmiał się. – Życzę ci, żebyś za dziesięć lat, jak się spotkamy na zjeździe maturalnym, była już dyrektorem departamentu w Ministerstwie Sprawiedliwości.

– No, to do zobaczenia za dziesięć lat, bo już podstawiają mój pociąg.

– Jakie tam dziesięć lat, przecież będziemy studiować w tym samym mieście.

Przy wagonach trwał w najlepsze szturm do drzwi. Joasia mogła być rada, że zdobyła miejsce na korytarzu, ale przy oknie. Spuściła szybę:

– Marek, nie czekaj, aż odjedzie, sensu nie ma.

Jeśli jednak zostanie, to mu powiem – zdecydowała. – Życiowego znaczenia to już mieć nie będzie, a niech wie, że może zawsze liczyć na mnie.

– Wiesz, chyba rzeczywiście pójdę.

Wyciągnął rękę, uścisnął dłoń Joasi i spojrzał w górę. Coś musiało być w jej oczach, bo zamiast oczekiwanego „cześć” powiedział:

Albo nie, popatrzę, jak jedziesz w świat.

Klamka zapadła. Los tak chce.

Rozejrzała się po peronie. Konduktorzy stali przy drzwiach, oczekując na znak dyżurnego ruchu. Oparła łokcie na szybie:

– Co to ja ci jeszcze chciałam powiedzieć...

„Kocham cię i zawsze cię będę kochać. Nie, to zarozumiałe, nie przeceniajmy własnych uczuć. Kocham cię i nigdy cię nie zapomnę”.

Dyżurny ruchu podniósł chorągiewkę. Joasia przewyciężyła ucisk w gardle i zawołała:

– Wypoczywaj dobrze! I może napiszesz coś?

– Nie mam adresu! – odkrzyknął, biegnąc przy wagonie.

– Przyślę ci z Krakowa. Bądź zdrow i pomyśl o mnie czasem.

Widziała jeszcze chwilę jego twarz, a potem już tylko czarną sylwetkę na tle zachodniego nieba w końcu peronu.

Nie starczyło mi odwagi, czy starczyło zasad? Nie wiem, nie wiem, w ogóle nic nie wiem. Chociaż coś przecież... Wiem, że dam sobie radę z życiem, a nie dam z uczuciem. Nie szkodzi, wreszcie osiemnaście lat to nie starość. Może się nauczę.

Po sąsiednim torze przeleciał pociąg, Joasia musiała się cofnąć do wnętrza. Kiedy na powrót wyjrzała przez okno, nie mogła już odszukać Marka. Może stoi jeszcze tam na skraju, a może już poszedł? Wszystko jedno:

Gdziekolwiek jest, Bożeć, ślij dobrą godzinę!